



B E R N A R D

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM X



STRAŻNIK
OGNIA



BERNARD
Cornwell

STRAŻNIK
OGNIA

TLUMACZENIE
ANNA DOBRZAŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2019

*Książkę tę dedykuję Kevinowi Scottowi Callahanowi
(1992–2015)*

Wyrð bið ful ãræd
Przeznaczenie jest wszystkim

WOJNY
WIKINGÓW
TOM X

STRAŻNIK
OGNIA





NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundonii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru, a także Lundres. Bez wątpienia znajdą się czytelnicy, którzy będą zwolennikami innych wariantów nazw aniżeli te, których zdecydowałem się użyć w powieści* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Na przykład nazwa Hayling w 956 roku zapisywana była zarówno jako Heilincigae, jak i Haeglingaiggae. Przyznaję, że i ja nie zawsze byłem wierny przyjętemu kluczowi: wolałem posługiwać się nazwą Northumbria zamiast Nordhymbrialond, by uniknąć posądzenia o to, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa były zbieżne ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego prezentowaną tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

AETGEFRIN	Yeavinger Bell, hrabstwo Northumberland
ALBA	historyczne królestwo obejmujące większą część dzisiejszej Szkocji
BEAMFLEOT	Benfleet, hrabstwo Essex
BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BEINA	rzeka Bain
CAIR LIGUALID	Carlisle, Kumbria
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
CIRRENCEASTRE	Cirencester, hrabstwo Gloucestershire
COCUEDES	wyspa Coquet, hrabstwo Kent
CONTWARABURG	Canterbury, hrabstwo Kent
DUMNOC	Dunwich (dziś w większej części zabrane przez morze), hrabstwo Suffolk
DUNHOLM	Durham, hrabstwo Durham
EOFERWIC	York, hrabstwo Yorkshire (pod rządami duńskimi przemianowany na Jorvik)
ETHANDUN	Edington, hrabstwo Wiltshire
GEWAESC	The Wash (estuariusium i zatoka na wschodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii)
GODMUNDCESTRE	Godmanchester, hrabstwo Cambridgeshire
GRIMESBI	Grimsby, hrabstwo Lincolnshire
GYRUUM	Jarrow, hrabstwo Tyne and Wear
HORNECASTRE	Horncastle, hrabstwo Lincolnshire
HUNTANDON	Huntingdon, hrabstwo Cambridgeshire
LEDECESTRE	Leicester, hrabstwo Leicestershire
LINDCOLNE	Lincoln, hrabstwo Lincolnshire
LINDISFARENA	Lindisfarne (Holy Island – Święta Wyspa), stanowi część hrabstwa Northumberland

MAELDUNESBURH	Malmesbury, hrabstwo Wiltshire
STEANFORD	Stamford, hrabstwo Lincolnshire
STRATH CLOTA	Strathclyde, historyczne królestwo w południowo-zachodniej Szkocji
SUMORSAETE	hrabstwo Somerset
TINE	rzeka Tyne
USE	rzeka Ouse (Northumbria), także Great Ouse (Anglia Wschodnia)
WAVENHE	rzeka Waveney
WEALLBYRIG	fikcyjna nazwa fortu na Wale Hadriana
WIIRE	rzeka Wear
WILTUNSCIR	hrabstwo Wiltshire
WINTANCEASTER	Winchester, hrabstwo Hampshire

* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora Lundene. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

CZEŚĆ PIERWSZA
KRÓL

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszystko zaczęło się od trzech statków.

Teraz były cztery.

Trzy statki przybiły do wybrzeży Northumbrii, kiedy byłem dzieckiem, i kilka dni później mój starszy brat nie żył, kilka tygodni później mój ojciec podążył jego śladem, mój stryj ukradł moją ziemię, a ja zostałem wygnańcem. Teraz, wiele lat później, stałem na tej samej plaży i patrzyłem, jak cztery statki przybijają do brzegu.

Przyplłynęły z północy, a wszystko, co stamtąd przybywa, zwiastuje złe wieści. Północ to mróz i lód, Norwegowie i Szkoci. To wrogowie, a ja miałem ich wystarczająco wielu, albowiem przybyłem do Northumbrii odzyskać Bebbanburg. Przybyłem zabić swojego kuzyna, który przywłaszczył sobie to, co należało do mnie. Przybyłem odzyskać dom.

Bebbanburg leży na południu. Z miejsca, w którym stały nasze konie, nie dostrzegałem wałów obronnych, bo wydmy były tu za wysokie, widziałem jednak dym unoszący się znad palenisk, niesiony na zachód przez gwałtowny wiatr. Jego nitki sunęły w głąb lądu, mieszając się z niskimi szarymi chmurami mknącymi po niebie w stronę ciemnych wzgórz Northumbrii.

Dął porywisty wiatr. Piaszczyste równiny rozciągające się ku Lindisfarenie rozbrzmiewały hukami białych grzywaczy, które pędziły w stronę brzegu. Nieco dalej fale były spienione i niespokojne. Panował przenikliwy chłód. W Brytanii może nastąpiło już lato, ale na wybrzeżu

Northumbrii zima trwała w najlepsze i byłem rad, że mam na grzbiecie pelerynę z niedźwiedziego futra.

– Kiepski dzień dla żeglarzy! – zawołał do mnie Berg. Był służącym pode mną młodzieńcem, norweskim wytrawnym wojownikiem. Przez ostatni rok włosy jeszcze mu urosły i teraz wystawały spod otoku hełmu niczym imponujący koński ogon.

Raz widziałem, jak Sas pochwycił jakiegoś mężczyznę za włosy, ściągnął go z siodła i przeszył włócznią, kiedy ten leżał na ziemi.

– Powinieneś ściąć kudły – powiedziałem mu.

– Związuję je przed walką! – odkrzyknął i skinął głową w stronę morza. – Rozbiją się! Są zbyt blisko brzegu!

Cztery statki płynęły wzdłuż wybrzeża, starając się utrzymać na morzu. Wiatr próbował zepchnąć je na ląd, uwięzić na mieliźnie, unieruchomić i pozwolić, by zgniły, lecz wiosłarze pracowali ile sił, a sternicy usiłowali odwrócić łodzie od fal przyboju. Grzywacze rozbijały się o dzioby i zalewały pokłady białą pianą. Półwiatr był zbyt silny, by podciągnąć jardy płótna żaglowego, tak więc ciężkie żagle leżały zwinięte na pokładach.

– Co to za jedni? – zapytał mój syn i wbił pięty w końskie boki. Podmuchy targały jego pelerynę, szarpały końską grzywę i ogonem.

– Niby skąd mam to wiedzieć? – odparłem.

– Nie widziałeś ich wcześniej?

– Nigdy.

Znałem większość statków, które podpływały do wybrzeży Northumbrii, ale te cztery widziałem pierwszy raz. Nie były to łodzie handlowe, miały bowiem wysokie dzioby i niskie burty łodzi wojennych. Umieszczone na dziobnicach głowy bestii świadczyły o tym, że płyną nimi poganie. Były to duże łodzie. Zgadywałem, że każda z nich może pomieścić czterdziestu–pięćdziesięciu ludzi, którzy wściekle wiosłując,

zmagali się ze wzburzonym morzem i przejmującym wiatrem. Zaczynał się przyptyw, a to znaczyło, że silny prąd płynął teraz na północ, podczas gdy łodzie parły na południe. Smocze łby na dziobnicach ginęły w mgiełce drobnych kropelek, gdy rozjuszony fale nacierały na kadłuby. Patrzyłem, jak najbliższa łódź wznosi się na fali i do połowy zapada w lodowatych wodach uderzających w dziobową część kadłuba. Czy ich załogi wiedziały o płytkim kanale, który skręcał za Lindisfareną, oferując schronienie? Był on doskonale widoczny w czasie odpływu, lecz teraz, gdy poziom smaganych wiatrem wód podnosił się gwałtownie, owo przejście niknęło pośród skłębionych, spienionych fal. I tak cztery łodzie, nieświadome jego istnienia, przepłynęły obok wejścia do kanału, szukając bezpiecznego miejsca, w którym mogłyby zakotwiczyć.

Płynęły do Bebbanburga.

Zawróciłem konia na południe i powiodłem swoich sześćdziesięciu wojów wzdłuż plaży. Wiatr sypał mi w oczy piaskiem.

Nie wiedziałem, kim byli ci ludzie, lecz wiedziałem, dokąd zmierzają ich łodzie. Płynęły do Bebbanburga. Pomyślałem, że właśnie życie stało się trudniejsze.

Dotarcie do kanału Bebbanburga zabrało nam krótką chwilę. Fale rozbiły się na plaży i kotłujące, wpływały do wylotu przystani, wypełniając przesmyk skłębioną szarą pianą. Przesmyk nie był szeroki, jako dziecko często go przepływałem, choć nigdy w czasie odpływu. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy chłopca, który utonął, kiedy silny prąd porwał go z kanału. Chłopak miał na imię Eglaf i kiedy umarł, liczył sobie sześć–siedem wiosen. Był synem księdza, jego jedynym synem. Dziwne, jak imiona i twarze z dalekiej przeszłości wracają do nas po latach. Eglaf był niskim, drobnym dzieciakiem, ciemnowłosym

i zabawnym. Lubiłem go. Mój starszy brat rzucił mu wyzwanie, żeby przepłynął kanał, i pamiętam, jak zanosił się od śmiechu, kiedy Eglaf zniknął w kipieli ciemnej wody i białych grzywaczy. Gdy się popłakałem, dzielił mnie po głowie. „Był słaby” – powiedział.

Ach, jakże pogardzaliśmy słabością! Tylko kobiety i księża mogli sobie na nią pozwolić. No i może bardowie. Biedny Eglaf umarł, bo chciał uchodzić za nieustraszonego, a tak naprawdę okazał się głupcem.

– Eglaf – wypowiedziałem na głos jego imię, kiedy galopowaliśmy po plaży.

– Co?! – krzyknął mój syn.

– Eglaf – powtórzyłem, choć nie kwapiłem się z wyjaśnieniem.

Wierzę, że ludzie żyją tak długo, jak długo pamiętamy ich imiona. Nie wiem, jak to możliwe. Czy są duchami niesionymi wiatrem niczym chmury, czy może żyją w zaświatach. Eglaf nie mógł pójść do Walhalli, nie zginął w bitwie, a poza tym był chrześcijaninem, tak więc musiał pójść do nieba, przez co jeszcze bardziej mu współczuję. Chrześcijanie opowiadają, że po śmierci przez całą wieczność śpiewają hymny pochwalne dla swego ukrzyżowanego boga. Przez całą wieczność! Po wsze czasy! Jakiż bóg chce, by sławiono go po wsze czasy? To przypomniało mi o tanie Barwulfie, Sasie zachodnim, który opłacił czterech harfistów, by śpiewali pieśni o jego bojowych dokonaniach, nad wyraz marnych. Barwulf był grubą, samolubną, chciwą świnią, chciał jednak, by jego imię sławiono w pieśniach. Wyobrażałem sobie chrześcijańskiego boga jako spasionego, chmurnego tana, który siedzi zadumany w swej biesiadnej hali i słucha pachołków kadzących mu opowieściami o tym, jaki jest wielki.

– Zawracają! – zawołał mój syn, wrywając mnie z zamyślenia.

Gdy spojrzałem w lewo, zobaczyłem, że pierwsza łódź skręca w stronę kanału. Była to prosta droga, choć niedoświadczonego żeglarza mogły

zwieść silne przybrzeżne prądy pływowe, ten jednak miał dość wprawy, by spodziewać się niebezpieczeństwa, i pewną ręką wprowadził łódź do przesmyku.

– Policz ludzi na pokładzie – przykazałem Bergowi.

Zatrzymaliśmy konie na północnym brzegu kanału, gdzie piasek upstrzony był ciemnymi morszczykami, muszlami i zbieleńcami od słońca patykami.

– Co to za jedni? – zapytał Rorik. Był ledwie chłopcem, moim nowym sługą.

– Pewno Norwegowie – odparłem. – Jak ty.

Zabiłem ojca Rorika, a jego samego raniłem w paskudnej bitwie, dzięki której przegnaliśmy pogan z Mercji. Miałem wyrzuty sumienia, że zraniłem dziecko – Rorik miał ledwie dziewięć lat, kiedy wraziłem w niego Żądło Osy – i wiedziony poczuciem winy przygarnąłem go, tak jak lata temu Ragnar Starszy przygarnął mnie. Lewe ramię Rorika zagoiło się, choć nigdy nie będzie tak silne jak prawe, jednak chłopak był w stanie utrzymać tarczę i zdawał się szczęśliwy. Lubiałem go.

– Norwegowie! – powtórzył radośnie.

– Tak sędzę – przyznałem.

Nie miałem pewności, ale było w tych łodziach coś, co sugerowało, że nie należą do Duńczyków. Zatknięte na dziobnicach głowy bestii były bardziej okazałe, a krótkie maszty znajdowały się bliżej rufy niż te, które widywałem na duńskich łodziach.

– Nie wchodź za daleko! – krzyknąłem do Berga. Jego koń stał po pęczyny w skłębionych płyciznach.

Wody przypiływu przelewały się przez kanał, wiatr smagał spienione białą fale, ja jednak patrzyłem na drugi brzeg oddalony o pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt jardów. Był tam wąski pas piasku, który niebawem miał

zniknąć pod wodą, i ciemne skały sięgające wysokiego muru. Ów kamienny mur, jak wiele innych rzeczy w Bebbanburgu, wzniesiono po śmierci mojego ojca, a w samym jego środku znajdowała się Morska Brama. Lata temu mój stryj w obawie, że go najadę, zapieczętował zarówno Niską, jak i Wysoką Bramę, razem tworzące główne wejście do fortecy, i wybudował Morską Bramę, do której można było dostać się jedynie na łodzi albo ścieżką biegnącą wzdłuż plaży, pod wałami od strony morza. Z czasem jego obawy osłabły, a ponieważ zaopatrywanie Bebbanburga przez Morską Bramę było równie niedogodne co czasochłonne, ponownie otworzył dwie południowe bramy. Za Morską Bramą stroma ścieżka pięła się ku kolejnej furcie umieszczonej w drewnianej palisadzie otaczającej długi skalny szczyt, na którym zbudowano Bebbanburg.

Na platformie za ostrokołem gromadzili się ludzie. Machali, jednak nie do nas, lecz do nadpływających łodzi, i zdawało mi się, że słyszę, jak wiwatują, choć może słuch mnie zwodził.

Wzrok mnie jednak nie mylił, gdy zobaczyłem włócznię ciśniętą przez jednego z mężczyzn stojących na palisadzie. Patrzyłem, jak leci – ciemny kształt na tle zaciągniętego chmurami nieba. Na krótką chwilę zawisła w powietrzu i niczym pikujący sokół runęła w dół, by utkwić w płyciźnie, cztery albo pięć kroków od konia, którego dosiadał Berg.

– Weź ją – nakazałem Bergowi.

Teraz wyraźnie słyszałem niosące się od strony wałów gwizdy i śmiech. Włócznia nie trafiła wprawdzie do celu, ale sam rzut zasługiwał na uznanie. Za nią nadleciały dwie kolejne, które z chlupotem utkwily w samym środku kanału. Chwilę później Rorik podał mi pierwszą z nich.

– Trzymaj ostrze nisko – powiedziałem.

– Nisko?

– Blisko ziemi. – Zsiadłem z konia, podciągnąłem ciężką kolczugę, rozsznurowałem portki i ustawiłem się, jak należy. – Nie ruszaj – przykazałem Rorikowi, a kiedy miałem pewność, że ludzie na dziobie pierwszego statku widzą wszystko jak na dłoni, naszczałem na grot. Mój syn zachichotał, a Rorik parsknął śmiechem. – A teraz daj mi ją – zwróciłem się do chłopaka i wyjąłem mu z dłoni jesionowe drzewce. Czekałem. Pierwsza łódź wpływała właśnie do kanału, fale rozbijały się o kadłub, a wioślarze napierali na wiosła. Osadzony na dziobnicy smoczy łeb z otwartą paszczą i gniewnym spojrzeniem wznosił się nad spienioną wodą. Zadanie nie było proste, a silny wiatr jeszcze bardziej je utrudniał, podobnie jak niedźwiedzia skóra, która ciążyła mi na ramionach, nie miałem jednak czasu mocować się z jej klamrami. – To klątwa Odyna! – wrzasnąłem w stronę łodzi.

Po tych słowach cisnąłem włócznią.

Dwadzieścia kroków.

Oszczane ostrze wbiło się dokładnie tam, gdzie chciałem. Utkwiło w oku smoka, a drzewce kołysały się, gdy łódź przepływała obok nas niesiona przypiływem ku spokojniejszym wodom płytkiej przystani, osłoniętej od wzburzonego morza skałą, na której stała forteca.

Moja forteca. Bebbanburg.

Bebbanburg.

Od dnia, w którym mi go skradziono, marzyłem o odzyskaniu Bebbanburga. Mój stryj był złodziejem, a teraz wielkim fortem władał jego syn, który miał czelność nazywać siebie Uhtredem. Mówiono, że fortecę można zdobyć jedynie poprzez zdradę albo morząc jej mieszkańców głodem. Była ogromna, zbudowano ją na wielkiej skale, która mogłaby

uchodzić za wyspę, z lądu prowadził do niej jeden wąski trakt. I należała do mnie.

Raz byłem bliski odzyskania fortecy. Przeprowadziłem swoich ludzi przez Niską Bramę, ale wieże Wysokiej Bramy zostały zamknięte w ostatniej chwili, i tak potężny fort nad brzegiem wzburzonego morza nadal znajdował się w rękach mojego kuzyna. Nad twierdzą powiewał jego sztandar z głową wilka, a jego ludzie szydzili z nas, kiedy odjeżdżaliśmy, podczas gdy cztery łodzie wpływały do kanału, by szukać schronienia w płytkiej przystani.

– Stu pięćdziesięciu ludzi – rzekł Berg i dodał: – Tak sędę.

– A wśród nich kobiety i dzieci – zauważył mój syn.

– A to znaczy, że przybyli, żeby tu zostać – mruknąłem. – Kimkolwiek są.

Minęliśmy północny skraj przystani, gdzie plażę spowijał dym z ognisk, na których podwładni mojego kuzyna wędzili śledzie i gotowali morską wodę, by otrzymać sól. Ludzie ci kulili się teraz w chatynkach pobudowanych na brzegu od strony lądu. Obawiali się nas i nowo przybyłych łodzi, których załogi zrzucały kamienie kotwiczne pośród kołysanych wiatrem łódek rybackich. W jednej z krytych darni chat rozszczękał się pies, zaraz jednak został uciszony. Pognałem konia między dwiema chatkami i dalej w górę wznoszącego się za nimi wzgórza. Kozy rozbiegły się na nasz widok, a pasterka, mała dziewczynka, ledwie pięcioletnia, pisnęła i ukryła twarz w dłoniach. Zatrzymałem się na szczycie niskiego wzgórza i patrzyłem, jak załogi czterech łodzi schodzą z pokładów, niosąc na ramionach ciężkie toboły.

– Moglibyśmy ich wyrznać, kiedy wyjdą na brzeg – zaproponował mój syn.

– Teraz nie możemy – stwierdziłem i wskazałem na Niską Bramę grodzącą wąski przesmyk prowadzący do fortu.

Zza zdobionego czaszkami łuku bramnego wysypali się konni, którzy galopowali w stronę przystani.

Berg zachichotał i wycelował palec w najbliższy statek.

– Twoja włócznia, panie, nadal tam jest!

– To był nader fortunny rzut – orzekł mój syn.

– Nieprawda – odparł z dezaprobatą Berg. – Sam Odyn poprowadził włócznię do celu. – Był pobożnym młodzieńcem.

Konni, miast powieść nowo przybyłych do twierdzy na skale, kierowali ich ku skupisku marnych chatynek. Załogi statków porzuciły toboły na brzegu i poczęły znosić na plażę pęki włóczni, stosy tarcz, toporów i mieczy. Kobiety wynosiły na brzeg dzieci. Słyszeliśmy niesione wiatrem głosy i śmiech. Nowo przybyli najwyraźniej zamierzali tu pozostać i na znak, że ziemia należy teraz do nich, jeden z mężczyzn umieścił na kamienistej plaży targaną wiatrem szarą flagę.

– Widzicie, co na niej jest? – zapytałem.

– Smocza głowa – stwierdził Berg.

– Kto ma sztandar z głową smoka? – dopytywał mój syn.

Wzruszyłem ramionami.

– Nikt, kogo bym znał.

– Chciałbym zobaczyć smoka – rzekł tęsknie Berg.

– To byłaby ostatnia rzecz, jaką byś zobaczył – zauważył mój syn.

Nie wiem, czy istnieją smoki. Nigdy żadnego nie widziałem. Ojciec mawiał, że mieszkają na wzgórzach i żywią się bydłem i owcami, ale Beocca, który był jednym z księży w służbie mojego ojca i który nauczał

mnie w dzieciństwie, twierdził, że wszystkie smoki śpią głęboko pod ziemią.

– To diabelskie stworzenia – mówił. – Chowają się głęboko w ziemi, czekając na koniec świata. A kiedy niebiański róg ogłosi powrót Chrystusa, wypadną na świat niczym demony! Będą walczyć! Ich skrzydła przesłonią słońce, ich oddech spopieli ziemię, a sprawiedliwi spłoną w ich ogniu!

– Czyli wszyscy umrzemy?

– Nie, nie, nie! Staniemy z nimi do walki!

– Ale jak walczyć ze smokiem? – pytałem go.

– Modlitwą, chłopcze, modlitwą.

– Czyli wszyscy umrzemy – odparłem, na co on zdzielił mnie w głowę.

A teraz smocze nasienie przybyło do Bebbanburga na czterech łodziach. Mój kuzyn wiedział, że został zaatakowany. Przez lata siedział bezpieczny, ukrywając się za murami niezdobytej twierdzy i za plecami królów Northumbrii. Królowie ci byli moimi wrogami. Żeby zaatakować Bebbanburg, musiałem mieczem wyrąbywać sobie drogę przez Northumbrię i pokonać armie Duńczyków i Norwegów, którzy zgromadzili się, by strzec swoich ziem. Lecz teraz królem Eoferwicu był mój zięć, moja córka była jego królową, a poganie z Northumbrii byli moimi przyjaciółmi, tak więc mogłem spokojnie jechać od mercyjskiej granicy aż do murów Bebbanburga. Od miesiąca korzystałem z tej swobody, jeździłem po pastwiskach należących do mojego kuzyna, plądrowałem jego osady, zabijałem zaprzysiężonych mu ludzi, kradłem jego bydło i paradowałem pod murami Bebbanburga. Mój kuzyn nie wyjechał, by stanąć ze mną twarzą w twarz. Wolał kryć się za umocnieniami, a teraz powiększał swoją armię. Ludzie, którzy wynieśli na brzeg swoje tarcze i broń, musieli zostać najęci do obrony Bebbanburga. Słyszałem pogłoski, że mój kuzyn był

gotów zapłacić im w złocie, my zaś wypatrywaliśmy ich przybycia. I oto przybyli.

– Jest nas więcej – zauważył mój syn.

Na wzgórzach na zachodzie miałem blisko dwustu ludzi, gdyby więc doszło do walki, mielibyśmy przewagę nad nowo przybyłymi, ale nie w sytuacji, gdyby mój kuzyn posłał przeciwko nam wojowników stacjonujących wewnątrz twierdzy. Dowodził teraz ponad czterema setkami włóczników i życie w istocie stało się trudniejsze.

– Wyjdziemy im na spotkanie – stwierdziłem.

– Jak to? – zdumiał się Berg. Tego dnia było nas ledwie sześćdziesięciu, mniej niż połowa wrogiego oddziału.

– Powinniśmy wiedzieć, co to za jedni – odparłem. – Zanim ich zabijemy. Tak nakazuje uprzejmość. – Wskazałem na wykoślawione przez wiatr drzewo. – Roriku! – krzyknąłem na służącego. – Odrąb gałąź tego grabu i trzymaj nad głową jak sztandar. – Podniosłem głos, tak by wszyscy moi ludzie mnie usłyszeli. – Odwróćcie tarcze dołem do góry!

Zaczekałem, aż Rorik zacznie wymachiwać sękatą gałęzią niczym symbolem pojednania, a moi ludzie niezdarnie obróć tarcze z namalowanymi na nich wilczymi łbami, i dopiero powiodłem Tintrega, swojego karego wierzchowca, w dół zbocza. Nie jechaliśmy szybko. Chciałem, by nowo przybyli wiedzieli, że mamy pokojowe zamiary.

Gdy nas zobaczyli, wyszli nam na spotkanie. Tuzin mężczyzn eskortowanych przez konnych mojego kuzyna wyległ na pastwisko, na którym kozy wieśniaków skubały osty. Na czele jeźdźców jechał Waldhere, człowiek, który dowodził oddziałami stacjonującymi za murami twierdzy i którego poznałem ledwie dwa tygodnie temu. Przybył do mojego obozu na wzgórzach z garstką zbrojnych, gałązką symbolizującą rozejm i zuchwałym żądaniem, byśmy opuścili ziemie mojego kuzyna, nim

zostaniemy zabici. Wzgardziłem jego propozycją i zlekceważyłem Waldhere'a, wiedziałem jednak, że jest niebezpiecznym, doświadczonym wojownikiem, zaprawionym w licznych bojach przeciwko bandom Szkotów. On również był odziany w pelerynę ze skóry niedźwiedzia, a na lewym biodrze miał zawieszony ciężki miecz. Jego płaską twarz okalał żelazny hełm zwieńczony orlim szponem. Krótką brodę miał siwą, oczy posępne, a jego usta przywodziły na myśl szerokie cięcie, jakby nigdy się nie uśmiechał. Na tarczy, podobnie jak ja, miał wymalowany łeb szarego wilka. Był to symbol Bebbanburga, którego nigdy nie porzuciłem. Waldhere uniósł dłoń odzianą w rękawicę, by zatrzymać jadących za nim mężczyzn, a sam podjechał ku mnie.

– Przybyłeś się poddać? – zapytał.

– Zapomniałem, jak cię zwa – odparłem.

– Większość ludzi sra dupą – warknął – a ty robisz to gębą.

– Ty zaś wyszedłeś na świat z matczynego tyłka – odgryzłem się – i nadal cuchniesz jej gównem.

Taka wymiana zniewag nie była niczym nowym. Człowiek stający naprzeciw wroga musi obrzucić go obelgami. Lżymy się nawzajem, a potem walczymy, choć wątpiłem, by któryś z nas dobył dziś miecza. Wciąż jednak musieliśmy udawać.

– Dwie minuty – zagroził Waldhere – potem was zaatakujemy.

– Przecież przybywamy w pokoju. – Mówiąc to, wskazałem gałąź.

– Policzę do dwustu – odparł Waldhere.

– Jak, skoro masz tylko dziesięć palców? – zakpił mój syn, na co moi ludzie parsknęli śmiechem.

– Kiedy doliczę do dwustu – warknął Waldhere – wetknę ci tę twoją gałąź głęboko do dupy.

– A ty coś za jeden? – zwróciłem się do mężczyzny, który wszedł na wzgórze, by dołączyć do Waldhere'a. Był wysoki i blady, z gęstą czupryną żółtych włosów, które zaczesane do tyłu opadały mu na plecy. Strój miał bogaty, jego szyję zdobił gruby złoty łańcuch, a ramiona złote bransolety. Klamra jego pasa również była ze złota, podobnie jak jelec miecza, który nosił u pasa. Zgadywałem, że liczy sobie około trzydziestu wiosen. Był barczysty, miał pociągłą twarz, jasne oczy i wytatuowane na policzkach smocze łby. – Zdradź mi swoje imię – zażądałem.

– Nie odpowiadaj! – warknął Waldhere. Posługiwał się mową Anglów, choć zadałem pytanie w języku Duńczyków.

– Bergu – rzekłem, nie odrywając oczu od nowo przybyłego – jeśli ten gównojad jeszcze raz wejdzie mi w słowo, uznam, że złamał rozejm, i będziesz mógł go zabić.

– Tak, panie.

Waldhere nachmurzył się, ale nic nie odrzekł. Było nas więcej, jednak z każdą chwilą na pastwisko ściągali kolejni przybysze uzbrojeni w tarcze i różną broń i wiedziałem, że niebawem to oni będą mieli przewagę liczebną.

– A więc coś ty za jeden? – spytałem ponownie.

– Jestem Einar Egilson – odparł z dumą. – Zwą mnie Einarem Białym.

– Jesteś Norwegiem?

– Tak.

– Ja jestem Uhtred z Bebbanburga – rzekłem. – I mam wiele imion. Ale najbardziej dumny jestem z Uhtredaerwe, co znaczy Uhtred Niegodziwy.

– Słyszałem o tobie – powiedział.

– Ty słyszałeś o mnie, ale ja nie słyszałem o tobie! Dlatego przybyłeś? Myślisz, że rozsławisz swoje imię, jeśli mnie zabijesz?

– Nie inaczej – przyznał.

– A jeśli to ja zabiję ciebie, Einarze Egilsonie, czy przyda mi to sławy? – Pokręciłem głową, sam odpowiadając sobie na to pytanie. – Kto będzie po tobie płakał? Kto będzie o tobie pamiętał? – Splunąłem w stronę Waldhere’a. – Ci ludzie zapłacili ci w złocie, żebyś mnie zabił. Wiesz dlaczego?

– Powiedz mi – odrzekł.

– Bo próbują mnie zabić, odkąd byłem małym chłopcem, i wciąż zawodzą. Wiecznie zawodzą. A wiesz, czemu tak się dzieje?

– Powiedz mi – powtórzył.

– Bo ciąży na nich klątwa – odparłem. – Bo czczą ukrzyżowanego boga chrześcijan, a on ich nie ochroni. Pogardzają naszymi bogami. – Dostrzegłem kościany młot, który Einar nosił na szyi. – Ale dawno temu, Einarze Egilsonie, obłożyłem ich klątwą Odyna i sprowadziłem na nich gniew Thora. A ty przyjmiesz ich splugawione złoto?

– Złoto to złoto – skwitował Einar.

– Teraz rzuciłem tę samą klątwę na twoją łódź – rzekłem.

Pokiwał głową i dotknął białego młota, ale nic nie powiedział.

– Zabiję cię – ciągnąłem – albo dołączysz do nas. Nie będę próbował przekupić cię złotem, ale zaproponuję ci coś lepszego. Twoje życie. Walcz dla niego – strzyknąłem śliną w stronę Waldhere’a – a zginiesz. Walcz dla mnie, a będziesz żył.

Einar milczał, wpatrując się we mnie z powagą. Nie byłem pewien, czy Waldhere rozumiał, o czym rozprawiamy, ale i nie musiał. Dobrze wiedział, że mówimy źle o jego panu.

– Dość! – warknął.

– Cała Northumbria nienawidzi tych ludzi. – Puściłem mimo uszu słowa Waldhere’a i nadal przemawiałem do Einara: – A ty chcesz z nimi zginąć? Jeśli tak, to wiedz, że weźmiemy złoto, które jest złotem i które nie będzie

twoje. Będzie należeć do mnie. – Spojrzałem na Waldhere'a. – Skończyłeś liczyć?

Nie odpowiedział. Miał nadzieję, że dołączy do niego więcej ludzi, dość, by nas pokonać, ale nasze siły były wyrównane, nie chciał więc wszczynać walki, nie będąc pewny zwycięstwa.

– Zmów modlitwy – zwróciłem się do niego – bo bliski jest dzień twojej śmierci. – Odgryzłem kawałek paznokcia i pstryknięciem posłałem go w jego stronę. Waldhere uczynił znak krzyża, podczas gdy Einar wyglądał na zmartwionego. – Jeśli macie odwagę – ciągnąłem – będę czekał na was jutro w Aetgefrin.

Kolejny raz pstryknąłem paznokciem na znak, że klątwa została rzucona, i wraz ze swoimi ludźmi odjechałem na zachód.

Gdy człowiek nie może walczyć, powinien rzucać klątwy. Bogowie lubią wiedzieć, że są potrzebni.

Jechaliśmy na zachód w zapadającym zmierzchu. Niebo było zaciągnięte chmurami, a ziemia mokra od deszczu. Nie spieszyliśmy się. Wiedziałem, że Waldhere nie ruszy naszym śladem, a wątpiłem, by mój kuzyn przystał na bitwę pod Aetgefrin. Pomyślałem, że będzie walczył, teraz, kiedy do jego drużynników dołączyli zaprawieni w bojach wojowie Einara, ale sam wybierze miejsce potyczki.

Podążaliśmy doliną, która powoli pięła się ku wyższym wzgórzom. Był to bogaty kraj, kraj pasterzy i owiec, lecz teraz pastwiska opustoszały. Nieliczne osady, które mijaliśmy po drodze, były ciemne, a z nad dymników nie unosiły się smużki dymu. Złupiliśmy tę ziemię. Prowadziłem swą niewielką armię na północ i miesiącami nękałymi podwładnych mojego kuzyna. Rozpędzaliśmy stada, kradliśmy bydło, paliliśmy spichlerze i łodzie rybackie zacumowane w niewielkich przystaniach na północ i na

południe od fortecy. Nie zabijaliśmy ludzi, z wyjątkiem tych, którzy nosili na piersi herb mojego kuzyna, a także nielicznych, którzy stawiali opór, i nie braliśmy niewolnych. Okazywaliśmy litość, albowiem pewnego dnia ludzie ci będą moimi podwładnymi. Zamiast tego wysyłaliśmy ich, by szukali schronienia w Bebbanburgu, gdzie mój kuzyn będzie musiał ich wykarmić, chociaż okradaliśmy go z plonów, które wydała jego ziemia.

– Einar Biały? – zapytał mój syn.

– W życiu o nim nie słyszałem – odparłem.

– Ja słyszałem o Einarze – wtrącił Berg. – To Norweg, który podążył za Grimdahlem, gdy ten wypłynął na rzeki białej ziemi.

Biała ziemia była rozległą krainą, leżącą gdzieś za ojczyzną Duńczyków i Norwegów, krainą długich zim, białych drzew, białych równin i ciemnego nieba. Mówiono, że żyją tam olbrzymy i porośnięci futrem ludzie o szponach, które mogą rozerwać człowieka od pępka aż po szyję.

– Biała ziemia – powtórzył mój syn. – Dlatego zwą go Białym?

– Dlatego że spuszcza ze swoich wrogów całą krew – wyjaśnił Berg.

Słyszając to, prychnąłem kpiarsko, ale i tak dotknąłem młota zawieszzonego na szyi.

– Dobry jest? – dopytywał mój syn.

– To Norweg – odparł z dumą Berg – więc oczywiście, że jest wielkim wojownikiem! – Urwał. – Ale słyszałem, że ma też inny przydomek.

– Jaki?

– Podobno zwą go Einarem Pechowym.

– Pechowym? – zapytałem.

Berg wzruszył ramionami.

– Jego statki osiadają na mieliznach, a żony umierają. – Dotknął zawieszonoego na szyi młota, by uchronić się od wspomnianych nieszczęść. – Ale słynie też z tego, że wygrywa bitwy!

Pechowy czy nie – pomyślałem – jego stu pięćdziesięciu wojowników z Północy stanowiło znaczne wsparcie dla obrońców Bebbanburga, tak znaczne, że mój kuzyn nie chciał wpuścić ich za mury fortecy w obawie, że zwrócą się przeciwko niemu i ogłoszą się nowymi panami Bebbanburga. Miał tego zakwaterował ich w wiosce i nie wątpiłem, że wkrótce ofiaruje im konie i pośle ich, by nękali moich ludzi. Wojownicy Einara nie przybyli tu, by bronić bram Bebbanburga, lecz po to, by trzymać moje oddziały z dala od twierdzy.

– Wkrótce się zjawią – mruknąłem.

– Kto?

– Waldhere i Einar – odparłem. – Może nie jutro, ale niebawem.

Mój kuzyn chciał zakończyć to najszybciej jak się da. Pragnął mojej śmierci. Złoto, którym obwieszony był Einar, świadczyło o tym, ile mój kuzyn zapłacił, by sprowadzić tu wojowników, którzy mieli mnie zabić, a im dłużej tu zabawią, tym więcej będą go kosztować. Jeśli nie przybędą jutro – pomyślałem – to najdalej w ciągu tygodnia.

– Tam, panie! – zawołał Berg, wskazując na północ.

Na północnym wzgórzu dostrzegłem samotnego jeźdźca.

Stał bez ruchu z włócznią, której ostrze skierowane było w dół. Obserwował nas przez chwilę, po czym zawrócił konia i zniknął za odległym szczytem.

– Dziś to już trzeci – zauważył mój syn.

– Wczoraj widzieliśmy dwóch – rzekł Rorik.

– Powinniśmy zabić jednego czy dwóch – rzucił mściwie Berg.

– Po co? – spytałem. – Chcę, żeby mój kuzyn wiedział, gdzie jesteśmy. Chcę, by wszedł prosto na nasze włości.

Konni byli zwiadowcami i zgadywałem, że mój kuzyn posyłał ich, żeby mieli nas na oku. Musiałem przyznać, że są naprawdę dobrzy. Od kilku dni formowali wokół nas luźny kordon, który choć przez większość czasu pozostawał niewidoczny, nie pozwalał o sobie zapomnieć. Ostatni raz tego dnia zobaczyłem konnego, gdy słońce staczało się za wzgórze na zachodzie. Czerwone jak krew promienie odbiły się od ostrza włócznie, a zaraz potem jeździec zniknął pośród cieni w drodze do Bebbanburga.

– Dwadzieścia sześć sztuk bydła i cztery konie – oświadczył Finan. Podczas gdy ja szydziłem z kuzyna, podjeżdżając pod bramy fortu, Finan grabił i łupił ziemie na południe od Aetgefrin. Żywy inwentarz pędzono drogą dla bydła do Dunholmu. – Zajęli się nimi Erlig i czterech ludzi – oświadczył. – Na południu widzieliśmy kilku zwiadowców.

– My widzieliśmy ich na północy i na wschodzie – odparłem. – Dobrzy są – dodałem niechętnie.

– A teraz ma dodatkowych stu pięćdziesięciu ludzi? – spytał z powątpiewaniem Finan.

Przytaknąłem.

– Norwegów, najemnych włócznie dowodzonych przez niejakiego Einara Białego.

– Jeszcze jeden do zabicia – burknął Finan. Był Irlandczykiem, moim starym druhem, zastępcą i człowiekiem, z którym stałem ramię w ramię w niezliczonych murach tarcz. Włosy miał teraz siwe, a twarz pobrużdżoną, ale ja pewnie wyglądałem podobnie.

Starzałem się i chciałem umrzeć spokojną śmiercią w fortecy, która należała do mnie na mocy prawa.

Zgadywałem, że będę potrzebował roku, żeby odbić Bebbanburg. Przez lato, jesień i zimę zniszczę ich zasoby żywności, zabijając albo kradnąc bydło i owce wypasające się na rozległych pastwiskach i zielonych wzgórzach. Niszczyłem spichlerze, paliłem stogi siana i posyłałem statki, by niszczyły łodzie rybackie należące do mojego kuzyna. Zmuszałem przerażonych wieśniaków, by szukali schronienia za murami fortecy, tak by miał mało jedzenia, a dużo gęb do wyżywienia. Do wiosny zaczną głodować, a głodujący ludzie są słabi. Umyśliłem więc, że kiedy zaczną jeść szczury, zaatakujemy.

Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Czynimy plany, lecz o naszym losie decydują bogowie i trzy Norny przędące u stóp Yggdrasilu. Zamierzałem osłabić, zagłodzić, a na koniec zabić swojego kuzyna i jego ludzi, lecz *wyrd bið ful ãræd*.

Powinienem był o tym pamiętać.

Przeznaczenie jest wszystkim. Miałem nadzieję zwabić kuzyna do doliny na wschód od Aetgefrin i sprawić, by dwa tamtejsze strumienie spłynęły krwią jego i jego ludzi. W Aetgefrin nie było się gdzie schować. Ów fort na szczycie wzgórza zbudowali pradawni ludzie, którzy zamieszkiwali Brytanię na długo przed przybyciem Rzymian. Jego usypane z ziemi wały dawno poszły w rozsypkę, ale płytki rów nadal okalał wysoki szczyt. Nie było tu osady, domów ani nawet drzew, tylko smagane wiatrem garbate wzgórze – kiepskie miejsce na obozowisko. Nie było tu drewna, a najbliższy strumień znajdował się pół mili dalej, ale mieliśmy stąd doskonały widok. Nikt nie mógł zakraść się tu niezauważony, a gdyby mój kuzyn wysłał przeciwko nam swoich ludzi, zobaczylibyśmy ich z daleka i zajęlibyśmy dogodne miejsca.

On jednak się nie pojawił. Zamiast tego trzy dni po tym, jak spotkałem się z Waldhere'em, ujrzeliśmy nadjeżdżającego od południa samotnego jeźdźca. Był to mały człowieczek na równie małym koniu, odziany w czarną szatę, która łopotała na wiejącym od morza silnym, lodowatym wietrze. Człowieczek podniósł na nas wzrok i wbił pięty w boki konika, zmuszając go do wspinaczki pod górę.

– To ksiądz – rzucił gorzko Finan – a to znaczy, że chcą gadać, nie walczyć.

– Myślisz, że wysłał go mój kuzyn? – spytałem.

– A któż by inny?

– Czemu więc jedzie od południa?

– To ksiądz. Gdyby nim zakręcić, nie umiałby znaleźć własnego tyłka.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu zwiadowców, ale nikogo nie zobaczyłem. Od dwóch dni nie widzieliśmy żadnego. Ich nieobecność coraz bardziej utwierdzała mnie w przekonaniu, że mój kuzyn coś knuje, dlatego tego dnia udaliśmy się do Bebbanburga, żeby zobaczyć, co takiego zamyśla. Ludzie Einara budowali nową palisadę w poprzek piaszczystego przesmyku prowadzącego do skały, na której stała forteca. Ostrokół miał chronić Norwegów i stanowił nowy zewnętrzny mur. Mój kuzyn nie wpuścił ich do twierdzy, wznosili więc umocnienia, które będziemy zmuszeni sforsować, nim utworzymy sobie drogę do Niskiej Bramy.

– Łajdak zapadł się pod ziemię – warknął Finan. – Nie zamierza walczyć na odkrytym terenie. Chce, byśmy zginęli pod murami twierdzy.

– Trzema murami – zauważyłem ponuro.

By zdobyć Bebbanburg, musieliśmy przedrzeć się przez nową palisadę, sforsować umocnienia Niskiej Bramy, a i tak mielibyśmy przed sobą kolejny mur z Wysoką Bramą.

Jednak to nie był koniec złych wieści. Na widok dwóch nowych łodzi zacumowanych w przystani poczułem, że opuszcza mnie nadzieja. Jedna z nich była łodzią bojową, mniejszą niż cztery, których przybycie obserwowaliśmy, ale na niej również powiewał sztandar Einara z namalowaną smoczą głową. Obok niej kołysała się na wodzie pękata łódź handlowa. Ludzie, uwijając się, znosili na brzeg beczki, brodzili w płytkiej wodzie i składowali zapasy na plaży nieopodal Niskiej Bramy.

– Einar przywiózł mu jedzenie – rzuciłem posępnie. Finan milczał. Dobrze wiedział, co czuję: rozpacz. Mój kuzyn miał obecnie więcej ludzi i niewielką flotę, która zaopatrywała go w żywność. – Teraz nie wezmę ich głodem – dodałem. – Nie, kiedy są tu ci dranie.

Tymczasem późnym popołudniem pod gorejącym czerwienią niebem jechał ku nam klecha, najpewniej z chełpliwą wiadomością od mojego kuzyna. Był teraz na tyle blisko, że widziałem jego długie czarne włosy, których tłuste kosmyki opadały po obu stronach bladej, przerażonej twarzy wpatrzonej ku usypanym z ziemi wałom. Pozdrowił nas machnięciem ręki, oczekując, że uczynimy to samo, zapewniając go, że jest tu mile widziany, jednak żaden z moich ludzi nie odwzajemnił gestu. W milczeniu patrzyliśmy, jak jego cherlawy wałach kończy wspinaczkę i przestępuje nad darniowym wałem. Klecha zsiadł z konia i zachwiał się na nogach. Rozejrzał się dookoła i zadrzał na widok tego, co zobaczył. Moich ludzi. Odzianych w kolczugi i skóry, zaprawionych w bojach, zbrojnych w miecze wojowników. Nikt się nie odzywał, wszyscy czekaliśmy, aż wyjaśni nam, co tu robi. W końcu zatrzymał na mnie wzrok i zobaczywszy złoto na mojej szyi i przedramionach, podszedł do mnie i padł na kolana.

– Tyś jest lord Uhtred?

– To ja.

– Nazywam się Eadig, ojciec Eadig. Szukałem cię, panie.

– Mówiłem Waldhere’owi, gdzie może mnie znaleźć – odparłem szorstko.

Eadig spojrzał na mnie zdezorientowany.

– Waldhere’owi, panie?

– Jesteś z Bebbanburga?

– Bebbanburga? – Pokręcił głową. – Nie, panie, przybywamy z Eoferwicu.

– Eoferwicu! – Nie byłem w stanie ukryć zdumienia. – My? Ilu was jest? – Spojrzałem na południe, lecz nie zobaczyłem żadnych jeźdźców.

– Wyruszyliśmy z Eoferwicu w pięciu, panie, lecz zostaliśmy zaatakowani.

– I ty jeden uszedłeś z życiem? – spytał oskarżycielsko Finan.

– Pozostali odciągnęli napastników, panie. – Ojciec Eadig zwracał się do mnie, nie do Finana. – Chcieli, bym cię odnalazł. Wiedzieli, że to ważne.

– Kto cię przysyła? – zażądałem odpowiedzi.

– Król Sigtryggr, panie.

Poczułem, jak krew uderza mi do głowy. Przez chwilę nie śmiałem się odezwać, obawiając się tego, co zaraz usłyszę.

– Sigtryggr – rzekłem w końcu, zastanawiając się, jakież to kryzys spowodował, że mój zięć pchnął do mnie posłańca. Obawiałem się o swoją córkę. – Stiorra zaniemogła? – spytałem. – Któreś z dzieci?

– Nie, panie, królowa i dzieci mają się dobrze.

– Więc...?

– Król domaga się twego powrotu, panie – wydusił w końcu klecha, sięgając po ukryty w fałdach szaty pergamin. Podał go mi.

Wyjąłem zwój z jego dłoni, lecz go nie rozwinąłem.

– Dlaczego?

– Sasi zaatakowali, panie. W Northumbrii wybuchła wojna. – Wciąż klęczał, zadzierając głowę. – Król potrzebuje twoich ludzi, panie. I ciebie.

Zakląłem. A zatem Bebbanburg będzie musiał poczekać. My zaś mieliśmy wyruszyć na południe.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wyruszyliśmy nazajutrz rano. Prowadziłem stu dziewięćdziesięciu czterech zbrojnych, a także dwudziestu chłopców, którzy byli u mnie na służbie, i razem jechaliśmy na południe w deszczu i wietrze pod chmurami tak ciemnymi jak szata ojca Eadiga.

– Czemu mój zięć wysłał księdza? – zapytałem go. Sigtryggr, podobnie jak ja, czcił dawnych bogów, prawdziwych bogów Asgardu.

– Jesteśmy jego skrybami, panie.

– My?

– My, księża, panie. Jest nas sześciu. Służymy królowi Sigtryggrowi, spisując jego prawa i świadectwa. Głównie dlatego... – zawiesił głos – że potrafimy czytać i pisać.

– A większość pogan tego nie potrafi? – spytałem.

– Tak, panie. – Oblał się rumieńcem. Wiedział, że ci, którzy czcili dawnych bogów, nie lubili, gdy nazywano ich poganami, i dlatego się zawahał.

– Możesz nazywać mnie poganinem – odparłem. – Jestem z tego dumny.

– Tak, panie – rzekł niepewnie.

– W dodatku ten poganin umie czytać i pisać – dodałem. Nabyłem te umiejętności, albowiem wychowano mnie w wierze chrześcijańskiej, a chrześcijanie wielce sobie cenią sztukę pisania, która, jak mniemam, jest całkiem przydatna. Król Alfred utworzył w całym Wessexie szkoły,

w których księża zabawiali się z młodymi chłopcami, jeśli akurat nie zmuszali ich do uczenia się liter. Sigtryggr, ciekawy, w jaki sposób Sasi władali południową Brytanią, zapytał mnie raz, czy powinien uczynić to samo, na co odparłem, by uczył chłopców, jak rąbać mieczem, trzymać tarczę, prowadzić pług, jeździć konno i ćwiartować mięso. „Do tego nie potrzebujesz szkół” – powiedziałem.

– Posłał mnie, panie – ciągnął ojciec Eadig – bo wiedział, że będziesz miał pytania.

– Na które ty odpowiesz?

– Najlepiej jak potrafię, panie.

W spisanej na pergaminie wiadomości Sigtryggr informował jedynie, że siły Sasów zachodnich najechały południową Northumbrię i że potrzebuje mnie w Eoferwicu tak szybko, jak zdołam dotrzeć do miasta. Wiadomość opatrzone gryzmołami, które mogły wyjść spod ręki mojego zięcia, a także jego pieczęcią z odcisniętym w wosku toporem. Chrześcijanie twierdzą, że jedną z największych zalet pisania i czytania jest to, że możemy być pewni, iż wiadomość jest prawdziwa, podczas gdy sami bez ustanku fałszują dokumenty. Mnisi z klasztoru w Wiltunscirze potrafią skopiować dokumenty tak, że wyglądają, jak gdyby liczyły sobie dwieście–trzysta lat. Wyskrobują stare pergaminy, lecz dbają o to, by ich pierwotna treść była na tyle widoczna, żeby zapisane na starym inkauście nowe słowa były trudne do odczytania, i wycinają w wosku pieczęcie, a wszystkie sfalszowane dokumenty są dowodem na to, że jakiś dawny monarcha przyznał Kościołowi prawo do wyjątkowo żyznej ziemi lub dochody z myta. Następnie opaci i biskupi, którzy zapłacili mnichom za sfalszowane dokumenty, prowadzą ich do królewskiego sądu, by wysiudać jakąś rodzinę z jej ziemi po to, aby chrześcijanie mogli się wzbogacić. Jest więc chyba prawdą, że czytanie i pisanie to wielce przydatne umiejętności.

– Sasi zachodni? – spytałem ojca Eadiga. – Nie Mercjanie?

– Sasi zachodni, panie. Mają armię w Hornecastre, panie.

– Hornecastre? Gdzie to?

– Na wschód od Lindcolne, panie, nad rzeką Beiną.

– To ziemie Sigtryggra?

– Tak, panie. Granica jest niedaleko, ale ziemia należy do Northumbrii.

Nie słyszałem dotąd o Hornecastre, a to znaczyło, że była to miejscina bez znaczenia. Ważnymi miastami były te, które pobudowano przy rzymskich traktach, lub te, które ufortyfikowano i przekształcono w burhy, ale Hornecastre? Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi do głowy, to że było to dogodne miejsce na zgromadzenie sił przed atakiem na Lindcolne. Powiedziałem o tym ojczulkowi, który ochoczo pokiwał głową.

– Tak, panie. I jeśli króla nie będzie w Eoferwicu, proszę, byś dołączył do niego w Lindcolne.

Było to rozsądne posunięcie. Jeśli Sasi zachodni chcieli zająć Eoferwic, stolicę Sigtryggra, musieli kierować się na północ rzymskim traktem, a zanim w ogóle zbliżą się do Eoferwicu, przypuścić szturm na wysokie mury Lindcolne. Nie rozumiałem tylko, skąd ta wojna.

Nie rozumiałem, albowiem Sasi i Duńczycy zawarli traktat pokojowy. Sigtryggr, mój zięć i król Eoferwicu i Northumbrii, zawarł przymierze z rządzącą Mercją Aethelflaed i na znak pokoju poddał ziemię i burhy. Niektórzy pogardzali nim za to, lecz Northumbria była słaba, podczas gdy saskie królestwa Mercji i Wessexu stanowiły prawdziwą potęgę. Sigtryggr potrzebował czasu, ludzi i pieniędzy, jeśli chciał przeciwstawić się saskiemu natarciu, o którym wiedział, że nadciąga.

A nadciągało, gdyż marzenie króla Alfreda stawało się rzeczywistością. Jestem dość stary, by pamiętać czasy, gdy Duńczycy władali prawie całą dzisiejszą Anglią. Podbili Northumbrię, zajęli Anglię Wschodnią

i okupowali całą Mercję. Duńczyk Guthrum najechał Wessex, zmuszając Alfreda i garstkę towarzyszących mu ludzi do ucieczki na bagna Sumorsaete, jednak Alfred zwyciężył w bitwie pod Ethandun i od tego czasu Sasi nieustannie parli na północ. Dawne królestwo Mercji było teraz w rękach Sasów, a Edward z Wessexu, syn Alfreda i brat Aethelflaed z Mercji, podbił Anglię Wschodnią. Marzeniem Alfreda i jego pasją było zjednoczenie wszystkich ziem, na których posługiwano się saską mową, jednak z tych ziem ostała się tylko Northumbria. Władcy Northumbrii i Mercji zawarli wprawdzie traktat pokojowy, ale wszyscy wiedzieliśmy, że prędzej czy później Sasi zaatakują.

Rorik, chłopak, którego ojca zabiłem, przysłuchiwał się mojej rozmowie z Eadigiem.

– Panie, po czyjej stronie jesteśmy? – zapytał nerwowo.

Roześmiałem się. Urodziłem się Sasem, lecz wychowali mnie Duńczycy, moja córka poślubiła Norwega, mój najdroższy przyjaciel był Irlandczykiem, miałem saską kobietę, matka moich dzieci była Dunką, czciłem pogańskich bogów, lecz przysięgałem Aethelflaed, która była chrześcijanką. Po czyjej byłem więc stronie?

– Trzeba ci wiedzieć, chłopcze – warknął Finan – że strona, po której stoi lord Uhtred, zawsze zwycięża.

Ulewny deszcz zmienił ścieżkę, którą jechaliśmy, w błotnistą breję. Żeby go przekrzyczeć, musiałem podnosić głos.

– Mówiłeś, że Mercjanie nie zaatakowali? – zwróciłem się do Eadiga.

– Z tego, co nam wiadomo, panie.

– Tylko Sasi zachodni?

– Na to wygląda, panie.

Dziwne. Nim Sigtryggr zasiadł na tronie w Eoferwicu, próbowałem przekonać Aethelflaed do ataku na Northumbrię. Odmówiła, twierdząc, że

nie rozpęta wojny, jeśli nie wesprą jej w tym oddziały jej brata. Tymczasem Edward z Wessexu stanowczo ją od tego odwodził. Upierał się, że Northumbrię mogą podbić wyłącznie zjednoczone armie Wessexu i Mercji, teraz jednak zaatakował sam? Wiedziałem, że na zachodniosaskim dworze istnieje frakcja, której członkowie twierdzą, że Wessex jest w stanie podbić Northumbrię bez pomocy Mercji, ale Edward zawsze był ostrożny. Pragnął, by armia siostry wsparła jego siły. Ciągnąłem Eadiga za język, on jednak był pewien, że to nie Mercjanie zaatakowali.

– Przynajmniej kiedy opuszczałem Eoferwic, panie.

– To tylko plotki – rzucił pogardliwie Finan. – Kto wie, co się dzieje naprawdę? Kiedy dotrzemy na miejsce, okaże się, że to zwykła grabież była.

– Zwiadowcy – mruknął Rorik.

Myślałem, że chce powiedzieć, że ktoś wziął garstkę zachodniosaskich zwiadowców za najeźdźców, on jednak oglądał się za siebie, wskazując dwóch konnych, którzy obserwowali nas ze szczytu wzgórza. Byli niemal niewidoczni w strugach deszczu, ale nie dało się ich pomylić z nikim innym. Te same małe, szybkie koniki, te same długie włócznie. Na kilka dni straciliśmy ich z oczu, a jednak wrócili i podążali za nami.

Splunąłem.

– Teraz mój kuzyn wie, że wyjeżdżamy.

– Ucieszy się – rzucił Finan.

– Wyglądają jak ci, którzy zastawili na nas zasadzkę – rzekł ojciec Eadig, wyteżając oczy, i czym prędzej uczynił znak krzyża. – Było ich sześciu, mieli szybkie konie i nosili włócznie.

Sigtryggr wysłał księdza pod eskortą zbrojnych, którzy poświęcili życie, żeby Eadig zdołał uciec.

– To ludzie mojego kuzyna – zwróciłem się do niego – i jeśli ich pochwycimy, pozwolę ci ich zabić.

– Nie mógłbym tego zrobić!

– Nie chcesz się zemścić? – spytałem, ściągając brwi.

– Jestem księdzem, panie, nie umiem zabijać!

– Nauczę cię, jeśli chcesz – odparłem.

Wątpię, bym kiedykolwiek zrozumiał chrześcijaństwo. „Nie zabijaj!” – grzmią ich księża, a potem podbechtują wojowników do walki z poganami, a nawet z innymi chrześcijanami, jeśli dzięki temu mogą zdobyć ziemię, niewolnych czy srebro. Ojciec Beocca nauczył mnie dziesięciu przykazań ukrzyżowanego boga, ja jednak od dawna wiem, że główne przykazanie chrześcijan brzmi: „Uczynisz moich księży bogatymi”.

Przez dwa kolejne dni zwiadowcy podążali za nami na południe, aż wieczorem trzeciego dnia w strumieniach deszczu dotarliśmy do muru. Muru! W Brytanii jest wiele dziwów: pradawni ludzie zostawili po sobie tajemnicze kamienne kręgi, podczas gdy Rzymianie budowali świątynie, pałace i wielkie dworzyszczka. Jednak z nich wszystkich najbardziej zdumiewa mnie mur.

Wznieśli go – a jakże! – Rzymianie. Zbudowali mur, który przecinał Brytanię i Northumbrię i ciągnął się od rzeki Tine na wschodnim wybrzeżu Northumbrii aż do kumbryjskiego wybrzeża nad Morzem Irlandzkim. Mur ów kończył się nieopodal Cair Ligualid i choć ludzie używali kamieni z niego do budowy domostw, znaczna część się ostała. Nie był to zwykły mur, lecz masywny kamienny szaniec, wystarczająco szeroki, by dało się po nim przejść dwójkami. Przed murem znajdował się rów i wał ziemny, a za nim kolejny rów, a co kilka mil fort, taki jak ten, który nazwaliśmy Weallbyrig. Sznur fortów! Nigdy ich nie liczyłem, choć raz jechałem wzdłuż muru od morza do morza. Ach, cóż to były za forty! Miały

wieżyczki strażnicze, z których roztaczał się widok na północne wzgórza, zbiorniki na wodę, koszary, stajnie i spichlerze. A wszystko to z kamienia! Pamiętam, jak mój ojciec, marszcząc brwi, patrzył na mur, który wijąc się, schodził na dno doliny i piął się na wzgórze.

– Ilu niewolnych trzeba było, żeby to wybudować? – pytał i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Setek – odpowiadał mój starszy brat. Pół roku później już nie żył, ojciec nazwał mnie jego imieniem i uczynił dziedzicem Bebbanburga.

Mur wyznaczał południową granicę Bebbanburga i mój ojciec zawsze zostawiał w Weallbyrig garstkę zbrojnych, by pobierali opłaty od podróżnych korzystających z głównej drogi łączącej Szkocję z Londynem. Ludzie ci, rzecz jasna, odeszli dawno temu, przegnani, kiedy Duńczycy podbili Northumbrię podczas inwazji, która kosztowała mojego ojca życie, a mnie uczyniła sierotą o szlachetnym nazwisku, lecz bez ziemi. Bez ziemi, albowiem ukradł mi ją stryj.

– Jesteś panem niczego – zakpił ze mnie raz król Alfred – panem niczego i nikogo. Uhtredem bez Boga, Uhtredem bez ziemi i Uhtredem bez nadziei.

Oczywiście wtedy miał rację, ale teraz byłem Uhtredem, panem Dunholmu. Zająłem ten fort, kiedy pokonaliśmy Ragnalla i zabiliśmy Bridę. Była to wielka twierdza, prawie tak wielka jak Bebbanburg. Weallbyrig wyznaczał północną granicę ziemi Dunholmu i południowy skraj ziem należących do pana Bebbanburga. Jeśli fort miał inną nazwę, nie słyszeliśmy o niej, nazywaliśmy go Weallbyrig – „fortem w murze” – i został pobudowany w miejscu, gdzie wielki mur przecinał niskie wzniesienie. Upływający czas i ulewne deszcze sprawiły, że rowy nie były już takie głębokie, ale sam mur nadal był mocny. Budynki nie miały dachów, lecz uprzątnęliśmy trzy z nich i przynieśliśmy krokwie z lasów

nieopodal Dunholmu. Zrobiliśmy nowe dachy, które przykryliśmy darnią, a następnie urządziliśmy niewielką izdebkę na szczycie wieży chroniącej strażników przed wiatrem i deszczem, gdy ci patrzyli na północ.

Zawsze na północ. Często o tym myślałem. Nie wiem, ile lat upłynęło, odkąd Rzymianie opuścili Brytanię. Ojciec Beocca, mój nauczyciel z dzieciństwa, mówił, że przeszło pięćset, i może miał rację, lecz już wtedy strażnicy patrzyli na północ. Zawsze na północ, w stronę Szkotów, którzy musieli przysparzać im problemów, tak jak przysparzają ich nam. Pamiętam, jak mój ojciec ich przeklinał i jak jego księża modlili się do ukrzyżowanego boga, żeby ich ukarał, co nieodmiennie mnie dziwiło, Szkoci bowiem również byli chrześcijanami. Kiedy miałem osiem lat, ojciec pozwolił, bym razem z jego ludźmi ruszył na grabież bydła w głąb Szkocji. Pamiętam niewielką osadę w rozległej dolinie, gdzie kobiety i dzieci zgromadziły się w kościele.

– Zostawcie ich w spokoju – nakazał mój ojciec. – Mają schronienie!

– Ale to nasi wrogowie – oburzyłem się. – Nie chcemy niewolnych?

– To chrześcijanie – odparł szorstko.

I tak zagnaliśmy długowłose bydło, spaliliśmy większość chałup i wróciliśmy do domu z czerpakami, rożnami i garnkami, czyli wszystkim, co można było przetopić, do kościoła jednak nie weszliśmy.

– To chrześcijanie – powtórzył mój ojciec. – Nie rozumiesz, głupi chłopcze?

Nie rozumiałem. Później zaś nadciągnęli Duńczycy, którzy grabili kościoły i kradli srebro z ołtarzy. Pamiętam, jak Ragnar Starszy zaśmiewał się, mówiąc:

– Chrześcijanie są tacy mili! Składują wszystkie swoje bogactwa w jednym budynku i stawiają na jego szczycie wielki krzyż! Przez to życie jest znacznie prostsze.

Nauczyłem się więc, że Szkoci są chrześcijanami, ale i wrogami, tak jak byli nimi w czasach, gdy tysiące rzymskich niewolników wciągały kamienie na wzgórze Northumbrii, by zbudować mur. W dzieciństwie sam byłem chrześcijaninem i pamiętam, że zapytałem ojca Beocę, jak to możliwe, że inni chrześcijanie są naszymi wrogami.

– To prawda, że są chrześcijanami – odparł ojciec Beocca – ale są też dzikusami! – Zabrał mnie do klasztoru na Lindisfarenie i błagał opata, który pół roku później zginął z ręki Duńczyków, by pokazał mi jedną z sześciu klasztornych ksiąg. Było to opasłe tomiszcze z szeleszczącymi stronicami, które Beocca przewracał z nabożną czcią, brudnym palcem wodząc po drobnym, niewyraźnym piśmie. – Ach! – rzekł w końcu. – Jest! – Odwrócił księgę, tak bym widział jej treść, która jednak nic dla mnie nie znaczyła, nie znałem bowiem łaciny. – To księga spisana przez Świętego Gildasa. Jest niezwykle rzadka. Święty Gildas był Brytem, a księga ta opowiada o naszym nadejściu! O nadejściu Sasów! Nie lubił nas – mówiąc to, zachichotał – bo, rzecz jasna, nie byliśmy wtedy chrześcijanami. Chciałem, żebyś to zobaczył, bo Święty Gildas pochodził z Northumbrii i dobrze znał Szkotów! – Znowu odwrócił księgę i pochylił się nad nią. – Mam! Posłuchaj! „Ledwie Rzymianie wrócili do domu – przetłumaczył, przesuwając palec wzdłuż linijek – na horyzoncie pojawiły się cztery hordy Szkotów, niczym ciemne kłębowiska robaków, które wypełzają ze szczelin w skale. Byli złąknieni krwi i chętniej zakrywali paskudne gęby włosami niż intymne części odzieniem”. – Beocca uczynił znak krzyża i zatrzasnął tomiszcze. – Od tamtej pory nic się nie zmieniło! Szkoci to złodzieje i rabusie!

– Goli złodzieje i rabusie? – spytałem zaintrygowany wzmianką o intymnych częściach.

– Nie, nie, nie. Teraz to chrześcijanie. Zakrywają swoje przyrodzenia, Bogu niech będą dzięki.

– Czyli są chrześcijanami – rzekłem – ale czy my też nie najeżdżamy ich ziem?

– Ależ oczywiście, że najeżdżamy! – odparł żywo Beocca. – Trzeba ich bowiem ukarać.

– Za co?

– Za to, że najeżdżają nasze ziemie.

– Ale my najeżdżamy ich ziemie – nie dawałem za wygraną. – Czy to nie czyni nas złodziejami i rabusiami? – Podobała mi się myśl, że jesteśmy równie dzicy jak znieawidzeni Szkoci.

– Zrozumiesz to, kiedy dorośniesz – uciął Beocca, jak zawsze, gdy nie znał odpowiedzi.

Teraz byłem dorosły, jednak wciąż nie rozumiałem argumentu Beokki, że nasza wojna ze Szkotami była słuszną karą. Król Alfred, którego niełatwo było wywieść w pole, często powtarzał, że wojna, która przetacza się przez Brytanię, jest chrześcijańską krucjatą przeciwko poganom, gdy jednak ta sama wojna przenosiła się na terytorium Walii lub Szkocji, nagle stawała się czymś zupełnie innym. Wówczas była to wojna chrześcijan z chrześcijanami, równie krwawa i dzika jak zawsze. Księża mówili nam, że wypełniamy wolę ukrzyżowanego boga, podczas gdy księża w Szkocji powtarzali to samo swoim wojownikom, kiedy ci wyprawiali się przeciwko nam. Po prawdzie jednak chodziło o ziemię. Jedną wyspę zamieszkiwały cztery plemiona: Walijszczy, Szkoci, Sasi i Norwegowie, i wszyscy oni chcieli tej samej ziemi. Księża nauczali bez ustanku, że musimy o nią walczyć, otrzymaliśmy ją bowiem w darze od boga, lecz gdy my, Sasi, pierwszy raz zdobyliśmy ziemię, wszyscy byliśmy poganami. A to znaczyło, że otrzymaliśmy ją od Thora albo Odyna.

– Czy nie tak było? – spytałem tej nocy ojca Eadiga.

Siedzieliśmy w jednym z kamiennych budynków fortu Weallbyrig, chroniąc się przed wiatrem i deszczem wewnątrz solidnych rzymskich murów, i grzaliśmy się przy ogniu.

Eadig uśmiechnął się nerwowo.

– To prawda, panie, że Bóg posłał nas na ziemię, lecz nie byli to dawni bogowie, ale jedyny, prawdziwy Bóg. To on nas tu posłał.

– Sasów? Posłał tu Sasów?

– Tak, panie.

– Ale przecież wtedy nie byliśmy chrześcijanami – zauważyłem.

Moi ludzie, którzy słyszeli to już wcześniej wiele razy, uśmiechnęli się.

– To prawda, nie byliśmy wtedy chrześcijanami – przyznał ojciec Eadig – ale Walińczycy, do których przedtem należały te ziemie, wierzyli w prawdziwego Boga. Tyle że byli złymi chrześcijanami, więc Bóg postanowił ich ukarać i zesłał Sasów.

– Co takiego zrobili? – dopytywałem. – Walińczycy? Dlaczego byli źli?

– Nie wiem, panie, ale Bóg nie zesłałby nas, gdyby na to nie zasługiwali.

– A zatem Walińczycy byli źli – drążyłem – więc bóg uznał, że woli mieć w Brytanii złych pogan zamiast złych chrześcijan? To jak zarznąć okulawioną krowę i zastąpić ją drugą, z kołowacizną!

– Och, ale Pan Bóg nawrócił nas na prawdziwą wiarę w nagrodę za to, że daliśmy nauczki Walińczykom! – Ojczulek poweselał. – Teraz jesteśmy zdrową krową!

– Po co więc przysłał Duńczyków? – spytałem. – Chciał nas ukarać, bo byliśmy złymi chrześcijanami?

– To całkiem możliwe, panie – przyznał niechętnie, jak gdyby sam nie był pewien własnej odpowiedzi.

– Gdzie więc jest koniec?

– Koniec, panie?

– Niektórzy Duńczycy nawracają się – rzekłem – kogo więc pošle wasz bóg, by ich ukarać, kiedy uzna, że są złymi chrześcijanami? Franków?

– Widzę ogień – oświadczył mój syn. Odsunął klapę skórzanej płachty i spoglądał na północ.

– W tym deszczu? – spytał Finan.

Podszedłem do syna. Rzeczywiście na odległych północnych wzgórzach gorzał wielki ogień, od którego niebo zabarwiło się na czerwono. Ognie oznaczają kłopoty, nie wyobrażałem sobie jednak, by ktokolwiek chciał łupić i plądrować w taką noc.

– Pewnie któreś z gospodarstw zajęło się ogniem – zgadywałem.

– Daleko stąd – dodał Finan.

– Bóg postanowił kogoś ukarać – orzekłem. – Tylko który bóg?

Ojciec Eadig uczynił znak krzyża. Przez chwilę patrzyliśmy na gorejącą w oddali łunę, jednak nie zobaczyliśmy więcej ognia. Wkrótce potem deszcz ugasił płomień i niebo z powrotem pociemniało.

Zmieniliśmy wartowników na wieży i zasnęliśmy.

A rankiem nadciągnął wróg.

– Ty, lordzie Uhtredzie – rozkazał mój wróg – pojedziesz na południe.

Przybył z porannym deszczem, a dowiedziałem się o tym, gdy strażnicy w wartowni uderzyli w żelazny pręt, który służył nam za dzwon alarmowy. Nastął świt, jednak słońce zdawało się smugą bladości pośród chmur na wschodzie.

– Tam są ludzie – rzekł jeden z wartowników, wskazując na północ. – Spieszni.

Oparty o balustradę próbowałem coś dojrzeć pośród deszczu i strzępów mgły, podczas gdy Finan wspiął się na drabinę za moimi plecami.

– Co to? – spytał.

– Może pasterze? – zgadywałem. Nic nie widziałem.

Deszcz osłabł i przeszedł w siąpiawicę.

– Biegli w naszą stronę, panie – dodał wartownik.

– Biegli?

– Albo raczej się zataczali.

Wyteżałem wzrok, lecz niczego nie widziałem.

– Byli też konni – odezwał się drugi strażnik imieniem Godric, młody i niezbyt bystry. Nie dalej jak rok wcześniej był u mnie na służbie, ale w każdym cieniu dopatrywał się wrogów.

– Nie widziałem konnych, panie – odparł pierwszy wartownik, godny zaufania człowiek imieniem Cenwulf.

Nasze konie były osiodłane i gotowe do drogi. Rozważałem się, czy warto posyłać zwiadowców na północ, by przekonać się, czy rzeczywiście byli tam jacyś ludzie, a jeśli tak, to kim byli i czego chcieli.

– Ilu ludzi widziałeś? – spytałem.

– Trzech – odparł Cenwulf.

– Pięciu – rzekł równo z nim Godric. – I dwóch jeźdźców.

Spojrzałem na północ, lecz widziałem jedynie deszcz siąpiący na paprocie, a widoczne w oddali wzniesienia ginęły pośród unoszących się nad ziemią strzępów mgły.

– Pewnie pasterze – mruknąłem.

– Byli wśród nich konni, panie – bąknął niepewnie Godric. – Widziałem ich.

Żaden pasterz nie dosiadłby konia. Wpatrywałem się w deszcz i mgłę. Godric miał lepszy wzrok od Cenwulfa, a przy tym bujniejszą wyobraźnię.

– Kto, na Boga, chciałby się tu zapuszczać o tak wczesnej porze? – mruknął Finan.

– Nikt – odparłem, prostując się. – Godricowi znowu się zdawało.

– Wcale nie, panie! – zarzekał się chłopak.

– Mleczarki – burknąłem – tylko o nich myśli.

– Nie, panie! – Oblał się rumieńcem.

– Ile masz lat? – spytałem go. – Czternaście? Piętnaście? Ja w twoim wieku myślałem tylko o cyckach.

– Czyli niewiele się zmieniłeś – burknął Finan.

– Ale ja naprawdę ich widziałem, panie – upierał się Godric.

– Znowu śniłeś o cyckach – rzuciłem i urwałem, gdyż na przesiąkniętych deszczem wzgórzach pojawili się ludzie.

Zza wzgórza wychylnęło czterech mężczyzn. Biegli ku nam na złamanie karku i chwilę później zobaczyłem, czemu im tak spieszno. Tuż za nimi z mgły wypadły sylwetki czterech jeźdźców, którzy próbowali odciąć im drogę.

– Otworzyć bramę! – ryknąłem do stojących pod wieżą zbrojnych. – Pomóżcie im i sprowadźcie ich tu!

Sam zszedłem po drabinie, podczas gdy Rorik przyprowadził Tintrega. Musiałem poczekać, aż zapnie popręg, po czym wskoczyłem na siodło i ruszyłem za tuzinem zbrojnych w kierunku wzgórza. Tuż za mną jechał Finan.

– Panie! – krzyczał Rorik. Wybiegł za nami z fortu. – Panie! – Trzymał w dłoniach ciężki pas z przytroczoną do niego pochwą, w której spoczywał Oddech Węża.

Zawróciłem konia, pochyliłem się w siodle i wysunąłem ostrze, pozostawiając pas i pochwę w rękach Rorika.

– Wracaj do fortu, chłopcze!

– Ale...

– Wracaj!

Dwunastu konnych było już daleko z przodu. Gnali co tchu, chcąc odciąć drogę jeźdźcom ścigającym czterech mężczyzn. Tamci, widząc, że jest nas więcej, gwałtownie skręcili w bok i wówczas pojawił się piąty zbieg. Musiał ukrywać się w paprociach za linią horyzontu, a teraz pędził ku nam ze zbocza. Widząc go, konni znowu zawrócili i pocwałowali ku niemu. Ten, słysząc tętent kopyt, próbował zrobić unik, lecz pierwszy jeździec zwolnił, ze spokojem wyważył w dłoniach włócznię i cisnął nią w plecy uciekiniera. Mężczyzna wygiął się w łuk, ale wciąż jeszcze trzymał się na nogach. Zaraz jednak drugi konny zamachnął się na niego toporem i zobaczyłem tryskającą w powietrze krwawą mgiełkę. Zbieg runął na ziemię. Jego śmierć odwróciła uwagę ścigających i ocaliła życie jego czterech towarzyszy, którzy bezpiecznie dotarli do moich ludzi.

– Czemu, głupiec, nie został w ukryciu? – spytałem, wskazując sześciu konnych, którzy stłoczyli się nad trupem.

– Dlatego – odparł Finan i wskazał na północ, gdzie z mgły wyłonił się oddział jeźdźców. – Boże, miej nas w opiece – rzekł i uczynił znak krzyża. – Toż to cholerna armia.

Daleko w tyle wartownicy uderzali w żelazny pręt, by sprowadzić resztę moich ludzi na wały obronne fortu. Nagły podmuch przesiąkniętego

deszczem wiatru szarpnął pelerynami konnych, którzy stali w szeregu na całej długości wzgórza. Były ich dziesiątki.

– Nie mają sztandaru – zauważyłem.

– To ludzie twojego kuzyna?

Pokręciłem głową. W szarym, skąym świetle odległe sylwetki były ledwie widoczne, wąpiłem jednak, by mój kuzyn był na tyle odważny, żeby ciemną nocą wypuścić się ze swoim garniznem tak daleko na południe.

– Może to Einar? – zgadywałem. A jeśli tak, to kogo ściga?

Pognałem Tintrega w stronę swoich ludzi, którzy otaczali wianuszkim czterech zbiegów.

– To Norwegowie, panie! – krzyknął Gerbruht, gdy podjechałem bliżej.

Uciekinierzy, przemoczeni do suchej nitki, drżeli z zimna i ze strachu. Wszyscy byli młodzi, mieli jasne włosy i wytatuowane twarze. Na widok mojego obnażonego miecza padli na kolana.

– Panie, błagam! – wydusił jeden z nich.

Spojrzałem na północ i zobaczyłem, że armia konnych nadal tkwi w tym samym miejscu i tylko nas obserwuje.

– Trzy setki ludzi? – zgadywałem.

– Trzy setki i czterdziestu – uściślił Finan.

– Jestem Uhtred z Bebbanburga – zwróciłem się do mężczyzn klęczących wśród mokrych od deszczu wrzosów. Ujrzałem w ich oczach lęk i przez chwilę rozkoszowałem się tym widokiem. – A kim wy jesteście?

Bąknęli swoje imiona. Byli ludźmi Einara, posłanymi przez niego na zwiad. Jechali konno przez większą część wczorajszego popołudnia, a nie natknąwszy się na nasz ślad, zatrzymali się na noc w chacie pasterza na zachodnich wzgórzach. Tuż przed świtem od północy nadjechali konni.

Wyrwani ze snu zwiadowcy porzucili własne konie i w panice ratowali się ucieczką.

– Co to za jedni? – Wskazałem głową konnych na północy.

– Myśleliśmy, że to twoi ludzie, panie!

– Nie wiecie, kto was ściga? – spytałem.

– Wrogowie, panie – odrzekł smętnie jeden z nich, lecz odpowiedź ta w niczym mi nie pomogła.

– Powiedzcie więc, co się stało.

Cała piątka została wysłana przez Einara, by nas odnaleźć, lecz trzech tajemniczych jeźdźców natknęło się na nich chwilę przed tym, jak niebo na wschodzie zaczęło się przejaśniać. Pasterska chata mieściła się w kotlinie, zdołali więc wysadzić jednego z zaskoczonych zwiadowców z siodła, a dwóch pozostałych przepędzili. Ubili tamtego, lecz dwaj, którzy uszli z życiem, zdążyli zbiec.

– A zatem zabiliście jednego z nich – rzekłem. – Zapytaliście, komu służył?

– Nie, panie – odparł najstarszy z czterech ocalałych. – Nie rozumieliśmy jego mowy. Poza tym walczył, panie. Wyciągnął nóż.

– A tobie jak się zdaje, kim był?

Mężczyzna zawahał się i bąknął, że wziął go za jednego z moich ludzi.

– Więc go zabiliście?

Zwiadowca wzruszył ramionami.

– Tak, panie! – przyznał.

Po wszystkim pospieszyli na południe i niebawem odkryli, że ściga ich cała armia konnych.

– Zabiliście człowieka – rzekłem – bo myśleliście, że służy mnie. Czemu więc ja miałbym nie zabijać was?

– Krzyczał, panie. Musieliśmy go uciszyć.

To akurat byłem w stanie zrozumieć, bo w tej sytuacji zapewne uczyniłbym to samo.

– Co zatem mam z wami zrobić? – spytałem. – Oddać was im? – Mówiąc to, wskazałem konnych. – Czy zabić?

Nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć, ale i nie spodziewałem się odpowiedzi.

– Okaż draniom litość i zabij ich – rzekł Finan.

– Panie, proszę! – szepnął jeden z ludzi Einara.

Puściłem jego słowa mimo uszu, bo w tej samej chwili pół tuzina konnych zjechało ze wzgórza, kierując się w naszą stronę. Jechali powoli, jak gdyby chcieli przekonać nas, że nie mają złych zamiarów.

– Zabierzcie ich do fortu – nakazałem Gerbruhtowi. – I nie zabijajcie.

– Nie, panie? – Fryz sprawiał wrażenie rozczarowanego.

– Jeszcze nie.

Mój syn opuścił fort i razem z Finanem i ze mną wyjechał na spotkanie sześciu jezdnych.

– Co to za jedni? – zapytał.

– Nie są to ludzie mojego kuzyna – odparłem. Gdyby tak było, wywijałoby sztandarem z namalowanym na nim wilczym łbem. – Ani Einara.

– A więc kto?

Chwilę później znałem już odpowiedź. Kiedy konni się zbliżyli, rozpoznałem człowieka, który jechał na ich czele. Dosiadał wielkiego czarnego ogiera i okrywał ramiona długą niebieską peleryną, rozłożoną na końskim zadzie. Na szyi miał zawieszony złoty krzyż. Trzymał się w siodle prosto, dumnie unosząc głowę. Wiedział, kim jestem, albowiem już się

spotkaliśmy, a gdy zobaczył, że się na niego gapię, rozciągnął usta w uśmiechu.

– Kłopoty – mruknąłem pod nosem do towarzyszy. – Przekłete kłopoty. I nie pomyliłem się.

Człowiek w niebieskiej pelerynie nie przestawał się uśmiechać, gdy zatrzymał konia kilka kroków dalej.

– Obnażony miecz, lordzie Uhtredzie? – zakpił. – Tak oto witasz starego przyjaciela?

– Jestem biednym człowiekiem – odparłem. – Nie stać mnie na pochwę. – Ostrożnie wsunąłem Oddech Węża w cholewę lewego buta, aż poczułem, że ostrze przytula się do łydki.

– Szykowne rozwiązanie – rzucił szyderczo. On sam wyglądał dostojnie. Ciemnoniebieska peleryna była zdumiewająco czysta, kolczuga wypolerowana, buty oskrobane z błota, a broda krótko przycięta, podobnie jak kruczoczarne włosy, na których spoczywała złota opaska. Uzdę miał zdobioną złotem, na szyi nosił złoty łańcuch, a głowica jego miecza lśniła złotym blaskiem. Nazywał się Causantín mac Áeda, Konstantyn, syn Aeda, i był królem Alby. U jego boku na nieco mniejszym ogierze siedział jego syn Cellach mac Causantín. Za plecami ojca i syna czekało czterech ludzi, dwóch wojów i dwóch księży. Wszyscy czterej patrzyli na mnie wilkiem – najpewniej dlatego, że nie tytułowałem Konstantyna „królem”.

– Książę. – Spojrzałem na Cellacha. – Dobrze cię znów widzieć.

Cellach zerknął na ojca, jak gdyby bał się przemówić bez jego zgody.

– Możesz z nim rozmawiać! – rzekł król Konstantyn. – Mów jednak powoli i prostym językiem. To Sas, nie pojmuje dłuższych słów.

– Lordzie Uhtredzie – przemówił uprzejmie Cellach – ciebie również dobrze znów widzieć.

Lata temu, jako dziecko, Cellach był zakładnikiem na moim dworze. Lubilem go wtedy, tak jak lubilem go teraz, podejrzewałem jednak, że pewnego dnia będę musiał go zabić. Liczył sobie prawie dwadzieścia wiosen i był równie przystojny jak jego ojciec. Miał takie same ciemne włosy i jasne niebieskie oczy, lecz brakowało mu ojcowskiego spokoju i pewności siebie, co wcale mnie nie dziwiło.

– Jesteś zdrow, chłopcze? – spytałem. Na dźwięk słowa „chłopcze” otworzył szerzej oczy, ale odpowiedział skinieniem głowy. – A zatem, królu – zwróciłem się do Konstantyna – co cię sprowadza na moją ziemię?

– Twoją ziemię? – Konstantyn był wyraźnie rozbawiony. – Toż to Szkocja!

– Musisz mówić powoli i prostym językiem, panie – rzekłem – bo nie rozumiem, gdy ktoś plecie bzdury.

Słyszając to, roześmiał się.

– Chciałbym cię nie lubić, lordzie Uhtredzie – wyznał. – Życie byłoby znacznie prostsze, gdybym cię nienawidził.

– Większość chrześcijan mnie nienawidzi – odparłem, patrząc na ponure gęby księży.

– Mógłbym cię znienawidzić – ciągnął Konstantyn – ale tylko gdybyś postanowił zostać moim wrogiem.

– Po cóż miałbym to robić? – spytałem.

– Właśnie, po cóż?! – Drań się uśmiechnął. Zauważyłem, że nadal ma wszystkie zęby, i zastanawiałem się, jak to możliwe. Czary? – Ale nie zostaniesz moim wrogiem, lordzie Uhtredzie.

– Nie?

– Oczywiście, że nie. Przybyłem zawrzeć pokój.

Wierzyłem mu tak samo, jak wierzyłem w to, że orły składają złote jaja, że o północy wróżki tańczą w naszych butach, a księżyc jest wycięty z wybornego sera z Sumorsaete.

– Może – zacząłem – lepiej rozmawiać o pokoju przy palenisku i kubkach pełnych ale?

– Widzicie? – Konstantyn obejrzał się na chmurnych księży. – Mówiłem wam, że lord Uhtred to człowiek gościnnie!

Pozwoliłem Konstantynowi i jego pięciu towarzyszom wjechać do fortu, uparłem się jednak, by reszta jego ludzi czekała pół mili dalej pod czujnym okiem moich zbrojnych, którzy pilnowali północnego wału Weallbyrig. Konstantyn, udając niewiniątko, poprosił, by wszyscy jego ludzie mogli przejechać przez bramę. Słyszając to, uśmiechnąłem się tylko, on zaś miał na tyle przyzwoitości, by odpowiedzieć tym samym. Szkocka armia mogła zaczekać na deszczu. Wiedziałem, że dopóki Konstantyn jest moim gościem, dopóty nie dojdzie do walki, wiedziałem również, że tylko głupiec wpuściłby do fortu trzy setki Szkotów. To jak zostawić wilkom otwarte drzwi do owczarni.

– Pokój? – zwróciłem się do Konstantyna, gdy na stołach pojawiło się ale, połamane bochny chleba i pokrojona w plastry połeć wędzonego boczku.

– Zawieranie pokoju to mój chrześcijański obowiązek – odparł pobożnie Konstantyn.

Gdyby powiedział to król Alfred, wiedziałbym, że mówi szczerze, lecz w słowach Konstantyna wyczuwało się ironię. Wiedział, że nie damę im wiary, zresztą on sam w to nie wierzył.

Nakazałem wnieść do sali stoły i ławy, jednak szkocki król nie zamierzał siadać. Zamiast tego krążył po pomieszczeniu, przez którego pięć okien sączyło się do środka słabe światło dnia. Konstantyn zdawał się

zafascynowany izbą. Wodził palcami po widocznych tu i ówdzie łąkach zaprawy i po wąskiej szczelinie między kamienną ościeżnicą a nadprożem.

– Rzymianie potrafili budować – orzekł niemal tęsknie.

– Lepiej niż my – zgodziłem się z nim.

– Wielcy to byli ludzie – dodał, co potwierdziłem skinieniem głowy. – Ich legiony maszerowały przez świat – ciągnął – jednak przstraszyły się Szkotów.

– Szkotów czy Szkocji? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Próbowali nas podbić! Ale zawiedli! Dlatego pobudowali te forty i mur, żebyśmy nie pustoszyli ich ziem. – Mówiąc to, przeciągnął dłonią po rzędzie wąskich cegieł. – Chciałbym odwiedzić Rzym.

– Słyszałem, że jest w ruinie – odparłem. – Pełen wilków, żebraków i złodziei. Poczujesz się tam jak w domu, królu.

Dwaj szkoccy księża najwyraźniej mówili po angielsku, bo każdy z nich burknął coś pod nosem. Cellach, królewski syn, wyglądał, jakby zamierzał się odgryźć, lecz Konstantyn puścił zniewagę mimo uszu.

– Ale jakie to muszą być ruiny! – odrzekł, nakazując synowi zachować milczenie. – Jakież wspaniałe! Ruiny Rzymu są wspanialsze od naszych najwspanialszych dworów! – Odwrócił się do mnie z tym swoim irytującym uśmiechem. – Dziś rano – dodał – moi ludzie przegnali Einara Białego z Bebbanburga.

Nie rzekłem nic, bo i nie wiedziałem, co powiedzieć. W pierwszej chwili pomyślałem, że Einar nie będzie już zaopatrywał mojego kuzyna w jedzenie i że problem jego łodzi został rozwiązany, zaraz jednak na nowo pogrzyżłem się w rozpacz, gdy pojąłem, że Konstantyn nie zaatakował Einara w moim imieniu. I tak, gdy jeden problem został rozwiązany, kolejna, jeszcze większa przeszkoda stanęła między mną a Bebbanburgiem.

Konstantyn musiał wyczuć moje przygnębienie, bo się roześmiał.

– Przegналиśmy go z Bebbanburga – powtórzył. – Przepędziliśmy go na dobre! Uciekał z podkulonym ogonem! A kto wie, może drań już nie żyje. Niedługo się dowiem. Einar miał niespełna dwie setki ludzi. Ja posłałem przeciwko niemu przeszło czterystu.

– Miał też wały obronne Bebbanburga – przypomniałem mu.

– Bzdura – prychnął pogardliwie król. – Twój kuzyn nie otworzyłby bram przed hordą ludzi Północy! Wie, że nigdy by stamtąd nie wyszła. Wpuszczenie ich to jak proszenie się o nóż wbity w plecy. Nie, ludzi Einara zakwaterowano we wsi, a palisada, którą zaczęli budować, pozostała niedokończona. Do tej pory pewnie zdążyli się wynieść.

– Dziękuję – rzuciłem sarkastycznie.

– Za to, że cię wyręczyłem? – zapytał z uśmiechem. Podszedł do stołu, w końcu usiadł i poczęstował się ale i strawą. – Bo przecież cię wyręczyłem – ciągnął. – Nie mogłeś oblegać Bebbanburga, nie pokonawszy Einara. Teraz został pokonany! Najęto go, by trzymał cię z dala od fortecy i zaopatrywał twojego kuzyna w żywność. Mam nadzieję, że nie żyje albo przynajmniej ucieka w popłochu.

– Zatem dziękuję ci – powtórzyłem.

– Jednak jego ludzi zastąpili moi – dodał beznamiętnie. – Teraz to oni okupują osadę u stóp Bebbanburga. Co zaś do dzisiejszego ranka, lordzie Uhtredzie, moi ludzie zajęli ziemie należące do Bebbanburga.

Spojrzałem w jego niebieskie oczy.

– Myślałem, że przybyłeś zawrzeć pokój.

– Bo tak jest!

– Z siedmioma, ośmioma setkami zbrojnych?

– Ależ jest ich więcej – rzucił beztróska. – O wiele więcej! A ty ilu masz ludzi? Dwie setki tutaj? I kolejnych trzydziestu pięciu w Dunholmie?

– Trzydziestu siedmiu – odparłem, chcąc go rozjuszyć.

– Którymi dowodzi kobieta!

– Eadith jest groźniejsza od niejednego mężczyzny – rzekłem.

Eadith była moją żoną i to ona dowodziła niewielkim garnizonem strzegącym Dunholmu. Zostawiłem z nią Sihtrica, na wypadek gdyby zapomniała, który koniec miecza jest ostry.

– Przekonasz się, że nie jest groźniejsza od moich ludzi – zauważył z uśmiechem Konstantyn. – Pokój byłby dla ciebie dobrym rozwiązaniem.

– Mam zięcia – przypomniałem mu.

– Ach, potężny Sigtryggr, który może wystawić do walki pięć, sześć setek ludzi? Może tysiąc, jeśli jarlowie z południa udzielą mu wsparcia, w co szczerze wątpię. A przecież Sigtryggr musi trzymać ludzi na południowej granicy, żeby jarlowie nadal go wspierali. Jeśli w ogóle go wspierają. Kto wie?

Nic nie rzekłem. Konstantyn miał rację. Sigtryggr może był królem w Eoferwicu i nazywał siebie królem Northumbrii, ale wielu spośród najbardziej wpływowych Duńczyków na granicy z Mercją wciąż nie złożyło mu przysięgi wierności. Twierdzili, że oddał zbyt dużo ziemi, by zawrzeć pokój z Aethelflaed, podejrzewałem jednak, że woleli sami się poddać, niż prowadzić z góry przegraną wojnę tylko po to, by zachować królestwo Sigtryggra.

– I nie chodzi tylko o jarłów – ciągnął Konstantyn, posypując ranę solą. – Doszły mnie słuchy, że Sasi zachodni zaczynają się buntować.

– Sigtryggr jest w dobrych stosunkach z Sasami – odparłem.

I tym razem rozciągnął usta w uśmiechu, który zaczynał doprowadzać mnie do szału.

– Jednym z dobrodziejstw bycia chrześcijaninem, lordzie Uhtredzie, jest to, że czuję sympatię do innych chrześcijańskich władców. Zostaliśmy

namaszczeni przez Pana, jesteśmy Jego pokornymi sługami, których obowiązkiem jest głosić dobrą nowinę. Król Edward z Wessexu chciałby być zapamiętany jako człowiek, który roztoczył nad pogańską Northumbrią pieczę chrześcijańskiego Wessexu! A twój zięć zawarł traktat pokojowy z Mercją, nie z Wessexem. Wierz mi, lordzie Uhtredzie, wielu Sasów zachodnich jest zdania, że traktat ten nigdy nie powinien być zostać zawarty! Mówią, że najwyższy czas, by Northumbria dołączyła do wspólnoty chrześcijańskiej. Nie wiedziałeś o tym?

– Niektórzy Sasi zachodni chcą wojny – przyznałem – ale nie król Edward. Jeszcze nie.

– Twój przyjaciel ealdorman Aethelhelm próbuje nakłonić go do zmiany zdania.

– Aethelhelm – rzuciłem mściwie – to cuchnący wieprz.

– Ale chrześcijański cuchnący wieprz – zauważył Konstantyn – więc moim religijnym obowiązkiem jest go wspierać.

– A zatem ty również jesteś cuchnącym wieprzem – odparłem.

Słyszając ton mojego głosu, towarzyszący mu szkoccy wojownicy drgnęli nerwowo. Żaden z nich nie mówił po angielsku, mieli własny barbarzyński język, i to w nim jeden z nich warknął coś niezrozumiale.

Konstantyn uniósł rękę, żeby ich uspokoić.

– Mam rację? – zwrócił się do mnie.

Niechętnie skinąłem głową. Aethelhelm, mój wróg, był najbardziej wpływowym ealdormanem w Wessexie i teściem króla Edwarda. Nie było tajemnicą, że marzy mu się szybka inwazja na Northumbrię. Chciał zostać zapamiętany jako człowiek, który stworzył Anglię i którego wnuk jako pierwszy zasiadł na jej tronie.

– Lecz Aethelhelm nie dowodzi zachodniosaską armią – zauważyłem. – Dowodzi nią król Edward, a król Edward jest młodszy, czyli może

zaczekać.

– Możliwe – zgodził się ze mną Konstantyn. – Możliwe... – Wydawał się rozbawiony, jak gdyby uważał, że jestem naiwny. Pochylił się nad stołem, by dolać mi ale. – Porozmawiajmy o czymś innym – rzekł. – Porozmawiajmy o Rzymianach.

– O Rzymianach? – spytałem zaskoczony.

– O Rzymianach – odparł ciepło. – I o tym, jak wielkimi byli ludźmi. Sprowadzili do Brytanii błogosławieństwa chrześcijaństwa i powinniśmy ich za to wielbić. Byli wśród nich filozofowie, uczeni, historycy i teolodzy. Powinniśmy się od nich uczyć. Mądrość starożytnych, lordzie Uhtredzie, powinna być światłem, za którym podążamy! Nie sądzisz? – Czekał, aż odpowiem, ja jednak milczałem. – Ci mądrzy Rzymianie – ciągnął Konstantyn – zdecydowali, że granicą oddzielającą Szkocję od ziem, które należą do Sasów, powinien być ten mur. – Mówiąc to, patrzył mi w oczy i choć twarz miał poważną, wiedziałem, że świetnie się bawi.

– Słyszałem, że dalej na północ jest rzymski mur.

– Rów – rzucił niedbale. – Który zresztą zawiódł. Ten mur – machnął ręką w stronę widocznych za oknami umocnień – spełnił swoją funkcję. Dużo o tym myślałem, modliłem się o to i uważam, że to rozsądne, by to on wyznaczał granicę między naszymi ludami. Wszystko na północ od muru będzie należało do Szkocji, królestwa Alby, a to, co na południe, do Sasów i Anglii. To zakończy spory o to, gdzie przebiega granica. Będzie widoczna jak na dłoni, bo będzie ją wyznaczał wielki kamienny mur! I choć to nie powstrzyma naszych ludzi przed grabieżą bydła, znacznie utrudni takie wypadki! Widzisz więc? Jestem rozjemcą! – Uśmiechnął się promiennie. – To samo zaproponowałem królowi Edwardowi.

– Edward nie rządzi Northumbrią.

– Ale będzie rządził.

– A Bebbanburg należy do mnie.

– Nigdy nie był twój – odparł ostro Konstantyn. – Należał do twojego ojca, a teraz należy do twojego kuzyna. – Nagle pstryknął palcami, jak gdyby coś sobie przypomniął. – Otrułeś jego syna?

– Oczywiście, że nie!

Uśmiechnął się.

– Jeśli to ty, świetnie się spisałeś.

– To nie ja – odparłem gniewnie. Gdy schwytaliśmy syna mojego kuzyna, jeszcze dzieciaka, pozwoliłem Osferthowi, jednemu z moich zaufanych ludzi, opiekować się nim i jego matką, pojmaną razem z nim. Rok temu oboje zabiła zaraza, ludzie jednak gadali, że to ja ich otrułem. – Zmarł na gorączkę – odparłem – podobnie jak tysiące ludzi w całym Wessexie.

– Oczywiście, wierzę ci – rzucił niedbale Konstantyn. – Ale twojemu kuzynowi trzeba teraz żony!

Wzruszyłem ramionami.

– Z pewnością znajdzie się jakaś biedaczka, która go poślubi.

– Mam córkę – dumął na głos Konstantyn. – Może powinienem mu ją zaproponować?

– Wyjdzie cię to taniej, niż gdybyś spróbował sforsować jego umocnienia.

– Myślisz, że lękam się murów Bebbanburga?

– A powinieneś – rzekłem.

– Ty zamierzałeś je sforsować – zauważył, jednak w jego głosie nie było już wesołości. – Zdaje ci się, że brakuje mi twojej woli i umiejętności?

– A zatem twój pokój to tak naprawdę podbój – burknąłem z goryczą.

– Tak – przyznał – w rzeczy samej. Chcemy tylko przywrócić granicę ustanowioną dawno temu przez mądrych Rzymian. – Urwał, rozkoszując się moim zakłopotaniem. – Bebbanburg, lordzie Uhtredzie – dodał po chwili – i należące do niego ziemie są moje.

– Nie, póki żyję.

– Czy to mucha bzczy? – spytał. – Zdawało mi się, że coś słyszałem. Czy może coś mówiłeś?

Spojrzałem mu w oczy.

– Widzisz tamtego księdza? – Wskazałem głową ojca Eadiga.

Przytaknął zdumiony.

– Dziwi mnie i cieszy, że masz za towarzysza księdza.

– Księdza, który pokrzyżował ci plany – odparłem.

– Moje plany?

– Twoi ludzie zabili jego eskortę, lecz ojciec Eadig uszedł z życiem. Gdyby nie dotarł do mnie, nadal byłbym w Aetgefrin.

– Gdziekolwiek to jest.

– To wzgórze, które twoi ludzie obserwowali od przeszło tygodnia – odparłem i nagle dotarło do mnie, kim byli owi tajemniczy zwiadowcy. Konstantyn prawie niezauważalnie skinął głową, przyznając, że w istocie byli to jego ludzie. – A ty zaatakowałbyś mnie tam – ciągnąłem – bo w przeciwnym razie zamiast siedzieć tutaj, byłbyś w Bebbanburgu. Chciałeś mnie zniszczyć, lecz teraz, kiedy siedzę za kamiennymi murami, niełatwo będzie mnie zabić.

Wszystko to była prawda. Gdyby Konstantyn przydybał mnie na otwartej przestrzeni, jego ludzie wyrznęliby nas w pień, jednak gdyby spróbował sforsować mury Weallbyrig, zapłaciłby wysoką cenę.

Prawda, którą mu rzekłem, najwyraźniej go rozbawiła.

– Lordzie Uhtredzie, czemuż miałbym chcieć cię zabić?

– Bo to wróg, którego się obawiasz – odparł w moim imieniu Finan.

Po twarzy Konstantyna niczym cień przemknął grymas. Chwilę później dźwignął się od stołu. Już się nie uśmiechał.

– Ten fort – rzekł ostro – należy teraz do mnie. Wszystkie ziemie na północ stąd należą do mojego królestwa. Dziś do zachodu słońca masz opuścić i jedno, i drugie, a to oznacza, lordzie Uhtredzie, że udasz się na południe.

Konstantyn przybył na moje ziemie z armią. Mój kuzyn został zaopatrzony przez łodzie Einara Białego. Ja zaś miałem niespełna dwie setki ludzi, cóż więc mogłem zrobić?

Dotknąłem młota Thora i w duchu złożyłem przysięgę. Poprzysiągłem, że zdobędę Bebbanburg i nie przeszkodzi mi w tym ani mój kuzyn, ani Einar, ani Konstantyn. Będę potrzebował więcej czasu i nie będzie to łatwe, ale dokonam tego.

Potem wyruszyłem na południe.

CZĘŚĆ DRUGA
ZASADZKA

ROZDZIAŁ TRZECI

W następną niedzielę dotarliśmy do Eoferwicu – lub Jorviku, jak nazywali miasto Duńczycy i Norwegowie – gdzie powitało nas bicie kościelnych dzwonów. Brida, która była moją kochanką, zanim stała się moim wrogiem, próbowała wypłenić chrześcijaństwo w Eoferwicu. Zamordowała starego arcybiskupa, wyrznęła wielu jego księży i spaliła kościoły, lecz Sigtryggr, który władał teraz miastem, nie dbał o to, do jakich bogów modlą się mieszkańcy, pod warunkiem że płacili podatki i żyli w pokoju. I tak chrześcijańskie świątynie wyrastały jak grzyby po deszczu. W Eoferwicu był również nowy arcybiskup, Hrothweard, Sas zachodni, który uchodził za człowieka uczciwego. Przybyliśmy w południe w promieniach słońca, pierwszych, jakie widzieliśmy, odkąd opuściliśmy Aetgefrin. Udaliśmy się do pałacu, nieopodal odbudowanej katedry, powiedziano mi jednak, że Sigtryggr powiodł swoją armię do Lindcolne.

– Ale królowa tu jest? – spytałem starego odźwiernego, zsiadając z konia.

– Pojechała z mężem, panie.

Mruknąłem z dezaprobatą, choć znałem upodobanie swej córki do rozmaitych niebezpieczeństw i byłbym zaskoczony, gdyby nie towarzyszyła Sigtryggrowi w wyprawie na południe.

– A dzieci?

– One również udały się do Lindcolne, panie.

Słyszając to, wzdrygnąłem się.

– Kto więc tu dowodzi?

– Boldar Gunnarson, panie.

Znałem Boldara, był godnym zaufania, doświadczonym wojownikiem. Miałem go za starca, podczas gdy tak naprawdę był ode mnie młodszy o rok albo dwa i podobnie jak ja nosił pamiątki po licznych wojnach. Utykał na prawą nogę po tym, jak saska włócznia rozdarła mu łydkę, mercyjska strzała zaś pozbawiła go oka. Rany te nauczyły go jednak rozważli.

– Nie mamy wieści o wojnie – rzekł do mnie odzwierny – ale może minąć kolejny tydzień, nim cokolwiek usłyszymy.

– Naprawdę jest wojna? – spytałem go.

– Sasi wtargnęli na nasze ziemie, panie – odparł ostrożnie – a wątpię, by przyszli z nami tańczyć. – Boldar miał niewielki oddział do obrony Eoferwicu i jeśli prawdą było, że armia Sasów zachodnich plądruje południową Northumbrię, na jego miejscu modliłbym się, by nie dotarła ona do rzymskich murów miasta, tak jak modliłbym się, żeby Konstantyn nie postanowił przekroczyć muru i pomaszerować na południe. – Zostaniesz tu, panie? – zapytał z nadzieją, że moi ludzie zasilą jego szeregi.

– Wyruszymy o poranku – odparłem.

Opuściłbym Eoferwic wcześniej, ale nasze konie potrzebowały odpoczynku, a ja musiałem zasięgnąć języka. Boldar nie wiedział, co naprawdę dzieje się na południu, więc Finan zaproponował, byśmy porozmawiali z nowym arcybiskupem.

– Mnisi wiecznie piszą do siebie – rzekł. – Mnisi i księża. Znają sytuację lepiej od królów! Mówi się, że arcybiskup Hrothweard to dobry człowiek.

– Nie ufam mu.

– Nawet go nie poznałeś!

– To chrześcijanin – odrzekłem – tak jak Sasi zachodni. Jak więc myślisz, kogo wolałby widzieć na tutejszym tronie? Chrześcijanina czy Sigtryggra? Nie, idź i sam z nim porozmawiaj. Pomachaj mu przed nosem krzyżem i postaraj się nie pierdzieć.

Tymczasem ja i mój syn udaliśmy się na wschód. Wyszliśmy z miasta przez jedną z masywnych bram i ruszyliśmy wąską drogą ku rzędowni budynków wzniesionych na skraju długiego nabrzeża, do którego zawijały statki handlowe wypływające z każdego portu na Morzu Północnym. Można tu było kupić łódź, drewno, olinowanie, smołę, płótno żaglowe i niewolnych. Były tu również trzy karczmy. W największej z nich zwanej Kaczką sprzedawano ale, strawę i dziwki. To właśnie tam skierowaliśmy nasze kroki i usiedliśmy przy stole przed drzwiami.

– Dobrze wreszcie zobaczyć trochę słońca – zagadnął Olla, karczmarz.

– A jeszcze lepiej zobaczyć trochę ale – odparłem.

Olla rozciągnął usta w uśmiechu.

– Ciebie, panie, również dobrze widzieć. Tylko ale? Mam tu śliczną Fryzyjkę.

– Tylko ale.

– Dziewczyna nie będzie wiedziała, co ją ominęło – zażartował i poszedł po dzban, podczas gdy my siedzieliśmy oparci o ścianę budynku.

Promienie słońca grzały nas w twarze i tańczyły na wodzie, na której łabędzie płynęły wolno w górę rzeki. Na zacumowanej nieopodal dużej łodzi kupieckiej trzech nagich niewolnych szorowało pokład.

– Jest na sprzedaż – rzekł Olla, kiedy wrócił z ale.

– Zdaje się ciężka.

– To kawał łodzi. Chciałbyś ją kupić, panie?

– Nie tę. Może coś mniejszego.

– Ceny poszły w górę – uprzedził karczmarz. – Lepiej poczekać, aż spadnie śnieg. – Usiadł na zydlu na końcu stołu. – Chcecie coś zjeść? Żona przygotowała potrawkę z ryby i mamy świeżo pieczony chleb.

– Jestem głodny – przyznał mój syn.

– Ryby czy Fryzyjek? – spytałem.

– Obu, ale najpierw coś zjem.

Olla zastukał w stół i poczekał, aż z karczmy wyszła młoda, ładna dziewczka.

– Trzy miski potrawki, skarbie – rzucił – i dwa świeże bochny. Dzbaneł ale i masło. I wytrzymaj nos. – Poczekał, aż dziewczyna wróci do środka. – Może masz, panie, dziarskich, młodych wojów, którym trzeba żony? – spytał.

– Całe mnóstwo – odparłem. – Choćby tego – dodałem, wskazując syna.

– To moja córka – rzekł, pokazując głową na drzwi, za którymi zniknęła dziewczka. – Prawdziwe utrapienie. Wczoraj nakryłem ją, jak próbowała sprzedać młodszego brata Haruldowi.

Haruld był handlarzem niewolników, mieszkającym trzy domy dalej.

– Mam nadzieję, że dostała za niego dobrą cenę – zażartowałem.

– Trzeba przyznać, że targowała się zawzięcie. To żywe srebro. Hanno! – zawołał. – Hanno!

– Ojczy? – Dziewczyna wyjrzała zza drzwi.

– Ile liczysz sobie wiosen?

– Dwanaście, ojczy.

– Widzisz, panie? – Olla spojrział na mnie. – Gotowa, żeby iść za mąż. – Pochylił się i podrapał za uszami śpiącego psa. – A ty, panie?

– Mam już żonę.

Karczmarz uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Widać minęło trochę czasu, odkąd piłeś u mnie ale. Co cię zatem tu sprowadza?

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

– Hornecastre. – Pokiwał głową.

– Hornecastre – przytaknąłem. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Bo i niczego tam nie ma – odrzekł. – Poza starym fortem.

– Rzymskim? – zgadywałem.

– Jakżeby inaczej? Sasi zachodni rządzą teraz aż po zatokę Gewaesc – głos miał posepny – i z jakiegoś powodu posłali ludzi dalej na północ, aż do Hornecastre. Zajęli fort i z tego, co wiem, nadal tam są.

– Ilu?

– Wystarczająco wielu. Może trzy setki? Cztery?

Wyglądało to na pokaźny oddział, ale nawet cztery setki ludzi miałyby kłopot ze sforsowaniem kamiennych murów Lindcolne.

– Powiedziano mi, że trwa wojna – rzuciłem z goryczą. – Czterystu ludzi siedzących w forcie może uprzykrzyć życie, ale to jeszcze nie koniec Northumbrii.

– Raczej nie przyszli po to, żeby zrywać stokrotki – odparł Olla. – To Sasi zachodni, wtargnęli na nasze ziemie. Król Sigtryggr nie może tak po prostu pozwolić im tam siedzieć.

– To prawda – przyznałem i dolałem sobie ale. – Wiesz, kto nimi dowodzi?

– Brunulf.

– Nie znam żadnego Brunulfa.

– To Sas zachodni – odparł Olla. Miał wieści od ludzi, którzy pili w jego karczmie, w tym żeglarzy z łodzi handlowych pływających wzdłuż

całego wybrzeża, jednak o Brunulfie dowiedział się od duńskiej rodziny, którą wygnano z gospodarstwa na północ od starego fortu i która w drodze do krewnych zatrzymała się na noc w Kaczce. – Puścił ich wszystkich wolno.

– Tak?

– Mówili, że był uprzejmy! Ale wszyscy mieszkańcy wioski musieli opuścić swoje domostwa. No i oczywiście stracili żywy inwentarz.

– I domy.

– I domy, panie, ale nikomu włos nie spadł z głowy. Nie wzięto do niewoli żadnego dziecka, żadna kobieta nie została zgwałcona, nic.

– Proszę, proszę, łagodni barbarzyńcy – mruknąłem.

– Twój zięć – ciągnął Olla – powiódł na południe przeszło cztery setki zbrojnych, ale doszły mnie słuchy, że on także zamierza być łagodny. Woli przekonać drani, by dobrowolnie opuścili Hornecastle, niż wszczynać wojnę.

– A zatem przybyło mu rozsądku?

– To zasługa twojej córki, panie. To ona uparła się, że nie należy szturchać gniazda os.

– A oto twoja córka – rzekłem, gdy Hanna wyszła z tacą zastawioną miskami i dzbankami.

– Postaw je tu, skarbie. – Olla poklepał dłonią stół.

– Ile więc Haruld zaoferował ci za twojego brata? – spytałem ją.

– Trzy szylingi, panie. – Miała jasne spojrzenie, brązowe włosy i zaraźliwy, szelmowski uśmiech.

– Czemu chciałaś go sprzedać?

– Bo to pętał, panie.

Roześmiałem się.

– Trzeba więc było wziąć pieniądze. Trzy szylingi to dobra cena za pętaka.

– Ojciec mi nie pozwolił. – Wydeła usta i udała, że nagle coś przyszło jej do głowy. – Może mógłby służyć u ciebie, panie? – Po jej twarzy przemknął upiorny grymas. – Wtedy zginąłby w bitwie.

– Odejdź, smarkulo – warknął ojciec dziewczyny.

– Hanno! – zawołałem za nią. – Ojciec mówi, żeś gotowa do żeniaczki.

– Może za rok – wtrącił pospiesznie Olla.

– Chcesz poślubić tego tu? – spytałem, wskazując swojego syna.

– Nie, panie!

– Czemu nie?

– Wygląda jak ty, panie. – Uśmiechnęła się i zniknęła.

Roześmiałem się, lecz mój syn wydawał się urażony.

– Nie wyglądam jak ty – burknął.

– Ależ tak – przyznał Olla.

– A zatem niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

Ciebie i Northumbrię – pomyślałem. Brunulf? Nic o nim nie wiedziałem, zakładałem jednak, że jest na tyle umiętny, by dowodzić kilkoma setkami ludzi. Tylko po co wysłano go do Hornecastre? Czyżby król Edward próbował wywołać wojnę? Jego siostra Aethelflaed zawarła wprawdzie pokój z Sigtryggrem, lecz Wessex nie podpisał traktatu, a niektórzy Sasi zachodni nie kryli się z chęcią najazdu na Northumbrię. Pośłanie kilkuset zbrojnych do Northumbrii, wysiedlenie Duńczyków bez rozlewu krwi i zajęcie starego fortu nie wyglądało jednak na brutalną inwazję. Uznałem, że Brunulf i jego ludzie mieli sprowokować nas do ataku i rozpoczęcia wojny, którą ani chybi, przegramy.

– Sigtryggr chce, bym do niego dołączył – zwróciłem się do Olli.

– Pewnie liczy, że wystraszą się ciebie, jeśli sam nie przekona ich do opuszczenia fortu – odparł pochlebco karczmarz.

Skosztowałem potrawki rybnej i uświadomiłem sobie, że jestem głodny jak wilk.

– Czemu więc ceny statków idą w górę? – spytałem.

– Nie uwierzysz, panie. Przez arcybiskupa.

– Hrothwearda?

Olla wzruszył ramionami.

– Mówi, że już pora, by mnisi wrócili na Lindisfarenę.

– Że co? – Gapiłem się na niego w osłupieniu.

– Chce odbudować klasztor! – wyłuszczył Olla.

Na Lindisfarenie mnichów nie było od pół wieku, czyli odkąd Duńczycy zarżnęli ostatniego z nich. Kiedy żył mój ojciec, Lindisfarena była najważniejszym ośrodkiem chrześcijańskiego kultu, ważniejszym nawet od Contwaraburga. Tłumy pielgrzymów ściągały tam, by modlić się przy grobie Świętego Kutberta. Mój ojciec czerpał z tego korzyści, albowiem klasztor leżał na wyspie na północ od fortecy i pielgrzymi ochoczo trwonili srebro, kupując świece, jedzenie, szukając noclegu i dziwek we wsi u stóp Bebbanburga. Nie wątpiłem, że chrześcijanie chcą przywrócić Lindisfarenie jej dawną świetność, lecz teraz wyspa znajdowała się w rękach Szkotów. Olla wskazał głową brzeg.

– Widzisz ten stos drewna, panie? To dobry, sezonowany dąb z Sumorsaete. Takiego budulca chce użyć arcybiskup. Dębiny i kamienia. Potrzebuje więc tuzina łodzi, które zabiorą ładunek na Lindisfarenę.

– Król Konstantyn może się na to nie zgodzić – rzuciłem pośpiesznie.

– A co mu do tego? – spytał karczmarz.

– Nie słyszałeś? Przekłęci Szkoci najechali ziemie należące do Bebbanburga.

– Słodki Jezu! Naprawdę?

– Naprawdę. Ten sukinkot Konstantyn twierdzi, że Lindisfarena jest teraz częścią Szkocji. Zamiast Sasów Hrothwearda pośle tam własnych mnichów.

Olla się skrzywił.

– Arcybiskupowi to się nie spodoba! Przekłęci Szkoci na Lindisfarenie!

Nagle coś przyszło mi do głowy i ściągnąłem brwi w zamyśleniu.

– Wiesz, do kogo należy większa część wyspy? – spytałem Ollę.

– Do twojej rodziny, panie – odrzekł niezwykle taktownie.

– Ruiny klasztoru należą do kościoła – rzekłem – lecz reszta wyspy należy do Bebbanburga. Myślisz, że arcybiskup pytał mojego kuzyna o zgodę na budowę? Nie potrzebuje jej, ale życie byłoby prostsze, gdyby mój krewniak się zgodził.

Olla się zawahał. Wiedział, co myślę o swoim kuzynie.

– Myślę, panie, że propozycja wyszła od twojego kuzyna.

A zatem było tak, jak podejrzewałem.

– Podstępna łasica – syknąłem.

Odkąd Sigtryggr został królem Northumbrii, mój kuzyn musiał wiedzieć, że go zaatakuję, ułożył się więc z Hrothwardem, by zyskać poparcie Kościoła. Chciał uczynić z obrony Bebbanburga krucjatę. Przynajmniej Konstantyn pokrzyżował jego plany – pomyślałem.

– Ale przedtem – ciągnął Olla – szalony biskup próbował zbudować tam kościół. A przynajmniej taki miał zamiar.

– Tak? – Roześmiałem się w głos. Każda wzmianka o szalonym biskupie nieodmiennie mnie bawiła.

– Arcybiskup Hrothweard chce położyć kres tym wygłupom. Rzecz jasna nie wiadomo, ile jest prawdy w pogłoskach o szalonym draniu, ale nie jest tajemnicą, że nosił się z zamiarem pobudowania na wyspie nowego klasztoru.

Szalony biskup może i był szalony, ale z pewnością nie był biskupem. Był duńskim jarlem imieniem Dagfinnr, który ogłosił się biskupem Gyruum i przyjął nowe imię, Jeremiasz. On i jego ludzie okupowali stary fort w Gyruum, na południe od ziem należących do Bebbanburga, na południowym brzegu rzeki Tine. Gyruum był częścią Dunholmu, co czyniło Jeremiasza moim dzierżawcą. Widziałem go tylko raz, kiedy, jak nakazywał obowiązek, przybył do większej twierdzy, by zapłacić mi komorne. Przywiódł ze sobą dwunastu ludzi, których nazywał swoimi uczniami. Wszyscy oni jechali konno, prócz Jeremiasza – on dosiadał osła. Nosił długą brudną szatę, siwe tłuste włosy wisały mu do pasa, a na pociągłej, bystrej twarzy błąkał się przebiegły uśmieszek. Położył na trawie piętnaście srebrnych szylingów i zakasał okrycie.

– Patrzcie! – zagrzmiął, szcżając na monety. – W imię Ojca i Syna, i tego trzeciego – rzekł, nie przestając szcżać, i uśmiechnął się do mnie. – Twoje komorne, panie, trochę mokre, lecz pobłogosławione przez Pana Boga we własnej osobie. Widzisz, jak się błyszczą? To prawdziwy cud!

– Umyj je – rzekłem mu.

– I twoje stopy też, panie?

A zatem szalony Jeremiasz zamierzał budować na Lindisfarenie?

– Prosił mojego kuzyna o zgodę? – zapytałem Ollę.

– Nie wiem, panie. Od miesiący nie widziałem Jeremiasza ani jego ohydnej łajby.

Ohydna łajba nazywała się Guds Moder, Matka Boża, i była ciemną, zapuszczoną łodzią wojenną, na której Jeremiasz patrolował wybrzeże

nieopodal Gyruum. Wzruszyłem ramionami.

– Jeremiasz nie stanowi zagrożenia – orzekłem. – Jeśli choćby pierdnie w stronę północy, Konstantyn go zmiążdży.

– Może – rzucił z powątpiewaniem karczmarz.

Patrzyłem na rzekę, na gwarne nabrzeże i kota, który przechadzał się po relingu jednej z zacumowanych łodzi, a w końcu zeskoczył, by zapolować na szczury w zębie. Olla opowiadał mojemu synowi o wyścigach konnych, które zostały odwołane po tym, jak Sigtryggr powiódł większość zbrojnych na południe, ja jednak go nie służyłem. Rozmyślałem. Najwyraźniej pozwolenie na budowę nowego klasztoru wydano kilka tygodni temu, przed pojawieniem się Konstantyna. Jak inaczej wytłumaczyć zgromadzone przez arcybiskupa sterty drewna i kamieni?

– Od kiedy Brunulf okupuje Hornecastre? – spytałem, przerywając Olli zachwyty nad wałachem, którego uważano za najszybszego konia w całej Northumbrii.

– Niech no pomyślę. – Ściągnął brwi i zamilkł na kilka uderzeń serca. – Od ostatniego nowiu. Tak, jakoś tak.

– A zbliża się pełnia – odparłem.

– Czyli... – zaczął mój syn, zaraz jednak zawiesił głos.

– Czyli Szkoci najechali nas kilka dni temu! – rzuciłem rozeźlony. – Gdyby Sasi zachodni nie odwrócili uwagi Sigtryggra, jak myślisz, co by zrobił, dowiedziawszy się o Konstantynie?

– Pomaszerowałyby na północ – odparł mój syn.

– Ale nie może tego zrobić, bo Sasi zachodni szczają na jego południowe ziemie. Zmówili się!

– Szkoci i Sasi zachodni? – W głosie mojego syna pobrzmiwało niedowierzenie.

– Kilka tygodni temu zawarli potajemny sojusz! Szkoci dostaną Bebbanburg, a Sasi zachodni Lindisfarenę – rzekłem, pewien, że tak właśnie jest. – Dostaną nowy klasztor, relikwie, pielgrzymów i srebro. Szkotom przypadnie w udziale ziemia, a kościół się wzbogaci.

Wiedziałem, że mam rację, choć po prawdzie się myliłem. Koniec końców okazało się to bez znaczenia.

Olla i mój syn siedzieli w milczeniu, aż w końcu Uhtred wzruszył ramionami.

– Co więc zrobimy? – zapytał.

– Zaczniemy zabijać – odparłem mściwie.

Nazajutrz wyruszyliśmy na południe.

– Żadnego zabijania – orzekła stanowczo moja córka.

Warknąłem.

Sigtryggr opuścił Lindcolne. Zostawił znaczną część armii, by broniła murów miasta, i wzięwszy pięćdziesięciu ludzi, wyruszył do Ledecestre, burhu, którego zrzekł się na rzecz Mercji, aby zyskać przychylność Aethelflaed. Chciał, żeby wpłynęła na swojego brata, króla Wessexu, i przekonała go, by wycofał swe oddziały z Hornecastre.

– Sasi zachodni chcą, byśmy zaczęli wojnę – rzekła moja córka. Pod nieobecność męża to ona dowodziła w Lindcolne, mając pod sobą niemal cztery setki ludzi. Z taką armią mogła stawić czoła Brunulfowi, uparła się jednak, by zostawić Sasów zachodnich w spokoju.

– Masz więcej ludzi niż ci dranie w Hornecastre – próbowałem przemówić jej do rozsądku.

– Nie sędzę – odparła cierpliwie. – Zresztą tuż przy granicy kolejne setki Sasów zachodnich tylko czekają na pretekst, żeby nas najechać.

Miała rację. Sasi w południowej Brytanii chcieli czegoś więcej niż byle pretekstu. Chcieli wszystkiego. W swoim życiu widziałem, jak niemal cały dzisiejszy Englalnd znajduje się w łapach Duńczyków. Długie łodzie płynęły na wiosłach w górę rzek, a wojownicy podbijali Northumbrię, Mercję i Anglię Wschodnią. Ich armie najechały Wessex i zdawało się, że niebawem cały kraj zwany będzie Danelandem, jednak przeznaczenie zadecydowało inaczej i Sasi zachodni wspólnie z Mercjanami wyrąbali sobie drogę na północ, walcząc zaciekle i wiele poświęcając, tak więc teraz na ich drodze stała wyłącznie rządzona przez Sigtryggra Northumbria. Jeśli Northumbria upadnie, a nie miałem wątpliwości, że w końcu to nastąpi, wszyscy ludzie władający angielską mową będą żyli w jednym królestwie zwanym Englalndem.

Ironia polegała na tym, że walczyłem u boku Sasów od zachodniego wybrzeża aż po granicę z Northumbrią, lecz teraz, za sprawą małżeństwa swej córki, stałem się ich wrogiem. Tak zdecydowało przeznaczenie. I to ono przesądziło o tym, że moja córka mówiła mi teraz, co mam robić!

– Cokolwiek uczynisz, ojcze – rzekła surowo – nie rozjuszaj ich! Nie walczyliśmy z nimi, nie rozmawialiśmy ani im nie groziliśmy! Nie chcemy ich prowokować!

Spojrzałem na jej brata, który bawił się ze swoimi siostrzeńcem i siostrzenicą. Byliśmy w okazałym rzymskim domu wzniesionym na samym szczycie wzgórza Lindcolne, gdzie ze wschodniego skraju rozległego ogrodu rozciągał się widok na skąpaną w słońcu sielską okolicę. Gdzieś tam był Brunulf ze swoimi ludźmi. Pomyślałem, że mój syn chętnie by z nimi walczył. Był szczery, radosny i uparty, podczas gdy moja córka, jakże śniada w porównaniu z bladym bratem, była subtelna i skryta. Była również bystra jak jej matka, ale to nie dawało jej prawa, by mną dyrygować.

- Boisz się Sasów zachodnich – stwierdziłem.
- Szanuję ich siłę.
- Blefują – skwitowałem z nadzieją, że mam rację.
- Blefują?

– To nie inwazja – odparłem gniewnie – próbują odwrócić naszą uwagę! Chcieli, byście powiedli swoją armię na południe, tak by Konstantyn mógł najechać Bebbanburg. Brunulf nie zaatakuję! Nie ma dość ludzi. Siedzi tu, żeby ściągać wasz wzrok na południe, gdy tymczasem Konstantyn oblega Bebbanburg. Nie widzisz, że są w zмовie? – Walnąłem dłonią w kamienną balustradę. – Nie powinno mnie tu być.

Stiorra, wiedząc, że mam na myśli to, iż moje miejsce jest w Bebbanburgu, dotknęła mojego ramienia, jak gdyby chciała mnie uspokoić.

– Uważasz, że dasz radę walczyć jednocześnie ze swoim kuzynem i ze Szkotami?

– Będę musiał.

– Nie, ojczu, bez naszego wsparcia temu nie podołasz.

– Całe życie marzyłem o Bebbanburgu – rzuciłem gorzko. – Marzyłem o tym, że go odzyskam. I że tam umrę. I co zrobiłem zamiast tego? Pomagałem Sasom podbijać ziemię, pomagałem chrześcijanom! I jak mi się odwdzięczyli? Sprzymierzyli się z moim wrogiem! – Odwróciłem się w stronę córki. – Mylisz się!

– Tak?

– Sasi zachodni nie zaatakują, jeśli my zaatakujemy Brunulfa. Nie są gotowi. Kiedyś będą, ale nie teraz. – Nie miałem pojęcia, czy to, co mówię, jest prawdą, ale bardzo chciałem w to wierzyć. – Trzeba ich skrzywdzić, ukarać, zabić. Muszą się bać.

– Nie, ojciec – odparła błagalnie Stiorra. – Zaczekajmy, co postanowią Sigtryggr i Mercjanie. Proszę.

– Nie prowadzimy wojny z Mercjanami – odparłem.

Skierowała wzrok na sunące po niebie obłoki.

– Wiesz – zaczęła cichym, spokojnym głosem – że są wśród Sasów zachodnich tacy, którzy twierdzą, że nie powinniśmy byli zawierać tego pokoju. Połowa ich witanu jest zdania, że Aethelflaed zdradziła Sasów, bo cię kocha. Druga połowa mówi, że trzeba utrzymać pokój do czasu, aż będą na tyle silni, że nie zdołamy ich pokonać.

– I?

– Ludzie, którzy pragną wojny, czekają tylko na pretekst. Chcą, byśmy zaatakowali. Chcą wyrzucić presję na króla Edwarda i nawet twoja Aethelflaed nie zdoła uniknąć walki. Potrzebujemy czasu, ojciec. Proszę. Zostaw ich w spokoju. W końcu odejdą. Jedź do Ledecestre. Pomóż Sigtryggowi. Aethelflaed cię wysłucha.

Przemyślałem jej słowa i uznałem, że pewnie ma rację. Sasi zachodni, uskrzydleni zwycięstwem nad Anglią Wschodnią, rwali się do wojny – wojny, której nie chciałem. Żeby przegnać Szkotów z Bebbanburga, potrzebowałem northumbryjskiej armii, a wiedziałem, że armia Sigtryggra wesprze mnie na północy, tylko jeśli on sam będzie pewny pokoju z Sasami na południu. Mój zięć udał się do Ledecestre, by prosić Aethelflaed o wsparcie, licząc, że ona przekona swojego brata do zachowania pokoju, lecz mimo błagań mojej córki intuicja podpowiadała mi, że droga do Bebbanburga wiedzie nie przez Ledecestre, tylko przez Hornecastre. A ja zawsze ufałem intuicji. Może przeczy zdrowemu rozsądkowi, lecz intuicja to mrowienie w karku, które ostrzega człowieka przed niebezpieczeństwem. Dlatego jej ufam.

I tak nazajutrz, wbrew prośbom Stiorry, wyruszyłem do Hornecastre.

Hornecastre było ponurym miejscem, choć Rzymianie cenili je na tyle, by wybudować kamienny fort na południe od rzeki Beiny. Nie zbudowali dróg, zakładałem więc, że fort miał stanowić ochronę przed łodziami płynącymi w górę rzeki, te zaś należały do naszych przodków, pierwszych Sasów, którzy przepłynęli morze, by osiedlić się na nowej ziemi. A była to dobra ziemia, przynajmniej na północy, gdzie niskie wzgórza doskonale nadawały się na pastwiska. W pobliskiej osadzie mieszkały dwie duńskie rodziny wraz z niewolnymi, choć nakazano im opuścić domostwa, gdy tylko Sasi zachodni rozpanoszyli się w prastarym forcie.

– Czemu Duńczycy nie mieszkali w forcie? – spytałem Egila. Był poważnym mężczyzną w średnim wieku z długimi wąsami, które zaplatał w warkoczyki. Dorastał niedaleko Hornecastre, teraz jednak służył w garnizonie Lindcolne jako dowódca nocnej straży. Kiedy Sasi zachodni zajęli fort w Hornecastre, wysłano go na zwiad wraz z niewielkim oddziałem. Obserwował ich z bezpiecznej odległości do czasu, aż ostrożny Sigtryggr zawiadzał go z powrotem do Lindcolne. Nalegałem, żeby wrócił ze mną do Hornecastre. – Jeśli przypuścimy atak na fort, przyda nam się człowiek, który go zna – rzekłem. – Ja go nie znam, ale ty tak.

– Mieszkał tam człowiek imieniem Torstein – odparł Egil. – Ale się wyniósł.

– Dlaczego?

– Fort nawiedzają powodzie. Dwóch synów Torsteina straciło w nich życie, panie, uznał więc, że Sasi obłożyli to miejsce klątwą. No i się wyniósł. Z tej strony fortu płynie duży strumień, a za fortem rzeka. Miejscami mury pokruszyły się i zapadły. Nie od tej strony, panie – staliśmy, spoglądając na północ – ale od południa i wschodu.

– Stąd i tak wyglądają imponująco – odparłem. Gapiłem się na fort i jego kamienne umocnienia wznoszące się dumnie nad morzem sitowia.

Nad północną ścianą zatknięte na kijach powiewały dwa sztandary. Jeden z nich co rusz łopotał na wietrze, odsłaniając smoka Wessexu. Drugi sztandar musiał być utkany z cięższego płótna, bo zwisał smętnie nieporuszany wiatrem. – Co jest na drugim proporcu? – spytałem Egila.

– Nie wiem, panie, nie byliśmy w stanie zobaczyć.

Mruknąłem, przekonany, że Egil nigdy nie zapuścił się na tyle blisko, by się o tym przekonać. Dym z ognisk unosił się znad murów i sąsiednich pól na południu, gdzie, jak się domyślałem, obozowała część ludzi Brunulfa.

– Ilu ich tam jest? – spytałem.

– Dwie setki? Może trzy? – odparł niejasno Egil.

– Sami wojowie?

– Są wśród nich czarownicy, panie. – Miał na myśli księży.

Staliśmy daleko od fortu, choć strażnicy na murach z pewnością widzieli sylwetki obserwujące ich ze szczytu niskiego wzgórza. Większość moich ludzi ukrywała się w płytkiej dolinie.

– Jest tu coś oprócz fortu?

– Kilka chat – rzucił lekceważąco Egil.

– I Sasi nie próbowali ruszyć dalej na północ?

– Nie, panie, nic, tylko tu siedzą. – Podrapał się po brodzie, próbując zgnieść w palcach wesz. – Zresztą – dodał – nawet gdyby wałęsali się po okolicy, nie wiedzielibyśmy o tym. Mieliśmy trzymać się z daleka, żeby ich nie drażnić.

– Rozsądna decyzja – odparłem, choć zamierzałem zrobić coś zupełnie innego.

– Czego zatem chcą? – spytał poirytowany Egil.

– Chcą, żebyśmy ich zaatakowali – odrzekłem, lecz jeśli Egil miał rację i w forcie stacjonowało trzystu, czterystu Sasów zachodnich, musiałbym mieć co najmniej czterystu ludzi, żeby sforsować mury. Tylko po co? Żeby zająć bezużyteczne ruiny? Brunulf, dowódca Sasów zachodnich, również o tym wiedział. Po co więc tutaj tkwił? – Jak się tu dostali? – spytałem. – Na łodzi?

– Przyjechali konno, panie.

– Od najbliższych zachodniosaskich oddziałów dzieli ich wiele mil – rzekłem bardziej do siebie niż do Egila.

– Najbliższy stacjonuje w Steanfordzie, panie.

– Czyli jak daleko stąd?

– Jakieś pół dnia jazdy konno – rzucił zdawkowo.

Tego dnia dosiadałem Tintrega. Pognałem go więc w dół długiego zbocza, przesadziłem żywoplot i rów i ruszyłem w górę niskiego wzniesienia. Zabrałem ze sobą Finana i tuzin ludzi, podczas gdy reszta pozostała w ukryciu. Gdyby Sasi zachodni chcieli nas przegnać, nie mielibyśmy wyjścia i musielibyśmy salwować się ucieczką na północ, oni jednak obserwowali z murów, jak zbliżamy się do fortu. Jeden z ich księży dołączył do wojowników na wałach, podniósł krzyż i wyciągnął go w naszą stronę.

– Przeklina nas – stwierdziłem rozbawiony.

Eadric, saski zwiadowca, w milczeniu dotknął krzyża, który nosił zawieszony na szyi. Spoglądałem na pas trawy na północ od fortu.

– Spójrzcie na pastwisko po tej stronie strumienia – powiedziałem do swoich ludzi. – Co tam widzicie?

Eadric, który bystrością wzroku dorównywał Finanowi, stanął w strzemionach, osłonił oczy ręką i spojrzał we wskazanym kierunku.

– Groby? – spytał niepewnie.

– Coś tam kopią – rzekł Finan.

Widzieliśmy kilka kopczyków świeżo wzruszonej ziemi.

– Chcesz, żebym przyjrzał się im z bliska, panie? – spytał Eadric.

– Wszyscy się im przyjrzymy – odparłem.

Powoli ruszyliśmy w stronę fortu. Zostawiliśmy tarcze na znak, że nie szukamy zwady, i ludzie Brunulfa ze spokojem obserwowali, jak wjeżdżamy na pastwisko po naszej stronie rzeki, gdzie zobaczyliśmy tajemnicze kopczyki. Gdy się zbliżyliśmy, ujrzelśmy, że to nie groby kopano, lecz rowy.

– Budują nowy fort? – spytałem zaintrygowany.

– Coś na pewno budują – zauważył Finan.

– Panie – rzucił ostrzegawczo Eadric, ja jednak zdążyłem już zauważyć tuzin konnych opuszczających fort i zmierzających do miejsca, w którym bród przecinał strumień.

Było nas czternastu i Brunulf, jeśli chciał uniknąć kłopotów, winien przywieść taką samą liczbę ludzi. Tak też uczynił, lecz gdy jeźdźcy wjechali do strumienia, którego łagodne wody sięgały koniom niemal do brzuchów, zatrzymali się. Zbili się w gromadę, zupełnie nas ignorując, i wyglądało na to, że spierają się o coś. Nagle dwóch zawróciło konie i ruszyło z powrotem do fortu. Znajdowaliśmy się na skraju pastwiska – trawa po ostatnich deszczach była bujna i zielona – a gdy podjechałem bliżej, ujrzałem, że to nie groby ani fort, lecz kościół. Wykopany w ziemi rów miał kształt krzyża. Stanowił fundament konstrukcji i miał być do połowy zasypywany kamieniami, by utrzymać filary.

– Jest duży! – rzekłem z podziwem.

– Tak wielki jak kościół w Wintanceasterze! – odparł Finan, na którym fundamenty wywarły równie wielkie wrażenie.

Dwunastu emisariuszy z fortu jechało teraz ku nam. Ośmiu było wojownikami jak my, a resztę stanowili duchowni: dwóch księży w czarnych szatach i dwóch w brązowych. Zbrojni nie mieli hełmów ani tarcz, a za jedyną broń służyły im schowane w pochwach miecze. Ich przywódca, dosiadający imponujących rozmiarów szarego ogiera kroczącego dumnie pośród traw, był odziany w obszytą futrem ciemną szatę i skórzany napierśnik, na którym wyraźnie rysował się srebrny krzyż. Był to młodzieniec o posępnej twarzy, krótkiej brodzie i wysokim czole pod wełnianą czapką. Ściągnął wodze niespokojnego rumaka i patrzył na mnie w milczeniu, jakby spodziewał się, że przemówię pierwszy. Ja tymczasem milczałem.

– Jestem Brunulf Torkelson z Wessexu – przemówił w końcu. – A ty to kto?

– Jesteś synem Torkela Brunulfsona? – spytałem.

Wyglądał na zaskoczonego i mile polechtanego tym pytaniem. Zaraz jednak pokiwał głową.

– Tak, panie.

– Twój ojciec walczył u mojego boku pod Ethandun – odparłem. – I świetnie się spisał! Ubił tamtego dnia wielu Duńczyków. Nadal żyje?

– Tak.

– Zatem przekaż mu moje pozdrowienia.

Brunulf zawahał się i wyczuwałem, że chce mi podziękować, musiał jednak zachować pozory.

– A kimże jest człowiek, który go pozdrawia? – zapytał.

Uśmiechnąłem się półgębkiem i powiodłem wzrokiem po twarzach jego ludzi.

– Dobrze wiesz, kim jestem, Brunulfie – odparłem. – Nazwałeś mnie „panem”, nie udawaj więc, że mnie nie znasz. – Wskazałem na najstarszego

spośród jego wojów, siwowłosego człowieka z blizną na czole. – Walczyłeś ze mną pod Fearnhamme. Mam rację?

– Tak, panie – powiedział z uśmiechem tamten.

– Dowodził wami Steapa, tak?

– Tak, panie.

– Powiedz więc Brunulfowi, kim jestem.

– To...

– Wiem, kim jest – przerwał mu Brunulf i niemal niezauważalnie skinął głową. – To zaszczyt cię poznać, panie. – Dwaj najstarsi księża, słysząc te jakże uprzejme słowa, splunęli na ziemię. Brunulf udał, że tego nie widzi. – Mogę spytać, co sprowadza Uhtreda z Bebbanburga w te nędzne strony?

– Właśnie miałem zapytać cię o to samo – odparłem.

– Nie macie tu nic do roboty – przemówił klecha, który chwilę temu splunął na ziemię. Był dobrze zbudowanym, barczystym mężczyzną, starszym od Brunulfa o dziesięć, piętnaście lat. Miał zaciętą twarz, krótko przystrzyżone czarne włosy i roztaczał wokół siebie aurę dostojności. Jego czarną szatę utkano z najprzedniejszej wełny, a krzyż, który nosił na szyi, wykonano ze złota.

Drugi klecha był o wiele niższy, młodszy i wyraźnie podenerwowany naszą obecnością.

Spojrzałem na tego starszego.

– A ty coś za jeden? – spytałem.

– Sługa Boży.

– Znasz moje imię – odparłem łagodnie – ale czy wiesz, jak mnie zwą?

– Szatańskim nasieniem – warknął.

– Możliwe – rzekłem – ale zwą mnie również zabójcą księży, choć minęły lata, odkąd ostatni raz wybebeszyłem aroganckiego klechę. Muszę

poćwiczyć. – Uśmiechnąłem się do niego.

Brunulf uniósł rękę, by uciszyć klechę, nim ten zdążył się odezwać.

– Ojciec Herefrith obawia się, że wtargnąłeś tu bezprawnie, lordzie Uhtredzie. – Najwyraźniej nie szukał zwady, bo przemawiał uprzejmie.

– Jak mogłem wtargnąć na ziemię, która należy do mojego króla? – spytałem.

– Ta ziemia – odrzekł Brunulf – należy do Edwarda z Wessexu.

Słyszając to, parsknąłem śmiechem. Było to równie niedorzeczne jak twierdzenie Konstantyna, że wszystkie ziemie na północ od muru należą do Szkotów.

– Ta ziemia – prychnąłem – jest oddalona o pół dnia jazdy konno na północ od granicy.

– Mamy dowód na potwierdzenie naszych słów – przemówił ojciec Herefrith. Jego głęboki głos brzmiał jak warczenie, a wzrok miał jeszcze groźniejszy. Przypuszczałem, że niegdyś musiał być wojownikiem, albowiem policzek miał poblizniony, a jego ciemne oczy nie zdradzały strachu, tylko butę. Był wysoki i umięśniony, jak ludzie, którzy latami doskonalią się w sztuce rąbania mieczem. Zauważyłem, że trzymał się nieco z dala od ludzi Brunulfa, a nawet od innych księży, jak gdyby pogardzał ich towarzystwem.

– Dowód – rzuciłem kpiąco.

– Dowód! – warknął. – Choć niczego nie musimy ci udowadniać. Jesteś łajnem, które wypadło diabłu spod ogona, i wtargnąłeś na ziemię króla Edwarda.

– Ojciec Herefrith – Brunulf zdawał się zaniepokojony wojowniczością klechy – jest kapelanem króla Edwarda.

– Ojciec Herefrith – odparłem, starając się panować nad głosem – wypadł z tyłka maciory.

Herefrith tylko gapił się na mnie. Słyszałem raz, że daleko za morzami żyje plemię, którego członkowie potrafią zabijać spojrzeniem, i miałem wrażenie, że barczysty klecha próbuje ich naśladować. Nie chciałem się pojedynkować w ten sposób, więc odwróciłem wzrok i zobaczyłem, że drugi sztandar, ten, który nie powiewał na wietrze, został zdjęty z umocnień fortu. Zastanawiałem się, czy za murami zbiera się drużyna gotowa nas wygubić.

– Ten świński pomiot, który nazywa siebie królewskim kapelanem – zwracałem się do Brunulfa, lecz patrzyłem na fort – mówi, że ma dowód. Jakiż to dowód?

– Ojczy Stepanie? – Brunulf spojrzął na nerwowego młodego księdza.

– W roku Pańskim 875 – zaczął drugi klecha piskliwym, drżącym głosem – król Aella z Northumbrii przekazał tę ziemię po wsze czasy królowi Oswaldowi z Anglii Wschodniej. Teraz Anglią Wschodnią włada król Edward, a więc to on jest prawowitym spadkobiercą tego daru.

Spojrzałem na Brunulfa, który sprawiał wrażenie człowieka uczciwego, a teraz z całą pewnością nie wyglądał na przekonanego tym, co właśnie usłyszał.

– W roku Thora 875 – odparłem – Aella był oblegany przez swojego rywala, a Oswald nie był nawet królem Anglii Wschodniej, lecz marionetką w rękach Ubby.

– Niemniej jednak... – wtrącił starszy klecha, ale zamilkł, kiedy mu przerwałem.

– Ubby Straszny – rzekłem, patrząc mu w oczy – którego zabiłem nad brzegiem morza.

– Niemniej jednak – powtórzył tym razem głośniejszym głosem, jak gdyby rzucał mi wyzwanie – darowizna została dana, dokument podpisano i opieczętowano, ziemię przekazano. – Przeniósł wzrok na ojca Stepana. – Czyż nie?

– Tak – pisnął tamten.

Herefrith utkwiał we mnie nienawistne spojrzenie, jak gdyby chciał spopielić mnie wzrokiem.

–Wtargnąłeś na ziemię króla Edwarda, wypierdku.

Brunulf wzdrygnął się, słysząc te słowa. Ja jednak pozostałem niewzruszony.

– Macie przy sobie ten tak zwany dokument? – spytałem.

Na chwilę zapadło milczenie. W końcu Brunulf zerknął na młodszego z księży.

– Ojczy Stepanie?

– Po co cokolwiek udowadniać temu grzesznikowi? – rzucił gniewnie Herefrith i cmoknął na konia, by ten podszedł nieco bliżej. – To zabójca księży, znienawidzony przez Boga, wziął za żonę Saską kurwę i mówi językiem diabła.

Wyczułem poruszenie wśród swoich ludzi i uniosłem rękę, żeby ich uspokoić. Puściłem mimo uszu zniewagi ojca Herefritha i miał tego spojrzałem na młodszego klechę.

– Edykty łatwo podrobić – rzekłem – więc wytłumaczcie mi, proszę, dlaczego przekazano ową ziemię.

Ojciec Stepan zerknął na ojca Herefritha, jak gdyby czekał na pozwolenie, żeby się odezwać, jednak starszy duchowny zignorował go.

– Mówcie! – nakazałem.

– W roku Pańskim 632 – zaczął nerwowo ojciec Stepan – Święty Erpenwald z Wuffingas przybył nad tę rzekę. Wody były wezbrane i nie szło przepłynąć na drugi brzeg. Zaczął więc modlić się do Pana, a gdy zanurzył w rzece kostur, wody się rozstały.

– To był cud – wyjaśnił zawstydzony Brunulf.

– Dziwne – burknąłem – że nigdy dotąd nie słyszałem tej opowieści. Dorastałem w Northumbrii, można by więc przypuszczać, że człowiek z północy będzie znał tak niesamowitą historię. Słyszałem o maskonurach śpiewających psalmy i świętym dziecięciu, które uzdrowiło kaleką matkę, plując na jej lewą pierś, ale o człowieku, który nie potrzebował mostu, żeby przepłynąć przez rzekę? Tej opowieści nie znam!

– Sześć miesięcy temu – ciągnął ojciec Stepan, jak gdybym w ogóle się nie odezwał – kostur Świętego Erpenwalda został znaleziony na dnie rzeki.

– Przeleżał tam dwa stulecia!

– Znacznie dłużej! – wtrącił jeden z mnichów, za co ojciec Herefrith zgromił go spojrzeniem.

– I nie odpłynął? – spytałem, udając zdumienie.

– Król Edward pragnie uczynić to miejsce celem pielgrzymek – oświadczył ojciec Stepan, kolejny raz ignorując moje kpiny.

– Dlatego posyła zbrojnych? – spytałem złowieszczo.

– Kiedy kościół będzie gotowy, każe im się wycofać – zapewnił mnie solennie Brunulf. – Są tu tylko po to, by chronić duchownych i pomagać przy budowie świątyni.

– To prawda – potwierdził gorliwie ojciec Stepan.

Łgali. Domyślałem się, że nie wysłano ich po to, by pomagali budować kościół, lecz by odwracali uwagę Sigtryggra, gdy tymczasem Konstantyn zagarnął północną część Northumbrii, a może i po to, by wywołać kolejną wojnę, zmuszając Sigtryggra do ataku na fort. Lecz jeśli taki właśnie był ich zamysł, czemu, u licha, nie robili nic, żeby nas sprowokować? To prawda, ojciec Herefrith zachowywał się wobec mnie wrogo, ale podejrzewałem, że jest zgorzkniałym, gniewnym klechą, który nie wie, co to uprzejmość. Brunulf i jego ludzie byli potulni jak baranki, gdy starali się

mnie udobruchać. Gdyby chcieli doprowadzić do wojny, rzuciliby mi wyzwanie, skoro jednak tego nie zrobili, postanowiłem igrać z nimi dalej.

– Twierdzicie, że to pole należy do króla Edwarda – rzekłem – lecz by na nie dojechać, musieliście przejechać przez ziemię króla Sigtryggra.

– To prawda – przyznał z wahaniem Brunulf.

– A zatem musicie zapłacić mu myto. Zakładam też, że przywieźliście ze sobą narzędzia. – Mówiąc to, wskazałem głową rowy w kształcie krzyża. – Łopaty? Motyki? Może nawet drewno do budowy swojej magicznej świątyni?

Przez krótką chwilę wszyscy milczeli. Zobaczyłem, że Brunulf popatruje na ojca Herefritha, który niemal niezauważalnie skinął głową.

– To całkiem rozsądne żądanie – bąknął nerwowo Brunulf. Jak na człowieka, który planuje wojnę albo próbuje ją wywołać, był zdumiewająco zgodny.

– Przemyslimy to – oznajmił ostro ojciec Herefrith – i za dwa dni damy wam odpowiedź.

W pierwszej chwili chciałem się z nim wyklócać i żądać, byśmy spotkali się nazajutrz, lecz zastanowiła mnie nagła zmiana w jego zachowaniu. Do tej pory był nieprzyjazny i niechętny do współpracy, a teraz, choć nadal zachowywał się jak gbur, zaczął współpracować z Brunulfem. To on dał Brunulfowi sygnał, by ten udał, że zgadza się zapłacić myto, i to on uparł się, byśmy zaczekali dwa dni, dlatego powściągnąłem język.

– Spotkamy się tu za dwa dni – zgodziłem się zamiast tego. – Tylko miejcie ze sobą złoto.

– Nie tutaj – odparł gwałtownie ojciec Herefrith.

– Nie? – odparłem łagodnie.

– Twój smród plugawi świętą, Bożą ziemię – warknął i wskazał na północ. – Widzisz tamten las? Tuż za nim jest kamień, pogański kamień. – Niemal wypuł ostatnie dwa słowa. – Spotkamy się przy nim rankiem w środę. Możesz przywieść dwunastu ludzi. Nie więcej.

Kolejny raz powstrzymałem chęć, by go rozjuszyć, i zamiast tego skinąłem głową.

– Będzie nas dwunastu – odparłem – rankiem za dwa dni, przy kamieniu. Ty zaś weź ze sobą fałszywy dekret i mnóstwo złota.

– Przywiozę ci odpowiedź, poganinie – warknął Herefrith, po czym zawrócił konia i pognał w górę zbocza.

– Spotkamy się za dwa dni, panie – przemówił Brunulf, najwyraźniej zakłopotany zachowaniem klechy.

Odpowiedziałem skinieniem głowy i patrzyłem, jak wszyscy wracają do fortu.

Finan także odprowadzał ich wzrokiem.

– Ten skwaszony klecha nigdy nie zapłaci – orzekł. – Nie zapłaciłby za kęs chleba, nawet gdyby jego matka przymierała głodem.

– Zapłaci – odparłem.

Wiedziałem, że zapłaci nie złotem, lecz krwią. Za dwa dni.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kamień wyznaczony przez ojca Herefritha na miejsce naszego spotkania był w istocie prymitywną kolumną, dwukrotnie wyższą od człowieka, która górowała nad płytką, żyzną doliną położoną godzinę niespiesznej jazdy konno od fortu. Był to jeden z tych dziwacznych kamieni, które dawni ludzie porozstawiali po całej Brytanii. Część z nich stała w kręgach, inne tworzyły przejścia, jeszcze inne wyglądały jak stoły dla olbrzymów, a wiele, jak ten na południowym krańcu doliny, stało samotnie. Jechaliśmy na północ od portu dróżką wydeptaną przez bydło i kiedy dotarłem na miejsce, dotknąłem młota zawieszzonego na szyi, zastanawiając się, jaki bóg umieścił kamień obok ścieżki i po co. Finan uczynił znak krzyża. Egil, który dorastał w dolinie rzeki Beiny, mówił, że jego ojciec nazywał ten słup Kamieniem Thora.

- Ale Sasi zwali go Czarcim Kamieniem, panie – dodał.
- Wolę Kamień Thora – odparłem.
- Mieszkali tu Sasi? – spytał mój syn.
- Tak, panie, kiedy przybył tu mój ojciec.
- I co się z nimi stało?
- Niektórzy pomarli, inni uciekli, a jeszcze inni zostali jako niewolni.

Teraz Sasi dokonali pomsty, albowiem na północ od wzniesienia, na którym stał kamień, nieopodal brodu na rzece, ujrzeliśmy resztki spalonego gospodarstwa. Zgliszcza wyglądały na świeże i Egil potwierdził, że było to jedno z nielicznych miejsc, które Brunulf i jego ludzie puścili z dymem.

– Zmusili wszystkich do odejścia – rzekł.

– Nikogo nie zabili?

Pokręcił głową.

– Powiedziano im tylko, że do zmierzchu mają opuścić domostwa. Mówili nawet, że człowiek, który dowodził Sasami, wyglądał na skruszzonego.

– Skrucha to dziwny sposób na rozpoczęcie wojny – zauważył mój syn.

– Chcą, byśmy pierwsi utoczyli krwi – odparłem.

Mój syn kopnął na wprost zwęgloną belkę.

– Po co więc palili to miejsce?

– By przekonać nas, że powinniśmy ich zaatakować? Zmusić nas do zemsty? – Nie przychodziło mi do głowy inne wytłumaczenie. Tylko dlaczego Brunulf był wobec mnie taki potulny?

Ludzie Brunulfa puścili z dymem dwór, stodołę i zagrody dla zwierząt. Sądząc po osmalonych resztkach, było to spore obejście, a jego mieszkańcy musieli czuć się tu bezpieczni, albowiem nie wybudowali palisady. Ruiny znajdowały się kilka jardów od rzeki i brodu wydeptanego przez bydło. Tymczasem w górze rzeki natknęliśmy się na rozpiętą między brzegami misternej roboty sieć rybacką. Naniesiony na nią muł zmienił ją w prymitywną zapórę, przez co rzeka wylała, tworząc na pobliskich pastwiskach płytkie jezioro. Kilka ocalałych chat posłużyło nam za schronienie, a poczerńnięte belki przydały się nam do rozpalenia ognisk, na których upiekliśmy baranie żeberka. Wystawiłem strażę w lesie od południa i kolejne w kępie wierzb na przeciwległym brzegu.

Mój syn zaczął się niepokoić. Co rusz wstawał od ogniska i szedł na południowy skraj osady, by gapić się na widoczny na horyzoncie kamień. Zdawało mu się, że widzi tam ludzi, sylwetki w mroku i blask ognia odbity od ostrzy mieczy.

– Nie frasuj się – rzekłem mu po tym, jak na niebie pojawił się księżyc. – Nie przyjdą.

– Chcą, żebyśmy tak myśleli – odparł – ale kto wie, co oni sobie myślą?

– Że jesteśmy głupcami – powiedziałem.

– I może mają rację – mruknął i niechętnie wrócił do ogniska. Zerknął przez ramię na południe, gdzie łuna z ognisk, które ludzie Brunulfa rozpalili w forcie i na pobliskich polach, rozświetlała brzuchy nisko wiszących chmur. – Są ich ze trzy setki.

– Więcej! – stwierdziłem.

– A jeśli zaatakują?

– Nasi zwiadowcy dadzą nam znać. Po to wystawiliśmy strażę.

– Jeśli przyjadą konno – ciągnął mój syn – nie będziemy mieli zbyt dużo czasu.

– Co ty byś zrobił? – spytałem.

– Pojechałbym kilka mil dalej na północ.

W blasku płomieni zobaczyłem troskę malującą się na jego twarzy. Mój syn nie był tchórzem, ale nawet najodważniejszy człowiek musiał wiedzieć, na jakie niebezpieczeństwo narażaliśmy się, rozpalając ogniska i zdradzając swoją pozycję wrogowi, który miał nad nami co najmniej dwukrotną przewagę.

Spojrzałem na Finana.

– Powinniśmy się przenieść?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Ryzykujesz, to pewne.

– Czemu więc to robię?

Ludzie pochyłili się do przodu, nadstawiając uszu. Redbad, Fryz zaprzysiężony mojemu synowi, który jeszcze chwilę temu wygrywał cichą

melodię na fletni pana, urwał i spoglądał na mnie z wyczekiwaniem. Finan rozciągnął usta w uśmiechu, blask płomieni załśnił w jego oczach.

– Czemu to robisz? – powtórzył. – Bo wiesz, co zrobi wróg, oto dlaczego.

Przytaknąłem

– A co zrobi wróg? – zapytałem po chwili.

Finan ściągnął brwi, rozmyślając nad odpowiedzią.

– Przekłęci dranie szykują pułapkę, tak?

I tym razem kiwnąłem głową.

– Przekłęci dranie myślą, że są sprytni i że za dwa dni wpadniemy w ich zasadzkę. Dlaczego za dwa dni? Bo jutro muszą wszystko przygotować. Może się mylę i może zrobią to już dziś, choć nie sądzę. Ryzykujemy. Ale musimy ich przekonać, że niczego się nie spodziewamy. Że jesteśmy jak owce, które czekają na rzeź, i dlatego się stąd nie ruszymy. Musimy udawać małe, niewinne owieczki.

– Beeee – zabeczał jeden z moich ludzi, a po chwili meczeli już wszyscy, przez co w osadzie zrobiło się głośno jak w Dunholmie w dzień targowy.

Mój syn, którego nie bawiły te wygłupy, czekał, aż hałas ucichnie.

– Zasadzkę? – zapytał.

– Spróbuj ich rozgryźć – rzekłem i sam poszedłem się położyć, główkując nad tym, co dla nas szykują.

Mogłem się mylić. Leżąc w zapchlonej norze i słuchając śpiewu i chrapania ludzi, uznałem, że pomyliłem się co do powodu, dla którego Sasi zachodni przybyli do Hornecastre. Nie ściągnęli tu po to, żeby odwrócić uwagę ludzi od najazdu Konstantyna, albowiem Edward nie był

głupcem, który wymieniłby kawałek Northumbrii na nowy klasztor na Lindisfarenie. Miał nadzieję, że pewnego dnia będzie królem wszystkich saskich ziem, i nigdy nie oddałby Szkotom żyznych wzgórz i pastwisk Bebbanburga. Zresztą dlaczego miałby darować wrogowi jedną z największych fortec Brytanii? Stwierdziłem więc, że to nic więcej, jak niefortunny zbieg okoliczności. Konstantyn pomaszerował na południe, podczas gdy Sasi zachodni ruszyli na północ – jednych i drugich prawdopodobnie nic nie łączyło. Prawdopodobnie. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Liczyła się obecność Brunulfa w starym nadrzecznym forcie.

Rozmyślałem o Brunulfie i ojcu Herefricie. Który z nich tak naprawdę dowodził?

Rozmyślałem o ludziach, którzy woleli zawrócić, niż spotkać się z nami.

I o sztandarze, który zniknął z murów fortu.

Przede wszystkim jednak dziwił mnie serdeczny ton rozmów. Zwykle, gdy wrogie strony stają naprzeciw siebie, obrzucają się obelgami. To niemal rytuał, tymczasem Brunulf był korny, uprzejmy i odnosił się do mnie z szacunkiem. Jeśli jego obecność w Northumbrii miała sprowokować atak, który stanie się dla Wessexu pretekstem do złamania rozejmu, dlaczego nie był wobec mnie wrogi? To prawda, ojciec Herefrith miał niewyparzoną gębę, lecz tylko on jeden próbował wyprowadzić mnie z równowagi. Zupełnie jakby pozostali starali się uniknąć walki. Jeśli jednak istotnie tak było, po co w ogóle tu ścigali?

Łgali, to oczywiste. Nie było żadnego edyktu, który przekazywał te ziemie Anglii Wschodniej, ani żadnego kostura Świętego Erpenwalda – jeśli nieszczęśnik w ogóle miał jakiś kij, musiał on zniknąć lata temu – a nasi wrogowie nie zamierzali płacić myta w złocie. Jednak żadne z tych

kłamstw nie było powodem do wszczęcia wojny. Powodem miała być sama ich obecność... ich nierzucająca się w oczy obecność. A jednak Wessex chciał wojny?

Wówczas pojąłem.

Nagle.

W środku nocy, patrząc przez otwarte drzwi chaty na ognistą łunę muskającą chmury na południu, zrozumiałem. Myśl ta przez cały dzień kołatała mi się z tyłu głowy, na wpół uformowana nie dawała mi spokoju, raptem jednak nabrała kształtu. Już wiedziałem, dlaczego tu są.

I byłem niemal pewien, kiedy rozpocznie się walka – za dwa dni.

Wiedziałem zatem dlaczego i domyślałem się kiedy, ale gdzie?

Pytanie to spędzało mi sen z powiek. Leżałem przy drzwiach otulony peleryną z futer wydr i słuchałem szeptów rozmów przy dogasających ogniskach. Osmalone słupy, belki i krokwie spalonego dworu posłużyły nam za drewno na opał i sprawiły, że zacząłem się zastanawiać, czy Brunulf rzeczywiście sprowadził bale na budowę kościoła. Jeśli, jak twierdził, istotnie miał zamiar cokolwiek wybudować – a przecież zadał sobie wiele trudu, by wykopać fundamenty kościoła – to albo przywiózł je ze sobą, albo zamierzał wycinać okoliczne drzewa. Na niewielkich wzgórzach niedużo było starych lasów, ale w drodze na północ z Hornecastre przecinaliśmy kępę starych dębów i kasztanowców. Były to imponujące drzewa i pamiętam, że zastanawiałem się, dlaczego nie wycięto ich na drewno lub choćby po to, żeby zrobić miejsce na kolejne pastwiska.

Po rozmowie z Brunulfem pojechaliliśmy na północ ścieżką dla bydła biegnącą przez zalesiony pas, który niczym przeszkoda przecinał ją na niewielkim, niemal niezauważalnym wzniesieniu. Grzbiet ten znajdował się mniej więcej w połowie drogi między spalonym obejściem a starym fortem. A zatem jeśli Brunulf chce się z nami spotkać przy kamieniu, będzie

zmuszony przejechać przez las. Myśl ta sprawiła, że nagle poczułem się w pełni rozbudzony. Oczywiście! Jakież to było proste! Postanowiłem wstać. Nie musiałem się ubierać ani wkładać butów, wszyscy bowiem spaliśmy albo próbowaliśmy zasnąć w pełnym rynsztunku, na wypadek gdyby Sasi zachodni chcieli nas jednak zaskoczyć. Wątpiłem, by tak się stało, bo jak się domyślałem, mieli inne plany, uznałem jednak, że nie zaszkodzi, by moi ludzie mieli się na baczności. Przypasałem Oddech Węża i wyszedłem w noc, kierując się ścieżką na południe. Finan musiał zobaczyć, że wychodzę, bo wkrótce do mnie dołączył.

– Nie możesz spać?

– Zaatakują w środę rano – odparłem.

– Jesteś pewien?

– Nie do końca. Ale postawię Tintrega przeciwko tej kulawej chabecie, którą nazywasz koniem, że się nie mylę. Przed południem Brunulf przybędzie porozmawiać z nami i wtedy zaatakują. W środę. – Uśmiechnąłem się w noc. – To dobry znak.

Zostawiliśmy za sobą osadę i szliśmy w górę łagodnego zbocza, na którym wypasano bydło. Gdzieś na prawo rzeka toczyła swe wody. Ukryty za chmurami księżyc dawał wystarczająco dużo światła, byśmy widzieli ścieżkę i las, który niczym wielka, utkana z cieni zaporą oddzielał nas od fortu.

– Tam dojdzie do walki – powiedziałem, wskazując na drzewa.

– W lesie?

– Na drugim jego końcu. Nie jestem pewien, ale tak myślę.

Przez chwilę Finan szedł w ciszy.

– Ale skoro chcą walczyć za lasem, czemu każą nam czekać po tej stronie?

– Bo tak sobie umyślili – odparłem tajemniczo. – Pytanie tylko, ilu ludzi przywiodą.

– Wszystkich, którymi dysponują! – rzucił Finan.

– Nie.

– Wydajesz się bardzo pewny – zauważył z powątpiewaniem.

– Czy kiedykolwiek się pomyliłem?

– Słodki Jezu, chcesz, żebym sporządził listę wszystkich twoich pomyłek?

Roześmiałem się.

– Poznałeś arcybiskupa Hrothwearda. Jaki on jest?

– Och, to miły człowiek – odparł ciepło.

– Naprawdę?

– Przemiły. Przypomina mi ojca Pyrliga, tyle że nie jest gruby.

To dobrze wróżyło. Pyrlig był walijskim księdzem, człowiekiem dobrym do wypitki i do walki w murze tarcz. Zawierzyłbym mu swoje życie, które zresztą nieraz uratował.

– O czym rozmawialiście?

– Biedak martwił się Konstantynem. Pytał o niego.

– Martwił?

– Niełatwo będzie odbudować Lindisfarenę bez zgody Konstantyna.

– Może wyda pozwolenie – odrzekłem. – Jest chrześcijaninem. Tak jakby.

– To samo mu powiedziałem.

– Pytał o Bebbanburg?

– Pytał, czy moim zdaniem Konstantyn go zdobędzie.

– I co mu rzekłeś?

– Że nie. Chyba że weźmie ich głodem.

– Co uczyni – odparłem – do wiosny. – Przez chwilę szliśmy w milczeniu. – To dziwne – odezwałem się w końcu – że Brunulf buduje kościół, podczas gdy Hrothweard odbudowuje klasztor. Myślisz, że to przypadek?

– Ludzie cały czas coś budują.

– To prawda – przyznałem. – Ale nadal uważam, że to dziwne.

– Myślisz, że naprawdę budują tutaj kościół? – spytał Finan.

Pokręciłem głową.

– Ale muszą mieć powód, żeby tu być, a ten powód jest równie dobry jak każdy inny. Tak naprawdę chcą wojny.

– Którą im dasz?

– Tak?

– Tak, jeśli staniesz do walki – odparł podejrzliwie Finan.

– Powiem ci, co zamierzam. W środę pozbędziemy się tych drani, pojedziemy na południe i wybijemy królowi Edwardowi z głowy podobne bzdury, a potem zdobędziemy Bebbanburg.

– Tylko tyle?

– Tak – odparłem. – Tylko tyle.

Finan się roześmiał, gdy jednak zobaczył w blasku księżyca moją twarz, poblądł i szepnął:

– Chryste, zamierzasz walczyć z Konstantynem i swoim kuzynem? Jak, u diabła, mamy to zrobić?

– Nie wiem – przyznałem – ale jeszcze w tym roku wrócę do Bebbanburga. I zdobędę go.

Złapałem w dłoń młot Thora, a Finan zacisnął palce na krzyżu, który nosił na szyi. Nie miałem pojęcia, jak zdobędę fortecę, wiedziałem tylko, że moi wrogowie uwierzyli, iż przegnali mnie z ojcowizny, a ja nie

zamierzałem wyprowadzać ich z błędu, dopóki moje miecze nie sprawią, że ziemia ta spłynie ich krwią.

Dotarliśmy do stojącej przy ścieżce kamiennej kolumny. Dotknąłem jej, zastanawiając się, czy wciąż ma jakieś mroczne moce.

– Był bardzo konkretny – rzekłem.

– Książdz?

– Co do miejsca spotkania. Czemu nie chciał spotkać się z nami przy lesie? – ciągnąłem. – Albo bliżej fortu?

– Ty mi powiedz.

– Chce, żebyśmy tu byli – odparłem, wodząc dłonią po chropowatym kamieniu – żebyśmy widzieli, co się dzieje po drugiej stronie zagajnika.

Finan wyglądał na zdezorientowanego, ale nie dałem mu czasu na zadawanie pytań. Zamiast tego ruszyłem na południe w kierunku drzew i gwizdnąłem na palcach. Chwilę później ktoś odpowiedział gwizdnięciem i ze skraju lasu wychynął Eadric. Był prawdopodobnie najlepszym z moich zwiadowców, starszym mężczyzną, który niczym kłusownik potrafił poruszać się po lesie cicho jak duch. Niósł róg, w który miał zadać, gdyby Sasi zachodni opuścili fort, twierdził jednak, że od zachodu słońca za murami panował spokój.

– Nawet nie wysłali zwiadowców, panie – powiedział zniesmaczony niefrasobliwością wroga.

– Jeśli się nie mylę... – zacząłem.

– ... czyli jak zawsze – wtrącił Finan.

– Jutro opuszczą fort. Chcę, żebyś ich wypatrywał.

Eadric skrzywił się i podrapał po brodzie.

– A jeśli opuszczą fort z drugiej strony?

– Tak właśnie zrobią – zapewniłem go. – Znasz jakieś miejsce, z którego mógłbyś obserwować południowe mury?

Zawahał się. Fort otaczały równiny, na których tu i ówdzie wyrastał jakiś młodnik.

– Gdzieś tam powinien być jakiś rów – rzekł w końcu.

– Muszę wiedzieć, ilu ludzi opuszcza fort – ostrzegłem. – I gdzie się kierują. Wieści przekażesz mi jutro po zmroku.

– Czyli jeszcze dziś muszę znaleźć kryjówkę – rzucił ostrożnie, chcąc dać nam do zrozumienia, że wróg najpewniej wypatrzyłby go w świetle dnia. – A jeśli jutro mnie znajdą... – zawiesił głos.

– Powiedz, że jesteś dezserterem. Pokaż im krzyż i powiedz, że dość masz służby u pogańskiego drania.

– To akurat jest prawda – bąknął Eadric, na co Finan parsknął śmiechem.

Wszyscy trzej ruszyliśmy ścieżką przez las, do miejsca, z którego widzieliśmy wały fortu rozświetlone blaskiem ognisk płonących na dziedzińcu. Wydeptana przez bydło dróżka przez ponad milę opadała prosto i podobnie jak rzymski trakt przecinała pastwisko. Za dwa dni o świcie Brunulf wyjedzie na nią wraz z jedenastoma ludźmi i uprzejmie odmówi płacenia w złocie Sigtryggrowi.

– Jeśli Brunulf ma choćby krztę rozsądku, a domyślam się, że tak jest, pośle zwiadowców, żeby upewnić się, że nie zasadziliśmy się na niego przy ścieżce. – Las odgrywał tutaj główną rolę. Była to rozległa gęstwa pełna starych drzew, powalonych pni, splątanych bluszczów i ciernistych zarośli. Zastanawiałem się, czemu nikt nie przeredził drzew ani ich nie ogłowił, dlaczego nie wyrabiano tu węgla drzewnego i dlaczego nie ścięto wiekowych dębów na cenne drewno. Pomyślałem, że może trwa spór o to, kto jest jego właścicielem, i dopóki nie zostanie on rozsądzony, las

pozostanie bezpieczni. – A jeśli zastawimy tu pułapkę – ciągnąłem – a Brunulf wyśle zwiadowców, ci o wszystkim mu doniosą.

– Czyli nici z zasadzki – burknął Finan.

– Tylko tu możemy ich zaskoczyć – zauważyłem.

– Słodki Jezu – rzucił poirytowany Irlandczyk.

Eadric mruknął.

– Gdybyś posłał mnie na zwiad, panie, nie przeszukiwałbym całego lasu. Jest za duży. Zapuściłbym się na odległość lotu strzały po obu stronach ścieżki.

– A na miejscu Brunulfa – dodał Finan – nie obawiałbym się tutaj żadnej pułapki.

– Nie? – spytałem. – Dlaczego?

– Bo widać go z fortu jak na dłoni! Jadąc do miejsca, gdzie wie, że mamy się z nim spotkać? Gdybyśmy chcieli go zabić, czemu nie mielibyśmy czekać, aż dotrze do kamienia? Po co zabijać go na widoku?

– Pewnie masz rację – odparłem i myśl ta dodała mi otuchy, choć Finan sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdumionego. – Ale jutro pewnie przyśle tu zwiadowców – zwróciłem się do Eadrica – żeby rzucili okiem na to miejsce przed dniem Wodana. Powiedz więc swoim ludziom, żeby wynieśli się stąd przed świtem.

Mówiłem pewnym głosem, choć targały mną wątpliwości. Czy Brunulf przeszukałby lasy w dzień Wodana, tuż przed tym, jak się w nie zapuści? Eadric miał rację. Las był rozległy, lecz konny dość szybko przejechałby z jednego końca w drugi, nawet jeśli przeszukanie gęstego poszycia zajęłoby trochę czasu. Nie wiedziałem jednak, gdzie indziej moglibyśmy ich zaskoczyć.

– Zresztą – odezwał się Finan – po co w ogóle chcesz się na niego zasadzać? Ściągniemy sobie na karki trzy setki wściekłych Sasów, którzy

wypadną na nas z fortu! Jeśli zaczekasz, aż dotrze do kamienia – kiwnął głową w stronę gospodarstwa – wyrzniemy ich w pień i nikt się o tym nie dowie. Nikt niczego nie zobaczy!

– To prawda – przyznałem. – Masz rację.

– A więc? – spytał.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Myślę jak nasz wróg. Zawsze należy planować bitwy z perspektywy przeciwnika.

– Ale...

Uciszyłem go.

– Nie tak głośno, bo pobudzisz trzy setki wściekłych Sasów – zażartowałem. Świetnie się bawiłem, widząc na twarzy Finana coraz większe zdumienie. – Chodźmy tędy – rzekłem i powiodłem swoich towarzyszy na zachód, w stronę linii drzew. Za dnia strażnicy na murach fortu ani chybi by nas zobaczyli, wątpiłem jednak, by ktokolwiek dostrzegł odziane na czarno sylwetki na tle ciemnej ściany lasu. Teren opadał tu w stronę rzeki, zdradliwy i bardziej stromy, niż mógłby się wydawać. Gdyby któryś ze zwiadowców Brunulfa jechał tędy, wkrótce straciłby z oczu ścieżkę i uznał, że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie planował zasadzki na skraju lasu, choćby dlatego, że nie byłby w stanie zobaczyć stąd ludzi, na których się zasadzał. To dało mi nadzieję. – Wystarczy nam pięćdziesięciu wojów – orzekłem. – Konnych. Ukryjemy ich wśród niższych drzew i pošlemy zwiadowców w górę zbocza, żeby dali nam znać, gdy Brunulf dotrze na skraj lasu.

– Ale... – zaczął znowu Finan.

– Pięćdziesięciu powinno wystarczyć – przerwałem mu. – Choć wszystko zależy od tego, ilu zbrojnych opuści jutro fort.

– Pięćdziesięciu! – powiedział z oburzeniem Finan. – Podczas gdy oni mają przeszło trzy setki! – Wskazał głową na południe. – Trzy setki! Ledwie milę stąd.

– Biedni dranie – rzuciłem – nie mają pojęcia, co ich czeka! – Odwróciłem się w stronę ścieżki. – Wracajmy i spróbujmy się zdrzemnąć.

Tymczasem zamiast spać, leżałem i martwiłem się, że mogłem się mylić.

Bo jeśli tak, los Northumbrii był przesądzony.

Nazajutrz się rozjuszyłem.

Władająca Mercją lady Aethelflaed zawarła pokój z Sigtryggrem, który chcąc przypieczętować ów rozejm, oddał jej cenne ziemie i imponujące burhy. Gest ten uraził część duńskich jarłów na południu Northumbrii, którzy wypowiedzieli mu posłuszeństwo, choć wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, że odmówią udziału w walce, w razie gdyby doszło do inwazji. Wiedziałem jednak, że w podpisywaniu traktatu brali udział wysłannicy Sasów zachodnich, którzy przybyli do kościoła w Ledecestre, by wysłuchać przysięg, i przywieźli pisemną zgodę od króla Edwarda na pokój zawarty przez jego siostrę.

Nikt jednak nie dał się nabrać. Sigtryggr może wynegocjował pokój, lecz był on nietrwały. Sasi zachodni podbili Anglię Wschodnią, czyniąc z tej niegdyś dumnej krainy część Wessexu, a Aethelflaed przywróciła Mercji jej dawne granice sprzed duńskiego najazdu na Brytanię. Po latach wojen, które wykrwawiły armie Wessexu, Mercji i Northumbrii, pokój wydawał się zbawieniem, dawał bowiem czas na wyszkolenie nowych wojowników, wykucie nowych włóczni i okucie żelazem wierzbinowych tarcz. Dawał też Mercji i Wessexowi czas na stworzenie nowych,

większych armii, które w końcu ruszą na północ i zjednoczą saskie ludy w jedno królestwo zwane Englaladem.

Teraz Wessex chciał złamać pokój, co mnie rozjuszyło.

Czy może raczej członkowie zachodniosaskiego dworu pragnęli końca pokoju. Wiedziałem, bo moi ludzie w Wintanceasterze informowali mnie o wszystkim. Dwóch księży, karczmarz, jeden z członków straży przybocznej, królewski cześnik i tuzin innych ludzi ślali wieści, które kupcy przywozili na północ. Niektóre z nich były spisane, inne szeptano na ucho i powtarzano mi kilka tygodni później, jednak ubiegły rok potwierdzał, że Aethelhelm, teść Edwarda i jego główny doradca, naciskał na szybką inwazję na Northumbrię. Frithestan, biskup Wintanceasteru i zagorzały zwolennik Aethelhelma, wygłosił na pastercie płomienne kazanie, w którym utyskiwał, że północne ziemie nadal są pod rządami pogan, i pytał, dlaczego chrześcijańscy wojownicy Wessexu nie wypełniają woli bożej i nie ruszają na Sigtryggra i każdego Duńczyka czy Norwega na południe od szkockiej granicy. Aelflaed, żona Edwarda, nagrodziła biskupa za ową mowę, darowując mu bogato haftowaną stułę, manipularz obszyty granatami i dwa pióra z ogona kogucika, który piał trzy razy, gdy ktoś powiedział coś, co nie spodobało się ukrzyżowanemu bogu. Edward nie ofiarował biskupowi niczego, co potwierdzało plotki, że król i jego żona różnią się nie tylko w kwestii inwazji na Northumbrię, ale także w każdej innej. Edward nie był tchórzem, dobrze dowodził armią w Anglii Wschodniej, lecz potrzebował czasu, by narzucić swój autorytet mieszkańcom podbitych ziem. Musiał mianować biskupów, pobudować kościoły, rozdzielić ziemie między popleczników i umocnić mury wokół zdobytych miast.

– Z czasem – zapewnił swoją radę – z czasem podbijemy Północ. Ale jeszcze nie teraz.

Tyle że Aethelhelm nie chciał czekać.

Nie mogłem go za to winić. Zanim mój zięć został królem w Eoferwicu, sam ponaglałem Aethelflaed, powtarzając jej, że Duńczycy na Północy są źle zorganizowani, bezbronni i że to odpowiedni czas, by ich podbić. Ale ona, podobnie jak teraz Edward, chciała więcej czasu. Chciała powiększyć swą armię, dlatego czekaliśmy. Teraz to ja byłem bezbronny. Konstantyn zagrabił większą część północy, a Aethelhelm, najpotężniejszy z ealdormanów Wessexu, szukał pretekstu, by uderzyć na południe. Z jednej strony miał rację: Northumbria była gotowa, żeby ją podbić, z drugiej jednak Aethelhelm pragnął zwycięstwa nad Sigtryggrem tylko w jednym celu – by mieć pewność, że jego wnukowie będą władać zjednoczonym królestwem Anglii.

Edward, król Wessexu i zięć Aethelhelma, na długo przed tym, nim zasiadł na tronie, poślubił w tajemnicy dziewczynę z Kentu. Mieli syna Aethelstana, którego matka zmarła przy porodzie. Edward poślubił wówczas Aelflaed, córkę Aethelhelma, rozdawczynię piór, i miał z nią kolejne dzieci, z których jedno, Aelfwearda, uważano za aethelinga, następcę tronu Wessexu. Tyle że moim zdaniem wcale nim nie był. Starszy od niego Aethelstan mimo plotek o nieprawym pochodzeniu był prawowitym synem Edwarda, a także niezłomnym, dzielnym i imponującym młodym mężczyzną. Aethelflaed, siostra Edwarda, podobnie jak ja popierała prawa Aethelstana do tronu, jednak mieliśmy przeciwko sobie najbardziej wpływowego ealdormana w całym Wessexie. Nie miałem też wątpliwości, że Brunulf i jego ludzie przybyli do Northumbrii, by wywołać wojnę, której tak bardzo pragnął Aethelhelm. To dowiedzie, że frakcja pokojowa w Wessexie myliła się, podczas gdy Aethelhelm miał rację. Zasłynie jako człowiek, który zjednoczył wszystkich Sasów, i sława ta jeszcze bardziej umocni jego pozycję. Jego

wnuk zasiądzie na tronie, a los Aethelstana, podobnie jak los Northumbrii, będzie przesądzony.

Dlatego musiałem powstrzymać Brunulfa i pokonać Aethelhelma.

Mając do dyspozycji pięćdziesięciu ludzi.

Ukryty w lesie.

O świcie.

Ukryliśmy się pośród niższych drzew na długo przed tym, jak niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Przerażone ptaki poderwały się do lotu, kiedy dotarliśmy na miejsce, i obawiałem się, że zachodniosascy zwiadowcy zwęszą podstęp, ale jeśli Brunulf wysłał ich do lasu, to nie podnieśli alarmu. Jego konni udali się na zwiad przed wieczorem, jednak pobieżnie przejrzeni okolicę, a ponieważ wcześniej wycofałem swoich zwiadowców, niczego nie znaleźli. Martwiłem się, że mógł zostawić strażników, by całą noc obserwowali okolicę, lecz nic na to nie wskazywało i tylko spłoszone ptaki i stworzenia nocy wiedziały o naszym przybyciu. Zsiadłszy z koni, zaczęliśmy się przedzierać przez gęste poszycie, a gdy dotarliśmy na południowy skraj lasu, czekaliśmy, aż wszystko dookoła nas się uspokoi.

Wiedziałem, że musimy się przygotować na długie oczekiwanie, albowiem Brunulf będzie zwlekał z opuszczeniem fortu, aż się rozwidni, nie chciałem jednak wchodzić do lasu po wschodzie słońca, na wypadek gdyby stada spłoszonych ptaków zaalarmowały Sasów zachodnich. Finan, który nadal nie wiedział, co właściwie zamierzam, przestał mnie rozpytywać, usiadł oparty plecami o omszały pień powalonego dębu i przeciągał osełką po ostrzu tak ostrym, jak nożyce w dłoniach trzech prządek. Mój syn grał w kości z dwoma ze swoich ludzi, a ja wziąłem Berga na stronę.

- Musimy porozmawiać – powiedziałem mu.
- Zrobiłem coś złego? – spytał zaniepokojony.
- Nie. Mam dla ciebie zadanie.

Poprowadziłem go do miejsca, gdzie nikt nas nie usłyszy. Lubiłem Berga Skallagrimmrsona i ufałem mu bezgranicznie. Był młodym Norwegiem, silnym, lojalnym i zręcznym. Ocaliłem mu życie, za co był mi wdzięczny, choć jego lojalność wykraczała daleko poza zwykłą wdzięczność. Był dumny, że jest jednym z moich ludzi, tak dumny, że próbował wytatuować sobie na policzku wilczą głowę, i czuł się urażony, gdy pytano go, dlaczego ma na twarzy świńskie łby, ale był sumienny, godny zaufania i bystry, choć powolny.

- Po wszystkim będę musiał jechać na południe – powiedziałem mu.
- Na południe, panie?
- Tak, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Ale jeśli coś pójdzie nie tak? – Wzruszyłem ramionami i dotknąłem młota zawieszzonego na szyi.

Odkąd opuściliśmy obejście, wypatrywałem i nasłuchiwałem znaków, jednak nic nie zdradzało woli bogów. Poza tym, że był to dzień Wodana, co samo w sobie było dobrym znakiem.

– Będziemy walczyć, tak? – Berg sprawiał wrażenie podenerwowanego, jak gdyby obawiał się, że nie będzie miał okazji chwycić za miecz.

– Tak – odparłem z nadzieją, że tak właśnie będzie. – Ale spodziewam się, że wystawią przeciwko nam około trzydziestu wojowników.

– Tylko trzydziestu? – spytał rozczarowany.

– Może trochę więcej – odrzekłem. Wczoraj wieczorem Eadric przyniósł wieści, których się spodziewałem. Dwudziestopięcio-, trzydziestoosobowa grupa konnych opuściła fort, kierując się na południe. Eadric, ukryty w rowie nieopodal Sasów zachodnich, nie mógł pojechać za nimi i zobaczyć, czy skręcili na wschód, czy na zachód. Zgadywałem, że

ruszyli na wschód, a nadchodzący dzień miał potwierdzić, czy miałem rację. – Lecz tych trzydziestu – ciągnąłem – będzie walczyło zajadle.

– I dobrze – powiedział ucieszony Berg.

– Chcę jeńców!

– Tak, panie – odparł ochoczo.

– Jeńców – powtórzyłem. – Nie chcę, żebyś z uśmiechem na ustach zarzynał każdego, kto stanie ci na drodze.

– Dobrze, panie. Obiecuję. – Dotknął młota, który nosił na szyi.

– Po wszystkim ja pojedę na południe, a ty udasz się na północ. Dam ci złoto. Całe mnóstwo złota!

Nic nie rzekł, tylko otworzył szeroko oczy i wpatrywał się we mnie z powagą.

– Poślę z tobą ośmiu ludzi – dodałem. – Norwegów i Duńczyków. Będziecie musieli wrócić do Eoferwicu.

– Eoferwicu – powtórzył niepewnie.

– Do Jorviku! – Rozpromienił się, kiedy użyłem nazwy, którą nadali miastu Norwegowie. – A w Jorviku kupicie trzy łodzie.

– Łodzie! – Zdawał się zaskoczony.

– Duże drewniane rzeczy, które unoszą się na wodzie.

– Wiem, co to łódź, panie – zapewnił mnie.

– To dobrze! W takim razie kupisz trzy. Każda ma pomieścić trzydziesto-, czterdziestoosobową załogę.

– Łodzie bojowe, panie? – spytał. – Czy handlowe?

– Bojowe – odparłem. – Będą mi potrzebne niedługo. Może nawet za dwa tygodnie? Nie wiem. Może trochę dłużej. Kiedy dotrzecie do Eoferwicu – ciągnąłem – nie wjeżdżajcie do miasta. Kupujcie jedzenie w oberży Kaczka. Pamiętasz, gdzie to jest?

Pokiwał głową.

– Pamiętam, panie. Tuż za murami miasta, tak? Ale mamy nie wchodzić do Eoferwicu?

– Mogą was rozpoznać. Czekać w Kaczce. Będziecie mieli mnóstwo pracy przy naprawie zakupionych łodzi, ale jeśli wejdziecie do miasta, ktoś was rozpozna i będzie wiedział, że to ja was przysłałem. – Wielu mieszkańców Eoferwicu widziało moich ludzi przejeżdżających ulicami miasta i niektórzy z nich mogli zapamiętać wysokiego, przystojnego, długowłosego Norwega z łbami wilków wytatuowanymi na policzkach. Jednak tak naprawdę miałem nadzieję, że ktoś go zapamiętał.

Berg był wspaniałym młodzieńcem, lecz brakowało mu przebiegłości. Nie potrafił kłamać, tak jak nie potrafił przeskoczyć na księżyc, a gdy próbował, czerwienił się, wiercił i wyglądał na zboląłego. Szczerłość miał wymalowaną na twarzy, podobnie jak świnie. Jednym słowem był spolegliwy. Wiedziałem, że jeśli powiem mu, żeby trzymał misję w tajemnicy, zrobi to, ale wiedziałem też, że zostanie rozpoznany, i o to mi chodziło.

– Potrafisz dochować tajemnicy? – spytałem go.

– Tak, panie! – Dotknął młota zawieszonoego na szyi. – Klnę się na swój honor!

Ściszyłem głos i pokazałem mu, by nachylił się w moją stronę.

– Nie zdobędziemy Bebbanburga – rzekłem.

– Nie, panie? – W jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

– Są tam Szkoci – ciągnąłem – i choć chętnie staję do walki, nie mogę walczyć z całym narodem. A Szkoci to wściekli dranie.

– Słyszałem – odparł.

– Dlatego udamy się do Fryzji. – Jeszcze bardziej zniżyłem głos.

– Do Fryzji! – powtórzył zaskoczony.

– Ćśśś! – uciszyłem go, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby nas usłyszeć.

– Sasi najadą Northumbrię – rzekłem – a Szkoci zatrzymają północ, nigdzie więc nie będzie dla nas miejsca. Musimy zatem przepłynąć morze. Znajdziemy nową ziemię i osiedlimy się we Fryzji, ale nikt nie może o tym wiedzieć!

Berg kolejny raz dotknął młota.

– Nic nie powiem, panie! Przysięgam.

– Możesz powiedzieć jedynie tym, którzy sprzedadzą ci łodzie, oni bowiem muszą wiedzieć, że będziemy przeprowiać się przez morze. Możesz też powiedzieć Olli, właścicielowi Kaczki, ale nikomu więcej!

– Nikomu, panie, przysięgam!

Wiedziałem, że wystarczy powiedzieć tym nielicznym, by plotka przed zachodem słońca obiegnęła cały Eoferwic i połowę Northumbrii, i tak przed końcem tygodnia mój kuzyn usłyszałby historię o tym, że opuszczam Brytanię i płynę do Fryzji.

Może i był oblegany, wiedziałem jednak, że znajdzie sposób, by wysyłać posłańców i wpuszczać ich do twierdzy. Na wałach od strony morza znajdowała się brama wypadowa, niewielki otwór w drewnianym murze, prowadzący na szczyt klifu. Nie nadawała się do tego, by zaatakować Bebbanburg, bo niemożliwością było dotrzeć do niej, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. By jej dosięgnąć, trzeba było przeciąć plażę i wspiąć się niezwłocznie na skały pod wysokimi wałami. Ktoś mógłby zakraść się do niej pod osłoną nocy, ale mój ojciec dbał o to, by bramę tę zawsze zamykano od środka, i byłem pewien, że mój kuzyn postępuje tak samo. Podejrzywałem, że wypuszczał ludzi przez owo niewielkie przejście i może przemyślał ich do środka na łodzi pod osłoną mgły, dlatego nie wątpiłem, że w końcu dotrą do niego wieści o tym, że

kupiłem łodzie. Może nie uwierzy w historyjkę o Fryzji, ale Berg w nią uwierzył, a jego szczerość i prostolinijność miały przekonać ludzi o jej prawdziwości. W najgorszym wypadku mój kuzyn nabierze podejrzeń co do moich planów.

– Pamiętaj – przykazałem – możesz powiedzieć tylko ludziom, od których kupisz łodzie. I Olli. – Wiedziałem, że karczmarz nie będzie w stanie utrzymać języka za zębami. – Olli możesz zaufać.

– Olla – powtórzył Berg.

– W jego karczmie znajdziesz wszystko, co będzie ci potrzebne – dodałem. – Dobrze ale, stawę i ładne dziwki.

– Dziwki, panie?

– Dziewki, które...

– Tak, panie, wiem, kto to dziwka – odparł oburzony.

– A Olla ma córkę, która szuka męża.

Słyszając to, poweselał.

– Ładna jest, panie?

– Ma na imię Hanna – odrzekłem – jest łagodna jak gołębek, delikatna jak masło, posłuszna jak pies i śliczna jak poranek. – Przynajmniej to ostatnie było prawdą. Spojrzałem na wschód i zobaczyłem, że niebo zaczyna się rozjaśniać. – A teraz – ciągnąłem – najważniejsze. Olla wie, że jesteś moim człowiekiem, ale nikt więcej nie może się o tym dowiedzieć. Nikt! Jeśli ktoś cię spyta, mów, że pochodzisz z południowej Northumbrii i opuszczasz swe ziemie przed najazdem Sasów. Wracasz do domu przez morze. Opuszczasz Brytanię. Uciekasz.

Berg ściągnął brwi.

– Rozumiem, panie, ale... – Urwał, najwyraźniej niezadowolony z myśli o ucieczce przed wrogami. Był dzielnym młodym człowiekiem.

– Spodoba ci się we Fryzji – zapewniłem go.

Zanim zdążyłem cokolwiek dodać, Rorik, mój służący, wypadł zza drzew, uchylając się przed kolcami.

– Panie, panie!

– Ciszej! – zbeształem go. – Ciszej!

– Panie! – Przykucnął obok mnie. – Wysłał mnie Cenwulf. Z fortu wyjeżdżają konni!

– Ilu?

– Trzech, panie.

Zwiadowcy – pomyślałem. Rorik, Cenwulf i dwaj inni zwiadowcy kryli się nieco wyżej na wzgórzu, skąd mieli widok na południową stronę fortu.

– Porozmawiamy później – powiedziałem Bergowi.

Wróciłem do miejsca, gdzie czekało na mnie pięćdziesięciu moich ludzi, i nakazałem im, by byli cicho.

Trzej zwiadowcy wjechali ścieżką w las, jednak nie zadali sobie trudu, by zapuścić się dalej na wschód albo zachód. Długo się ociągali. Cenwulf, który ich obserwował, powiedział, że pojechali na północny skraj lasu, skąd widzieli dwunastu moich ludzi i konie, zbitych w gromadę przy kamieniu. Widok ten musiał ich uspokoić, albowiem zawrócili i odjechali na południe. Jechali niespiesznie, najwyraźniej zadowoleni, że żadne niebezpieczeństwo nie czai się na nich pośród drzew. Teraz jednak słońce stało wyżej, muskając nieliczne strzępiaste chmury i barwiąc ich brzegi na złoto. Zapowiadał się piękny dzień, przynajmniej dla nas. Jeśli miałem rację. Jeśli.

Odesłałem Rorika z powrotem do ukrytych wśród drzew strażników i nic się nie wydarzyło. Z wyższych partii lasu wyszła na pastwisko łania, przez chwilę węszyła w powietrzu i usłyszawszy coś, odwróciła się w stronę drzew. Kusiło mnie, by dołączyć do zwiadowców i samemu

spojrzeć na fort, lecz się powstrzymałem. Moja obecność na nic by się nie zdała, a im mniej hałasu robiliśmy, tym lepiej. Zaczynałem się pocić. Miałem na sobie kolczugę, a pod nią skórzany kaftan, wełniane portki wetknięte w buty, ciężkie od wszytych w skórę żelaznych płytek. Na szyi zawiesiłem złoty łańcuch z prostym, kościanym młotem. Do pasa przytroczyłem Oddech Węża, a tarcza, hełm i włócznia czekały oparte o drzewo.

– Może nie przyjedzie – mruknął późnym rankiem Finan.

– Brunulf przyjedzie.

– I tak nam nie zapłaci, więc po co miałby się kłopotać?

– Bo jeśli tego nie zrobi – odparłem – nie będzie wojny.

Finan spojrzał na mnie jak na szaleńca. Zamierzał dodać coś jeszcze, gdy spomiędzy drzew wypadł zdyszany Rorik.

– Panie... – zaczął.

– Opuścili fort? – przerwałem mu.

– Tak, panie.

– Mówiłem – zwróciłem się do Finana, a zaraz potem spojrzałem na Rorika. – Ilu?

– Dwunastu, panie.

– I niosą sztandar?

– Tak, panie, z wymalowanym na nim robalem.

Miał na myśli smoka Wessexu. A zatem wszystko szło zgodnie z moimi oczekiwaniami. Poklepałem Rorika po głowie, przykazałem mu, by został ze mną, i powiedziałem swoim ludziom, żeby się przygotowali. Ja również włożyłem hełm, wyściełany tłustą, cuchnącą skórą. Był to mój najlepszy hełm, zwieńczony srebrną figurką wilka gotującego się do skoku. Naciągnąłem go na uszy, zamknąłem osłony na policzki i pozwoliłem

Rorikowi zawiązać pod brodą skórzane rzemienie. Okrył mnie wiązaną pod szyją ciemną peleryną, wręczył mi rękawice i przytrzymał konia, którego dosiadłem, stanąwszy na powalonym konarze. Umościwszy się w siodle, wyjąłem z rąk Rorika ciężką, okutą żelazem tarczę. Wsunąłem lewą rękę w pętlice i chwyciłem imacz.

– Włócznia – rzuciłem. – I jeszcze jedno, Roriku!

– Tak, panie?

– Trzymaj się z tyłu. Z dala od kłopotów.

– Tak, panie – odparł nieco zbyt szybko.

– Mówię poważnie, chłopcze. Jesteś moim chorążym, nie wojownikiem. Jeszcze nie.

Byłem odziany w najlepszy rynsztunek bojowy. Zwykle nie zawracałem sobie głowy noszeniem peleryny i bransolet i przywdziewałem prosty hełm, jednak za kilka minut miałem zdecydować o losach trzech nacji i taka odpowiedzialność zasługiwała na odpowiednią oprawę. Poklepałem Tintrega po karku i skinąłem głową do Finana, który podobnie jak ja skrzył się od srebra i złota. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że wszyscy moi ludzie siedzą już w siodłach.

– Spokojnie – zwróciłem się do nich. – I powoli! Nie ma potrzeby się spieszyć!

Wyprowadziliśmy konie z lasu na pastwisko, płosząc dwa zajęce, które umknęły w stronę rzeki. Wciąż byliśmy na nizinie, niewidoczni dla strażników na wałach fortu i Brunulfa, który prowadził swoich niczego niepodejrzewających ludzi na północ ścieżką wydeptaną przez bydło, wiodącą do kamienia za lasem. Cenwulf, doświadczony wojownik, miał dać nam sygnał.

– Czekamy! – zawołałem. – Po prostu czekamy!

– Czemu nie zaczekasz, aż ludzie w formie stracą ich z oczu? – spytał kwaśno Finan.

– Bo nie ja wybrałem miejsce bitwy – odparłem, wprawiając go w jeszcze większe zdumienie, i dodałem, tak by wszyscy moi ludzie mnie usłyszeli. – Kiedy ruszymy – mówiłem podniesionym głosem, uważałem jednak, by nie niósł się on poza trawiastą nieckę, która nas skrywała – zobaczcie dwunastu konnych jadących pod sztandarem Wessexu. Naszym zadaniem jest ich chronić! Cała dwunastka musi ująć z życiem. Zaatakujcie ich dwudziestu pięciu, trzydziestu ludzi! Tych macie wziąć do niewoli! Zabijcie kilku, jeśli będzie trzeba, ale musimy wziąć jeńców! Zwłaszcza ich przywódców! Wyglądajcie najprzedniejszych kolczug i hełmów i pojmijcie drani!

– Słodki Jezu – jęknął Finan – teraz rozumiem.

– Chcę jeńców! – powtórzyłem z naciskiem.

Rorik usiadł w siodle i podniósł sztandar z wymalowanym na nim wilczym łbem. W tej samej chwili na skraju lasu pojawił się Cenwulf i zamachał rękami nad głową. Dotknąłem młota zawieszzonego na złotym łańcuchu.

– Ruszajmy! – zakrzyknąłem. – Ruszajmy!

Tintreg musiał znudzić się czekaniem, albowiem ledwie dałem mu ostrogę, wystrzelił naprzód niczym strzała. Przywarłem do końskiego karku i chwilę później wszyscy gnaliśmy w górę niskiego wzgórza z opuszczonymi włóczniami.

– Kiedy na to wpadłeś?! – krzyknął do mnie Finan.

– Dwie noce temu!

– Mogłeś mi powiedzieć!

– Myślałem, że to oczywiste!

– Ty podstępny draniu! – rzucił z podziwem.

Niebawem dotarliśmy na wzgórze i ujrzałem, że bogowie mi sprzyjają.

Najbliżej nas, bo niespełna pół mili dalej, na ścieżce stał Brunulf ze swoimi ludźmi. Zatrzymali się zdumieni, bo oto na wschód od nich pojawili się inni jeźdźcy z tarczami i obnażonymi mieczami. Zobaczyłem, że Brunulf odwraca się na południe. Towarzyszyło mu dwóch księży w czarnych szatach. Jeden z nich przerażony pognął w stronę drzew. Brunulf zobaczył to i krzyknął za klechę, by ten zawrócił. Wskazywał w stronę fortu, lecz było za późno.

Za późno, bo konni galopowali już, żeby odciąć im drogę ucieczki. Doliczyłem się około trzydziestu. Kiedy poprzedniego dnia opuszczali fort, jechali pod smoczym sztandarem Wessexu, jednak teraz nad ich głowami powiewał proporzec z widocznym na nim czerwonym toporem. Było to wielkie płótno, a zdobiący go topór był widoczny jak na dłoni. Nie miałem też wątpliwości, że ten sam topór wymalowano na tarczach szarżujących konnych.

Był to znak Sigtryggra, jednak jeźdźcy nie byli jego ludźmi. To byli Sasi udający Duńczyków, Sasi zachodni, którzy mieli wyrząść swoich pobratymców, a tym samym wywołać wojnę. Brunulf i jego ludzie mieli zginać na oczach swych towarzyszy z fortu, którzy następnie pchną umyślnych do Aethelhelma i Edwarda z wieścią, że zdraźciecy Northumbryjczycy przystali na pokój, a następnie zaatakowali i wygubili wysłanników. Był to sprytny plan, niechybnie przygotowany przez samego Aethelhelma. Chciał wywołać wojnę, wiedział jednak, że Sigtryggr zrobi niemal wszystko, by uniknąć konfrontacji. Skoro więc Sigtryggr nie zaatakuje ludzi Edwarda, zrobią to wojownicy Aethelhelma z wymalowanym na tarczach czerwonym toporem.

Tyle że pojawiliśmy się my, a ja byłem w mściwym nastroju.

Mój kuzyn wciąż siedział w Bebbanburgu.

Aethelhelm próbował zniszczyć moją córkę i jej męża.

Konstantyn upokorzył mnie, przeganiając z ziemi moich przodków.

I od miesiąca nie widziałem Eadith, swojej żony.

Ktoś musiał za to zapłacić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W pierwszej chwili ani Brunulf, ani żaden z jego ludzi nas nie dostrzegł. Nie mogli oderwać wzroku od konnych, którzy nadciągali od wschodu, konnych z wymalowanym na tarczach toporem Northumbrii i obnażonymi mieczami. Głodnych krwi. Brunulf odwrócił się w stronę fortu, lecz połowa galopujących jeźdźców skręciła na południe, by odciąć im drogę ucieczki. Dopiero gdy jeden z jego ludzi spojrział na północ, zobaczył nas. Krzyknął coś, na co Brunulf się odwrócił. Byłem wystarczająco blisko, by zobaczyć przerażenie malujące się na jego twarzy. Myślał, że jedzie rozmawiać o pokoju, a zamiast tego zewsząd otaczała go galopująca śmierć. Był odziany w kolczugę, lecz nie zabrał hełmu. Ani tarczy. Towarzyszący mu dwaj księża nie mieli żadnej ochrony. Brunulf wysunął miecz do połowy, zawahał się jednak, jak gdyby miał nadzieję, że jeśli nie stawi oporu, będzie mógł się poddać.

– Jesteśmy po waszej stronie! – krzyknąłem do niego. Wydawał się zbyt oszołomiony lub przerażony, by zrozumieć. – Brunulfie! – ryknąłem jego imię. – Jesteśmy z wami!

Berg i mój syn dogonili mnie i jechałem teraz między nimi. Wiedziałem, że zmówili się, iż będą mnie chronić. Skręciłem gwałtownie w prawo, zmuszając rumaka Berga, by uskoczył w bok.

– Nie wchodźcie mi w paradę – warknąłem.

– Uważaj, panie! – zawołał. – Jesteś... – Zamierzał pewnie powiedzieć „stary”, lecz w porę ugryzł się w język.

Na nasz widok ludzie jadący pod sztandarem Sigtryggra zwolnili, niepewni. Sześciu odwróciło się w stronę konnych Brunulfa i słyszałem, jak jeden z nich zakrzyknął, że powinni atakować, drugi zaś, że powinni się wycofać. To niezdecydowanie przesądziło o ich losie.

Przecieliśmy ścieżkę na południe od Brunulfa i jego ludzi.

– Jesteśmy z wami! – krzyknąłem raz jeszcze, na co odpowiedział skinieniem głowy.

Chwilę później minęliśmy go. Cwałowaliśmy z włóczyniami gotowymi do ataku, podczas gdy mniej od nas liczni i uzbrojeni w miecze wrogowie nie wiedzieli, co począć. Niektórzy stali jak sparaliżowani, podczas gdy inni zawrócili konie i pognali na wschód. Tylko jeden z nich, kompletnie zdezorientowany, ruszył na nas. Widząc to, pochyliłem się i ułożyłem włócznię w dłoni. Gotowałem się z wściekłości, szarpnąłem wodze w prawo i z całej siły pchnąłem grube jesionowe drzewce, mierząc w człowieka, który spoglądał na mnie zza otoku tarczy. Poczułem, jak ostrze włóczni przebija kolczugę, skórzany kubrak, skórę i mięśnie, i rozdziera brzuch. Puściłem drzewce, chwyciłem jeźdźca za hełm i ściągnąłem go z konia. Wokół grotu włóczni rozkwitała plama krwi. Jego lewa stopa zaplątała się w strzemień i wleczony po ziemi krzyczał, pozostawiając na niej krwawą smugę.

– Nie jestem aż taki stary! – wrzasnąłem do Berga i dobyłem Oddechu Węża.

– Jeńcy! – ryknął Finan.

Domyślałem się, że krzyczy do mnie, bo ogarnięty bitewnym szaleństwem zapomniałem własne rozkazy o tym, by pojmać jeńców.

Ciąłem mieczem człowieka, który w porę zasłonił się tarczą i sparował cios. Czerwień topora biła po oczach, świeżo malowana na starym symbolu, na wpół zeskrobanym z wierzbiniowych desek. Widoczną spod otoku hełmu

brodatą twarz wykrzywił wściekły grymas, który nagle zmienił się w przerażenie, kiedy włócznia Berga utkwiała mu w plecach. Cios był tak silny, że grot włóczni przebił kolczugę i przeszedł na wylot. Wojownik otworzył usta, odsłaniając braki w uzębieniu, i krwawa piana spłynęła mu na brodę.

– Wybacz, panie, że nie wziąłem go żywcem – rzucił Berg, sięgając po miecz. – Następnym razem spiszę się lepiej.

– Panie! – krzyknął Finan, i zobaczyłem, że wskazuje mieczem na wschód, gdzie pół tuzina ludzi umykało w popłochu.

– Macie ich dorwać! – ryknąłem do Berga.

Cała szóstka jechała konno. Jeden miał przedniej roboty hełm zwieńczony kitą z czarnego końskiego włosia, a drugi dosiadał rumaka z bogato zdobionym złotym rzędem, jednak o ich pozycji świadczyła obecność chorążego, który obejrzawszy się przez ramię i zobaczywszy, że ich ścigamy, cisnął na ziemię nieporęczne drzewce i ogromny sztandar z wymalowanym na nim fałszywym symbolem.

Za moimi plecami ludzie odrzucali tarcze i podnosili ręce na znak, że nie chcą walczyć. Brunulf i jego towarzysze zdawali się bezpieczni, stłoczeni wokół swojego sztandaru, podczas gdy mój syn zaganiał jeńców, każąc im zejść z koni i złożyć broń. Mieliśmy zatem jeńców, lecz nie tych, których chciałem, dałem więc Tintregowi ostrogę. Była to prawdziwa gonitwa, przy czym tamci mieli nad nami przewagę. Jednak trzech z moich ludzi dosiadało mniejszych, lżejszych rumaków, którymi jeździliśmy na zwiady, znacznie szybszych od wielkich ogierów takich jak Tintreg, a dwóch z nich nadal miało włócznie. Jechali teraz łeb w łeb ze zbiegami, aż nagle jeden z nich, Swithun, skreślił gwałtownie i pchnął włócznią, nie jeźdźca, lecz nogi konia, który wysforował się na prowadzenie. Usłyszałem kwik bólu, a zaraz potem zwierzę, wierzgając, przekoziółkowało po ziemi,

przygniatając jeźdźca. Chwilę później kolejny koń wpadł na wierzgającego rumaka i runął na ziemię. Widząc to, pozostali jeźdźcy ściągnęli wodze, chcąc uniknąć chaosu, gdy tymczasem moi ludzie byli coraz bliżej. Ten z końskim włosiem na hełmie poderwał ogiera i przesadził żywą przeszkodę, już wydawało się, że zdąży nam umknąć, ale Berg ucapił go za kity i niemal ściągnął z siodła. Zaraz potem chwycił go za ramię, szarpnął i tym razem dopiął swego. Poluzowany hełm spadł z głowy jeźdźca, który runął na ziemię. Zaraz jednak poderwał się, szczerząc zęby, chwycił za miecz i długim ostrzem zamachnął się na rumaka, którego dosiadał Berg. Młody Norweg był zbyt daleko, więc rozjuszony Sas odwrócił się w stronę kolejnego jeźdźca.

Mnie.

Nagle pojąłem, dlaczego dwa dni wcześniej dwaj konni oddzielili się od ludzi Brunulfa i woleli wrócić do fortu, niż spotkać się z nami. Musieli mnie rozpoznać i wiedzieli, że ja rozpoznam ich. Nie tylko rozpoznam, lecz wyczuję smród ich zdrady, albowiem przede mną stał, gotów wypatroszyć Tintrega swoim ciężkim ostrzem, Brice.

Miałem kiedyś wojownika imieniem Brice, małą, podłą gnidę, która zginęła od duńskiego ostrza, kiedy zdobyliśmy Ceaster. Może imię to czyniło ludzi podłymi, bo Brice, który stał teraz naprzeciw mnie, był równie wredny. Miał rude włosy i siwą brodę, był wojownikiem – stoczył niezliczone bitwy dla swojego pana Aethelhelma i wykonywał dla niego czarną robotę. To jego wysłano, by pojmał Aethelstana w Cirrenceastre, i Aethelstan zginąłby niechybnie, gdybyśmy nie pokrzyżowali planów Brice'a. Teraz ten podły człowiek miał rozpętać wojnę i znowu mu przeszkodziliśmy. Z wściekłym rykiem pchnął mieczem w brzuch Tintrega, ja jednak obróciłem rumaka i celowo cofnąłem rękę, w której trzymałem miecz. Widząc to, Brice zamachnął się mieczem z nadzieją, że wypatroszy

konia, zablokowałem jednak pchnięcie lewym strzemieniem, pozwalając, by ostrze zatrzymało się na jednej z żelaznych płytek wszytych w cholewkę buta. Poczułem ból, lecz nie taki jaki musiał czuć Brice, gdy żelazne okucie mojej tarczy rąbnęło go w głowę. Cios powalił go na ziemię. Miałem nadzieję, że nie zabiłem drania, bo była to przyjemność, która musiała poczekać.

– Mam go zabić, panie? – spytał Kettil, jeden z moich Duńczyków, widząc, że Brice się porusza.

– Nie! To jeniec. Ale możesz zabić konia. – To powiedziawszy, wskazałem rumaka, którego powaliła na ziemię włócznia Swithuna i który upadając, złamał nogę.

Kettil zeskoczył z konia, zamienił miecz na topór Folcbalda i zrobił, co mu kazałem. Mieliśmy zatem sześciu jeńców.

Folcbald, jeden z moich wielkich fryzyjskich wojowników, trzymał najwyższego z nich za kark, albo raczej za kołnierz kolczy, niemal podnosząc go nad ziemię, nagle czerwoną od krwi zasiezonego przez Kettila rumaka.

– Ten mówi, że jest księdzem – rzekł radośnie Folcbald.

Postawił go na nogach i zobaczyłem, że to ojciec Herefrith odziany w kapłańską szatę i założoną na nią kolczugę. Zmierzył mnie wściekłym wzrokiem, lecz nic nie powiedział.

Uśmiechnąłem się i zsiadłem z konia. Oddałem lejce Tintrega Rorikowi, który podniósł z ziemi wielki sztandar z czerwonym toporem. Schowałem Oddech Węża do pochwy i cisnąłem tarczę na ziemię.

– A więc – przemówiłem do ojca Herefritha – jesteś jednym z kapelanów króla Edwarda?

Klecha nie odrzekł ani słowa.

– Czy czarownikiem na usługach ealdormana Aethelhelma? – spytałem. – Tamten głupiec – mówiąc to, wskazałem Brice’a, leżącego na brzuchu na ziemi – jest człowiekiem Aethelhelma. Głupcem i tępakiem. Nadaje się do zabijania i ranienia, jak mało kto potrafi bić ludzi i przekłuwać ich mieczem, ale rozumu ma tyle co ślimak. Lord Aethelhelm zawsze wysyła z nim kogoś mądrzejszego, by mówił Brice’owi, kogo bić, a kogo oszczędzić. Dlatego posłał ciebie.

Ojciec Herefrith wbił we mnie mordercze spojrzenie.

Znowu się uśmiechnąłem.

– Lord Aethelhelm kazał ci rozpętać wojnę. Chciał usłyszeć, że zaatakowali was ludzie Sigtryggra. Dlatego obrażałeś mnie dwa dni temu. Chciałeś, żebym cię uderzył. Jeden mój cios przesądziłby o sprawie! Mógłbyś wrócić do domu i poskarżyć się lordowi Aethelhelmowi, że uderzając cię, złamałem rozejm. Że się na ciebie rzuciłem! Tego właśnie chciałeś?

Milczał uparcie, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Na łbie zabitego konia gromadziły się muchy.

– Kiedy to zawiodło – ciągnąłem – byliście zmuszeni udawać ludzi króla Sigtryggra. Od początku mieliście taki zamiar, dlatego przywieźliście tarcze z wymalowanym na nich czerwonym toporem, choć może liczyliście, że nie będzie to konieczne. Ale było i ten plan również się nie powiódł. – Podniosłem prawą rękę i odzianym w rękawicę palcem dotknąłem blizny na jego policzku. Wzdrygnął się. – Nie nabawiłeś się tej blizny, głosząc kazanie – zauważyłem. – Czyżby któryś z chórzystów stawiał opór?

Cofnął się, by umknąć przed moim dotykiem. Nadal milczał.

U boku miał przypasaną pustą pochwę, a to znaczyło, że złamał kościelne zasady i nosił miecz.

– Jesteś księdzem? – spytałem. – Czy tylko udajesz?

– Jestem – odwarknął.

– Ale nie zawsze nim byłeś. Kiedyś byłeś wojownikiem.

– I nadal nim jestem! – wysyczał.

– Jednym z ludzi Aethelhelma? – zapytałem szczerze zainteresowany odpowiedzią.

– Służyłem lordowi Aethelhelmowi – odparł – dopóki Bóg nie przekonał mnie, że osiągnę więcej, służąc Kościołowi.

– Twój bóg cię okłamał, co? – Wskazałem na pięknej roboty miecz leżący w trawie. – Byłeś wojownikiem, dlatego pozwolę ci wziąć ten miecz i walczyć ze mną. – Nie odpowiedział, nawet nie mrugnął. – Czy nie tego właśnie chce twój bóg? – spytałem. – Mojej śmierci? Jestem diabelskim wypierdkiem, szatańskim pomiotem, czy nie tak mnie nazwałeś? A, i zabójcą księży! Tym akurat się szczycę. – Wiercił mnie nienawistnym spojrzeniem, kiedy zbliżyłem się o krok. – Powiedziałaś też, że poślubiłem saską kurwę, i za to, klecho, dam ci to, czego chcesz, dam ci prowokację. To za moją saską żonę. – Po tych słowach uderzyłem go w poblížniony policzek. Tym razem nie tylko się wzdrygnął, ale runął na ziemię. Z rozcięcia na twarzy połała mu się krew. – Tyle że dla ciebie trochę za późno na prowokację – dodałem. – Nie zamierzasz walczyć? To jedyna wojna, jaką dostaniesz!

Wstał i uczynił krok w moją stronę, ale znowu go uderzyłem, tym razem w usta. Cios był tak silny, że rozboleły mnie kłykcie i poczułem chrzęst łamanych zębów. Kiedy upadł, kopnąłem go w szczękę.

– To za Eadith – warknąłem.

Finan, który obserwował wszystko z końskiego grzbietu, syknął, jakby kopniak zabolał jego, a nie ojca Herefritha.

– To było nieuprzejme – odezwał się i skrzywił, kiedy klecha wypluł ząb i splunął krwawą śliną. – Może w niedzielę miał wygłaszać kazanie.

– Nie pomyślałem.

– Mamy towarzystwo – rzucił Finan, wskazując głową na południe.

Z fortu wylewał się potok ludzi. Gdy zobaczyłem, że Brunulf jedzie ich powstrzymać, zostawiłem ojca Herefritha pod opieką Folcbalda, dosiadłem Tintrega i ruszyłem im na spotkanie.

Nastąpiło chwilowe zamieszanie, gdy młodzi wojownicy z fortu szukali wroga, którego mogliby zaatakować, ale Brunulf ryknął na nich, by schowali broń, i zawrócił konia w moją stronę. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, dezorientowanego i przerażonego. Ściągnąłem wodze i czekałem, aż do mnie dołączy, a gdy to zrobił, zadarłem głowę i spojrzałem w niebo.

– Dobrze, że nie pada – rzekłem.

– Lordzie Uhtredzie – zaczął, lecz sam chyba nie wiedział, co chce powiedzieć.

– Za młodu deszcz mi nie przeszkadzał – ciągnąłem – ale z upływem czasu? Za mało masz lat, żeby to zrozumieć. – Ostatnie słowa skierowałem do ojca Stepana, młodego księdza, który towarzyszył Brunulfowi, gdy z pozoru spokojne pastwisko nagle zmieniło się w trupiarnię. – Domyślam się – nadal zwracałem się do Stepana – że jechaliście, by powiedzieć mi, że nie zapłacicie myta królowi Sigtryggrowi?

Ojciec Stepan zerknął na Brice'a, który dźwignął się z ziemi. Spływająca z głowy krew barwiła jego wychudłe policzki i siwą brodę na czerwono. Rany na głowie zawsze broczą obficie. Stepan uczynił znak krzyża i skinął głową.

– Tak, panie – przyznał.

– Nie oczekiwałem od was zapłaty. – Spojrzałem na Brunulfa. – Jesteś mi winien podziękowania.

– Wiem, panie – odparł. – Wiem. – Był blady. Właśnie dotarło do niego, że tego dnia otarł się o śmierć. Spojrzał ponad moim ramieniem, a gdy się obejrzałem, zobaczyłem ojca Herefritha, którego prowadzono w naszą stronę.

– Komu służycie? – spytałem Brunulfa.

– Królowi Edwardowi – odrzekł, nadal nie odrywając wzroku od ojca Herefritha.

– Edward was przysłał?

– On... – zaczął, nie wiedział jednak, co powiedzieć.

– Spójrz na mnie! – warknąłem, aż wzdrygnął się przestraszony. – Czy przysłał was król Edward?

– Tak, panie.

– Przysłał was, byście wszczęli wojnę?

– Powiedział, że mamy robić to, co rozkaże ealdorman Aethelhelm.

– Sam ci to powiedział?

Brunulf pokręcił głową.

– Takie rozkazy otrzymaliśmy z Wintanceasteru.

– Przywiózł je ojciec Herefrith? – zgadywałem.

– Tak, panie.

– Były spisane na papierze?

Pokiwał głową.

– Nadal je masz?

– Ojciec Herefrith... – zaczął.

– Zniszczył je? – dokończyłem.

Brunulf spojrział na ojca Stepana, jak gdyby szukał u niego pomocy, ale jej nie znalazł.

– Nie wiem, panie. Pokazał mi je, a potem... – Wzruszył ramionami.

– A potem je zniszczył – burknąłem. – Wczoraj zaś Herefrith, Brice i ich ludzie wyprawili się na południe. Co wam powiedzieli?

– Że jadą sprowadzić posiłki, panie.

– Ale zapewnili cię, że możesz mi zaufać w kwestii rozejmu? I że spotkam się z tobą przy kamieniu?

– Tak, panie. Powiedzieli też, że kiedy usłyszysz, że nie zamierzamy się wycofać, zaczniesz oblegać fort, dlatego muszą jechać na południe po posiłki.

Na pastwisku było teraz co najmniej dwustu ludzi Brunulfa. Większość z nich dosiadała koni, wszyscy jednak wyglądali na jednakowo zdezorientowanych. Zgromadzili się za plecami Brunulfa. Niektórzy popatrywali na porzucone tarcze z czerwonym toporem, podczas gdy inni rozpoznali mój wilczy łeb. Byliśmy wrogami i słyszałem, jak mruczą pod nosem. Postanowiłem ich więc uciszyć.

– Prysłano was tu – krzyknąłem – na rzeź! Ktoś potrzebował pretekstu, by wywołać wojnę, i wy byliście tym pretekstem! Ci ludzie zamierzali was zdradzić. – Wskazałem Brice'a i ojca Herefritha. – Czy on jest księdzem? – spytałem ojca Stepana.

– Tak, panie.

– Wysłano ich, żeby zabili waszego dowódcę! Jego i tak wielu Sasów zachodnich, jak tylko się da! Winą za wszystko obarczono by mnie! Ale... – Zawiesiłem głos, rozejrzałem się po pełnych niepokoju twarzach i uświadomiłem sobie, że w przeszłości wielu z nich musiało walczyć u mego boku. – Ale – podjąłem – Northumbria i Mercja podpisały traktat pokojowy i wasz król Edward nie chce go złamać. Nie zrobiliście niczego

złego! Przywiedziono was tu i oszukano. Niektórzy z was walczyli dla mnie w przeszłości, więc wiecie, że bym was nie okłamał! – Nie była to prawda, bo zawsze okłamujemy ludzi przed bitwą. Mówimy im, że zwycięstwo jest pewne, nawet jeśli obawiamy się porażki. Jednak mówiąc ludziom Brunulfa, że mogą mi zaufać, mówiłem im to, co chcieli usłyszeć. Chwilę później w tłumie rozległy się pełne aprobaty pomrukiwania. Ktoś krzyknął nawet, że chętnie znowu by dla mnie walczył. – Tak więc teraz – ciągnąłem – wróćcie na południe. Nikt was nie zaatakuje. Zabierzcie broń i odjedźcie w pokoju! Jeszcze dziś! – Spojrzałem na Brunulfa, który przytaknął.

Wziąłem go na stronę.

– Każ swoim ludziom jechać na południe, nad Gewaesc – nakazałem mu. – Niech zostaną tam przez trzy dni. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, panie.

Zastanawiałem się, czy nie wziąć ich koni, by ich spowolnić, ale mieli nad nami trzykrotną przewagę i gdyby któryś z nich mi się sprzeciwił, doszłoby do awantury.

– Ty pojedziesz ze mną – wyłuszczyłem Brunulfowi. Widziałem, że zamierza zaprotestować. – Zawdzięczasz mi życie – dodałem ostro – dlatego poświęcisz mi trzy albo cztery dni. Ty i ojciec Stepan.

Uśmiechnął się półgębkiem, lecz był to żaloszny uśmiech.

– Jak każesz, panie – odparł.

– Kto jest twoim zastępcą?

– Headda – odpowiedział, wskazując głową starszego mężczyznę.

– Ma zatrzymać ich jako jeńców. – Wycelowałem palec w niedobitki oddziału Brice'a. – I udać się do Gewaesc. Powiedz mu, że dołączysz do nich za mniej więcej tydzień.

– Dlaczego Gewaesc?

– Bo to daleko od Ledecestre – odrzekłem. – A nie chcę, by lord Aethelhelm wiedział, co tu się wydarzyło. Dopóki sam mu o tym nie powiem.

– Myślisz, panie, że lord Aethelhelm jest w Ledecestre? – Sprawiał wrażenie podenerwowanego.

– Z tego, co ostatnio słyszałem – odparłem – król Sigtryggr miał spotkać się z panią Aethelflaed w Ledecestre. Zakładam więc, że Aethelhelm będzie niedaleko. Chce mieć pewność, że negocjacje się nie powiodą.

Tak więc mieliśmy wyruszyć do Ledecestre.

Potem zaś miałem wrócić do domu.

Do Bebbanburga.

Headda powiódł skarconych ludzi Brunulfa na południe, my tymczasem wyruszyliśmy na wschód do Lindcolne, gdzie udało mi się spędzić chwilę ze swoją córką.

– Możesz wrócić do Eoferwicu – powiedziałem jej – nie będzie bowiem wojny. Nie w tym roku.

– Nie? Co zrobiłeś?

– Zabiłem kilku Sasów zachodnich – odrzekłem i nim zdążyła rozerwać mnie na strzępy, wyjaśniłem jej, co się stało. – Tak więc w tym roku nie zaatakują – dokończyłem.

– A w przyszłym? – spytała Stiorra.

– Może – rzuciłem posępnie. Staliśmy na pobudowanym przez Rzymian tarasie, obserwując burzowe chmury, które przetaczały się nad okolicą. W oddali szare kurtyny deszczu opadały na ziemię. – Muszę iść –

oznajmiłem. – Muszę zobaczyć się z Aethelhelmem, nim narobi większych szkód.

– Co zrobisz, jeśli wybuchnie wojna? – Miała na myśli to, jak pogodzę ojcowską miłość do niej z przysięgą złożoną Aethelflaed.

– Będę walczył – rzuciłem zwięźle. – I mam nadzieję, że pożyję dość długo, by osiąść we Fryzji.

– Fryzji!

– Bebbanburg jest stracony – odrzekłem. Nie wiedziałem, czy mi uwierzyła, uznałem jednak, że nie zaszkodzi, jeśli ona również będzie rozsiewać ową plotkę.

Jechaliśmy na południe szerokim rzymskim traktem wiodącym do Ledecestre, jednak kilka mil dalej kupiec podróżujący na północ powiedział mi, że wielcy panowie saskich ziem mają się spotkać w Godmundcestre. Był to Duńczyk, ponury człowiek imieniem Arvid, który handlował rudą żelaza.

– Idzie wojna, panie – rzekł.

– A kiedy było inaczej?

– Sasi zgromadzili armię pod Huntandon. Ich król tam jest!

– Edward!

– Tak ma na imię? Jest też jego siostra.

– A król Sigtryggr?

Arvid uśmiechnął się szyderczo.

– Cóż może zrobić? Nie ma dość ludzi. Może tylko paść na kolana i błagać o litość.

– To wojownik – skwitowałem.

– Wojownik! – prychnął z pogardą Arvid. – Zawarł pokój z kobietą. A teraz musi zawrzeć pokój z jej bratem. Jarl Thurferth już się z nimi

ułożył! Oddał Huntandon i przyjął krzyż.

Jarl Thurferth był jednym z duńskich panów, którzy nie złożyli przysięgi wierności Sigtryggrowi. Władał rozległymi połaciami ziem uprawnych na dzisiejszej granicy między terenami Duńczyków i Sasów i gdyby zachodniosaskie armie ruszyły na północ, jego ziemie upadłyby jako pierwsze. Arvid miał rację, że Thurferth zabezpieczył swą własność, oddając burh w Huntandon, przyjmując chrzest i przysięgając wierność Edwardowi. Thurferth nigdy nie był wielkim wojownikiem, lecz jego poddaństwo Edwardowi oznaczało, że inni duńscy jarlowie w południowej Northumbrii pójdą jego śladem i wystawią Sigtryggra na atak. Jedyne, co chroniło Sigtryggra, to kruchy pokój z Aethelflaed, pokój, który ealdorman Aethelhelm był gotów zniszczyć.

Tak więc pospieszyliśmy na południe, choć już nie do Ledecestre, a szerszym rzymskim traktem do Lundene. Burh w Huntandon strzegł przeprawy przez rzekę Use i odkąd sięgam pamięcią, stanowił bastion broniący południowej granicy Northumbrii. Teraz przepadł oddany w ręce Edwarda. Dotknąłem młota zawieszzonego na szyi, zastanawiając się, dlaczego dawni bogowie tak tchórzliwie ulegali ukrzyżowanemu bogu. Czy nie obchodził ich już nasz los? Sasi wraz ze swoją nietolerancyjną religią podpełzali coraz bliżej Eoferwicu i byli coraz bliżej zajęcia Northumbrii. Pomyślałem, że pewnego dnia dawna religia odejdzie na dobre, a kapłani ukrzyżowanego boga zrównają z ziemią pogańskie świątynie. W swoim życiu widziałem Sasów, którzy pokonani walczyli o przetrwanie na cuchnących mokradłach i później rzucili się do ataku, a teraz ich wielki sen o zjednoczonym kraju o nazwie Englalund mógł się ziścić. Co się zatem wydarzy, gdy rozejm Sigtryggra zostanie w końcu zerwany, a Wessex zaatakuje? Nie utrzymamy Eoferwicu. Mury były grube i mocne, ale jeśli oblegająca je armia była gotowa ponieść ofiary, mogła zaatakować

jednocześnie w kilku miejscach, by ostatecznie sforsować umocnienia i wtargnąć z mieczami do przerażonego miasta. Z pewnością ucieszyłyby to chrześcijan, podczas gdy ci, którzy czcili dawnych bogów, zostaliby przepędzeni.

Jeśli chcieliśmy przetrwać najazd chrześcijan, cena za ich zwycięstwo musiała być wysoka. Dlatego pragnąłem odzyskać Bebbanburg, bo cena zdobycia tej fortecy była ogromna. Konstantynowi jeszcze się to nie udało. Miał nadzieję, że wykurzy mojego kuzyna głodem, lecz by tak się stało, trzeba było miesięcy. Gdyby spróbował zaatakować, jego szkoccy wojownicy musieliby wspiąć się na górę wąską ścieżką, na której z pewnością by zginęli. Ich ciała piętrzyłyby się pod murami, rów cuchnąłby od ich krwi, kruki ucztowałyby na ich trupach, wdowy lamentowałyby na wzgórzach Konstantyna, a zbieleńskie kości wojowników Alby stanowiłyby ostrzeżenie dla każdego, kto poważyłby się zaatakować twierdzę.

A Fryzja? Spiesząc na południe, zastanawiałem się, ile z tamtejszych ziem należało już do ukrzyżowanego boga. Słyszałem, że za morzem byli jeszcze ludzie, którzy czcili Thora i Odyna, i przyznaję, że czasem kusił mnie, żeby popłynąć tam, ustanowić własne królestwo i być panem morza za szarymi wodami. Ale wyrzec się Bebbanburga? Porzucić marzenia? Nigdy.

Zanim opuściliśmy Lindcolne, posłałem Berga i jego towarzyszy na północ, w stronę Eoferwicu. Dałem młodemu Norwegowi sakiewkę złota i jeszcze raz powtórzyłem mu, co ma robić. Kazałem im zdrapać z tarcz wilcze łby, tak by nikt nie pomyślał, że to moi ludzie.

– Ale moje policzki! – rzekł zmartwiony Berg. – Noszę twój symbol na twarzy, panie!

– Nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie – odparłem. Nie chciałem kpić z tatuaży, które bardziej niż dzikie wilki przypominały pijane świnie. – Zaryzykujemy.

– Skoro tak mówisz, panie – rzekł nadal zmartwiony.

– Zasłoń twarz włosami – poradziłem mu.

– Dobry pomysł! Ale... – zaczął i urwał przerażony.

– Ale?

– Ta dziewczka? Córka Olli? Może pomyśleć, że to dziwne? Moje włosy?

Nie tak dziwne jak świnie na policzkach – pomyślałem, ale i tym razem oszczędziłem mu złośliwości.

– Dziewki nie zwracają uwagi na takie rzeczy – zapewniłem go – pod warunkiem że za bardzo nie cuchniesz. W tej kwestii są dziwnie wybredne. A teraz ruszaj – ponagliłem go. – Ruszaj! Kup mi trzy łodzie i czekaj w Eoferwicu na wieści.

I tak Berg ruszył na północ, podczas gdy my udaliśmy się na południe, zabierając ze sobą Brunulfa, ojca Herefritha i Brice'a. Brice i klecha mieli związane ręce, a na szyjach powrozy trzymane przez moich ludzi. Brice jechał w milczeniu, patrząc na wszystkich spode łba, lecz ojciec Herefrith, uświadomiwszy sobie, jak wielu spośród moich ludzi jest chrześcijanami, zaczął im grozić, że jeśli go nie uwolnią, spadnie na nich gniew ukrzyżowanego boga.

– Wasze dzieci urodzą się martwe! – krzyczał pierwszego dnia naszej podróży. – A wasze żony zgniją jak zepsute mięso! Bóg Wszechmogący przeklnie was. Na waszej skórze pojawią się czyraki, z kiszek będzie wam lecieć cuchnąca woda, a wasze kutasy wyschną!

Wykrzykiwał te groźby do czasu, aż zostałem w tyle, by jechać obok niego. Zignorował mnie i wściekły wpatrywał się przed siebie. Gerbruht, który był dobrym chrześcijaninem, trzymał koniec jego postronka.

- Gęba mu się nie zamyka – rzekł.
- Zazdrozczę mu – odparłem.
- Zazdrościsz, panie?
- Większość z nas musi opuszczać portki, żeby się wysrać.

Gerbruht się roześmiał, a ojciec Herefrith wyglądał na jeszcze bardziej rozjuszonego.

– Ile zębów ci zostało? – spytałem go, ale nie odpowiedział, tak jak się tego spodziewałem. – Gerbruhcie? Masz szczypce?

– Oczywiście, panie. – Poklepał sakwę przytroczoną do siodła. Wielu moich ludzi miało przy sobie szczypce, na wypadek gdyby któremuś z koni poluzowała się podkowa.

– Igłę? – kontynuowałam. – Nić?

– Ja nie, panie – odparł Gerbruht – ale Godric zawsze wozi ze sobą igłę i nici. Kettil też.

– To dobrze! – Spojrzałem na Herefritha. – Jeśli nie zawrzesz swojej plugawej gęby – powiedziałem mu – wezmę Gerbruhcowskie szczypce i powyrywam ci wszystkie zęby. A potem zaszyję ci usta. – Uśmiechnąłem się do niego.

Od tej pory groźby ustały.

Ojciec Stepan wyglądał na przygnębionego moim zachowaniem, ale kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od ojca Herefritha, zaskoczył mnie, mówiąc:

– Świętej Apolonii zaszyto usta, panie.

– Chcesz powiedzieć, że uczynię drania świętym?

– Nie wiem, czy to prawdziwa historia – ciągnął. – Niektórzy mówią, że straciła tylko wszystkie zęby. Ale jeśli cierpisz na ból zęba, panie, powinieneś modlić się do niej.

– Będę o tym pamiętał.

– Nie głosiła kazań jak ojciec Herefrith, i nie, wcale nie uważam go za świętego. – Uczynił znak krzyża. – Nasz Bóg nie jest okrutny, panie.

– Też tak myślę – rzuciłem ponuro.

– To ci, którzy głoszą jego nauki, bywają okrutni. To nie to samo.

Nie byłem w nastroju na teologiczną dyskusję.

– Powiedz mi, ojcie – rzekłem – czy Herefrith naprawdę jest kapelanem króla Edwarda?

– Nie, panie, jest kapelanem królowej Aelflaed, ale – młody ksiądz wzruszył ramionami – czy to nie to samo?

Słyszając to, prychnąłem. Sasi zachodni nigdy nie okazywali szacunku królewskiej żonie, nazywając ją królową. Nie wiem dlaczego, ale córka Aethelhelma najwyraźniej przyjęła ten tytuł, najpewniej za namową ojca.

– To nie to samo – zapewniłem go – jeśli plotki o Edwardzie i Aelflaed są prawdziwe.

– Plotki, panie?

– Że są ze sobą w złych stosunkach. Że nie rozmawiają ze sobą.

– Nic o tym nie wiem, panie – odparł, rumieniąc się. Było oczywiste, że nie chce plotkować. – Ale w każdym małżeństwie zdarzają się zgryzoty, prawda, panie?

– I przyjemności – rzekłem.

– Bogu niech będą dzięki.

Jego pogodny ton sprawił, że się uśmiechnąłem.

– A zatem jesteś żonaty?

– Byłem, panie, lecz tylko przez kilka tygodni. Umarła na poty. Ale była uroczą niewiastą.

Po całodniowym marszu zatrzymaliśmy się na północ od Huntandon, gdzie przyzwałem dwóch swoich saskich ludzi, Eadrica i Cenwulfa, i posłałem ich przodem, uzbrojonych w tarcze, które zabraliśmy ludziom Brice'a. Nie były to tarcze użyte, żeby zasadzić się na Brunulfa, lecz dwie z tych, które znaleźliśmy w forcie, z wymalowanym na nich skaczącym jeleniem. Ten sam jeleni, symbol Aethelhelma, widniał na sztandarze, który zdjęto z wałów w dniu, kiedy przybyłem do Hornecastre. Brice rozpoznał mnie tamtego dnia i dlatego wraz ze swoim towarzyszem zawrócił i zdjął flagę. Może był głupi jak osioł, ale wiedział, że zwęszę podstęp, jeśli zobaczę symbol Aethelhelma.

– Znajdźcie największą tawernę w Huntandon – poleciłem Eadricowi – i napijcie się tam. – Po tych słowach dałem mu monety.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Mamy tylko pić, panie?

– Jeśli będziecie mieli problemy z wejściem do miasta, powiedzcie, że jesteście ludźmi Aethelhelma.

– A jeśli zaczną nas rozpytywać?

Dałem mu swój złoty łańcuch, z którego uprzednio zdjąłem kościany młot.

– Powiesz im, żeby pilnowali własnego nosa. – Łańcuch miał zaświadczyć o tym, że Eadric jest kimś ważnym, znacznie ważniejszym niż którykolwiek ze strażników przy bramach miasta.

– I kiedy już tam dotrzemy, mamy tylko pić, panie? – spytał kolejny raz Eadric.

– Niezupełnie – odparłem.

Gdy powiedziałem mu, czego od nich chcę, Eadric, który nie był w ciemni bity, roześmiał się.

Nazajutrz ruszyliśmy za nim na południe.

Nie dotarliśmy do Huntandon, ale i nie musieliśmy. Kilka mil na północ od miasta zobaczyliśmy stado koni pasących się na pastwisku na wschód od drogi, a za nimi brudne białe dachy namiotów, nad którymi powiewały na wietrze barwne sztandary. Był wśród nich smok Wessexu, pokraczna gęś Aethelflaed i skaczący jeleni Aethelhelma. Widziałem sztandary z wizerunkami świętych i krzyży albo świętych z krzyżami, a pośród nich ukryty sztandar Sigtryggra ze zdobiącym go czerwonym toporem. To tu spotykali się możni – nie w nowo zdobytym Huntandon, lecz w namiotach postawionych wokół słusznych rozmiarów obejścia. Gdy zmordowany zarządca nas dostrzegł, pomachał w naszą stronę.

– Kim jesteście? – spytał.

– Ludźmi Sigtryggra – odparłem.

Szliśmy pod sztandarem z czerwonym toporem, którego Brice i Herefrith użyli, by zwieść Brunulfa.

Zarządca splunął.

– Nie spodziewaliśmy się kolejnych Duńczyków – odrzekł z wyraźną wzdargą.

– Nigdy się nas nie spodziewacie – stwierdziłem – dlatego zwykle spuszczaamy wam łomot.

Kiedy mrugając, spojrział na mnie zaskoczony, uśmiechnąłem się do niego. Cofnął się o krok i wskazał pobliskie pastwisko.

– Zostawcie tam konie – rzucił nerwowo – i oddajcie broń. Tu nikt nie nosi broni. Nikt – powtórzył z naciskiem.

– Nawet Sasi? – spytałem.

– Tylko królewska straż – oznajmił – nikt inny.

Zostawiłem większość swych ludzi, by strzegli koni, mieczy, włóczni, toporów i saksów, i razem z Finanem, Brunulfem, swoim synem i dwoma jeńcami ruszyłem w stronę obejścia. Gęsty dym unosił się znad ognisk,

które płonęły między namiotami. Na jednym z nich na rożnie pieczono całego wołu. Szpikulec obracało dwóch półnagich niewolnych, podczas gdy mali chłopcy dorzucali do ognia świeżo rozłupane bierwiona. Potężny mężczyzna, wielki jak Gerbruht, toczył beczkę w stronę pobliskiego namiotu.

– Ale! – krzyczał. – Zróbcie miejsce dla ale! – Zobaczywszy, że beczka toczy się wprost na mnie, próbował ją zatrzymać. – Prr! – wrzasnął. – Wybacz, panie, wybacz!

Odkroczyłem w bok i zobaczyłem Eadrica i Cenwulfa, którzy czekali na nas przy słusznych rozmiarów stodole. Eadric szczyrzył zęby w uśmiechu najwyraźniej rad, że mnie widzi, a gdy podszedłem bliżej, wyciągnął ku mnie złoty łańcuch.

– Przywiązali króla Sigtryggra do kozła, panie – rzekł. – I teraz kawałek po kawałku odrąbują drewno.

– Niedobrze, co? – Zawiesiłem łańcuch na szyi. – A zatem się udało?
Eadric uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Udało się, panie. Może nawet za bardzo?

– Za bardzo?

– Jutro chcą ruszyć na północ. Nie mogą tylko zdecydować, kto powinien cię zabić i jak.

Roześmiałem się.

– Rozczarują się więc.

Posłałem Eadrica i Cenwulfa, by rozpuścili po Huntandon plotkę o tym, że podstęp Aethelhelma się udał. Opowiadali historię o mojej zdradzie, o tym, jak zaatakowałem Brunulfa i jego ludzi i jak nie bacząc na pokojową flagę, wyrznąłem księży i wojowników. Plotka najwyraźniej spełniła swoje zadanie, choć Aethelhelm zastanawiał się pewnie, skąd się wzięła

i dlaczego nie ma wieści od ludzi, których posłał na północ, by rozpętali wojnę. Mimo to był ukontentowany. Dostał bowiem to, co chciał.

Przynajmniej na razie.

Spotkanie odbywało się w ogromnej stodole, imponującym budynku, okazalszym niż większość sal biesiadnych.

– Do kogo należy ta stodoła? – zapytałem strażnika, który stał po jednej stronie wielkich drzwi. Miał wymalowany na piersi symbol Wessexu, nosił włócznię i ani chybi, należał do straży przybocznej Edwarda.

– Do jarla Thurfertha – odparł, upewniwszy się, że żaden z nas nie jest uzbrojony. – Który teraz należy do nas. – Nie próbował nas zatrzymać.

Mówiłem jego językiem i choć pelerynę miałem marną i wytartą, dostrzegł widoczny pod nią złoty łańcuch, atrybut człowieka majątnego. Poza tym byłem starszy i miałem siwe włosy, zakładał więc, że mam prawo brać udział w spotkaniu, choć gdy spostrzegł Brice'a i Herefritha ze związanymi rękami, nieznacznie ściągnął brwi.

– Złodzieje – rzuciłem szorstko. – Zasługują na królewską sprawiedliwość. – Zerknąłem na Gerbruhta. – Jeśli któryś z nich się odezwie, możesz odgryźć im jaja.

– Z przyjemnością, panie. – Uśmiechnął się, odsłaniając brudne zęby.

Nie ściągając na siebie niczyjej uwagi, stanęliśmy w drugim końcu pomieszczenia. Przed wejściem naciągnąłem na głowę kaptur znoszonej peleryny, by ukryć twarz. W środku znajdowało się co najmniej sto pięćdziesiąt osób. Wnętrze stodoły zdawało się tonąć w mroku, jako że jedynym źródłem światła były promienie, które sączyły się do środka przez wysokie odrzwia. Staliśmy za plecami tłumu, patrząc na prymitywne podium wzniesione w drugim końcu stodoły. Na ścianie za nim zawieszono cztery sztandary: smoka Wessexu, gęs Aethelflaed, białe płótno z czerwonym krzyżem i znacznie mniejszy od pozostałych sztandar

Sigtryggra z wymalowanym na nim czerwonym toporem. Pod nimi na podniesieniu ustawiono sześć krzeseł, z których każde nakryto płótnem, by przydać im godności. Sigtryggr siedział na zewnętrznym krześle od lewej strony. Oko miał spuszczone, twarz przygnębioną. Na zewnętrznym krześle od prawej siedział drugi Norweg – a przynajmniej zakładałem, że jest Norwegiem, albowiem włosy miał długie, a policzki wytatuowane. Zgadywałem, że to jarl Thurferth, który tak chętnie poddał swoje ziemie Sasom zachodnim. Wiercił się nerwowo. Król Edward z Wessexu siedział na jednym z trzech krzeseł, pod które podłożono dodatkowe deski, przez co zdawały się wyższe od pozostałych. Miał wymizerowaną twarz i ku mojemu zaskoczeniu zauważyłem, że włosy siwieją mu na skroniach. Po jego lewej ręce, na nieco niższym krześle zasiadała jego siostra Aethelflaed. Jej widok mnie zaszokował. Niegdyś piękna twarz była ściągnięta, skóra cienka jak pergamin, a usta zaciśnięte w wąską kreskę, jak gdyby próbowała zapanować nad bólem. Aethelflaed, podobnie jak Sigtryggr, wzrok miała spuszczone. Trzecie podniesione krzesło po prawej ręce Edwarda zajmował ponury młodzieniec. Twarz miał jak księżyc, wodził dookoła oburzonym wzrokiem, a na brązowych rozczochranych włosach nosił złotą opaskę. Miał nie więcej niż trzynaście, czternaście lat i rozsiadłszy się wygodnie, spoglądał z pogardą na zgromadzony w dole tłum. Nigdy wcześniej go nie widziałem, zgadywałem jednak, że to Aelfward, syn Edwarda i wnuk ealdormana Aethelhelma.

Aethelhelm siedział obok chłopaka. Wielki, prostoduszny, sympatyczny Aethelhelm, którego twarz ściągał teraz srogi grymas. Zaciskał palce na oparciu krzesła i nieznacznie pochylał się do przodu, przysłuchując się kazaniu głoszonemu przez biskupa Wulfhearda. Nie, nie było to kazanie ani przemówienie, a słowom biskupa przyklaskiwał rząd księży i garstka odzianych w kolczugi wojów stojących pośród cieni za sześcioma tronami.

Z całej szóstki zasiadającej na krzesłach tylko Aethelhelm oklaskiwał biskupa. Uderzał dłonią w oparcie i od czasu do czasu kiwał głową, choć na jego twarzy malował się żal, jak gdyby smuciło go to, co słyszał.

Tak naprawdę jednak był szczęśliwy ponad wszelką miarę.

– „Każde królestwo wewnętrznie skłócone pustoszeje i dom na dom się wali”* – grzmiał biskup. – Oto słowa Chrystusa! A kto z tutaj zgromadzonych wątpi, że ziemie na północ stąd należą do Sasów?! Że zdobyto je za cenę saskiej krwi?!

– Gada już tak z godzinę, może nawet dłużej – mruknął Eadric.

– A więc dopiero zaczyna – odparłem.

Człowiek stojący przed nami próbował mnie uciszyć, lecz warknąłem na niego i szybko się odwrócił.

Patrzyłem teraz na Wulfhearda, który od dawna był mi wrogiem. Piastował urząd biskupa Herefordu, lecz niczym pies podążał za królem Wessexu, albowiem choć Wulfheard nauczał o niebiańskiej władzy, jedyną władzą, jakiej pragnął, była ta doczesna. Pożądał monet, ziemi i wpływów i zwykle dostawał to, czego chciał, bo za jego ambicjami stał wnikliwy, bystry i bezwzględny umysł. Był imponującym człowiekiem: wysokim i poważnym, z haczykowatym nosem i głęboko osadzonymi ciemnymi oczami pod krzaczastymi brwiami, które z wiekiem posiwiały. Wzbudzał szacunek, ale miał słabość do dziwek. Nie mogłem go za to winić, sam je lubię, lecz w przeciwieństwie do mnie Wulfheard udawał człowieka na wskroś uczciwego.

Biskup urwał, by przepłukać gardło piwem albo winem, a siedząca na krzesłach szóstka możliwych poczęła się wiercić, jak gdyby nagle wszyscy chcieli rozprostować kości. Edward nachylił się i szepnął coś do siostry, na co Aethelflaed odpowiedziała skinieniem głowy, tymczasem jej wiecznie skrzywiony bratanek Aelfweard ziewnął.

– Nie wątpię – podjął biskup, czym przestraszył chłopaka – że pani Aethelflaed zawarła pokój z królem Sigtryggrem, kierując się chrześcijańskimi pobudkami, z nadzieją, że światło Chrystusa przeniknie mroki jego pogańskiej duszy i otworzy mu oczy na mądrość i łaskę naszego Pana Zbawiciela!

– Prawda to – mruknął Aethelhelm. – Najprawdziwsza prawda.

– Podstępny drań – warknąłem.

– Skąd mogła wiedzieć – ciągnął biskup – skąd ktokolwiek z nas mógł wiedzieć o zdradzie kiełkującej w duszy lorda Uhtreda? O nienawiści, którą żywi do nas, dzieci Bożych! – Tu urwał, a z jego gardła dobył się szloch. – Brunulf – krzyknął – wielki wojownik Chrystusa, nie żyje! – Księża za jego plecami podnieśli lament, a Aethelhelm pokręcił głową. – Ojciec Herefrith – krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Wulfheard – męczennik Boga, nie żyje!

Strażnicy mogli myśleć, że nie jesteśmy uzbrojeni, ja jednak miałem nóż, którym ukłułem teraz Herefritha w tyłek.

– Jedno słowo – szepnąłem – jedno słowo i już po tobie.

Poczułem, jak drży.

– Nasi dobrzy ludzie – szlochał biskup – zostali zabici przez poganina! Zarżnięci przez dzikusa! I oto nadszedł czas! – zagrział, podnosząc głos. – Najwyższy czas, byśmy przegnali tego dzikiego poganina z naszej ziemi!

– Amen. – Aethelhelm pokiwał głową. – Amen.

– Chwalmy Pana! – zawołał jeden z księży.

– Słuchajcie! – zakrzyknął biskup. – Słuchajcie słów proroka Ezechiela!

– Musimy? – mruknął Finan.

– „I uczynię ich jednym ludem! – zagrział Wulfheard. – I jeden król będzie nimi wszystkimi rządził, i już nie będą tworzyć dwóch narodów”^{**}!

Słyszycie? Bóg obiecał uczynić nas jednym narodem, nie dwoma! – Skierował wściekły wzrok na Sigtryggra. – Ty, królu – warknął z pogardą – opuścisz nas dziś. Jutro traktat pokojowy przestanie obowiązywać i armia króla Edwarda pomaszeruje na północ! To będzie armia Boga! Armia wiary! Armia prawdy! Armia gotowa pomścić śmierć Brunulfa i ojca Herefritha! Armia wiedzona przez Chrystusa zmartwychwstałego, przez naszego króla i lorda Aethelhelma! – Król Edward zmarszczył czoło najwyraźniej urażony tym, że wymieniono Aethelhelma jako przywódcę zachodniosaskiej armii, lecz nie przerwał biskupowi. – A wraz z tą imponującą siłą – ciągnął Wulfheard – pomaszerują Mercjanie! Wojownicy pod wodzą księcia Aethelstana!

Tym razem to ja się nachmurzyłem. Aethelstan miał dowodzić mercyjską armią? Nie miałem nic przeciwko temu, wiedziałem jednak, że Aethelhelm niczego nie pragnie tak bardzo, jak pozbyć się Aethelstana i przetrzeć swojemu wnukowi drogę do tronu. A teraz Aethelstan miał udać się do Northumbrii z człowiekiem, który pragnął jego śmierci? Zastanawiałem się, dlaczego Aethelstan nie zasiadł na podwyższeniu jak jego przyrodni brat Aelfweard, aż w końcu zobaczyłem go pośród wojowników stojących z księżmi za sześcioma krzesłami. Pomyślałem, że to wiele mówi. Aethelstan był starszym synem, jednak nie dostępował takich samych zaszczytów jak wiecznie skrzywiony, pulchny Aelfweard.

– To będzie zjednoczona, saska armia – triumfował Wulfheard – armia Englandu, armia Chrystusa! – perorował coraz głośniej. – Pomści tych, którzy zginęli męczeńską śmiercią, i przyniesie naszemu Kościołowi wieczną chwałę! Zjednoczy wszystkich Sasów pod panowaniem jednego saskiego króla!

– Gotowy? – spytałem Finana.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Poganin Uhtred sprowadził na siebie gniew Boży! – krzyczał biskup. Ślina pryskała mu z ust, kiedy wyciągał ręce ku krokwiom stodoły. – Czas pokoju dobiegł końca, przerwany okrutnym podstępem Uhtreda, jego nienasyconą żądzą krwi, zdradą wszystkiego, co jest nam drogie, jego brutalnym atakiem na nasz honor, naszą pobożność, oddanie Bogu i umiłowanie pokoju! Nie nasza to wina! On to uczynił, tak więc damy mu wojnę, której tak bardzo pragnie!

Ludzie wiwatowali. Sigtryggr i Aethelflaed wyglądali na zrozpaczonych, Edward marszczył brwi, a Aethelhelm kręcił głową, jak gdyby ubolewał nad tym, że oto dostał to, czego chciał.

Biskup zaczekał, aż tłum zamilknie.

– A czego pragnie od nas Bóg?! – zagrzemiał. – Czego chce od was?!

– Chce, byś przestał łąć jak pies, dziwkarzu! – krzyknąłem, przerywając ciszę, która nastąpiła po zadaniu przez niego dwóch ostatnich pytań.

I zacząłem przeciskać się przez tłum.

* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Łk 11, 17.

** Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Ez 37, 22.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zdjąłem kaptur i zrzuciłem z ramion znoszoną pelerynę, gdy z Finanem lawirowaliśmy pośród stłoczonej ciżby. Zdumione okrzyki ustąpiły miejsca pomrukom, a te gniewnym słowom sprzeciwu. Jednak nie wszyscy w tłumie byli wzburzeni. Niektórzy się uśmiechali, oczekując przedstawienia, a garstka powitała mnie okrzykami. Biskup Wulfheard wlepił we mnie przerażony wzrok. Rozdziawił usta, jakby chciał coś powiedzieć, a gdy nie dobył się z nich żaden dźwięk, spojrział rozpaczliwie na króla Edwarda w nadziei, że ten zachowa się jak władca. Tymczasem zdumiony Edward nie odezwał się ani słowem. Aethelflaed patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami i zdało mi się, że po jej twarzy przemknął cień uśmiechu. Protesty przybierały na sile, ludzie domagali się, by wyrzucić mnie ze stodoły, aż w końcu któryś z młodzików postanowił zostać bohaterem i zastąpił mi drogę. Był odziany w ciemnoczerwoną pelerynę spiętą pod szyją srebrną broszą w kształcie skaczącego jelenia. Wszyscy wojownicy ze straży przybocznej Aethelhelma nosili ciemnoczerwone peleryny i teraz kilku z nich przepychało się w tłumie, by powstrzymać tego, który poważił się interweniować.

– Ty... – zaczął.

Nie dokończył jednak, bo go uderzyłem. Nie zamierzałem wkładać w cios tyle siły, ale gotowałem się z wściekłości, a gdy zgiął się wpół bez tchu, odepchnąłem go tak, że zatoczył się i runął na brudną słomę. Zanim

dotarliśmy do podniesienia, jeden z ludzi Edwarda wycelował w nas włócznią, ale Finan wyminął mnie i stanął tuż przed ostrzem.

– Spróbuj, chłopcze – rzekł ze spokojem. – Proszę cię, tylko spróbuj.

– Cofnąć się! – Edward odzyskał głos i strażnik zrobił, co mu kazano.

– Wyprowadźcie go! – ryknął Aethelhelm do swojej straży przybocznej.

Jednak dwóch strażników Edwarda, którzy jako jedyni mogli nosić broń w obecności króla, źle pojęli jego słowa i miast mnie ucapili młodzika w czerwonej pelerynie. Głosy Edwarda i Aethelhelma uciszyły tłum, choć gdy niezdarnie wchodziłem na podniesienie, tu i ówdzie dało się słyszeć pomruki. Finan został na dole zwrócony twarzą do tłuszczy, gotowy zmierzyć się z każdym, kto spróbuje mi przeszkodzić. Sigtryggr, podobnie jak wszyscy zgromadzeni w stodole, patrzył na mnie w osłupieniu. Mrugnąłem do niego i upadłem na kolano przed Aethelflaed. Zdawała się taka chora, taka blada, taka wątła.

– Pani – rzekłem.

Wyciągnęła szczupłą dłoń, a gdy ją ucałowałem i podniosłem wzrok, zobaczyłem w jej oczach łzy. Uśmiechała się jednak.

– Uhtredzie – wyszeptała tylko.

– Wciąż jestem ci zaprzysiężony, pani – odparłem i odwróciłem się do jej brata, przed którym skłoniłem z szacunkiem głowę. – Królu – powitałem go.

Edward, który nosił wysadzaną szmaragdami koronę swojego ojca, uniósł rękę, by uciszyć tłum.

– Jestem zaskoczony twoim pojawieniem się, lordzie Uhtredzie – powiedział sztywno.

– Przynoszę wieści, królu – oznajmiłem.

– Wieści są zawsze mile widziane. Zwłaszcza te dobre.

– Przypuszczam, że ta w szczególności cię ucieszy, panie. – Po tych słowach wstałem.

– A zatem wysłuchajmy jej – rozkazał król.

Tłum zamilkł. Ci, którzy znudzeni kazaniem Wulfhearda zgromadzili się przy drzwiach, teraz przepychali się, by podejść jak najbliżej.

– Kiepski ze mnie mówca, panie – podjąłem, powoli podchodząc do biskupa. – Nie jestem jak biskup Wulfheard. Dziwki w karczmie Pod Snopem Pszenicy w Wintanceasterze mówią, że nie przestaje gadać, nawet gdy je chędoży.

– Ty plugawy... – zaczął Wulfheard.

– Choć mówią też – przerwałem mu gwałtownie – że jest tak szybki, że nie są to długie kazania. Raczej bełkotliwe błogosławieństwa. W imię ojca i syna, i du, du, du... cha!

Kilku mężczyzn parsknęło śmiechem, umilkli jednak pod gniewnym spojrzeniem Edwarda. W młodości nie był przesadnie religijny, lecz teraz, będąc w wieku, w którym ludzie zaczynają rozmyślać o śmierci, żył w strachu przed ukrzyżowanym bogiem. Tymczasem Aethelflaed, która była starsza i niezwykle pobożna, roześmiała się, choć jej śmiech przeszedł w kaszel. Edward zamierzał zbesztać mnie za moje słowa, lecz go uprzedziłem.

– A zatem – zwróciłem się do zebranych, stając plecami do oburzonego Wulfhearda – Brunulf nie żyje?

– Zabiłeś go, draniu! – krzyknął jeden ze stojących w tłumie mężczyzn. Spojrzałem na niego.

– Jeśli uważasz mnie za drania, podejź tu, król da nam miecze i będziesz mógł to udowodnić.

Czekałem, ale się nie ruszył, więc tylko głową dałem znak swojemu synowi.

Ten się odsunął, tak by Brunulf mógł przejść przez tłum. Początkowo musiał rozpychać się łokciami, lecz kiedy kilka osób go rozpoznało, ludzie zaczęli odsuwać się na bok, robiąc dla niego przejście.

– A zatem – powtórzyłem – Brunulf nie żyje? Czy ktoś z tu obecnych widział, jak umiera? Czy ktoś widział jego ciało? – Nikt nie odpowiedział, choć w tłumie rozległy się poszeptywania, gdy kolejni ludzie uświadamiali sobie, kim jest człowiek idący ku podniesieniu. Kiedy stanął przed nim, wyciągnąłem rękę, by pomóc mu wejść na deski. – Królu – odwróciłem się do Edwarda – pozwolisz, że przedstawię ci Brunulfa, twojego człowieka?

Nikt się nie odzywał. Edward spojrział na Aethelhelma, którego nagle zaczęły interesować krokwie pod sufitem stodoły, i z powrotem na Brunulfa, który opadł przed nim na kolano.

– Czy uważasz, że cuchnie jak trup, królu? – spytałem.

Twarz Edwarda wykrzywił grymas przypominający coś w rodzaju uśmiechu.

– Nie – odparł.

Stanąłem twarzą do tłumy.

– To nie trup! Wygląda na to, że go nie zabiłem! Nie żyjesz, Brunulfie?

– Nie, panie.

W stodole zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Czy zostałeś zaatakowany w Northumbrii? – spytałem Brunulfa.

– Tak, panie.

Edward nakazał Brunulfowi wstać, a ja skinieniem dłoni przywołałem go do siebie.

– Kto cię zaatakował? – zwróciłem się do niego.

Wahał się przez chwilę, po czym odparł:

– Ludzie pod sztandarem króla Sigtryggra.

– Takim? – spytałem, wskazując wiszący na ścianie sztandar Sigtryggra z czerwonym toporem.

– Tak, panie.

W tłumie rozległy się pomruki niezadowolenia, uciszone przez tych, którzy chcieli wysłuchać słów Brunulfa. Sigtryggr nachmurzył się, słysząc, że ludzie, którzy zasadzili się na Brunulfa, nieśli jego sztandar, lecz nie protestowali. Aethelhelm odchrząknął, przez chwilę wiercił się na krześle, po czym wrócił do oglądania krokwi.

– A ty odparłeś ich atak? – zapytałem.

– Ty to zrobiłeś, panie.

– Ilu twoich ludzi zginęło?

– Żaden, panie.

– Żaden? – powtórzyłem głośniej.

– Ani jeden, panie.

– Nie zginął żaden Sas?

– Ani jeden, panie.

– Byli jacyś ranni?

Pokręcił głową.

– Żadnych, panie.

– A co z tymi, którzy nieśli sztandar z czerwonym toporem? Stracili jakichś ludzi?

– Czternastu, panie.

– A resztę pojmałeś?

– Ty ich pojmałeś, panie.

Aethelhelm patrzył teraz na mnie, niezdolny przemówić ani nawet się poruszyć.

– Czy to byli ludzie króla Sigtryggra? – drążyłem.

– Nie, panie.

– A zatem czyi?

Brunulf znów urwał, tym razem po to, by spojrzeć na Aethelhelma.

– To byli ludzie lorda Aethelhelma.

– Głośniej! – nakazałem mu.

– To byli ludzie lorda Aethelhelma!

Ledwie to powiedział, w stodole wybuchła wrzawa. Część ludzi, z których większość nosiła ciemnoczerwone peleryny spięte srebrnymi broszami w kształcie skaczącego jelenia, krzyczała, że Brunulf łże, podczas gdy inni ich uciszali, żądając, by Brunulf mówił dalej. Ja tymczasem podszedłem do krzesła, na którym zasiadał Aethelhelm, i nachyliłem się nad nim. Jego wnuk, książę Aelfweard, nadstawiał uszu, by podsłuchać moje słowa, ja jednak zniżyłem głos do szeptu.

– Jest tu ze mną Brice – zwróciłem się do Aethelhelma – i ojciec Herefrith. Obaj robią w portki na mój widok, więc nie będą kłamać, żeby ratować twoją nędzną skórę. Rozumiesz, panie? – Niemal niezauważalnie skinął głową, ale nic nie powiedział. Zgromadzeni w stodole ludzie krzykiem domagali się, by Brunulf mówił dalej, nie baczyłem jednak na nich. – A zatem, lordzie – ciągnąłem – zeznasz, że postąpili wbrew tobie, i przystaniesz na wszystko, co zaproponuję. Na wszystko. Rozumiemy się, panie?

– Ty łajdaku – mruknął.

– Rozumiemy się? – powtórzyłem.

Po chwili zastanowienia nieznacznie skinął głową. Poklepałem go po policzku.

I zgodziliśmy się. Zgodziliśmy się, że Brice przekroczył swoje kompetencje i z własnej woli próbował wywołać wojnę, że to on i ojciec Herefrith zdecydowali o ataku na Brunulfa wbrew rozkazom ealdormana

Aethelhelma. Aethelhelm zeznał, że chciał jedynie wybudować kościół na chwałę Świętego Erpenwalda z Wuffingas i że nigdy, nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że ów zbożny czyn może stać się przyczynkiem do aktu przemocy. Ustalono, że Brice zostanie oddany ludziom Edwarda, którzy wymierzą mu sprawiedliwość, podczas gdy ojciec Herefrith zostanie ukarany przez władze kościelne.

Uzgodniliśmy, że pokój zawarty między Aethelflaed a Sigtryggrem zostanie przedłużony do przyszłorocznego Dnia Wszystkich Świętych. Żądałem przedłużenia go o trzy lata, lecz Edward się uparł, a że nie miałem nad nim władzy, przystałem na te warunki. Owo święto wypadało pod koniec roku, gdy nadciągająca zima odbierała ludziom ochotę do walki, tak więc liczyłem, że dzięki mnie Sigtryggr zyskał niemal dwa lata pokoju.

Na koniec uparłem się, by wziąć zakładników, ponieważ chciałem mieć pewność, że wrogowie Northumbrii dopełnią warunków umowy. Nie była to powszechna praktyka. Niektórzy zaczęli krzyczeć, że skoro Wessex i Mercja mają oddać zakładników, Northumbria powinna zrobić to samo, lecz zgromiony przeze mnie wzrokiem Aethelhelm rzekł niechętnie:

– Northumbria nie złamała przymierza. Zrobili to nasi ludzie. – Kiedy to mówił, na jego twarzy malował się ból. – To wiarołomca musi zapłacić cenę.

– Kogo zatem – zwrócił się do mnie król Edward – weźmiesz na zakładników?

– Chcę tylko jednego, panie – odparłem. – Tylko jednego. Dziedzica twojego tronu. – Urwałem i zobaczyłem strach na twarzy Aethelhelma. Lękał się, że mam na myśli jego wnuka Aelfwearda, który również wyglądał na przerażonego, uspokoilem ich jednak, dodając: – Chcę księcia Aethelstana.

Którego kochałem jak syna.

I który przez ponad rok miał pozostawać pod moją pieczęcią.
Podobnie jak armia Sigtryggra.

Brice umarł tego samego dnia.

Nigdy go nie lubiłem. Był tępym, bezmyślnym brutalem, przynajmniej do południa, kiedy to rozstał się z życiem – gdy ze związanymi rękami wprowadzono go do namiotu Edwarda. Wtedy mi zaimponował.

Nie próbował obwiniać Aethelhelma, choć skazano go za wykonywanie jego rozkazów. Mógł wykrzyknąć prawdę, lecz złożył przysięgę ealdormanowi i dotrzymał jej.

Uklęknął przed księdzem i wyznał grzechy, otrzymał rozgrzeszenie i ostatecznie namaszczenie. Nie protestował, nie skamlał ani nie płakał. Wstał, kiedy ksiądz skończył, stanął twarzą do królewskiego namiotu i dopiero wtedy się wzdrygnął.

Spodziewał się, że zabije go ktoś ze straży przybocznej Edwarda, doświadczony wojownik, który sprawnie i szybko uwinie się z zadaniem, i rzeczywiście na miejscu egzekucji czekał na niego potężny drab. Miał na imię Waormund i był olbrzymem, który jednym ciosem miecza potrafił powalić wołu. Zwykle stawał pośrodku muru tarcz, by samym wyglądem przerazić wroga, lecz podczas gdy Brice się spowiadał, miejsce Waormunda zajął Aelfweard, królewski syn, i widząc go, Brice zadrżał.

Kolejny raz padł na kolana.

– Książę – przemówił. – Błagam cię, byś pozwolił mi umrzeć z wolnymi rękami.

– Ja będę decydował o tym, jak umrzesz – odparł piskliwym, łamiącym się głosem Aelfweard – a postanowiłem, że umrzesz ze skrępowanymi rękami.

– Rozwiążcie mu ręce! – zawołałem. Byłem jednym z przeszło dwustu ludzi, którzy przyglądali się egzekucji, i słysząc moje słowa, większość z nich mruknęła z aprobatą.

– Milcz – rozkazał mi Aelfweard.

Podszedłem do niego. Był pulchny jak jego matka i wiecznie skrzywiony. Miał kręcone brązowe włosy, rumianą twarz, niebieskie oczy i pogardliwe spojrzenie. Nosił miecz, który zdawał się dla niego za duży. Kiedy się zbliżyłem, położył dłoń na rękojęści, wystarczyło jednak, że spojrzał mi w oczy i porzucił ten niedorzeczny pomysł. Chciał być arogancki, lecz w jego lekko wytrzeszczonych oczach czaił się strach.

– Waormundzie – rzekł – powiedz lordowi Uhtredowi, by pilnował swoich spraw.

Waormund poczłapał w moją stronę. Był naprawdę wielki, przewyższał mnie o głowę, a jego płaską, ponurą twarz od prawej brwi do dołu lewego policzka przecinała szpetna blizna. Miał szczeciniastą brązową brodę, zimne jak głazy oczy i wykrzywione w grymasie niezadowolenia wąskie usta.

– Pozwól księciu Aelfweardowi wypełnić jego obowiązek – warknął do mnie.

– Kiedy rozwiąże jeńcowi ręce – odparłem.

– Odpraw go! – pisnął Aelfweard.

– Słyszałeś... – zaczął Waormund.

– Nie służysz mi – przerwałem mu – ale jako lordowi winien mi jesteś szacunek. Jeśli tego nie zrobisz, wypatroszę cię. Zabijałem mocniejszych durniów od ciebie – szczerze w to wątpiłem, ale uznałem, że nic mu się nie stanie, jeśli to usłyszy – ale żaden nie był tak głupi jak ty. A teraz obaj zaczekajcie, podczas gdy ja rozwiążę Brice’owi ręce.

– Nie możesz... – zaczął Waormund, ale go spoliczkowałem. Tak go to zdumiało, że stał jak cielę z otwartą gębą.

– Nie mów mi, co mogę, a czego nie mogę, tępaku – warknąłem do niego. – Powiedziałem, że masz czekać, więc czekaj.

Podszedłem do Brice'a, a po drodze skinąłem głową na Finana. Stałem za Brice'em, wyciągnąłem nóż, którego nie powinienem mieć przy sobie, i przeciąłem krępujące go więzy. Kiedy spojrzałem ponad jego ramieniem, zobaczyłem, że szkarłatna płachta wisząca w wejściu do królewskiego namiotu poruszyła się lekko.

– Dziękuję, panie – rzekł Brice. Roztarł nadgarstki. – Człowiek winien umierać, mając wolne ręce.

– Żeby mógł się pomodlić?

– Dlatego, że nie zasługuję na to, by umrzeć jak byle złodziej, panie. Jestem wojownikiem.

– Tak – przyznałem. – Jesteś wojownikiem. – Stałem naprzeciw niego, odwrócony tyłem do Waormunda i księcia Aelfwearda, podczas gdy Finan zaszedł Brice'a od tyłu. – Jesteś wojownikiem, który dotrzymał przysięgi – dodałem.

Brice rozejrzał się po twarzach otaczających nas ludzi.

– Nie przyszedł, by to zobaczyć. – Miał na myśli Aethelhelma.

– Wstyd mu za to, co zrobił – odparłem.

– Ale zadbał o to, bym nie został powieszony. I zaopiekuje się moją żoną i dziećmi.

– Dopilnuję tego.

– A jednak pozwolił, bym zginął z ręki chłopca – ciągnął z odrazą. – Ten chłopiec mnie zarąbie. Lubi krzywdzić ludzi.

– Ty też lubieś.

Pokiwał głową.

– Wyznałem żal za grzechy, panie. – Spojrzał ponad moim ramieniem na bezchmurne niebo i przez moment jego oczy zaszklily się od łez. – Myślisz, panie, że niebo istnieje?

– Wierzę, że istnieje sala biesiadna zwana Walhallą, gdzie trafiają po śmierci dzielni wojownicy. Sala biesiadna pełna przyjaciół i jadła.

Brice pokiwał głową.

– Lecz żeby się tam dostać, panie, trzeba zginąć z bronią w ręku.

– Dlatego chciałeś, by rozwiązano ci dłonie?

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie zdezorientowany. Wychowano go na chrześcijanina – tak przynajmniej zakładałem – lecz w mroku nocy przy ogniskach nadal szeptało opowieści o dawnych bogach i lęk przed Nidhoggiem, który w Niflheimie pożera ciała umarłych, nie został zapomniany pomimo nauk księży. Wciąż miałem w dłoni nóż i zwróciłem go rękojeścią do Brice’a.

– Nie jest to miecz – rzekłem – ale to wciąż broń. Trzymaj go mocno. – Zacisnąłem palce na kłykciach Brice’a, tak by nie wypuścił ostrza ani nie próbował wbić mi go w brzuch.

Nie zrobił tego jednak.

– Dziękuję, panie – odparł.

Wówczas Finan zadał cios. Kiedy rozmawiałem z Brice’em, wyciągnął saks ukryty pod tuniką i krótkim ostrzem ugodził Brice’a w kark. Ten umarł w jednej chwili, nie wiedział nawet, że kona, a gdy upadał, nóż nadal tkwił w jego dłoni. Trzymałem go za rękę, kiedy osunął się na ziemię, i dopiero gdy upewniłem się, że nie żyje, odgąłem mu palce zaciśnięte na rękojeści.

– Ty... – zaczął piskliwie Aelfweard, zamilkł jednak, kiedy Finan zakrwawionym saksem wykonał w powietrzu serię cięć tak szybkich, że ludzkie oko nie było w stanie za nimi nadążyć.

Tak więc Brice umarł i jakkolwiek był głupi, znajdzie swoje miejsce na jednej z ław w Walhalli. Kiedyś znów się spotkamy.

Zacząłem iść, lecz odwróciłem się gwałtownie, gdy ktoś dotknął mojego ramienia. Przez moment pomyślałem, że to Waormund albo Aelfweard rzucili się na mnie, ale był to służący, który skłoniwszy się nisko, powiedział, że zostałem wezwany do namiotu króla.

– Teraz, panie.

Nie miało znaczenia, czy mi się to podoba, czy nie. Nie można zignorować królewskiego wezwania, więc udałem się za służącym, minąłem strażników i wszedłem za szkarłatną zasłonę. W namiocie panował chłód i pachniało zdeptaną trawą. Stały tu stoły, krzesła, skrzynie i duże łoże, z którego obserwowała nas ciemnowłosa dziewczyna o dużych oczach. Król odprawił służącego, zignorował jednak dziewczynę i zamiast tego podszedł do stołu, na którym walały się połamane bochny chleba, krążek sera, dokumenty, księga, kałamarze, rogi do picia i dwa srebrne dzbany. Pośród nich leżała wysadzana szmaragdami korona Wessexu. Edward nalał sobie kubek wina i spojrzał na mnie pytająco.

– Proszę, lordzie – rzekł.

Napełnił drugi kubek i podał mi go, a zaraz potem usiadł i skinieniem głowy wskazał mi mniejsze krzesło.

– A więc Brice był poganinem?

– Myślę, że był poganinem i chrześcijaninem.

– I nie zasługiwał na śmierć. – Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

– Nie, panie.

– Lecz jego śmierć była koniecznością – zauważył Edward. Nie odezwałem się. Król upił łyk wina i strzepnął z niebieskiej szaty drobinę kurzu. – Nie wiedziałem – ciągnął – że kazano go zabić mojemu synowi. Cieszę się, że nie dopuściłeś do tego.

– Brice zasługiwał na szybką śmierć – odparłem.

– Tak – przyznał. – W istocie. – Nie widziałem Edwarda od kilku lat i pomyślałem, że wygląda staro, mimo iż był ode mnie znacznie młodszy. Zgadywałem, że niedawno skończył czterdzieści wiosen, lecz skronie i krótką brodę miał przyprószone siwizną, a twarz pomarszczoną. Przypominała oblicze jego ojca. Pamiętałem Edwarda, kiedy był młodym, niepewnym książątkiem. Potem zaczęły docierać do mnie plotki o tym, że nadmiernie lubi wino i kobiety, choć bogowie wiedzą, że to samo można powiedzieć o każdym lordzie. Ale słyszałem też, że jest pobożny i dba o kraj, i wiedziałem, że wykazał się męstwem podczas podboju Anglii Wschodniej. Dorównanie ojcu było trudne, jeśli nie niemożliwe, ale z czasem śmierć Alfreda odeszła w niepamięć, a Edward zyskiwał coraz większy posłuch i autorytet. – Wiesz, że powinniśmy zaatakować Northumbrię – rzekł nagle.

– Oczywiście, panie.

– Postanowienia traktatu zostaną zachowane. Po prawdzie tak nawet będzie lepiej. Potrzebujemy czasu, by ustanowić prawa na zajętych ziemiach. – Chciał powiedzieć, że przez kolejny rok będzie rozdzielał ziemię między swoich ludzi i dbał o to, by mieli wyszkolonych wojowników, którzy pewnego dnia ruszą na północ pod sztandarem Wessexu. Nachmurzył się, gdy do namiotu wszedł ksiądz ze stosem dokumentów. – Nie teraz, nie teraz – rzucił poirytowany i odprawił go machnięciem dłoni. – Później. Komu służysz, lordzie Uhtredzie?

– Twojej siostrze, panie.

Wydawał się zaskoczony.

– Nadal?

– Tak, panie.

Ściągnął brwi.

– A jednak walczyłbyś dla Sigtryggra?

– Twoja siostra nie miała nic przeciwko temu, panie.

– A gdyby tak było?

Starałem się unikać tego pytania.

– Nie musisz się mnie obawiać, panie. Jestem starcem, którego łamie w kościach.

Edward uśmiechnął się ponuro.

– Ojciec próbował nagiąć cię do swej woli i mówił, że to niemożliwe. Radził mi również, bym cię nie lekceważył. Mawiał, że wyglądasz na głupka, ale jesteś bystry.

– Myślałem, że było na odwrót, panie.

Uśmiechnął się i wrócił do pytania, na które wołałem nie odpowiadać.

– Co więc się stanie, jeśli moja siostra zażąda, byś jej służył?

– Panie – odparłem – chcę tylko odzyskać Bebbanburg. – Wiedziałem, że to mu nie wystarczy, dodałem więc: – Choć teraz, kiedy rozpanoszył się tam Konstantyn, to prawie niemożliwe, dlatego zamierzam osiąść we Fryzji.

Ściągnął brwi.

– Pytałem, co zrobisz, jeśli moja siostra zażąda, byś dopełnił przysięgi – powiedział głosem, który brzmiał jak głos jego ojca.

– Nigdy nie dobyłbym miecza przeciwko twojej siostrze, panie. Nigdy.

Nie takiej oczekiwał odpowiedzi, lecz nie naciskał dalej.

– Wiesz, co się dzieje w Bebbanburgu?

– Wiem, że Konstantyn oblega fortecę – odparłem – lecz nic więcej.

– Próbuje wziąć twojego kuzyna głodem – rzekł Edward. – Zostawił cztery setki ludzi pod wodzą niejakiego Domnalla, który z tego, co mi wiadomo, jest wielce wprawnym przywódcą.

Nie pytałem, skąd to wie. Edward odziedziczył po ojcu rozlicznych szpiegów i informatorów i w całej Brytanii nie było króla, który lepiej od niego znałby najnowsze wieści. Większość z nich pochodziła od klechów, którzy bezustannie pisali do niego listy. Nie wątpiłem też, że ma swoich ludzi w Szkocji i Northumbrii.

– Jest pewna brama – powiedziałem. – Forteca może być zaopatrywana przez łodzie.

– Już nie – oświadczył z przekonaniem Edward. – Wybrzeża strzeże Norweg i jego statki. To człowiek najęty początkowo przez twojego kuzyna.

– Einar Biały?

Pokiwał głową.

– Konstantyn kupił sobie jego lojalność.

– Konstantyn powiedział mi, że zaatakuje Einara – odparłem zaskoczony.

– Po co walczyć, kiedy można kupić? Teraz łodzie Einara patrolują wybrzeże. – Edward westchnął. – Konstantyn nie jest głupcem, choć nie wiem, na ile przydatny okaże się Einar. Nazywa siebie Einarem Białym, ale znany jest też jako Einar Pechowy. – Uśmiechnął się smutno. – Co zwykłeś powtarzać lata temu? Przeznaczenie jest wszystkim?

– *Wyrð bið ful āræd* – odparłem.

– Może przeznaczeniem Einara jest mieć pecha? Musisz w to wierzyć.

– Dlaczego uważasz, panie, że takie jest jego przeznaczenie?

– Podobno roztrzaskał trzy łodzie.

– Więc może ma szczęście, że nadal żyje?

– Może – po twarzy Edwarda przemknął cień uśmiechu – ale słyszałem, że jego przydomek jest w pełni zasłużony.

Liczyłem na to, że ma rację. Dotknąłem młota zawieszzonego na szyi i zmówiłem cichą modlitwę o to, by Einar w istocie okazał się pechowcem. Edward zobaczył ów gest i się nachmurzył.

– Ale z łodziami Einara czy bez nich – dodałem – Bebbanburg jest prawie nie do zdobycia. Dlatego myślę o Fryzji.

– O Fryzji! – rzucił pogardliwie. Było oczywiste, że mi nie wierzy, i obawiałem się, że mój kuzyn zareaguje tak samo. – Bebbanburg – ciągnął – w istocie jest trudny do zdobycia, ale jego mieszkańców można wziąć głodem, a twój kuzyn ma w fortecy przeszło dwustu ludzi, dobrze ponad dwustu. Potrzebują mnóstwa jedzenia! Mógłby utrzymać fortecę z połowę mniejszym oddziałem, ale to ostrożny człowiek i zacznie przymierać głodem raczej prędzej niż później. Do tego spłonął jeden z jego spichlerzy. Wiedziałaś o tym?

– Nie, panie. – Poczulem radość na myśl o nieszczęściu, które spadło na mojego kuzyna, a zaraz potem ukłucie strachu, gdy dotarło do mnie, że pożar z pewnością przysłużył się Konstantynowi.

– Twój kuzyn wygnał z fortecy darmozjadów – ciągnął Edward – ale zatrzymał zbyt wielu zbrojnych. Będą głodować, a głodujący garnizon łatwo zdobyć. – Znowu dotknąłem młota, narażając się na królewski gniew. – Nie podoba mi się jednak – w głosie Edwarda zabrzmiała nagle gorycz – że Konstantyn ma rządzić Bebbanburgiem. Miał czelność żądać wszystkich ziem na północ od muru! Wysłał posła, biskupa, z propozycją nowej granicy! Ale Bebbanburg to ziemia Sasów. Zawsze tak było! Dlatego powinna być, i będzie, częścią Englalandu. Może jesteś stary, słabowity i może bolą cię kości, lordzie Uhtredzie, ale przegnasz Konstantyna z ziemi swoich przodków!

Wzruszyłem ramionami.

– Pragnę Bebbanburga bardziej niż ty, panie, ale znam również tę fortecę. Gdybym miał tysiąc ludzi? – Jeszcze raz wzruszyłem ramionami. – Mam Dunholm, niemal tak wielki jak Bebbanburg. Myślałem, że zdobywszy Dunholm, przestanę marzyć o Bebbanburgu, ale kiedy twoja armia najedzie Northumbrię, panie, Fryzja będzie dla mnie bezpieczniejszym miejscem. – Powiedziałem to głośno nie po to, by Edward mnie usłyszał, lecz po to, by usłyszała mnie dziewczyna, która siedziała na łóżku i przysłuchiwała się naszej rozmowie. Król mógł nie wierzyć, że udam się za morze, ale chciałem, żeby dziewczyna rozpuściła plotkę o tym, że nie wracam do Bebbanburga.

– Jeśli ty nie zdobędziesz Bebbanburga, ja to zrobię – rzekł srogo Edward. – I zamiast ciebie będzie nim rządził któryś z moich ludzi. Tego chcesz?

– Lepiej, byś władał nim ty niż Szkoci, panie.

Edward mruknął i wstał, by dać mi do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Ja również się podniosłem.

– Wybrałeś na zakładnika Aethelstana – rzekł, kiedy szliśmy do wyjścia. – Dlaczego?

– Bo jest dla mnie niczym syn – odparłem. – I dzięki temu ocalę mu życie.

Edward dobrze wiedział, co mam na myśli – wiedział, kto zagraża Aethelstanowi. Pokiwał głową.

– Dobrze – rzekł. – Moja siostra chroniła go przez tyle lat. Teraz przez rok ty będziesz go strzegł.

– Sam mógłbyś go ochronić, panie – rzekłem.

Edward milczał przez chwilę, a gdy się odezwał, głos miał cichy.

– Ealdorman Aethelhelm jest moim najbardziej wpływowym lordem. Dowodzi zbyt wieloma ludźmi i ma zbyt wielu popleczników, którzy

zawdzięczają mu ziemie i majątki. Otwarcie mu się przeciwstawiając, ryzykowałbym wybuch wojny domowej.

– Aethelhelm sam doprowadzi do wojny domowej, byle tylko nie dopuścić do koronacji Aethelstana – odparłem.

– Wówczas będzie to problem Aethelstana – rzekł posepnie król. – Dlatego dobrze go wyszkol, lordzie Uhtredzie, dobrze go wyszkol, albowiem moja siostra nie może go dłużej chronić.

– Nie?

– Moja siostra umiera – odrzekł.

Serce zamarło mi w piersi.

W tej samej chwili do namiotu wpadł oburzony Aelfweard.

– Ten człowiek, Uhtred, ojciec... – zaczął i urwał gwałtownie. Najwyraźniej nie wiedział o moim spotkaniu z królem.

– Co z nim? – spytał Edward.

Aelfweard niedbale skłonił się przed ojcem.

– Powiedziano mi, że mam zabić jeńca. A on się wtrącił.

– I? – Edward uniósł pytająco brew.

– Powinno się go ukarać – oświadczył Aelfweard.

– A zatem ukarasz go – rzucił Edward i się odwrócił.

Aelfweard się nachmurzył, spojrział na mnie, na ojca i znowu na mnie. Gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, ustąpiłby, zraniłem jednak jego dumę.

– Nie kłaniasz się członkom królewskiego rodu, lordzie Uhtredzie? – zapytał piskliwym głosem.

– Kłaniam się tym, których szanuję – odparłem.

– Zwracaj się do mnie „panie” – zażądał.

– Nie, chłopcze, nie zamierzam.

Był zszokowany. Wypowiedział bezgłośnie słowo „chłopcze”, lecz się nie odezwał, tylko patrzył na mnie z oburzeniem. Zrobiłem krok do przodu, zmuszając go, by się cofnął.

– Nazywałem twojego ojca „chłopcem” – rzekłem – do dnia, gdy obaj przypuściliśmy szarżę na mury Beamfleot. Tamtego dnia zabijaliśmy Duńczyków uzbrojonych we włócznie i w miecze, zajadłych wojowników. Walczyliśmy, chłopcze, i dokonaliśmy wielkiej rzezi. Tamtego dnia twój ojciec zasłużył na to, by nazywać go „lordem”, tak jak zasłużył sobie na szacunek, jakim go darzę po dziś dzień. Ty zaś nadal cuchniesz matczynym cyckiem, chłopcze, i dopóki nie udowodnisz mi, że jesteś mężczyzną, pozostaniesz chłopcem. A teraz zejź mi z drogi, chłopcze.

Odsunął się. Jego ojciec nie rzekł ani słowa. Ja zaś wyszedłem.

– Nie jest zły – zapewniała mnie Aethelflaed.

– Jest rozpieszczony, bezczelny i nieznośny.

– To samo mówią o tobie.

Słyszając to, warknąłem, a ona się uśmiechnęła.

– A ty? – zapytałem. – Twój brat mówi, że niedomagasz.

Zawahala się. Widziałem, że chce wszystkiemu zaprzeczyć, ale rozmyśliła się i westchnęła.

– Umieram – wyznała.

– Nie! – zaprotestowałem.

W jej oczach zobaczyłem jednak prawdę. Jej piękno przywiędło wraz z wiekiem i bólem, skóra zdawała się krucha, cieńsza, a oczy ciemniejsze, jednak Aethelflaed nadal się uśmiechała i miała w sobie dawny wdzięk. Znalazłem ją w wielkim namiocie za sztandarem z wyhaftowaną na nim białą gęsią, która trzymała w dziobie krzyż, a w błoniastej nóżce miecz.

W przeszłości często kpiałem z tego proporca. Gęś była symbolem Świętej Werburgi, mercyjskiej zakonnicy, która w cudowny sposób przegnała stado gęsi z pola pszenicy. Nie pojmowałem, co było w tym cudownego – każde dziesięcioletnie pacholę potrafiło zrobić to samo – wiedziałem jednak, że Werburga była ważna dla Aethelflaed, a Aethelflaed była ważna dla mnie. Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem obok niej i wziąłem ją za rękę.

– Znam uzdrowiciela... – zacząłem.

– Byłam u uzdrowicieli – odparła zmęczonym głosem. – Licznych uzdrowicieli. Ale Aelfthryth przysłała do mnie mędrca, który mi pomógł. – Aelfthryth była młodszą siostrą Aethelflaed, która poślubiła władcę Flandrii. – Ojciec Casper sporządza napar, który łagodzi ból, musiał jednak wrócić do Flandrii, bo Aelfthryth również zachorzała. – Westchnęła i uczyniła znak krzyża. – Bywają dni, że czuję się lepiej.

– Co ci dolega?

– Ból. Tutaj. – Mówiąc to, dotknęła piersi. – Głęboko. Ojciec Casper nauczył siostry sporządzać napar i on pomaga. Podobnie jak modlitwa.

– Więc módl się częściej – rzekłem.

Dwie zakonnice, które opiekowały się Aethelflaed, siedziały w cieniu na tyłach namiotu. Obie popatrywały na mnie podejrzliwie, choć żadna z nich nie była w stanie usłyszeć, o czym rozmawiamy.

– Modlę się dniami i nocami – odparła z bladym uśmiechem. – Za ciebie też.

– Dziękuję.

– Będziesz potrzebował modlitwy – ciągnęła – mając za wroga Aethelhelma.

– Właśnie wyrwałem mu zęby – zażartowałem. – Byłaś tam, więc widziałaś.

– Będzie szukał pomsty.

Wzruszyłem ramionami.

– I co zrobi? Zaatakuje mnie w Dunholmie? Życzę mu szczęścia.

Poklepała mnie po ręce.

– Nie bądź arogancki.

– Tak, pani – odrzekłem z uśmiechem. – Czemu więc twój brat nie pokaże Aethelhelmowi, gdzie jego miejsce?

– Bo to by oznaczało wojnę – rzuciła posępnie. – Aethelhelm jest lubiany! Jest hojny! Nie ma w Wessexie biskupa czy opata, który nie brałby od niego pieniędzy. Przyjaźni się z połową szlachetnie urodzonych. Wydaje uczy! I nie chce tronu dla siebie.

– Tylko dla swojego wnuka, tego tłustego wypierdka.

– Zależy mu tylko na tym – odparła Aethelflaed – żeby Aelfweard został królem, a mój brat wie, że zachodniosaski witan zagłasuje, by tak właśnie się stało. Jego członkowie zostali przekupieni.

– A Aethelstan? – spytałem, chociaż znałem odpowiedź.

– Dobrze zrobiłeś, biorąc go na zakładnika. Przy tobie będzie bezpieczniejszy niż tutaj.

– Dlatego poprosiłem o niego – rzekłem i ściągnąłem brwi. – Czy Aethelhelm naprawdę ośmieliłby się go zabić?

– Opłaciliby kogoś, by pozbył się Aethelstana, i nikt by o tym nie wiedział. Czy ty w ogóle czytasz święte księgi?

– Codziennie – odparłem z entuzjazmem. – W każdej wolnej chwili czytam o Jeremiaszu albo Ezechielu.

Uśmiechnęła się rozbawiona.

– Ależ z ciebie barbarzyńca! Niech któryś z księży opowie ci historię o Uriaszu.

– Uriaszu?

– Zapamiętaj to imię – odparła. – Uriasz Hetyta.
– A skoro mowa o księżach. Kim jest Hrothweard?
– Arcybiskupem Yorku – rzekła. – Jak zresztą dobrze wiesz.
– I Sasem zachodnim.
– Tak. Jest też dobrym człowiekiem.
– Czy ten dobry człowiek przyjmował złoto od Aethelhelma? – spytałem.

– Nie, to dobry, pobożny człowiek – zapewniła mnie. Nagle zawahała się i ściągnęła brwi. – Był opatem – dodała nieco ostrożniej – i pamiętam, że jego domostwu przyznano spory kawałek ziemi. Tysiąc sześćset akrów w Wiltunscirze. Daleko od jego opactwa.

– Dostał ziemię zamiast złota?

Zmarszczki na czole Aethelflaed się pogłębiły.

– Ludzie ciągle oddają ziemię Kościołowi.

– A Aethelhelm jest ealdormanem...

– Wiltunsciru – dokończyła z westchnieniem. – A zatem przekupuje teraz lordów w Mercji, zasypując ich złotem. Chce, by witan Mercji wybrał Aelfwearda na moją następcę.

– Nie! – Byłem przerażony. Ten wiecznie skrzywiony żółtodziób królem Mercji!

– Zaproponował małżeństwo Aelfwearda z Aelfwynn – ciągnęła Aethelflaed. Aelfwynn była jej córką. Frywolną dziewczyną, ładną i nieodpowiedzialną. Lubiłem ją, może nawet bardziej niż jej matka, dlatego zdumiała mnie kolejne słowa Aethelflaed. – Nie zgodziłam się – rzekła – uważam bowiem, że to Aelfwynn powinna po mnie dziedziczyć.

– Że co? – wypaliłem.

– Jest księżniczką Mercji – stwierdziła stanowczo. – I skoro ja potrafię władać Mercją, dlaczego ona nie miałaby tego robić? Dlaczego władza ma spoczywać wyłącznie w rękach mężczyzn?

– Uwielbiam Aelfwynn – rzekłem – ale brak jej twojego rozsądku.

– Niech więc poślubi Cynlaefa Haraldsona, by jej doradzał – odparła Aethelflaed. – To młody, silny mężczyzna.

Zmilkiałem. Cynlaef Haraldson był młodym, przystojnym, zachodniosaskim wojownikiem, nie miał jednak szlacheckiego pochodzenia, a to znaczyło, że nie zapewni Aelfwynn poparcia możnego domu. Sam zresztą niewiele osiągnął i nie miał reputacji człowieka, za którym poszliby inni. Uważałem, że jest płytki, nie było jednak sensu mówić o tym Aethelflaed, która nieodmiennie zachwycała się jego urodą, manierami i uprzejmością.

– Cynlaef ją ochroni – stwierdziła. – Ty również.

– Wiesz, że jest mi droga – rzuciłem, wykręcając się od odpowiedzi.

Aethelflaed chciała usłyszeć, że będę popierał jej córkę, tak jak popierałem ją, i że przysięgnę jej wierność. Z opresji wybawił mnie Rorik, mój służący, który uderzył dłonią w klapę wejścia do namiotu i zdenerwowany wszedł do środka.

– Panie? – zaczął i opamiętawszy się, ukłonił się Aethelflaed.

– O co chodzi?

– Król Sigtryggr wyjeżdża, panie. Chciałeś, by ci powiedziec.

– Jadę z nim na północ – wyjaśniłem Aethelflaed.

– Jedź więc – odparła.

Wstałem i pokłoniłem się jej.

– Będę chronił Aelfwynn – rzekłem. Były to słowa, które musiały jej wystarczyć. Nie znaczyły one, że przysięgnę Aelfwynn, i Aethelflaed

wiedziała o tym, ale i tak się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę.

– Dziękuję – powiedziała.

Pochyliłem się, ucałowałem ją i przez chwilę nie wypuszczałem z dłoni.

– Najważniejsze, żebyś wydobrzała – odezwałem się. – Wyzdrowiała! Mercja nigdy nie miała lepszego władcy, tak więc zdrowiej i rządz dalej.

– Uczynię, co w mojej mocy.

Chwilę później zrobiłem coś, co wprowadziło zakonnice w osłupienie: pocałowałem Aethelflaed w usta. Nie opierała się. Niegdyś byliśmy kochankami, wciąż ją kochałem i kocham ją po dziś dzień. Całując ją, poczułem, że jej ciałem wstrząsnął szloch.

– Wrócę – obiecałem. – Kiedy tylko odzyskam Bebbanburg.

– Nie płyniesz do Fryzji? – spytała psotnie.

A zatem już plotkowano.

– Udaję się do Bebbanburga – szepnąłem. – Tylko zachowaj to w tajemnicy.

– Drogi lordzie Uhtredzie – odparła czule – wszyscy wiedzą, że udajesz się do Bebbanburga. Może cię tam odwiedzę?

– Koniecznie, pani, koniecznie. Będziesz traktowana jak królowa, którą przecież jesteś. – Jeszcze raz ucałowałem jej dłoń. – Do zobaczenia na północy, pani – rzekłem.

Niechętnie wypuściłem jej rękę i wyszedłem za Rorikiem z namiotu.

Nigdy więcej jej nie ujrzałem.

Moi ludzie i ludzie Sigtryggra jechali razem na północ. Był ciepły, słoneczny dzień, a letnie powietrze wypełniały stukot kopyt i podzwanianie uprzęży.

– Nienawidzę Sasów – oświadczył Sigtryggr.

Nie odpowiedziałem. Po mojej prawej ręce wzrastała na polu pszenica, co przypomniało mi, jak żyzne były tutejsze ziemie. Za nami unosił się tuman kurzu.

– Zyskałeś dla mnie co najmniej rok – ciągnął Sigtryggr. – Dziękuję.

Dostrzegłem sokoła – zawisł nieruchomo na niebie i od czasu do czasu, poruszając skrzydłami, obserwował stworzenie, którego los był już przesądzony. Patrzyłem na niego z nadzieją, że zobaczę, jak pikuje, on jednak tkwił tam, bez trudu unosząc się na wietrze. Znak? Może zwiastun pokoju, tyle że ja nie chciałem pokoju. Wiozłem swój miecz do Bebbanburga.

– Nawet pachną inaczej – rzucił mściwie Sigtryggr. – Cuchną zgniłą rzepą! Tak właśnie cuchną, zgniłą rzepą! Zadowolone z siebie saskie rzepy!

Obróciłem się w siodle i spojrzałem na Aethelstana, który jechał obok mojego syna kilka kroków za nami i który na szczęście nie słyszał tyrady Sigtryggra.

– Książę Aethelstanie! – zawołałem do niego. – Czy Duńczycy i Norwegowie śmierdzą?

– Duńczycy cuchną zwarzonym serem – odparł radośnie. – A Norwegowie gnijącą rybą.

Sigtryggr prychnął.

– Mam nadzieję, że Sasi złamią traktat, książę Aethelstanie – rzekł na głos. – Wtedy z chęcią cię zabiję. – Wiedział, że nigdy na to nie pozwolę, ale groźba sprawiła mu wyraźną radość.

Wyglądał starzej. Pamiętałem go jako radosnego, młodego wojownika, który przesadził wały Ceasteru i próbował mnie zabić. Pana wojny. Odebrałem mu jedno oko, a on odebrał mi córkę i teraz byliśmy przyjaciółmi, lecz kilka miesięcy królowania pobruździło mu twarz i wyssało z jego duszy całą radość.

– A ten łajdak Thurferth! – parsknął. – Nie jest lepszy! Nazywa siebie Duńczykiem, a nadstawia tyłek chrześcijanom? Przybiłbym zdradzieckiego drania do krzyża. – Jego złość była uzasadniona. Duńscy panowie, którzy rządzą południowymi burhami Northumbrii, mogli ofiarować Sigtryggrowi potężną armię, lecz ich strach okazał się silniejszy niż lojalność. Podejrzywałem, że większość z nich poszłaby w ślady Thurfertha i przysięgła zarówno Sasom zachodnim, jak i ukrzyżowanemu bogu. – Nawet pomaszerują z Sasami – rzucił gorzko.

– Pewnie tak.

– I co wtedy zrobię? – Nie było to pytanie, raczej okrzyk rozpacz.

– Zamieszkasz w Bebbanburgu – odparłem spokojnie.

Jechaliśmy w milczeniu przez pół mili, w miarę jak droga opadała w stronę płytkiego brodu, gdzie napoiliśmy konie. Wysforowałem się o parę metrów i zatrzymałem Tintrega na środku piaszczystego traktu, nasłuchując.

Sigtryggr dołączył do mnie.

– Nie mogę jednocześnie walczyć ze Szkotami i z Sasami – rzekł niechętnie, jakby nie chciał, żebym posądził go o tchórzostwo.

– Sasi dotrzymają warunków rozejmu – powiedziałem i byłem pewien, że tak będzie.

– Za rok albo dwa – odparł – armie Mercji i Wessexu przybędą na północ. Dam radę je zatrzymać. Mam dość ludzi. W najgorszym wypadku sprawię, że pożałują, że w ogóle usłyszeli o Northumbrii. A z twoimi ludźmi? Możemy sprawić, że ziemia spłynie ich krwią.

– Nie będę walczył przeciwko Aethelflaed – odparłem. – Przysięgałem jej.

– W takim razie ty będziesz zabijał tych przeklętych Sasów zachodnich – warknął mściwie – a ja zajmę się Mercjanami. Ale nie będę

mógł walczyć, nie mając dość ludzi.

– To prawda.

– A żeby zagonić Konstantyna z powrotem do jego nory? Mogę to zrobić, ale za jaką cenę?

– Wysoką – odparłem. – Szkoci walczą jak rozjuszony skunksy.

– A więc... – zaczął.

– Wiem – przerwałem mu. – Nie możesz rzucić swoich najlepszych ludzi do walki ze Szkotami, a przynajmniej do czasu, aż rozprawisz się z Sasami.

– Czyli rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem – odparłem.

Miał rację. Sigtryggr dowodził niewielką armią. Gdyby powiódł swych ludzi na północ, żeby przegnać Szkotów z Bebbanburga, prosiłby się o wojnę z Konstantynem, który z chęcią osłabiłby northumbryjską armię. Sigtryggr mógłby z powodzeniem wygrać pierwsze bitwy, posyłając na północ cztery setki ludzi Domnalla, ale wówczas zza szkockich wzgórz wyskoczyłyby wyjące diabły Niflheimu i kolejne bitwy nie poszłyby już tak łatwo. Sigtryggr, nawet jeśli wygrał, straciłby ludzi potrzebnych do odparcia Sasów.

Spojrzał na północ, gdzie rozgrzane powietrze drgało nad niskimi wzgórzami i gęstymi lasami.

– Czyli wstrzymasz się z atakiem na Bebbanburg? – zapytał. – Do czasu, aż przegnamy Sasów?

– Nie mogę czekać.

Sigtryggr wyglądał na zboląłego.

– Bez wsparcia tego łajdaka Thurfertha i reszty tych oślizgłych ropuch z południa nie zgromadzę więcej jak ośmiuset ludzi – wyznał. – A nie mogę

stracić choćby setki na Konstantyna.

– Będę potrzebował setki twoich wojów – odparłem. – Może dwóch setek. Jeśli się nie mylę, włos im z głowy nie spadnie. Nie mogę czekać, bo do przyszłej wiosny Konstantyn głodem wygna mojego kuzyna z fortecy, a sam zajmie jego miejsce. Dlatego pojedę tam teraz i zdobędę Bebbanburg. – Mówiąc to, dotknąłem młota Thora. – I będę potrzebował twojej pomocy.

– Ale... – zaczął.

I tym razem mu przerwałem.

Opowiedziałem mu bowiem, jak zdobędziemy niezdobytą fortecę i jak żaden z jego ludzi nie straci przy tym życia.

Taką przynajmniej miałem nadzieję. Ścisnąłem młot Thora. *Wyrđ bið ful ãræd.*

CZEŚĆ TRZECIA
SZALONY BISKUP

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Płyniemy do Fryzji – powiedziałem Eadith.

Patrzyła na mnie zdziwiona.

Pojechałem na północ do Eoferwicu, gdzie spędziłem noc, uczując z Sigtryggrem, swoją córką i nowym arcybiskupem Hrothweardem we własnej osobie. W istocie był uczciwym człowiekiem, a przynajmniej tak mi się zdało. Wzdrygnął się, kiedy powiedziałem mu, co się wydarzyło w Hornecastre.

– Widać Bóg był po twojej stronie, lordzie Uhtredzie – odparł łagodnie. – Wywalczyłeś pokój, gdy zanosilo się na wojnę.

– Który bóg? – spytałem go.

Roześmiał się i zapytał, co moim zdaniem wydarzy się w Bebbanburgu, na co opowiedziałem mu to, co Finan – że Konstantyn uzna atak za nazbyt kosztowny, choć przecież nie musi rzucać ludzi na mury fortecy, kiedy głód załatwi sprawę za niego. Hrothweard pokiwał ze smutkiem głową.

– A więc klasztor Świętego Kutberta, jeśli zostanie odbudowany, będzie prowadzony przez szkockich mnichów.

– To cię martwi, arcybiskupie? – spytałem.

Nie odpowiedział od razu.

– Nie powinno – rzekł w końcu. – Jestem pewien, że to będą pobożni ludzie.

– Ty jednak stracisz pieniądze przynieszone przez pielgrzymów – zauważyłem.

Spodobała mu się ta uwaga, jego pociągła twarz pojaśniała, kiedy wycelował we mnie gęsim udkiem.

– Nie masz o nas dobrego zdania, lordzie Uhtredzie.

– Przecież to prawda. A może się mylę?

Pokręcił głową.

– Lindisfarena to święte miejsce. Wyspa modlitwy. Jeśli taka będzie wola Boga, sam chciałbym wyznaczyć jej nowego opata po to tylko, by mieć pewność, że jest godzien wyspy i nie okryje niesławą Kościoła Bożego. Człowiek godny, lordzie Uhtredzie, nie może być chciwy, cokolwiek sobie myślisz.

– Myślę, że biskup Jeremiasz marzy o zostaniu kolejnym opatem – odrzekłem przekornie.

Hrothweard się roześmiał.

– Biedaczysko! Jak go nazywają? Szalonym biskupem? – Zachichotał. – Są tacy, którzy radzą mi, bym go ekskomunikował, lecz co dobrego by z tego przyszło? Jest w błędzie, to oczywiste, lecz w przeciwieństwie do niektórych – tu wyraźnie rozbawiony spojrział na mnie – czci Jedyne Boga. Myślę, że jest nieszkodliwy. Myli się, oczywiście, ale jest nieszkodliwy.

Lubiłem go. Podobnie jak ojciec Pyrlig nie obnosił się ze swoją wiarą, lecz jego pobożność, dobroć i uczciwość były oczywiste.

– Będę się za ciebie modlił – powiedział mi na odchodnym – czy ci się to podoba, czy nie.

Podczas tej krótkiej wizyty próbowałem spotkać się z Bergiem, choć córka powiedziała mi, że kupił trzy łodzie i naprawia je teraz na nabrzeżu nieopodal Kaczki. Gdy wróciłem do Dunholmu, powiedziałem Eadith

o łodziach i zamiarze popłynięcia przez morze do Fryzji. Była noc, a my rozmawialiśmy w domu, który pobudowałem nad główną bramą. Za dnia mieliśmy stąd doskonały widok na południe, lecz teraz widziałem tylko blask ognisk z miasteczka leżącego u stóp fortecy i usiane gwiazdami niebo. Dom był zbytkiem. Zamierzałem wybudować tunel bramny i przylegające do niego dwie izby – jedną dla służby, a drugą dla strażników strzegących bramy. Z pomieszczenia dla służby do naszych prywatnych komnat prowadziły schody, z których byłem niepomiernie dumny. Naturalnie w każdym rzymskim mieście zachowały się schody prowadzące na mury, ale schody wewnątrz budynku wciąż stanowiły rzadki widok. Wiele dworów miało dwie kondygnacje, lecz do podniesień, na których zwykle spaliśmy, prowadziły drabiny albo pochylnie, ja jednak zawsze podziwiałem rzymskie schody wewnątrz domów, tak więc nakazałem ich budowę, choć te, które mieliśmy w Dunholmie, były z drewna, nie z ociosanych kamieni. Budowa domu nad tunelem bramnym oznaczała budowę nowych umocnień nad drogą dojazdową, a ponieważ na murach stali strażnicy, musiałem mówić cicho, choć nie zbyt cicho, by nas nie słyszano.

– Do Fryzji! – krzyknęła Eadith.

– Są tam wyspy – odparłem. – Wzdłuż fryzyjskich wybrzeży. Osiedlimy się na jednej z nich, zbudujemy fortecę i uczynimy z niej nasz dom. – Na jej twarzy niedowierzenie mieszało się z rozczarowaniem. – Fryzja jest chrześcijańska – dodałem głównie dlatego, że sama była chrześcijanką i wbrew moim namowom nie powróciła do czczenia dawnych bogów. – To znaczy głównie chrześcijańska. Spodoba ci się tam. Ich język jest tak podobny do naszego, że wszystko zrozumiesz!

– Ale... – zaczęła i zatoczyła łuk ręką, wskazując naszą komnatę oświetloną świecami, których knoty spleciono z sitowia. Ich blask kładł się

na zdobiących ściany kilimach, na dużym wełnianym chodniku i stosie futer, które służyły nam za łoże.

– Narobiłem sobie zbyt wielu wrogów – rzuciłem ponuro. – Aethelflaed umiera, więc nie będzie mogła mnie chronić, Sasi zachodni nigdy za mną nie przepadali, Aethelhelm mnie nienawidzi, mój kuzyn siedzi w Bebbanburgu jak wielka ropucha, a Konstantyn najchętniej zgniótłby mnie niczym wesz.

– Sigtryggr... – powiedziała i urwała.

– Jego los jest przesądzony – odparłem stanowczo. – Sasi zaatakują w przyszłym roku albo w jeszcze następnym. Może uda mu się powstrzymać ich na kilka miesięcy, ale co potem? Po nich nadciągną kolejni, a Konstantyn dostrzeże swoją szansę i zacznie zagarniać coraz większe połacie ziemi na północ od Northumbrii.

– Ale Sigtryggr liczy na twoją pomoc! – oburzyła się.

– I właśnie mu ją daję – stwierdziłem. – Osiedlimy się we Fryzji. Będzie tam mile widziany!

– Czy Sigtryggr o tym wie?

– Oczywiście – zapewniłem ją. Usłyszałem szuranie za oknem z widokiem na drogę. Zgadywałem, że to drzewce włóczni zachrobotwały o pomost, a to znaczyło, że ktoś przysłuchuje się naszej rozmowie.

Eadith kolejny raz rozejrzała się po komnacie.

– Przywiązałam się do Dunholmu – rzekła płaczliwie.

– Oddam go Sihtricowi. Zna tu każdy kąt. Urodził się tutaj, tutaj dorastał, a jego ojciec był tutaj lordem. – Sihtric był bękarcim synem jarla Kjartana Okrutnego, człowieka, który w dzieciństwie był moim straszliwym wrogiem. Sihtric nie odziedziczył brutalności ojca, lecz podobnie jak on był wytrawnym wojownikiem i choć zaczynał u mnie jako służący, stał się jednym z moich najbardziej zaufanych dowódców. –

Niewielu z nim zostanie – ciągnąłem – głównie starcy. Ale będzie mógł zwerbować i wyszkolić nowych ludzi. Rzecz jasna, wszyscy będą chrześcijanami. Kiedy zaczną tu rządzić Sasi, nie będzie tu miejsca dla pogan.

– A co z Bebbanburgiem? – spytała Eadith.

– Rok temu myślałem, że mam szansę go odzyskać – wyznałem ponuro. – Ale teraz? Mój kuzyn zamknął się w twierdzy, a Konstantyn ostrzy sobie na nią zęby. Może i mógłbym pokonać kuzyna, ale nie dam rady jednocześnie walczyć ze Szkotami. Jestem stary, kochana, nie mogę wiecznie wojować. – Urwałem i odwróciłem się w stronę okna i murów. – Ale nikomu jeszcze o tym nie mów.

I tak nazajutrz wszyscy w Dunholmie wiedzieli o moich planach.

Płynęliśmy do Fryzji.

Ufałem Eadith. Niektórzy mieli mnie za głupca, albowiem kiedyś była moim wrogiem, lecz teraz była mi żoną i przyjaciółką, a cóż to za miłość bez zaufania? Tak więc później tej samej nocy, kiedy wiedziałem, że nikt nas nie usłyszy, wyznałem jej prawdę. Wcześniejsza rozmowa była niczym przynęta zarzucona na tego, kto się jej przysłuchiwał, i wiedziałem, że prędzej czy później dotrze do uszu mojego kuzyna.

Byłem pewny, że w pierwszej chwili nie da jej wiary, jednak istniały liczne dowody, które mogły świadczyć o tym, że w istocie zamierzam wyprawić się do Fryzji. Wiedziałem, że nie uśpi to jego czujności, ale zasieje ziarno niepewności, a tylko tego było mi trzeba. A jeśli się myliłem i nie mogłem ufać Eadith? Wówczas ziarno niepewności nie zostanie zasiane. A mój kuzyn będzie wiedział, że nadciągam.

Eadith mnie nie zdradziła, nigdy jednak nie odkryłem wszystkich tych, którzy to zrobili.

Schwytalem kilku i powiesilem ich na pobliskim drzewie, lecz dopiero po tym, jak przekazalem im mylące informacje, które mieli powtorzyć moim wrogom. Mimo wszystko jestem pewien, że było wielu innych, których tozsamości nie poznałem. Szukalem ludzi, którzy nagle mieli więcej złota i srebra, niż powinni, których żony paradowaly w bogato haftowanych plóciennych sukniach, ludzi, którzy unikali mojego wzroku, albo takich, którzy stali zbyt blisko, kiedy rozmawialem z Finanem lub swoim synem. Szukalem ludzi, którzy zwracali zbyt wielką uwage na Eadith, i takich, których sluzący nagle starali się zaprzyjaznić z moim slugą Rorikiem.

Nigdy nie odkryłem wszystkich tych, którzy mnie zdradzili, tak jak moi wrogowie nie odkryli wszystkich tych, którzy zdradzili ich.

Nie szczedzilem monet na swoich szpiegów, tak jak moi wrogowie nie szczedzili złota tym, którzy szpiegowali mnie. Mialem ludzi, którzy sluzyli Edwardowi w Wintanceasterze, a także cześnika, skrybę i kowala, którzy pracowali dla Aethelhelma. Nie mialem jednak nikogo, kto sluzylby mojemu kuzynowi. Probowałem znaleźc mężczyznę albo kobietę, którzy powiedzieliby mi, co dzieje się za murami Bebbanburga, lecz moje wysilki spelzaly na niczym. Slyszałem jednak o poczynaniach mojego kuzyna od ludzi zamieszkujacych wschodnie wybrzeze, a nawet zamorską Fryzję. Bywalcy nadbrzeżnych tawern informowali mnie też o wydarzeniach w Szkocji, albowiem nie mialem szpiegów na dworze Konstantyna.

Mój kuzyn, byłem tego pewien, również wyslal swojego szpiega. Moze był to jeden z moich ludzi? Moze ksiadz w Eoferwicu? Albo kupiec w Dunholmie? Nie mialem pojęcia. Wiedzialem tylko, że ktoś taki istnieje. Sluzyli mu też ludzie, którzy podobnie jak ci oplacani przeze mnie nadstawiali uszu na plotki. Chrześcijanie mieli dziwny zwyczaj opowiadania swoim czarownikom o wszystkim, co w nich najgorsze. Wielu

księży kupczyło takimi informacjami, a mój kuzyn hojną ręką słał monety do kościołów i duchownych. Wątpiłem, by Kutbert, mój ślepy ksiądz, przyjął od niego pieniądze. Był lojalny i chętnie dzielił się ze mną tym, co sam usłyszał w trakcie takich spowiedzi.

– Dasz wiarę, panie? Swithun i żona Vidarra! Słyszałem, że jest szpetna.

– Nie szpetna, lecz złośliwa.

– Biedny chłopak, musi być zdesperowany.

Nie każdy, kto przynosił mi wieści, był szpiegiem. Księża, mnisi i zakonnice bez ustanku wymieniali listy i wielu z nich ochoczo dzieliło się tym, o czym mówiono w dalekim opactwie, kupcy zaś zawsze chętnie rozgłaszali plotki, choć większość tych informacji okazywała się nieprawdą i zawsze gdy docierały do Northumbrii, były już nieaktualne.

Jednak teraz po spotkaniach w Hornecastle miałem po swojej stronie także szpiegów Aethelstana, nawet jeśli oni sami o tym nie wiedzieli. Pewnie myśleli, że przekazują wieści młodemu księciu, który cierpi katusze, będąc moim zakładnikiem, ale Aethelstan obiecał powtarzać mi większość z tego, co sam usłyszy. Był chrześcijaninem i towarzyszyło mu trzech księży oraz sześciu służących, z których czterech tak naprawdę było wojownikami.

– Ufasz im? – spytałem go, kiedy polowaliśmy na jelenie na wzgórzach na północ od Dunholmu.

Było to tydzień po tym, jak wróciłem z Eoferwicu i chcąc uwiarygodnić plotki o wyjeździe do Fryzji, przykazałem służbie, by zaczęła pakować nasz dobytek.

– Bezgranicznie – odparł Aethelstan. – Wszyscy oni to mercyjscy wojownicy, podarowani mi przez panią Aethelflaed.

– A księża?

– Nie ufam Swithredowi, ale dwóm pozostałym? – Wzruszył ramionami. – Są młodzi i pełni szlachetnych ideałów. Prosiłem ich, by zostali moimi księżmi, nie zostali mi przydzieleni.

Usłyszawszy to, uśmiechnąłem się. Aethelstan miał dwadzieścia dwa–dwadzieścia trzy lata i nie był starszy od dwóch młodych księży.

– A ojciec Swithred został ci przydzielony? – upewniałem się.

– Przez mojego ojca. Może przesyła mu wieści?

– A listy, które wysyła, będą czytane przez królewskich urzędników, którzy mogą chodzić na pasku u Aethelhelma.

– Tak myślę.

Swithred był starszym mężczyzną, liczył sobie czterdzieści albo nawet pięćdziesiąt wiosen, głowę miał łąsą jak kolano, przenikliwe ciemne oczy i chodził wiecznie skwaszony. Nie lubił przebywać wśród pogan i nie krył swojej niechęci do nich.

– Zauważyłeś, że co najmniej połowa moich ludzi to chrześcijanie? – spytałem go, gdy jechaliśmy na północ.

– Żaden chrześcijanin nie może służyć poganinowi – odparł szorstko i dodał niechętnie: – panie.

– Chcesz powiedzieć, że służąc mi, przestają być chrześcijanami?

– Chcę powiedzieć, że pilnie potrzebują zbawienia.

– Mają swój kościół w Dunholmie – odparłem. – I księdza. Zrobilibyście to samo dla pogan w Wessexie czy Mercji?

– Oczywiście, że nie! – odparł. Dosiadał wyjątkowej urody rosłego siwka i pewnie trzymał się w siodle. – Mogę zapytać... – zaczął, zaraz jednak zawiesił głos, jakby się rozmyślił.

– Pytaj – rzekłem.

– Jakie przygotowania zostaną poczynione dla wygody księcia Aethelstana?

Miał na myśli to, jakie przygotowania zostaną poczynione dla jego wygody, udałem jednak, że wierzę, iż troszczy się wyłącznie o księcia.

– Jest zakładnikiem – odrzekłem – więc pewnie zamkniemy go w oborze albo chlewie, skujemy mu nogi łańcuchami i będziemy go karmić zgniłymi resztkami i pić pomyjami.

Aethelstan, który przysłuchiwał się naszej rozmowie, parsknął śmiechem.

– Nie wierz mu, ojczy.

– A jeśli choć jeden Sas zachodni przekroczy granicę – ciągnąłem – poderżnę mu gardło. Tobie też!

– To nie jest zabawne, panie – odparł surowo ojciec Swithred.

– Będzie traktowany jak księżę, którym przecież jest – zapewniłem klechę. – Bez zaszczytów, bez wygód i bez szacunku.

I tak się stało. Aethelstan ucztował z nami, polował z nami i modlił się w niewielkim kościele za murami Dunholmu. Im więcej było w nim z mężczyzny, tym bardziej stawał się pobożny. Nadal czerpał radość z życia, nadal nie potrafił usiedzieć w miejscu i chętnie się śmiał, lecz teraz podobnie jak jego dziadek Alfred modlił się każdego dnia. Czytał chrześcijańskie teksty pod okiem dwóch młodych księży, których wziął ze sobą do Dunholmu.

– Co cię odmieniło? – spytałem go, kiedy czekaliśmy na skraju lasu, uzbrojeni w łuki łowieckie. Nigdy nie byłem dobrym łucznikiem, ale Aethelstan zdążył już upolować dwie dorodne sztuki, kładąc każdą z nich jedną strzałą.

– Ty – odparł.

– Ja?

– Przekonałeś mnie, że powinienem być królem, a jeśli mam nim być, muszę otrzymać Boże błogosławieństwo.

Usłyszałem szelest liści, uniosłem łuk i nałożyłem strzałę, jednak nie zobaczyłem żadnej zwierzyny, a hałas ucichł.

– Czemuż nie mieć po swojej stronie Thora i Wodana?

Słyszając to, uśmiechnął się.

– Jestem chrześcijaninem, panie. I staram się być dobrym chrześcijaninem. – Mruknąłem, ale nic nie powiedziałem. – Bóg mnie nie nagrodzi, jeśli będę czynił zło – dodał.

– Bogowie czuwali nade mną – odrzekłem zadzierzyście.

– Posyłając cię do Fryzji?

– To miejsce jak każde inne.

– To nie Bebbanburg.

– Kiedy zostaniesz królem – odparłem, obserwując drzewa – odkryjesz, że niektóre ambicje można zaspokoić, a innych nie. Najważniejsze to umieć je rozróżnić.

– A zatem nie pojedziesz na północ do Bebbanburga? – zapytał.

– Mówiłem już, wyruszam do Fryzji.

– A kiedy dotrzesz do – przerwał i następne słowo wymówił z naciskiem – Fryzji, będziesz walczył?

– Zawsze jest jakaś walka, książę.

– A ta walka we Fryzji – znów zawiesił głos – będzie zażarta?

– Jak każda walka.

– Czy zatem pozwolisz mi się bić u swego boku?

– Nie! – odparłem gwałtowniej, niż zamierzałem. – To nie będzie twoja bitwa. A wrogowie, z którymi przyjdzie mi walczyć, nie będą twoimi

wrogami. Poza tym jesteś moim zakładnikiem, więc winienem utrzymać cię przy życiu.

Aethelstan patrzył na linię drzew, czekając na zwierzynę, łuk miał w połowie naciągnięty, ze strzałą skierowaną ku ziemi.

– Wiele ci zawdzięczam, panie – odezwał się po chwili. – Chroniłeś mnie, wiem o tym, i jedynym sposobem, żeby ci się odwdzięczyć, jest wesprzeć cię w twoich bitwach.

– A jeśli zginiesz w jednej z nich, wyświadczę Aethelhelmowi przysługę – odparłem z brutalną szczerością.

Pokiwał głową, przyznając mi rację.

– Lord Aethelhelm chciał, bym dowodził oddziałem, który posłał do Hornecastle – wyznał. – Prosił ojca, by powierzył to zadanie mnie, ale ojciec zamiast tego posłał Brunulfa.

– Uriasz Hetyta – rzuciłem.

Roześmiał się.

– Zostałeś dobrze wykształcony!

– Przez panią Aethelflaed.

– Moją mądrą ciotkę – rzekł z aprobatą, po czym zdjął rękę z cięciwy i uczynił znak krzyża, niewątpliwie po to, by odmówić jakąś cichą modlitwę o uzdrowienie. – Tak, Aethelhelm myślał, że zginę w bitwie.

Uriasz Hetyta był żołnierzem w służbie króla Dawida, który z kolei był bohaterem dla chrześcijan. Kiedy zapytałem ojca Kutberta, mojego ślepego księdza i serdecznego przyjaciela, kim był Urajasz, zachichotał.

– Uriasz! Oto jak wymawiamy jego imię, panie. Uriasz Hetyta. Był wielce pechowym człowiekiem!

– Pechowym?

– Poślubił piękną kobietę – powiedział tęsknie Kutbert. – Jedną z tych, od których nie sposób oderwać wzroku.

– Znałem kilka takich – przyznałem.

– I je poślubiłeś. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – Cóż, Dawid chciał pofiglować w łóżu z żoną Uriasza, wysłał więc wiadomość do jego dowódcy i przykazał mu, by ten wystawił nieszczęśnika w pierwszej linii muru tarcz.

– Czy Uriasz zginął?

– A jakże, panie. Posiekli go na kawałki!

– A Dawid... – zacząłem.

– Od rana do nocy chędożył jego żonę. Szczęśliwiec!

Tego samego chciał Aethelhelm dla Aethelstana: posłać go w głąb Northumbrii, by tam zginął.

– Jeśli więc myślisz, że będę ryzykował twoje życie w bitwie, wielce się mylisz – oznajmiłem Aethelstanowi. – Będziesz się trzymał z dala od wszelkich walk.

– We Fryzji – dodał wymownie.

– We Fryzji – przytaknąłem.

– Kiedy więc wyjeżdżasz? – zapytał.

Nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Czekałem bowiem na wieści. Chciałem, by moi szpiedzy albo informatorzy Aethelstana powiedzieli mi, co zamierzają moi wrogowie. Niektórzy zastanawiali się, dlaczego nie pomaszerowałem prosto do Bebbanburga albo, jeśli wierzyli plotkom, nie popłynąłem prosto do Fryzji. Zamiast tego siedziałem w Dunholmie, polowałem, ćwiczyłem się w rąbaniu mieczem i ucztowałem.

– Na co czekasz? – spytała mnie pewnego dnia Eadith.

Jechaliśmy na wzgórze na zachód od Dunholmu z sokołami na rękach. Za nami podążało dwunastu konnych, którzy strzegli mnie za każdym razem, gdy opuszczałem fortecę. Żaden z nich nie był na tyle blisko, by słyszeć, o czym rozmawiamy.

– Mogę powieść do Bebbanburga niespełna dwie setki zbrojnych – odparłem. – A mój kuzyn ma ich co najmniej tylu za murami.

– Ale jesteś Uhtredem – przypomniała mi.

Uśmiechnąłem się.

– A Uhtred jak nikt zna mury Bebbanburga i nie chce pod nimi zginąć.

– Co więc się zmieni?

– Mój kuzyn robi się głodny. Spłonął jeden z jego spichlerzy, będzie więc negocjował z kimś, żeby mu pomógł i dostarczył zapasy jedzenia. Ale wybrzeża strzegą łodzie Einara, ktokolwiek zatem zapuści się na północ, będzie potrzebował floty, bo w walce będzie musiał utorować sobie drogę do Morskiej Bramy. – Przez jakiś czas podejrzewałem Hrothwearda, lecz moja córka zapewniła mnie, że arcybiskup nie czyni zapasów ani nie zatrudnia kapitanów łodzi, a spotkanie z nim utwierdziło mnie w przekonaniu, że mówiła prawdę.

– A kiedy flota wyruszy – zaczęła Eadith i urwała, nagle bowiem pojęła mój plan. – Och! – rzekła. – Już wiem! Twój kuzyn będzie spodziewał się statków!

– Otóż to.

– A każdy statek wygląda tak samo! – Była bystrą kobietą, równie bystrą, jak piękną.

– Nie mogę jednak wypłynąć, dopóki nie będę wiedział, gdzie jest ta flota, kto nią dowodzi i kiedy wypłynie.

Był to czas oczekiwania na wieści. Wiedziałem o tym, co dzieje się na ziemiach Bebbanburga, bo wysyłałem zwiadowców, by obserwowali ludzi

Konstantyna, a ci donosili, że Domnall, dowódca Konstantyna, nadal zamierza głodem przymusić mojego kuzyna do tego, by się poddał. Szkockie oddziały stacjonowały w dwóch fortach na rzymskim murze. Oba garnizony były niewielkie, albowiem Konstantyn miał na głowie inne zmartwienia. Na dalekiej północy jego kraju rozpanoszyli się agresywni Norwegowie, a na zachodzie – jak zwykle – kłopoty sprawiało królestwo Strath Clota. Potrzeba było ludzi, by się z nimi rozprawić, tak więc zbrojni, których zostawił na murze, byli tam po to, by przypominać o jego roszczeniach do Bebbanburga i – rzecz jasna – ostrzec go, gdybyśmy powiedli armię na północ. Z pewnością zaniepokoił się na wieść, że traktat pokojowy między Sasami a Sigtryggrem został przedłużony o kolejny rok, i obawiałem się, że rozkaże zaatakować twierdzę, na wypadek gdybyśmy wspólnie z Sigtryggrem próbowali go od niej odciągnąć, jednak szpiedzy donosili mu, że Sigtryggr umacnia mury w Lindcolne i Eoferwicu, gotując się na atak, który nastąpi, gdy tylko traktat przestanie obowiązywać. Nic nie wskazywało na to, byśmy czynili przygotowania do ataku na ludzi Konstantyna, i zdrowy rozsądek podpowiadał, że Sigtryggr nie będzie ryzykował utraty ludzi w wojnie ze Szkocją, gdy już niebawem czekała go znacznie większa wojna z Sasami z południa. Konstantyn był skłonny zaczekać, wiedział bowiem, że weźmie Bebbanburg głodem. Może nawet uwierzył w bajeczkę o mojej wyprawie do Fryzji. Tak czy inaczej, musiał rozważyć atak na Bebbanburg, wiedział jednak, jak wielka będzie to rzeź, a wieści, które docierały do niego z południa, utwierdzały go w przekonaniu, że nie musi posyłać swoich ludzi na pewną śmierć, by zdobyć to, co prędzej czy później dostanie, morząc mojego kuzyna głodem.

Wszyscy w Brytanii czekali więc na wieści. Był to czas plotek, szeptanych opowieści, które miały wprowadzić zamęt, choć niektóre z nich były prawdziwe. Kupiec handlujący najprzedniejszymi skórami zarzekał

się, że reeve Maeldunesburhu, rodzinnego miasta Aethelhelma w Wiltunscirze, powiedział mu, że ealdorman zamierza wyprawić się na Northumbrię, z królewską pomocą albo i bez niej. Ksiądz z dalekiego Contwaraburgu pisał, że Edward układa się z Konstantynem, że wspólnie pragną najechać Northumbrię i podzielić ją między siebie. „Przysięgam – pisał klecha – na świętą krew Chrystusa i zapewniam, że walki rozpoczną się w Dzień Świętego Gunthierna”. Kiedy list dotarł do arcybiskupa Hrothwearda w Eoferwicu, było już po Dniu Świętego Gunthierna, mimo to jeden z jego skrybów skopiował słowa i przekazał je mojej córce, która z kolei przesłała je mnie.

Ostatecznie wieści, na które czekałem, przyniósł Merewalh, dowódca straży przybocznej Aethelflaed. Merewalh był moim starym druhem i lojalnym popiecznikiem Aethelflaed, która, jak napisał, poleciła, by przekazał mi, iż zapasy zostały wysłane do wschodnioangielskiego portu w Dumnocu, gdzie gromadziła się flota. „Wie to od ojca Cuthwulfa, księdza na usługach lorda Aethelhelma, i modli się, byś nie zdradził jego imienia. Co więcej, ojciec Cuthwulf powiedział jej, że jeśli Bóg pozwoli, flota lorda Aethelhelma wypłynie w morze wkrótce po Dniu Świętej Eanswidy”.

Istotnie mogło tak być. Dzień Świętej Eanswidy wypadał pod koniec zbiorów, w czasie, kiedy jedzenia było pod dostatkiem. Jeśli więc ktoś chciał zaopatrzyć obleganą twierdzę w żywność, która przetrwa kolejny rok, późne lato było po temu najwłaściwszą porą. A ze wszystkich ludzi w Brytanii, którzy mnie nienawidzili i którzy szukali na mnie pomsty, Aethelhelm był najniebezpieczniejszy. Podejrzywałem, że to właśnie on może chcieć pomóc mojemu kuzynowi, lecz nie miałem pewności do czasu, aż otrzymałem wieści od Merewalha.

I tak, pozostawiwszy Sihtricowi osiemnastu zbrojnych, odesłałem resztę swoich popieczników wraz z żonami, dziećmi, służącymi i niewolnymi do

Eoferwicu. Powiedziałem im, że płyniemy do Fryzji, a zamiast tego wziąłem trzech ludzi i udałem się do Dumnocu.

Na swoich towarzyszy wybrałem trzech saskich chrześcijan, podejrzewałem bowiem, że mieszkańcy Dumnocu, wschodnioangielskiego miasta zdobytego niedawno przez Sasów zachodnich, mogą pałać niechęcią zarówno do Norwegów, jak i do pogan. Zabrałem Cerdica, jednego ze swoich starszych ludzi, niezbyt bystrego, lecz szczerze mi oddanego. Owi był znacznie młodszy i służył mi, odkąd był chłopcem. Teraz wyrósł na gibkiego, wprawnego wojownika. Trzeci był Swithun, Sas, który wyglądał niczym anioł, dużo i chętnie się śmiał, ale był też przebiegły i miał zwinne ręce złodzieja.

We czterech weszliśmy na zachodniosaską łódź, która przybiła do Eoferwicu z ładunkiem frankijskiego szkła i teraz wracała do Londynu wyładowana northumbryjskimi skórami i sztabkami srebra. Jej kapitan Renwald ucieszył się ze złota, którym mu zapłaciliśmy, i z naszych długich noży, choć szczerze wątpił, bym nadawał się do walki.

– Ale wasza trójka może się nam przydać – rzekł.

Swithun wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dziadek potrafi walczyć – zapewnił. – Wiem, że nie wygląda na takiego, ale to zawzięty drań. Prawda, dziadku! – krzyknął do mnie. – Stary z ciebie łotr!

Odkąd otrzymałem wiadomości o Dumnocu, przestałem się golić. Nie czesałem też włosów. Nosilem najstarsze, najbrudniejsze ubrania, jakie mogłem znaleźć, i gdy przybyłem do Eoferwicu, zacząłem chodzić przygarbiony. Finan i mój syn powtarzali mi, że jestem głupcem, że nie muszę jechać do Dumnocu i że chętnie mnie zastąpią, jednak spełnienie mojej życiowej ambicji zależało od tego, czego dowiem się we

wschodnioangielskim porcie, dlatego musiałem tam jechać i samemu się przekonać, kto i co knuje.

– Pamiętajcie – ciągnął Renwald – że jeśli zaatakuje nas coś większego niż łódź rybacka, wasze noże na niewiele się zdadzą.

Żaden z nas nie miał przy sobie saksów ani mieczy, jedynie noże, nie chciałem bowiem, by ludzie w Dumnocu wiedzieli, że jesteśmy wojownikami.

– Są tam jacyś piraci? – wymamrotałem.

– Co powiedział?

– Mów głośniej, dziadku! – krzyknął Swithun.

– Są tam jacyś piraci?! – odkrzyknąłem, aż krople śliny zaśniły mi w siwej szczeciniastej brodzie.

– Pyta, czy są tam jacyś piraci – powtórzył Renwaldowi Swithun.

– Zawsze są piraci – mruknął kapitan – ale zwykle pływają na małych łódkach. Nie widziałem długich statków Duńczyków, odkąd król Edward podbił resztę Anglii Wschodniej. Bogu niech będą dzięki.

– Bogu niech będą dzięki – powtórzyłem nabożnie i uczyniłem znak krzyża.

Podczas tej podróży udawałem chrześcijanina, zamieniłem nawet młot Thora na chrześcijański krzyż. Udawałem też, że Swithun jest moim wnukiem, na co zareagował z nadmiernym entuzjazmem.

Renwald, rzecz jasna, chciał wiedzieć, skąd i dokąd się wybieramy, Swithun wymyślił więc opowieść o tym, jak przegnano nas z naszej ziemi na północ od muru.

– Przekłęci Szkoci – warknął i splunął za burtę.

– Słyszałem, że ci padlinożerni dranie przybyli na południe – odezwał się Renwald. – A więc dzierzawiliście ziemię w Bebbanburgu?

– Dziadek dzierżawił od starego lorda Uhtreda – odparł Swithun, mając na myśli mojego ojca. – Przeżył tam całe życie, ale ojciec jego żony miał ziemię w Anglii Wschodniej i wierzymy, że nadal tam jest.

Renwald wątpił, by jakikolwiek Sas uchował się na wschodnioangielskiej ziemi w ostatnich latach duńskich rządów.

– Ale nigdy nie wiadomo! – dodał. – Kilku się ostało.

– Chcę, by mnie tam pochowano – mruknąłem.

– Co powiedział?

– Chce być pochowany ze swoją rodziną – wyjaśnił Swithun i dodał po chwili: – Stary głupiec.

– Rozumiem go! – upierał się Renwald. – W dzień sądu ostatecznego lepiej zmartwychwstać w otoczeniu bliskich niż obcych.

– Amen – warknąłem.

Opowieść przekonała Renwalda, który był nie tyle podejrzliwy, co zwyczajnie ciekawy. Płynęliśmy w dół rzeki Use, niesieni prądem, i tylko od czasu do czasu poruszaliśmy wiosłami, by utrzymać kurs. Łódź nazywała się Rensnaegl.

– Bo jest wolna jak ślimak – wyłuszczył radośnie Renwald. – Nie jest szybka, ale mocna.

Miał sześćosobową załogę, dużą jak na łódź kupiecką, często jednak przewoził cenny ładunek, wychodził więc z założenia, że każda dodatkowa para rąk to zabezpieczenie przed mniejszymi statkami, które napadały na przepływające łodzie. Oparł się o wiosło sterowe, by wyprowadzić Rensnaegl na środek rzeki, gdzie prąd był najsilniejszy.

– Zanosi się na łatwe łupy – rzucił groźnie.

– Łatwe łupy? – spytał Cerdic.

– Ludzie wyjeżdżają. – Spojrzał w niebo, oceniając wiatr. – Dni pogan w Brytanii są policzone – dodał.

– Bogu niech będą dzięki – mruknąłem.

– Nawet Uhtreda z Bebbanburga! – Renwald zdawał się zaskoczony. – Nikt nie sądził, że opuści te ziemie, ale ma statki w Eoferwicu i sprowadził tam rodziny.

– Słyszałem, że kupił łodzie, żeby wyprawić się do Bebbanburga – odparł Swithun.

– Żaden człowiek nie zabiera rodziny na wojnę – rzucił pogardliwie Renwald. – Nie, wynosi się stąd! Słyszałem, że płynie do Fryzji. – Wskazał przed siebie. – Tam wpłyniemy na wody Humber – rzekł – a stamtąd niedaleko już do morza.

To moja decyzja o opuszczeniu Dunholmu i zabranii stamtąd kobiet i dzieci, żywego inwentarza i wszystkich naszych rzeczy sprawiła, że ludzie uwierzyli, że płyniemy do Fryzji. Moi ludzie przybyli do Eoferwicu z piętnastoma ciągnionymi przez woły wozami wyładowanymi łózkami i rożnami, kotłami i grabiami, kosami i kamieniami szlifierskimi – wszystkim, co zdołaliśmy unieść. Renwald, rzecz jasna, miał rację, mówiąc, że żaden człowiek nie płynie na wojnę łodziami pełnymi kobiet i dzieci, tak jak nie zabiera ze sobą całego dobytku, byłem więc pewien, że mój kuzyn niebawem usłyszy, iż opuściłem Dunholm, zabierając ze sobą wszystko, co mam. Musiał jednak usłyszeć więcej, musiał wiedzieć, że mamy dość łodzi, by przewieźć do Fryzji ludzi, zwierzęta i cały nasz dobytek.

Dlatego nim opuściłem Eoferwic, dałem synowi większą część swoich kurczących się zapasów złotych monet i przykazałem mu, by kupił lub wynajął tyle dużych łodzi handlowych, ile będzie potrzebował.

– Pobuduj na nich drewniane zagrody – rozkazałem – dla dwustu koni, a wszystko to zrób w Grimesbi.

– Grimesbi! – powtórzył zaskoczony.

Grimesbi było rybnym portem u ujścia rzeki Humber. Było to surowe, smagane wiatrem miejsce, znacznie mniej wygodne od Eoferwicu – za to bliżej było do morza. Nadal nie miałem pomysłu, jak odzyskać Bebbanburg, wiedziałem tylko, że mój kuzyn szukał floty, która przyszłaby mu z pomocą, i jeśli wieści Merewalha były prawdziwe, flota ta zbierała się w Dumnocu. Musiałem się dowiedzieć, kiedy wypłynie i jak liczna będzie. Ksiądz, który zdradził Aethelhelma, twierdził, że flota nie wypłynie przed Dniem Świętej Eanswidy, a że ten wypadał za kilka tygodni, miałem czas przyjrzeć się wschodnioangielskiemu portowi i się zastanowić, jak zastąpić łodzie Aethelhelma własnymi. Te łodzie, moje łodzie, miały czekać w Grimesbi, blisko morza, gotowe wypłynąć i obrócić życie mojego kuzyna w koszmar.

Nie wątpiłem, że wieści o tym, iż zakupiliśmy nowe łodzie i wraz z rodzinami opuściliśmy Dunholm, dotarły już do jego uszu. Miałem nadzieję, że dzięki temu uwierzy, iż rzeczywiście wyprawiamy się do Fryzji. Uznał pewnie, że nawet ja nie zaryzykuję jednoczesnej wojny z Bebbanburgiem i Konstantynem i że porzuciłem mrzonki o odzyskaniu ojcowizny. Mimo wszystko będzie chciał wiedzieć, gdzie jestem, i zdziwi się na wieść, że razem ze swoimi ludźmi nie udałem się do Grimesbi, ale Sigtryggr i moja córka rozgłaszali wszem wobec, że złożony chorobą przebywam w ich zamku.

Bądź bajarem, kiedy plotki niosą się na wietrze, kiedy snute są fałszywe opowieści.

Ja tymczasem udawałem się do Dumnocu.

Byłem już kiedyś w Dumnocu, dawno temu. Zostałem osaczony w Gęsi – największej z tamtejszych karczm, i by stamtąd uciec, wznieciłem

pożar, który wywołał panikę w mieście i przegnał wrogów otaczających budynek. Ogień się jednak rozprzestrzenił i ostatecznie strawił większość miasta. Zostało jedynie kilka domów na obrzeżach i wysoki, rozchwierutany pomost, z którego wypatrywano wrogich statków lawirujących na mieliznach u ujścia rzeki. Spodziewałem się, że Renwald będzie ostrożny, gdy zbliżaliśmy się do okrytych złą sławą ławic, on się jednak nie wahał i pewną ręką prowadził Rensnaegl między wierzbowymi witkami wyznaczającymi brzegi kanału.

– Zdjęli fałszywe znaki – rzekł.

– Fałszywe znaki? – spytał Cerdic.

– Przez lata były tu witki, które miały wprowadzać ludzi w błąd. Teraz wyznaczają właściwy kanał. Wiosłujcie, chłopcy! – Jego ludzie napierali na wiosła, by bezpiecznie przeprowadzić Rensnaegl przez płycizny i zdążyć przed nadciągającym chłodem. Gwałtowne porywy wiatru przetaczały po ławicach białe grzywacze. Niebo na zachodzie pociemniało, chmury zakryły słońce, zwiastując załamanie pogody. – Mój ojciec – ciągnął Renwald – widział wyrzuconą na brzeg smoczą łódź na pięćdziesiąt wiosła. – Wskazał głową na południe, gdzie spienione fale skrywały piaszczyste łachy. – Biedni dranie osiedli na mieliznie podczas przyływu. Wiosną. Płynęli za fałszywymi znakami i wiosłowali, jakby sam diabeł deptał im po piętach. Dwa tygodnie próbowali zwodować ją z powrotem, ale się nie udało. Utonęli albo pomarli z głodu, a miejscowi palcem nie kiwnęli. Dziewięciu albo dziesięciu dopłynęło do brzegu, a reeve miasteczka pozwolił kobietom ich zabić. – Napał na wiosło sterowe i Rensnaegl obróciła się rufą do wiatru. – Rzecz jasna, to było dawno temu, zanim Duńczycy zajęli to miejsce.

– Teraz znowu należy do Sasów – mruknąłem.

– Co powiedział? – spytał Renwald.

- Mów głośniej, dziadku! – zagrział Swithun. – Mamroczesz!
- Teraz znowu należy do Sasów! – krzyknąłem.
- I módlmy się do Boga, żeby tak pozostało – dokończył Renwald.

Wioślarze pracowali ile sił. Zaczynał się odpływ i gwałtowny południowo-zachodni wiatr uderzał w dziób łodzi. Niskie fale były zdradzieckie i współczułem tym, którzy przy wzmagającym się wietrze znajdowali się teraz na pełnym morzu. Renwald musiał myśleć o tym samym, bo zerknął na mknące po niebie od zachodu ciemne chmury.

– Najchętniej poleżałbym dzień albo dwa – mruknął – i zaczekał, aż pogoda się poprawi. Znam gorsze miejsca, w których można utknąć.

Miasto wyglądało mniej więcej tak, jak zanim je spaliłem. Nadal górował nad nim kościół z wieżą zwieńczoną krzyżem. Wówczas w Anglii Wschodniej królował Guthrum, który choć był Duńczykiem, przyjął wiarę chrześcijańską. Dym unosił się w niebo znad garstki ognisk na błotnistej plaży, na których stały wysokie stojaki do wędzenia śledzi albo szerokie, płytke rondle do otrzymywania soli z wody morskiej. Najbliższe domy pobudowano na solidnych drewnianych balach, a widoczny na nich zielony osad wskazywał, że podczas przyplływów woda podchodziła pod najniższe kondygnacje. Dwie przystanie pobudowane na długim nabrzeżu pełne były zacumowanych w nich łodzi.

- Wygląda jak Londyn! – rzucił zdumiony Renwald.
- Wszyscy szukają schronienia przed pogodą? – zgadywałem.
- Większość z nich cumuje tu od dwóch miesięcy – odparł. – Przyplłynęły po zapasy dla króla Edwarda, ale myślałem, że dawno już wróciły do Wessexu. Ach! – wykrzyknął, widząc wolne miejsce przy nabrzeżu, które ciągnęło się wzdłuż południowego brzegu rzeki.

Pchnął wałek wiosła sterowego i powoli obrócił Rensnaegl, kiedy od strony przystani rozległ się krzyk:

– Nie tam! Nie tam! Zejdź z kursu, do diaska! Zejdź z kursu!

Ostatecznie zacumowaliśmy obok fryzyjskiej łodzi handlowej na zachodniej przystani, a człowiek, który przegonił nas z nabrzeża, wdrapał się na pokład, by pobrać opłatę za cumowanie. Nad naszymi głowami krzyczały mewy, wznosząc się i kołując na silnym wietrze.

– Tamto miejsce przeznaczone jest dla królewskiego statku – wyjaśnił mężczyzna, licząc srebrne monety, które dał mu Renwald.

– Król przyływa? – spytał nasz kapitan.

– Na wszelki wypadek mamy trzymać to miejsce wolne. Jeszcze nie przypląnął, ale kto go tam wie. Równie dobrze anioł mógłby zstąpić z nieba i przetrzepać skórę mojej żonie. Ale skoro już uiściliście opłatę brzegową, przejdźmy do opłat za towar. Co przewozicie?

Zostawiłem Renwalda, by się targował, my tymczasem zeszedliśmy na brzeg. Gęś nadal była największym budynkiem na przystani i wyglądała podobnie do tej, którą puściłem z dymem – nawet deski były zbieleone od słońca i posrebrzone od soli. Szyld przedstawiający oburzoną gęś kołysał się na wietrze, poskrzypując. Weszliśmy do zatłoczonego wnętrza i usiedliśmy na wolnych ławach przy beczce służącej jako stół tuż obok okna z widokiem na nabrzeże. Do zachodu słońca zostały jeszcze dwie godziny, ale w karczmie pełnej podchmielonych ludzi panował gwar.

– Co to za jedni? – zapytał Cerdic.

– Ludzie lorda Aethelhelma – odparłem.

Rozpoznałem kilku, podczas gdy inni mieli na sobie charakterystyczne ciemnoczerwone peleryny straży przybocznej Aethelhelma. Oni również by mnie rozpoznali, lecz zawczasu naciągnąłem na głowę brudny kaptur, a do tego chodziłem przygarbiony i utykałem. Siedziałem w cieniu okiennicy. Zamknąłem ją, gdy tylko przysiedliśmy na ławie, lecz ludzie krzyczeli na

nas, żeby ją otworzyć. Dym z paleniska wisiał w powietrzu i wiatr, który wpadał przez okno, pomagał go rozwiewać.

– Co oni tu robią? – dopytywał Cerdic.

– Zakończyli podbój Anglii Wschodniej i czekają na statki, które zabiorą ich do domów – stwierdziłem. – Domyślałem się, że to nieprawda, ale zapewne takie plotki krążyły po mieście i Cerdic najwyraźniej dał im wiarę.

– Macie pieniądze? – usłyszeliśmy zaczepne pytanie.

Swithun położył na beczcze kilka srebrnych monet.

– A ty ale? – spytał mężczyznę.

Jeszcze niżej spuściłem głowę.

– Ale, strawę i dziwki. Na co macie ochotę?

Dziewki pracowały na poddaszu, na które prowadziła stojąca pośrodku izby drabina. Obok drabiny siedziała zgraja hałaśliwych mężczyzn, którzy za każdym razem, gdy jakaś dziewczyna wchodziła na górę, walili pięściami w stół i ryczeli z uznaniem.

– Posłuchajcie – syknąłem do swoich trzech towarzyszy. – Ci tam będą szukać zwady. Nie dajcie się sprowokować.

– A jeśli spytają, cośmy za jedni? – Oswi zaczął się denerwować.

– Jesteśmy sługami arcybiskupa Eoferwicu – odparłem – i podróżujemy do Londynu, by kupić jedwab.

Uznałem, że bajeczka, którą opowiedziałem Renwaldowi, nie sprawdzi się na łądzie. Ludzie zaczęliby rozpytywać o rodzinę mojej żony, a ja nie miałem przekonujących odpowiedzi. Lepiej było udawać nieznanomych, a Oswi miał prawo się denerwować. Bywalcom Gęsi nie brakowało pewności siebie, uwielbiali się przed sobą popisywać i nienawidzili obcych. Byli też albo pijani, albo na najlepszej drodze do upicia się. Prędzej czy

później dojdzie do bitki, miałem jednak nadzieję, że zastanowią się dwa razy, nim rzucą wyzwanie sługom Kościoła.

Gromkie wiwaty powitały mężczyznę, który schodził po drabinie. Był potężnym człowiekiem, barczystym, z krótko przyciętymi jasnymi włosami. Zeskoczył z drabiny na najbliższy stół i uklonił się najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Ma na imię Hrothard – mruknąłem.

– Znasz go, panie? – Cerdic był pod wrażeniem.

– Nie nazywaj mnie „panem” – warknąłem na niego. – Tak, znam go. To jeden z psów Aethelhelma. – Zadziwiłem się, że Hrotharda nie było z Brice’em w Hornecastle. Znałem go, był bowiem zastępcą Brice’a, gdy próbowali zabić młodego Aethelstana w Cirrenceastre, kiedy to pokrzyżowałem im plany. Hrothard, podobnie jak Brice, był okrutnikiem, który bez mrugnięcia okiem wykonywał rozkazy swojego pana.

Teraz wyraźnie z siebie zadowolony szczerzył się do swoich towarzyszy.

– Wymęczyłem dwie ślicznotki, chłopcy! Ale na górze czeka na was dojrzała duńska śliweczka!

Kolejne okrzyki wypełniły izbę.

– Kiedy sytuacja się uspokoi – rzekłem do Swithuna i urwałem, gdy udręczona dziewczka przyniosła do stołu kubki i dzbanek ale. Zaczekałem, aż odejdzie, przeciskając się między ławami i obłapiającymi ją łapskami. – Kiedy sytuacja się uspokoi – podjąłem – wejdiesz po tej drabinie.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, lecz się nie odezwał.

– Dowiesz się, co wiedzą dziewczyny. Ale bądź sprytny. Niech nie myślą, że cię to interesuje, po prostu pozwól im mówić.

Po to tu przyszedłem – by dowiedzieć się, co wisi w powietrzu w tym dalekim portowym miasteczku na wschodnich krańcach Brytanii.

Wątpiłem, by któraś z karczemnych dziewczek mogła nam coś powiedzieć, lecz każdy strzęp informacji był na wagę złota. Już wchodząc tu, wiele się dowiedziałem. W mieście rojło się od zbrojnych, którzy dawno powinni byli wrócić do domów. Wierzbinowe gałązki w zdradzieckim ujściu rzeki wyznaczały prawdziwe granice kanału, miast prowadzić wrogie łodzie na mielizny, a to znaczyło, że nowi władarze miasta spodziewali się kolejnych łodzi i nie chcieli ich stracić. A prawdziwym panem Dumnocu był niewątpliwie Aethelhelm, człowiek, który szukał na mnie pomsty.

Wiedziałem, co dla mnie przewidział.

Nie wiedziałem tylko, jak chce to uczynić.

– Chryste – bąknął Cerdic. – Patrzcie! – Wyglądał przez okno, a to, co zobaczył, przykuło uwagę innych ludzi, którzy tłocząc się w drzwiach, patrzyli na rzekę.

Gdzie pojawiła się łódź.

Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Była biała! Klepki wyblakły na słońcu, czy może raczej zostały pobielone. Poniżej wodnicy biel przechodziła w zgniłą zieleń, sugerując, że wapno zostało zmyte przez wzburzone morskie wody. Była to długa, piękna łódź, taka jak budowali Duńczycy, tyle że ta znajdowała się w rękach Sasów, albowiem na dziobnicy zatknięto mieniący się srebrem krzyż. Żagiel był zwinięty na rei, lecz nawet bez niego łódź wyglądała, jakby utkano ją z białego płótna. Owinięty wokół wanty sztandar zwisał smętnie, lecz kiedy sternik obracał statek w stronę wolnego miejsca na nabrzeżu, uwolnił się i zafurkotał na wietrze, z dumą prezentując skaczącego białego jelenia na czarnym tle.

– Lord Aethelhelm – mruknął Swithun.

– Cisza! – Hrothard podszedł do drzwi, zobaczył statek i ryknął na swoich kompanów, którzy poczęli się przeciskać w stronę wyjścia, by powitać białą łódź. – Okażcie szacunek!

Stałem na ławie, patrząc ponad głowami ludzi, którzy zgromadzili się na nabrzeżu, by podziwiać białą piękność. Nieliczni, którzy mieli na głowie czapki, zdjęli je, gdy okręt zwolnił. Pomyślałem, że jest piękny. Na wodzie nie powstała niemal żadna zmarszczka, kiedy niczym duch wpływał na przystań. Linie miał idealne, klepki wyprofilowano tak, że zdawał się spoczywać na wodzie, zamiast ją pruć. Wiosła poruszyły się ostatni raz. Zostały wyjęte z dulek i złożone na pokładzie, podczas gdy sternik gładko wprowadził łódź w czekające na nią miejsce. Zarzucono liny, szarpnięto za nie i łódź zacumowała na nabrzeżu.

– Aelfswon – powiedział ktoś z podziwem.

Pomyślałem, że Świetlisty Łabędź to dobra nazwa. Wioślarze opadli na ławy. Musieli pracować ile sił, by pokonać wzmagający się wiatr i złośliwe fale u wejścia do przystani. Za nimi na rufie ujrzałem grupę wojowników w hełmach na głowach i narzuconych na kolczugi ciemnoczerwonych pelerynach. Jeden po drugim wyskakiwali na brzeg i łapali rzucane im tarcze. Było ich sześciu. Czy był wśród nich Aethelhelm?

Dwaj niewolni przerzucili drewnianą kładkę między łodzią a nabrzeżem. Na śródokręciu piętrzył się stos skrzyń i beczek zasłaniający ludzi czekających na to, by zejść na ląd. Chwilę później zobaczyłem dwóch księży, którzy zeszli na brzeg, prowadząc za sobą grupę zakapturzonych kobiet. Wszyscy oni stali na nabrzeżu, wyraźnie na coś czekając.

Za nimi z łodzi zszedł wysoki mężczyzna w hełmie zwieńczonym czarnym końskim włosiem i odziany w czarną pelerynę. Nie był to Aethelhelm. Ten był wyższy. Zobaczyłem błysk złota na jego szyi, kiedy się odwrócił i czekał, aż ostatni z pasażerów zejdzie na brzeg. Pasażerem tym była dziewczyna. Ubrana w biel i z odkrytą głową, tak że jej długie jasne włosy powiewały na wietrze. Była szczupła, wysoka i wyraźnie zdenerwowana, bo na środku kładki niemal straciła równowagę. Przez

moment zdawało mi się, że wpadnie do wody, ale ten w hełmie z pióropuszem z końskiego włosia podał jej rękę i wybawił ją z opresji.

Ludzie przed karczmą poczęli wiwatować, klaskać i tupać. Dziewczyna, najwyraźniej zdumiona zgiełkiem, odwróciła się w naszą stronę, a widok jej twarzy sprawił, że oddech uwiązał mi w gardle. Była młoda, niebieskooka, twarz miała bladą i nieskazitelną, usta pełne – piękna i nieszczęśliwa. Zgadywałem, że ma nie więcej niż trzynaście–czternaście wiosen i musiała być niezamężna, w przeciwnym razie włosy nosiłaby splecione. Dwie z kobiet okryły jej szczupłe ramiona obszytą futrem peleryną, a jedna z nich schowała włosy dziewczęcia pod kapturem. Wysoki mężczyzna ujął dziewczynę za łokieć i wspólnie opuścili nabrzeże. Księża i kobiety ruszyli ich śladem, a niewielki pochód zamykało sześciu włóczników. Dziewczyna spieszonym krokiem minęła karczmę, pochylając przy tym głowę.

– Kim ona jest, na Boga? – zapytał Swithun.

– To Aelswyth. – Jeden ze stojących przy oknie ludzi usłyszał jego pytanie.

Wysoki mężczyzna w hełmie zwieńczonym pióropuszem z końskiego włosia szedł obok Aelswyth. Przewyższał ją co najmniej o głowę. Kiedy zerknął w naszą stronę, odruchowo cofnąłem się w cień. Nie widział mnie, lecz ja go rozpoznałem.

– A kim jest Aelswyth? – dopytywał Swithun, nie odrywając wzroku od zakapturzonej postaci. Jak każdy mężczyzna na nabrzeżu on również był nią oczarowany.

– Skąd jesteście? – spytał tamten.

– Z Northumbrii.

– To najmłodsza córka lorda Aethelhelma. A wy, szczury z północy, lepiej się do niej przyzwyczajcie.

– Chętnie przyzwyczaiłbym się do takich widoków – odrzekł z niemal nabożną czcią Swithun.

– Albowiem biedaczka zamieszka w waszym cuchnącym kraju.

Człowiekiem eskortującym Aelswyth był Waldhere, przywódca wojenny mojego kuzyna.

A mój kuzyn potrzebował żony.

Aethelhelm zaplanował wyborną zemstę. Udawał się do Bebbanburga.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przespaliśmy noc na stercie brudnej słomy w pustej zagrodzie karczemnej stajni, dzieląc cuchnącą przestrzeń z sześcioma innymi ludźmi. Za kawałek srebra kupiliśmy śniadanie dla naszej czwórki: twardy jak kamień chleb, skwaśniały ser i wodniste ale. Pomruk burzy kazał mi spojrzeć w niebo, ale choć nadal dął silny wiatr, a szare chmury wisiały nisko nad ziemią, nie zanosiło się na deszcz ani tym bardziej na burzę. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to dźwięk pustych beczek przetaczanych ulicą za podwórcem tawerny. Podszedłem do bramy i zobaczyłem ludzi toczących w głąb ładu pół tuzina drewnianych baryłek. Kolejny człowiek prowadził juczne woły obładowane koszami z solą.

Przywołałem Swithuna i dałem mu srebro.

– Posiedź tu – powiedziałem. – Nie wdawaj się w żadne bójkę ani się nie upij. Nie przechwalaj się i miej oczy i uszy otwarte.

– Tak, pa... – urwał, nim zdążył dokończyć. Z lubością nazywał mnie dziadkiem, kiedy w pobliżu byli ludzie, lecz na osobności nie potrafił powstrzymać się od tytułowania mnie „panem”.

Teraz byliśmy sami, ale na podwórzu grupa mężczyzn obmywała twarze w drewnianym korycie, podczas gdy inni korzystali z dołu kloaczego wykopanego wzdłuż wschodniego muru. Był to głęboki rów ze stojącą nad nim drewnianą ławką, którego zawartość wymywały wody strumienia. Strasznie cuchnął.

– Pozwól dziewczkom mówić, a sam słuchaj.

– Tak zrobię, pa... – Zawahał się i spojrzał na srebrne szylingi. Zdawał się zaskoczony moją hojnością. – Naprawdę mogę? – spytał niepewnie.

– Nie będą z tobą rozmawiały, jeśli im nie zapłacisz – odparłem. – A przecież nie płacisz im za gadanie.

– Nie, pa...

– Rób więc, co musisz. – Wątpiłem, czy dziewczyny zdążyły się już obudzić, ale Swithun ochoczo wszedł do tawerny.

Oswi wyglądał na niepokieszonego.

– Mogłem...

– Po południu – przerwałem mu. – Po południu będzie twoja kolej. Do tego czasu Swithun opadnie z sił. A teraz wynośmy się stąd.

Byłem ciekaw, dokąd zabierają beczki, nie musiałem jednak długo czekać na odpowiedź, ledwie bowiem wyszliśmy z karczmy, usłyszeliśmy kwik. Grupa mężczyzn zarzynała świnie na prowadzącej na wschód szerokiej ulicy. Dwóch trzymało topory, a pozostali noże i piły. Zwierzęta kwiczały, przeczuwając, co je czeka, topory opadały, a krew bryzgała na ścianę domu i tworzyła kałuże na poślóbobionej koleinami drodze. Kręcące się nieopodal psy ujadły, kruki przycupnęły na dachach domostw, a kobiety próbowały zbierać świeżą krew do dzbanków, misek i wiader, by zmieszać ją z owsem. Rzeźnicy wprawnie porcjowali mięso, oddzielając łopatki, schab i szynkę, i rzucali ludziom, którzy upychali je w beczkach i zasypywali solą. Nóżki i nerki również trafiały do beczek, resztę ciskano na ziemię. Psy walczyły o walające się w błocie łby, flaki, serca i płuca, a kobiety zbierały resztki, gdy kolejne zwierzęta, przeraźliwie kwicząc, szły na rzeź i padały z czaszkami rozłupanymi tępymi ostrzami. Takie marnotrawstwo łbów i serc dowodziło, iż ludziom tym się spieszy.

– To nie w porządku – mruknął Cerdic.

– To, że marnują łby? – spytałem.

– Świnie to mądre zwierzęta, panie... – Wzdrygnął się. – Przepraszam. Mój ojciec je hodował. Zawsze powtarzał, że są mądre. Świnie wiedzą! Żeby zabić świnie, trzeba to zrobić z zaskoczenia. Tylko wtedy jest to uczciwe.

– To tylko świnie! – rzucił pogardliwie Oswi.

– To nie w porządku. One wiedzą, co się dzieje.

Pozwoliłem im się wyklócać. Pamiętałem, że ojciec Cuthwulf, który szpiegował dla Aethelflaed, powiedział, że flota wypłynie po Dniu Świętej Eanswidy, a do tego czasu pozostało jeszcze kilka tygodni. Jednak Aethelhelm podobnie jak ja mógł rozpuszczać plotki, by wywieść w pole swoich wrogów. Jeśli ta rzeź coś znaczyła, to tylko to, że flota Aethelhelma wypłynie wcześniej niż w Dzień Świętej Eanswidy. Może w ciągu kilku najbliższych dni? Może nawet dziś! Inaczej po co ściągali by tu Aelswyth? Ojciec dziewczyny z pewnością nie chciał, żeby tygodniami czekała w ponurej wschodnioangielskiej mieścinie, tak samo jak nie chciał, by jego oddziały traciły czas po próżnicy.

– Idziemy do portu – zwróciłem się do Oswiego i Cerdica.

Wśród drewna na opał leżącego pod ścianą tawerny znalazłem kij i wsparty na nim, utykając, przeszedłem obok Gęsi. Plecy miałem przygarbione. Poruszałem się powoli, miałem jednak nadzieję, że w odzianym w łachmany, starym kuternodze nikt nie rozpozna Uhtreda, pana wojny. Gdy przekraczałem nierówną lukę między lądem a nabrzeżem, wsparłem się na Cerdicu. Mój kostur załomotał na deskach, a gdy Cerdic mnie puścił, zachwiałem się nieznacznie. Wiatr był tutaj silniejszy, ze świstem hulał w takielunku i tworzył na rzece białe grzywy.

Z nabrzeża wychodziły w wodę dwa pomosty – rozchwierutane i szczelnie obstawione łodziami. Zdarzało się, że trzy łodzie były ze sobą powiązane i tylko tę środkową przycumowywano do nabrzeża albo

któregoś z pomostów. Załoga Świetlistego Łabędzia zacumowanego w połowie długiego nabrzeża liczyła dwunastu ludzi i zgadywałem, że wszyscy oni spali na pokładzie. W mieście nie było już miejsc. Tawerny pękały w szwach i jeśli Aethelhelm czy ktokolwiek, kto dowodził tymi oddziałami, wkrótce ich nie wycofa, zaczną się problemy. Znudzeni ludzie robią głupoty, zwłaszcza jeśli dać im ale, dziwki i broń.

Domyślałem się, że większość łodzi to łodzie handlowe. Te były szersze i miały niższe dzioby od bojowych. Kilka sprawiało wrażenie porzuconych. Jedną do połowy wypełniała woda, zaniedbane klepki poczerniały. Nie miała żagla wspartego na rei, a wiatr szarpał uciętą wantą, mimo wszystko przywiązano do niej drugą łódź. Na pokładach pozostałych piętrzyły się beczki i skrzynki. Ładunki starannie układano na śródkręciu, a na każdej jednostce kręciło się trzech–czterech ludzi. Naliczyłem czternaście łodzi handlowych gotowych do wypłynięcia. Były tu też łodzie bojowe, smuklejsze, dłuższe i groźniejsze. Większość, tak jak Świetlisty Łabędź, miała na dziobie krzyż. Razem z Łabędziem było ich osiem, z ośmioma ludźmi na pokładzie i czystą wodnicą. Zatrzymałem się przy jednej z nich i udawałem, że spoglądam w mętną wodę. Spostrzegłem, że musiano całkiem niedawno wyciągnąć ją na brzeg, by oczyścić kadłub z wodorostów. Czysty kadłub przydaje łodzi prędkości, a dzięki prędkości zwycięża się na morzu.

– Na co się gapisz, kaleko? – zapytał jeden ze zbrojnych.

– Niech cię bóg błogosławi! – zawołałem. – Niech cię bóg błogosławi!

– Zjeżdżaj stąd i zdychaj – warknął tamten i uczynił znak krzyża.

Kaleka oznaczał nieszczęście. Żaden żeglarz z własnej woli nie wypłynąłby w morze z kaleką na pokładzie. Już sama bliskość kulasa mogła sprowadzić nieszczęście na łódź.

Posłuchałem go i odkuśtykałem w górę pomostu. Naliczyłem na łodzi szesnaście par ławek, a to znaczyło, że przy wiosłach zasiadało trzydziestu dwóch ludzi. Świetlisty Łabędź i dwie łodzie zacumowane przed nią i za nią były jeszcze większe. Każda mogła pomieścić około pięćdziesięciu ludzi. Oznaczało to, że na ośmiu łodziach bojowych Aethelhelma mogło płynąć czterystu zbrojnych, a na łodziach handlowych jeszcze więcej. Dysponował zatem prawdziwą armią.

A ja nie miałem wątpliwości, dokąd ta armia zmierza. Do Bebbanburga. Mój kuzyn był wdowcem, więc Aethelhelm wiozł mu żonę. Mój kuzyn głodował w oblężonej twierdzy, więc Aethelhelm wiozł mu zapasy. Mój kuzyn miał dość ludzi, by obronić mury Bebbanburga, ale nie dość, by odzyskać swe ziemie, więc Aethelhelm wiozł mu wojowników.

A co Aethelhelm dostanie w zamian? Zostanie panem północnej Northumbrii i wsławi się jako ten, który przegnał Szkotów z saskiej ziemi. Otrzyma fortecę, z której od północy będzie mógł przypuścić atak na królestwo Sigtryggra – atak, który podzieli siły mojego zięcia, jeśli Edward najedzie go od południa. Z taką fortecą będzie mógł otwarcie przeciwstawić się Edwardowi. Zażąda, by Aethelstan został wydziedziczony, i zagrozi, że jeśli do tego nie dojdzie, cała północna Anglia stanie się wrogiem Wessexu. A co najważniejsze, Aethelhelm dopełni zemsty na mnie.

– Dzień dobry! – zawołał znajomy głos i zobaczyłem Renwalda szczającego do wody ze skraju pomostu. – Fatalna pogoda!

On i jego załoga najwyraźniej spali na pokładzie Rensnaegl zacumowanej obok fryzyjskiej łodzi handlowej. Rozpięli żagiel między burtami, tak by osłaniał ich od wiatru.

– Zostaniecie tu na kilka dni? – spytałem.

– Kulejesz! – rzekł, marszcząc brwi.

– Ból w biodrze – odparłem.

Spojrzał w niebo na wiszące nisko chmury.

– Zaczekamy, aż pogoda się poprawi. Wypłyniemy, kiedy deszcz ustanie, a wiatr zelżeje. Znalazłeś swoją rodzinę?

– Nie wiem, czy jeszcze tu jest.

– Modłę się, żeby tak było – odparł.

– Jeśli będę musiał wracać na północ, zabierzesz nas? – spytałem. – Zapłacę.

Słyszając to, zachichotał.

– Płynę do Londynu! Ale pełno tu łodzi, które płyną na północ! – Kolejny raz spojrzał w niebo. – Jeśli się dziś roz pogodzi, jutro wypłyniemy. Trzeba dać pogodzie czas, co? Wyruszymy jutro z odpływem.

– Dobrze zapłacę – zapewniłem go.

Zaczynałem się obawiać, że będę zmuszony wracać na wody rzeki Humber wcześniej, niż się spodziewałem, a ufałem Renwaldowi.

Nie odpowiedział, albowiem stał ze wzrokiem utkwionym w morze.

– Dobry Boże Wszechmogący – rzekł, a gdy się odwróciłem, zobaczyłem płynącą rzeką łódź. – Biedaczysko, musi mieć za sobą kiepską noc – dodał Renwald i uczynił znak krzyża.

Nadpływający statek zdawał się ciemny pod zaciągniętym chmurami niebem. Była to łódź bojowa, długa i niska, z żaglem przywiązany do rei, która na wiosłach płynęła w górę rzeki. Wyglądała mizernie ze strzępami płótna żaglowego i resztkami takielunku targanymi przez wiatr. Na wysokiej dziobnicy miała zatknięty krzyż, na którym zawieszono długi, czarny sztandar. Łódź odwróciła się w stronę pomostów, niskie białe fale roztrzaskiwały się o dziób, a wycieńczeni wiosłarze walczyli z wiatrem, prądem i pływem.

Sternik skierował łódź w stronę Świetlistego Łabędzia. Czekałem, aż załoga Łabędzia zacznie krzyczeć, by się wycofał, więc tym większe było

moje zaskoczenie, gdy ujrzałem, że ludzie Aethelhelma czekają z cumami. Zarzucono liny, złożono wiosła na pokładzie i przyciągnięto łódź do długiego pobielonego Świetlistego Łabędzia.

– Widać, że ma względy – rzucił zawistnie Renwald i pokręcił głową. – Wybacz, płynę do Londynu! Ale na pewno znajdziesz kogoś, kto płynie na północ.

– Mam nadzieję – odparłem i pokuśtykałem w górę pomostu, by zobaczyć, kto lub co przyplłynęło na pokładzie ciemnej łodzi.

– Niech wam Bóg błogosławi! – zawołał schrypnięty głos ponad wyciem wiatru i pokrzykiwaniem mew. – W imię Ojca i Syna, i tego trzeciego, ja wam błogosławię!

Do Dumnocu zawitał Jeremiasz.

Jeremiasz, szalony biskup, który wcale nie był biskupem i który może wcale nie był szalony, dzierżawił ode mnie ziemię, płacąc komorne panu Dunholmu. To on przyniósł mi piętnaście srebrnych szylingów i naszczał na nie. Naprawdę nazywał się Dagfinnr Gundarson, lecz duński jarl Dagfinnr okrzyknął się biskupem Jeremiaszem z Gyruum.

Kiedy wyglądająca jak siedem nieszczęść łódź zacumowała obok nieskazitelnie czystego Świetlistego Łabędzia, zobaczyłem go w bogato zdobionych biskupich szatach i z pastorałem w dłoni. Biskupia laska była niczym więcej, jak zagiętą laską pasterską, choć tę, którą dzierżył w ręce, wykończono srebrem.

– Niech Bóg da wam zdrowie! – krzyknął, a wiatr targnął jego długimi siwymi włosami. – Niech pobłogosławi was zdrowymi synami i płodnymi żonami! Niech wasze zbiory będą obfite! Niech Pan mnoży wasze stada! – Uniósł ręce ku zaciągniętym chmurami niebiosom. – Proszę cię, Panie, pobłogosław tym ludziom i w Swej łasce naszczaj na naszych wrogów!

Ledwie to powiedział, zaczęło padać.

Aż dziw brał, że deszcz zwlekał tak długo. Teraz jednak poczęło siąpić, a zaraz potem z nieba lunęły strumienie wody. Jeremiasz zarechotał, a jego wzrok spoczął na mnie. Rzecz jasna, nie mógł mnie rozpoznać, miałem bowiem kaptur naciągnięty na głowę, a on, mrużąc oczy w ulewnym deszczu, patrzył na nas z nabrzeża. Widząc jednak zgarbionego kalekę, wycelował we mnie swój pastorał.

– Ulecz go, Boże! Okaż litość temu nieszczęśnikowi! – Jego głos niósł się ponad dudnieniem deszczu. – Wyprostuj jego plecy, Panie! Zdejmij z niego Swą klątwę! Proszę o to w imię Ojca i Syna, i tego trzeciego!

– Guds Moder – mruknąłem.

– Panie? – spytał Cerdic.

– Tak się nazywa łódź – odrzekłem. – Matka Boża. I nie nazywaj mnie „panem”.

– Wybacz, panie.

Mówiono mi, że Matka Boża to niemal wrak z rozłazącymi się klepkami i postrzępionym takielunkiem, który pójdzie na dno jak kamień. Jednak żadna łódź nie przetrwałaby takiej pogody, gdyby nie była w dobrym stanie. Jeremiasz chciał, by wyglądała na zaniedbaną. Luźne liny powiewały na maszcie, jednak pod warstwą brudu widziałem zdalny do żeglugi statek bojowy. Jeremiasz odwrócił się ode mnie i wszedł na pokład Świetlistego Łabędzia, a za nim podążyło czterech zbrojnych w kolczugach i hełmach. Idąc nabrzeżem, modlił się albo nauczał, nie słyszałem jednak jego słów. Poszliśmy za nim.

Strugi deszczu spływały z krytych strzechą dachów i ściekały na ulice, on jednak nie zwracał na nie uwagi. Parł przed siebie i nauczał. Dwóch ludzi Aethelhelma wyszło mu naprzeciw, a gdy mijali Gęś, Jeremiasz uparł się, że musi zajrzeć do środka, po czym otworzył drzwi i zagrzmiął:

– Dziwki i wino! Święte Pismo ich zakazuje! Okażcie skruchę, nędzni synowie Belzebuba! Kurwiarze i opoje! Okażcie skruchę! – Bywalcy karczmy patrzyli na wychudłego, przemoczonego biskupa w haftowanych szatach, który prawił im kazania. – U kogo nieszczęścia i bełkotanie? – zapytał. – U tych, którzy żłopiają wino! Tak głosi słowo Boże, wy zapijaczeni dranie! Wasze oczy dostrzegą dziwne kobiety! Tak mówi Pismo! Wierzcie mi! Widziałem dziwne kobiety, ale odkupiłem swe grzechy dzięki łasce Pana! Zostałem uświęcony! Ocalony od dziwnych kobiet!

– To szaleniec – orzekł Cerdic.

Nie byłem pewien. Jakimś sposobem ten szaleniec przeżył rządy Bridy w Northumbrii. Brida z całego serca nienawidziła chrześcijan, lecz Jeremiasz uszedł z życiem z jej krwawej kampanii przeciwko chrześcijańskiemu bogu. Posiadał fort w Gyruum, choć nigdy go nie potrzebował. Pomyślałem, że może Brida rozpoznawała ludzi równie szalonych jak ona sama albo wyczuła, że religia Jeremiasza to stek bzdur.

Jeden ze strażników Aethelhelma chwycił Jeremiasza za łokieć, chcąc przekonać ciskającego gromy wieszczą, by schronił się przed deszczem w ciepłej izbie, a ten go usłuchał. Szliśmy dalej, mijając ulicę, na której strugi deszczu zmywały ze ścian domu świńską krew, aż dotarliśmy na skraj miasteczka, gdzie na niewielkim wzniesieniu pobudowano imponujących rozmiarów dwór. Miał kryty grubą strzechą spadzisty dach i był dość duży, by mogło w nim ucztować dwustu ludzi. Obok postawiono stajnie, spichlerze i stodołę, a wszystkie budynki otaczały podwórze, na którym odziani w ciemnoczerwone peleryny strażnicy Aethelhelma strzegli wejścia do dworu. Wątpiłem, byśmy mogli wejść do środka, nie chciałem też ryzykować, że ktoś mnie rozpozna, ale na końcu stodoły pod strzechą kulila się garstka żebraków, dołączyłem więc do nich. Odesłałem Oswiego do Gęsi, ale Cerdic został ze mną.

Czekaliśmy. Siedzieliśmy skuleni wśród beznogich, ślepych, bełkoczących nieszczęśników. Jedna z kobiet z twarzą pokrytą ropiejącymi wrzodami podpełzła do drzwi, ale strażnik przegnał ją kopniakiem.

– Mielicie czekać tam – warknął włócznik. – Cieszcie się, że jego lordowska mość w ogóle na to pozwala!

Jego lordowska mość? Czyżby Aethelhelm tu był? Jeśli tak, popełniłem wielki błąd, przybywając do Dumnocu. Nie dlatego, że bałem się, iż mnie rozpozna, lecz dlatego, że jeśli tu bawił, jego flota była gotowa do wypłynięcia, a ja nie zdołałem dołączyć do swoich statków i ludzi, zanim nie wrócę do Bebbanburga. Trząsałem się więc, zamartwiałem i czekałem.

Minęło południe, nim deszcz ustał. Wciąż wiało, ale podmuchy nie były już tak gwałtowne. Ze dworu wyszły dwa ogary, przez chwilę chodziły w błocku między kałużami, aż w końcu obszczały jeden ze słupków. Dziewka służebna wyniosła strażnikom kubki ale i zatrzymała się, żeby z nimi pożartować. Nad przesiąkniętymi deszczem, krytymi strzechą dachami miasta widziałem wypływającą w morze łódź rybacką, której żagiel wydymał się na wietrze. Wodniste słońce zalśniło na falach. Pogoda się poprawiała, a to znaczyło, że łodzie Aethelhelma już wkrótce będą mogły wypłynąć.

– Na kolana! – krzyknął na nas nagle jeden ze strażników. – Jeśli w ogóle je macie! Jeśli nie, pokłońcie się najniżej, jak możecie! I ustawcie się jeden za drugim!

Ze dworu wyszła spora grupa ludzi. Czterech strażników w hełmach i ciemnoczerwonych pelerynach, dwóch księży i radosny, prostoduszny Aethelhelm, otaczający ramieniem córkę, która unosząc skraj sukni, próbowała przejść przez błoto. Nadal wyglądała na nieszczęśliwą, choć zboleła mina w żadnym stopniu nie ujmowała jej delikatnego piękna. Twarz miała bladą, nieskazitelną, i choć była wysoka, sprawiała wrażenie

wyjątkowo kruczej. Z drugiej strony towarzyszył jej Waldhere, wojownik mojego kuzyna. Na szerokie ramiona zarzucił czarną pelerynę, pod którą nosił kolczugę. Nie miał hełmu. Za nim szedł służalec Aethelhelma Hrothard, śmiejąc się z czegoś, co chwilę temu powiedział jego pan. Pochód zamykał Jeremiasz, imponujący w swych mokrych biskupich szatach. Wziąłem garść błota, rozsmarowałem na twarzy i naciągnąłem kaptur głębiej na oczy.

– Dobroczynność jest naszym obowiązkiem – usłyszałem słowa Aethelhelma, kiedy szedł ku nam. – Jeśli pragniemy przychylności Bożej, musimy okazać miłosierdzie najniezwyklejszym z Jego dzieci. Kiedy zostaniesz panią Północy, moja droga, będziesz musiała być miłosierna.

– Będę, ojczy – odparła smętnie Aelswyth.

Nie śmiałem podnieść wzroku. Widziałem buty Aethelhelma z delikatnej skóry, wykończone srebrem i uwalane, i haftowane trzewiki jego córki, do których przywarło błoto.

– Niech was Bóg błogosławi – rzekł Aethelhelm i upuścił na dłoń mojego sąsiada srebrnego szylinga. Wyciągnąłem obie ręce i jeszcze niżej pochyliłem głowę. – Co ci dolega? – spytał. Stał dokładnie naprzeciw mnie.

Nie odezwałem się.

– Odpowiedz jego lordowskiej mości – warknął Hrothard.

– To... to... to – wyjąkał stojący obok mnie Cerdic.

– Co z nim? – zapytał Hrothard.

– Głu... głu... głupek, paanie.

Na moją dłoń spadł szyling, a drugi wylądował w dłoni Cerdica.

– A ty? – zwrócił się do niego Aethelhelm. – Co tobie dolega?

– To... to... to samo, paanie.

– Niech was Bóg błogosławi – odrzekł Aethelhelm i ruszył dalej.

– Dotknijcie tego! – Idący za ojcem i córką Jeremiasz zadyndał nam przed oczami brudnym kawałkiem szarego materiału. – To prezent ode mnie dla lorda Aethelhelma, prezent, który ma wielką moc, moje dzieci, wielką moc! Dotknijcie go! To pas, który miała na sobie matka Chrystusa, kiedy jej Syn został ukrzyżowany! Patrzcie! Jeszcze widać na nim Jego świętą krew! Dotknijcie go, moje dzieci, i bądźcie uzdrowione! – Stań naprzeciw mnie. – Dotknij go, półgłówku! – Trącił mnie stopą. – Dotknij płótna, które miała na sobie Matka Chrystusowa, a rozum ci wróci, jak ptaki do gniazd! Dotknij go i bądź uzdrowiony! Ten pas spoczywał na błogosławionym łonie, które wydało na świat naszego Pana!

Podniosłem dłoń, w której trzymałem szylinga, i kłykciami musnąłem płótno. W tej samej chwili Jeremiasz ujął mnie pod brodę, zmuszając, bym na niego spojrzał. Pochylił się i zajrzał mi w oczy.

– Zostaniesz uzdrowiony, głupcze – rzekł żarliwie. – Diabły, które cię opętały, czmychną przed mym dotykiem! Uwierz, a będziesz uzdrowiony.

Kiedy tak przemawiał, ujrzałem cień zdumienia, który przemknął po jego wymizerowanej twarzy. Miał duże brązowe oczy szaleńca, pobliźnione policzki, haczykowany nos i skołtunione siwe włosy. Ściągnął brwi.

– Dziękuję, panie – burknąłem i spuściłem głowę.

Nastała cisza, która zdawała się trwać całą wieczność, w końcu jednak się przesunął.

– Dotknij go – nakazał Cerdicowi.

Poczułem nieopisaną ulgę. Spotkałem Jeremiasza tylko raz i byłem wówczas odziany w najlepszy rynsztunek pana wojny, a jednak zobaczyłem coś znajomego w ubłoconej twarzy szalonego żebraka, któremu kazał na siebie spojrzeć.

– A teraz idźcie! Kuśtykajcie, pełzajcie, ale idźcie już! – krzyknął na nas jeden ze strażników, gdy notable wrócili do dworu.

– Nie spiesz się – szepnąłem do Cerdica.

Sam wspierałem się na lasce. Przygarbiłem się i powoli ruszyłem w dół łagodnego zbocza w kierunku najbliższych domostw. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak bezbronny. Przypomniałem sobie noc, kiedy udałem się do Cippanhamm – Alfred przebrał się za harfistę, by szpiegować Duńczyków Guthruma, który zajął miasto. To była przerażająca noc, noc lęku, który ścinał mi krew w żyłach, i tak samo czułem się, gdy utykając, wracałem ulicami Dumnocu do Gęsi. Swithun pił przy stole. Gdy nas zobaczył, przysiadł się, żeby powiedzieć, że Owi jest na górze.

– Wskoczył na drabinę jak wiewiórka goniąca za orzechami.

– Więc idź tam i ściągnij go tu – warknąłem – bo wyjeżdżamy.

– Już?

– Sprowadź go tu! Nieważne, co robi. Ściągnij go z dziewczki i sprowadź na dół.

Spieszno mi było nie dlatego, że bałem się, iż zostałem rozpoznany, ale dlatego, że wszystko, co zobaczyłem w Dumnocu, świadczyło o tym, że łodzie Aethelhelma niebawem wypłyną. Mój syn i Finan powinni byli sprowadzić nasze łodzie i ludzi do Grimesbi, ja zaś musiałem jak najszybciej dotrzeć do portu i znaleźć statek, który płynął na północ. Za Aethelhelmowego szylinga kupiłem dzbanek ale, przy którym wraz z Cerdikiem czekaliśmy na Swithuna, a gdy on i Owi dołączyli do nas, w pośpiechu opuściliśmy karczmę i skierowaliśmy kroki ku zachodniej części nabrzeża, gdzie cumowała łódź Renwalda. Widziałem ludzi szykujących łodzie do wypłynięcia. Burza minęła, od południowego zachodu wiał rzeński wiatr, fale opadły, a w oddali na zielonych pastwiskach migotały plamy słońca.

– Panie! – W głosie Swithuna pobrzmiwał strach.

Odwrociłem się i zobaczyłem czerwone peleryny ludzi Aethelhelma idących ulicą od strony dworu. Na ich czele szedł Hrothard, który wskazywał palcem budynki, posyłał ludzi do straganów i tawern, a nawet do wielkiego kościoła. Trzech zbrojnych podbiegło do drzwi Gęsi, blokując wejście.

– Tutaj – rzuciłem, mając na myśli rząd chat pobudowanych na nabrzeżu. Siłą otworzyłem drzwi do pomieszczenia pełnego zwiniętych lin, bel płótna żaglowego, poskładanych sieci rybackich, beczek ze smołą do uszczelniania łodzi i worków z węglem używanym do topienia szczeliwa. – Musimy się ukryć! Szybko!

Ukryliśmy się na końcu izby, maskując się płótnem żaglowym i sieciami. Zdążyłem jeszcze kopnąć beczkę smoły, tak że skorupa, która utworzyła się na wierzchu, pękła i gęsta maź powoli zaczęła się sączyć na podłogę w kierunku wejścia. Próbowałem zabarykadować drzwi, nie znalazłszy jednak niczego, co by się do tego nadawało, zagrodziłem wejście kolejną beczką. W końcu wszyscy przykucnęliśmy pod naciągniętym na głowę płótnem żaglowym. Dusząca woń smoły i węgla była niemal nie do wytrzymania.

Ściany chaty były cienkie, a między podniszczonymi deskami ziały szczeliny. Przez jedną z nich widziałem ludzi, którzy rozbiegli się po nabrzeżu, by przeszukać łodzie. Dwaj z nich stali tuż obok.

– Nigdy go nie znajdą – rzekł jeden z nich.

– Nie ma go tu! – rzucił pogardliwie drugi. – Pomyłony Duńczyk coś sobie ubzdurał. Jest obłąkany. Taki z niego biskup jak ze mnie.

– To czarownik. Ludzie się go boją.

– Ja nie.

– Ty też!

Hrothard ryknął na nich, pytając, czy przeszukali chaty.

– Lepiej się rozejrzyjmy – rzekł któryś znużonym głosem.

Chwilę później drzwi do chaty się otworzyły. Ktoś zaklął pod nosem.

– Ja tam nie wejść – stwierdził jeden z nich.

– Tu go nie ma! – krzyknął drugi. – Jest daleko stąd, pomyłony bękartie – dodał ciszej.

– Słodki Jezu – szepnął mi do ucha Swithun.

Widziałem ludzi z psami, które bez powodzenia węszyły przy drzwiach i w uliczkach. Obwąchiwały też chaty, lecz woń smoły była tak silna, że poszły dalej. Siedzieliśmy skuleni, bojąc się oddychać, jednak z upływem dnia emocje opadły i zaniechano poszukiwań. Na nabrzeże znoszono kolejne towary i ładowano je na łódzie. W pewnym momencie znowu zrobiło się poruszenie, gdy Jeremiasz odpływał, a lord Aethelhelm przyszedł do portu, by go pożegnać. Nie słyszałem, o czym mówili, ale wspiąłem się na stertę sieci i podważywszy nożem jedną z desek, zobaczyłem Matkę Bożą płynącą na wiosłach w dół rzeki, w stronę morza. Słońce zachodziło, zbliżał się przypływ, a niskie fale z pluskiem uderzały o deski nabrzeża. Wróciłem do naszej kryjówki i w wąskiej szczelinie ujrzałem, że lord Aethelhelm i sześciu jego ludzi zdążają do miasta.

– Nie wypływają dziś – szepnąłem.

– A więc jutro? – spytał Swithun.

– Może – odrzekłem.

Wiedziałem, że jest za późno. Nawet gdyby los mi sprzyjał i gdybym znalazł statek, który przed świtem wypłynie na północ, nie wróciłbym do Grimesbi na czas. Flota Aethelhelma minie ujście rzeki Humber i dotrze do wybrzeży Bebbanburga na długo przed tym, zanim zdążę zebrać ludzi, obsadzić statki i wyruszyć w pościg.

Czując gorycz porażki, odruchowo sięgnąłem do młota, jednak moje palce zacisnęły się na krzyżu. Przekląłem los. Potrzebowałem cudu.

Nie wiedziałem, co robić, tak więc nie zrobiłem nic.

Siedzieliśmy w chacie. Wrzawa dawno już ucichła. Wątpię, czy Aethelhelm naprawdę wierzył, iż jestem w Dumnocu, ale podejrzenia Jeremiasza zmusiły go do wszczęcia poszukiwań, które jednak okazały się daremne. Nie sądziłem zresztą, by jego ludzie mieli zgodę na płądrowanie domów, do których zaglądali. Tymczasem Swithun opowiedział mi o wyjątkowo gadatliwej dziwce.

– Powiedziała, że w mieście są prawie cztery setki zbrojnych, panie.

– Skąd wiedziała?

– Od jednego z nich – stwierdził, jak gdyby odpowiedź była oczywista, bo i pewnie tak właśnie było.

– Co jeszcze ci powiedziała?

– Ich konie zabrano z powrotem do Wiltunsciru, panie.

To była przydatna informacja i miała sens. Gdyby Aethelhelm chciał zabrać wszystkie swoje konie do Bebbanburga, potrzebowałby kolejnych sześciu–siedmiu łodzi i czasu, by wybudować na nich zagrody. Jednak w Bebbanburgu konie nie były mu potrzebne. Wystarczyło, że popłynie tam ze swoimi ludźmi, powiedzie ich przez Morską Bramę i ogłosi swoje przybycie, wieszając na murach fortecy sztandar z jeleniem. Konstantyn nie chciał tracić wojów, forsując twierdzę, gdy więc dowie się, że mój kuzyn otrzymał wsparcie w postaci zapasów i ludzi, z pewnością poniecha oblężenia.

Ja zaś nie mogłem zrobić nic, by powstrzymać Aethelhelma.

Przypomniałem sobie radę, którą usłyszałem od ojca. Mój brat wtedy jeszcze żył i siedząc przy stole, we trzech spożywaliśmy wspólny posiłek, co rzadko się zdarzało. Ojciec nigdy mnie nie lubił, lecz w tamtych czasach niewielu było ludzi, których darzył sympatią. Słowa, które wówczas wypowiedział, kierował do mojego brata, zupełnie mnie ignorując.

– Będziesz musiał dokonywać wyborów – rzekł. – I czasami dokonasz złych. Jak każdy z nas. – Ściągnął brwi i zapatrzył się w mrok, gdzie harfista trącał struny instrumentu. – Przestań rżępolić! – krzyknął.

Harfista urwał. Pod stołem zaskomlał ogar i miał szczęście, że nie zarobił kopniaka.

– Lepiej jednak dokonać złego wyboru – ciągnął ojciec – niż nie dokonać żadnego.

– Tak, ojczy – odparł posłusznie mój brat.

Kilka tygodni później dokonał wyboru, choć byłoby lepiej, gdyby nie dokonał żadnego, albowiem stracił głowę, a ja zostałem dziedzicem Bebbanburga. Teraz, gdy przypomniałem sobie ojcowską radę, zastanawiałem się, jaki mam wybór. Na razie nic nie przychodziło mi do głowy. Podejrzewałem, że flota Aethelhelma wypłynie nazajutrz, tymczasem ja będę musiał wrócić do Grimesbi i czekać na wieści o tym, że mój kuzyn znalazł nową żonę i jest silny jak nigdy.

Potrzebowałem cudu.

Swithun, Oswi i Cerdic spali. Gdy tylko któryś z nich zaczynał chrapać, budziłem go kopniakiem, choć w pobliżu nie było żadnych straży. Rzuciłem na kałużę smoły belę płótna żaglowego, uchyliłem drzwi do chaty i wyrząłem na zewnątrz. Czemu Jeremiasz odpłynął? Było oczywiste, że sprzymierzył się z Aethelhelmem, czemu więc nie podążył z nim do Bebbanburga? Pytanie nie dawało mi spokoju, ale nie potrafiłem na nie odpowiedzieć.

Siedziałem w drzwiach i nasłuchiwałem wycia wiatru, postukiwania takielunku, chłupotu fal o kadłuby i skrzypienia łodzi kołyszących się na wodzie. Nikłe płomyki świec z knotami z sitowia oświetlały kilka łodzi. Nie mogłem zostać w chacie. Wiedziałem, że z nastaniem świtu w przystani zrobi się tłoczno. Ludzie będą wchodzić na pokłady i ładować towary.

Musieliśmy się stąd wydostać, lecz rozpacz, którą czułem, sprawiała, że nie byłem w stanie podjąć decyzji. W końcu pomyślałem o Renwaldzie, który wraz z przyływem opuści Dumnoc i popłynie do Londynu. Miałem jednak nadzieję, że odpowiednia ilość złota przekona go, by zamiast tego kierował się na północ do rzeki Humber. Stamtąd udałbym się do domu, do Dunholmu. Nie miałem już powodu go opuszczać, gdyż moje marzenia o odzyskaniu Bebbanburga legły w gruzach.

Nabrzeżem szło dwóch mężczyzn. Siedziałem cicho jak mysz pod miotłą, lecz żaden nawet nie spojrzał w moją stronę. Jeden z nich pierdnął i obaj się roześmiali. Słyszałem ptaki – znak, że niebawem zacznie świtać, a chwilę później ujrzałem na wschodzie cienką niczym ostrze miecza pierwszą smugę szarego światła. Musiałem coś zrobić. Gdybym został w chacie, znaleziono by nas. Na przystań zaczęli ściągać pierwsi ludzie, a niebawem mieli pojawić się następni.

Wpierw jednak wydarzyło się coś innego.

Cud.

Cud zdarzył się o świcie.

Nadciągnął z zimnego, szarego morza.

Pięć statków, których sylwetki odcinały się groźnie na tle jaśniejszego nieba.

Pojawiły się wraz z przyływem, ich wiosła unosiły się i opadały niczym skrzydła, zwinięte żagle ciemniały na szczycie masztów.

Ich dziobnice zdobiły smocze łby, a hełmy, groty włóczy i ostrza toporów odbijały pierwsze promienie słońca.

Pływały szybko i niosły ze sobą ogień. Ogień i łodzie to kiepskie połączenie. Ogień na morzu przeraża mnie bardziej niż furia Ran, bogini

morza, lecz łodzie niosły ze sobą płonące pochodnie, które znaczyły ich ślad drżącymi smugami dymu.

Piąta, ostatnia łódź miast smoczej głowy miała zatknięty na dziobnicy chrześcijański krzyż. Przez chwilę myślałem, że to Matka Boża, łódź Jeremiasza, zobaczyłem jednak, że ta była dłuższa i cięższa, a jej maszt był bardziej nachylony. Kiedy tak patrzyłem, ujrzałem rozbłysk ognia na dziobie, skąd ludzie ciskali płonące pochodnie.

– Zbudźcie się! – ryknąłem na swoich ludzi. – Ruszajcie się! Szybko!

Miałem chwilę, ledwie chwilę. Może zbyt krótką, lecz musiałem teraz uciekać i powiodłem ich wzdłuż nabrzeża do najbardziej wysuniętego na zachód pomostu. Ludzie na nabrzeżu nie zwracali na nas uwagi wgapieni w nadpływającą flotę. Wartownik na wieży strażniczej musiał zasnąć, obudził się jednak i zobaczywszy pięć łodzi, zaczął bić na alarm. Było jednak za późno. Strażnicy na wieży mieli wypatrywać łodzi, kiedy te znajdowały się daleko na morzu, nie gdy wpływały do przystani, przynosząc do Dumnocu ogień, chaos i śmierć.

Wskoczyłem na pustą łódź, przeciąłem pokład i wdrapałem się na Rensnaegl.

– Wstawajcie! – zagrzmiałem na Renwalda, który zdążył się już obudzić, ale nie miał pojęcia, co się dzieje. On i jego załoga spali na łodzi pod dachem z rozpiętego między burtami żagla. Teraz gapił się na nas w osłupieniu. – Musicie wypływać! – warknąłem.

– Słodki Chryste! – jęknął, patrząc ponad moim ramieniem na drugi koniec pomostu, gdzie jedna z pięciu łodzi taranowała zacumowany statek, aż klepki pękały z trzaskiem. Ciskano pierwsze płonące pochodnie. Dwie z pięciu łodzi płynęły na wiosłach na środek cumowiska, między dwa pomosty, taranując łodzie umocowane bliżej lądu, w miejscu, gdzie pomosty łączyły się z nabrzeżem. Zaraz potem ujrzałem włóczników

w kolczugach, którzy wyskakiwali na brzeg, tworząc dwa mury tarcz strzegące dostępu do pomostów. W mieście wyły psy, uderzono w dzwon na wieży kościoła, a strażnik nie przestawał bić na alarm.

– Co, na Boga? – zapytał Renwald.

– To Einar Biały – odparłem. – Przypłynął spalić flotę Aethelhelma.

– Einar? – Renwald był wyraźnie oszołomiony.

– To Norweg – wyłuszczyłem. – Na usługach szkockiego króla Konstantyna. – Nie byłem tego pewien, ale Edward mówił, że skuszony szkockim złotem Einar zmienił strony, a ja nie wiedziałem, kto inny mógł przypłynąć do Dumnocu, by zniszczyć flotę gotową wesprzeć mieszkańców Bebbanburga. – A teraz odpływaj! – przykazałem Renwaldowi.

Odwrócił się, by spojrzeć na Norwegów, którzy stanęli na nabrzeżu w murze tarcz. Na oko było ich około trzydziestu, dość, by obronić wąską przestrzeń. Wstający dzień malował świat odcieniami czerni i szarości.

– Daj mi swój miecz! – krzyknąłem do Renwalda.

– Nie możemy z nimi walczyć! – odparł przerażony.

Potrzebowałem miecza, by przeciąć cumy, lecz ludzie Einara najwyraźniej zamierzali nas wyręczyć. Grupa zbrojnych biegła wzdłuż pomostu, przecinając liny łączące mniejsze łodzie z nabrzeżem. Chcieli wywołać chaos. Zamierzali spalić lub zniszczyć większe łodzie, które miały płynąć do Bebbanburga, a przy okazji rozproszyć cumujące w Dumnocu łodzie rybackie i handlowe. Widząc na pokładzie ludzi albo ładunek, przetrząsali łódź w poszukiwaniu łupów, chciałem więc uwolnić Rensnaegl, nim nas zauważą.

– Nie zamierzam z nimi walczyć – warknąłem i pobiegłem na rufę, gdzie – jak wiedziałem – składował broń. Schyliwszy się, wszedłem pod dach z płótna żaglowego, odepchnąłem dwóch ludzi Renwalda, chwyciłem długi miecz i wyciągnąłem go z pochwy.

– Panie! – krzyknął Swithun.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że dwóch Norwegów zorientowało się już, że na pokładzie Rensnaegl są ludzie i ładunek. Najwyraźniej myśleli, że się obłowią, wskoczyli bowiem na sąsiednią łódź, z której zamierzali przeskoczyć na nasz pokład.

– Nie!

Renwald próbował stanąć mi na drodze. Odepchnąłem go z taką siłą, że potknął się i upadł na ładunek. Gdy się odwróciłem, pierwszy z wojowników przeskoczył właśnie przez burtę. Nie miał tarczy, tylko obnażony miecz, a jego brodatą twarz okalał hełm z osłonami na policzki, tak więc widziałem jedynie jego oczy, szeroko otwarte i pałające nienawiścią. Myślał, że stanowimy łatwy łup. Zobaczył miecz w mojej dłoni i pewnie wziął mnie za starego saskiego żeglarza, który nie mógł się równać z wojownikiem z Północy, dlatego pchnął bez zastanowienia, licząc, że wbije mi ostrze w brzuch i wypatroszy mnie na pokładzie Rensnaegl.

Cios był łatwy do sparowania. Miecz Renwalda, choć stary, zardzewiały i pewnie tępy, był ciężki. Ręka Norwega zatoczyła szeroki łuk w lewo i zanim się pozbierał, uderzyłem go w twarz głowicą broni. Trafiłem go w krawędź hełmu, ale na tyle mocno, że zatoczył się do tyłu. Szykował się do natarcia, kiedy zatopiłem miecz Renwalda głęboko w jego brzuchu. Ostrze było tępe, ale jego czubek przebił kolczugę i rozerwał skórzany kaftan. Z gardła napastnika dobył się stłumiony krzyk, a on sam rzucił się na mnie. Wolną ręką próbował dosięgnąć mojej twarzy i wyłupić mi oczy, lecz ucapiłem go za brodę i szarpnięciem przyciągnąłem do siebie. Sam zaś uskoczyłem w bok, nie przestając ciągnąć. Siła rozpędu wyrwała mu miecz z ciała, a zaraz potem jego nogi uderzyły w pas poszycia kadłuba i Norweg wypadł za burtę. Usłyszałem plusk i krzyk, a potem ciężar kolczugi wciągnął go pod wodę.

Drugi Norweg z zadowoleniem patrzył, jak jego towarzysz rzuca się, by wyciąć załogę Sasów, lecz śmierć tamtego była tak gwałtowna, że nie miał szansy mu pomóc. Teraz pragnął zemsty, nie zamierzał jednak atakować Swithuna, Oswiego ani Cerdica, który stał nieuzbrojony na dziobie Rensnaegl. Zamiast tego, szczerząc zęby, wskoczył na leżący na śródkręciu ładunek i zwrócił się w moją stronę. Gdy zobaczył siwowłosego obdartusa ze starym, zardzewiałym mieczem, musiał pomyśleć, że cudem przeżyłem pierwszy atak, dlatego rzucił się na mnie, tnąc szeroko, tak by odrąbać mi głowę. Był młody i rozjuszony, miał jasne włosy i kruki wytatuowane na policzkach. Był również głupcem, młodym, porywczym głupcem. Na Rensnaegl było nas dziesięciu, patrzył, jak z wprawą wytrawnego wojownika zabiłem jego towarzysza, on jednak widział w nas saską załogę, w sobie zaś bitnego woja, wilka z Północy, który pokaże nam, jak Norwegowie traktują zuchwałych Sasów. Wywinął mieczem i rzucił się na mnie. Ostrze przecięło ze świstem powietrze, a siła ciosu powinna pozbawić mnie głowy, lecz jego ruchy były równie przewidywalne jak ruchy jego towarzysza. Kątem oka dostrzegłem ostrze i poczułem bitewną euforię. Wiedziałem, że przeciwnik popełnił błąd, i byłem pewien, że już niebawem kolejny dzielny wojownik zasiądzie na ławie w sali biesiadnej Walhalli. Czas zdawał się zwolnić, gdy lśniące ostrze sunęło w moją stronę. Widziałem, jak młodzik krzywi twarz, próbując włożyć w cios całą siłę, tymczasem sam zrobiłem unik.

Uchyliłem się, a gdy miecz świsnął mi nad głową, wyprostowałem się i mierząc zardzewiałym ostrzem w niebo, nadziałem na nie nadbiegającego Norwega. Czubek Renwaldowego miecza przebił brodę, usta, nos, dosięgnął mózgu i zazgrzytał na kościach czaszki. Młodzik zamarł, jego palce straciły czucie, a stal z brzękiem upadła na pokład Rensnaegl. Wypuściłem miecz z dłoni, odepchnąłem od siebie Norwega i chwyciłem

jego broń. Trzema ciosami przerąbałem linę cumowniczą i rzuciłem ostrze Cerdicowi.

– Przetnij cumę dziobową! – krzyknąłem. – I szpring! Szybko!

Cerdic chwycił miecz i dwoma potężnymi ciosami przeciął obie liny. Wody przypływu natychmiast porwały Rensnaegl, która odbiła od pomostu. Trzeci Norweg, zobaczywszy jednego ze swoich towarzyszy leżącego na ładunku i wstrząsanego przedśmiertnymi drgawkami, wskoczył na sąsiednią łódź i krzyknął coś do nas, ale niesieni silnym prądem byliśmy zbyt daleko, żeby go usłyszeć.

Obawialiśmy się, że osiadziemy na mieliźnie. Swithun zobaczył, że konający Norweg miał powlekaną srebrem, przedniej roboty pochwę, i próbował ją odpiąć.

– Zostaw to! – warknąłem na niego. – Łap za wiosła! Cerdicu, do wiosła! Szybko!

Cerdic, zwykle powolny, chwycił wiosło i odepchnął nim Rensnaegl od widocznej po lewej stronie błotnistej łachy. Wyszarpnąłem zardzewiały miecz z głowy umierającego i przeciąłem nim liny płóciennego daszku rozpiętego nad sterburtą.

– Do wiosła sterowego! – ryknąłem na Renwalda. – Każ swoim ludziom chwycić za wiosła! I podnieś żagiel!

Włożyłem zardzewiałe ostrze w dłoń konającego Norwega. Wydawał chrapliwe dźwięki, wodził oczami na lewo i prawo, lecz nie był w stanie poruszyć rękami ani nogami. Podniosłem leżący na pokładzie dobry miecz, upewniłem się, że stare ostrze nadal tkwi w dłoni młodzika, i skróciłem jego męki. Krew spłynęła po skórach, a chwilę później po prawej stronie ujrzałem ognisty rozbłysk. Jedna z łodzi Aethelhelma zajęła się ogniem, płomienie strzeliły w górę smołowanych want i rozlały się na reję. Załoga

Renwalda, do tej pory sparaliżowana strachem, teraz gorączkowo wkładała wiosła w dulki.

– Wiosłować! – ryknął Renwald.

Był oszołomiony poranną paniką i rzezią, ale jako doświadczony żeglarz wiedział, co się wydarzy, jeśli osiadziemy na mieliźnie. Cisnąłem miecz i odwiązałem fał u podstawy masztu, a zaraz potem opuściłem reję, tak że zawisła tuż nad pokładem, gdzie Oswi stojący na brzuchu martwego Norwega ciął nożem liny, którymi związane były żagiel. Kiedy ciemnobrązowe płótno opadło, podciągnąłem reję, a jeden z ludzi Renwalda chwycił szot na sterburcie i naciągnął go z całej siły. Drugi naciągnął szot na bakburcie i poczułem, że łódź stabilizuje kurs. Płynęliśmy z południowo-zachodnim wiatrem, lecz pod prąd, dlatego potrzebowaliśmy wiosła i żagla. Renwald naparł na wiosło sterowe, tak że Rensnaegl obróciła się powoli i równie wolno oddaliła od błotnistej łachy na środek rzeki.

Tymczasem w porcie w Dumnocu trwała rzeź.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rensnaegl okazała się godna swojego miana, płynęła bowiem w iście ślimaczym tempie, a jej dziób leniwie pruł wody przypyływu. Ten niebawem miał się skończyć, poziom wody miał opaść, a wówczas prąd rzeczny miał znieść nas w stronę morza, lecz do tego czasu czekała nas ciężka praca, a postępy, które poczyniliśmy, były niewielkie. Na brzegu trwały walki, a na nabrzeżu płonęły łodzie zacumowane do dwóch pomostów. Te, których cumy zostały przecięte, dryfowały teraz w górę rzeki. Słońce stało już nad horyzontem i widziałem ludzi ustawionych w murze tarcz na otwartej przestrzeni przed Gęsią. Niebawem mieli uderzyć na mniejsze oddziały Norwegów strzegących wejścia na nabrzeże, wiedziałem jednak, że dla większości łodzi nie było już ratunku. Ocalały tylko nieliczne przywiązane do kei pobudowanej wzdłuż brzegu, a wśród nich należący do Aethelhelma Świetlisty Łabędź. Widziałem ludzi tłoczących się na pokładzie, niektórzy ściskali w dłoniach długie wiosła, gotowi odepchnąć każdą płonącą łódź, która mogła zagrozić białemu statkowi.

– Lepiej zrobimy, jeśli popłyniemy w górę rzeki! – zawołał do mnie Renwald. – Oddalimy się od tych psubratów!

Chciał przez to powiedzieć, że płynąc na wodach przypyływu w głąb ładu do miejsc, gdzie rzeka była płytsza, bez trudu uciekniemy przed łodziami Norwegów, które potrzebowały dwukrotnie większego zanurzenia niż Rensnaegl. Miał rację, lecz ja pokręciłem głową.

– Płyniemy do morza – odparłem. – A stamtąd zabierzesz nas do Grimesbi.

– Płyniemy do Londynu – upierał się Renwald.

Chwyciłem miecz Norwega i wymierzyłem w Renwalda czerwone od krwi ostrze.

– Zabierzesz nas – wycedziłem powoli – do Grimesbi.

Patrzył na mnie zdumiony. Aż do teraz widział we mnie zniedołężniałego starca, który popłynął do Anglii Wschodniej, by odnaleźć rodzinny grób, nagle przestałem się jednak garbić. Stałem wyprostowany i nie mamrotałem, lecz przemawiałem szorstkim, stanowczym głosem. Widział też, jak zabiłem dwóch ludzi równie szybko i sprawnie, jak on patroszył śledzie.

– Coś ty za jeden? – spytał mnie.

– Jestem Uhtred z Bebbanburga – odparłem.

Na chwilę zapomniał języka w gębie, lecz zaraz spojrzał na swoich ludzi, którzy zamarli przy wiosłach i wgapiali się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Panowie... – zaczął, musiał jednak odchrząknąć, nim odezwał się ponownie. – Płyniemy do Grimesbi. A teraz wiosłujcie ile sił!

– Dostaniesz zapłatę – obiecałem mu. – Sowitą. Na początek możesz zatrzymać ten miecz. – Wytarłem ostrze w skóry piętrzące się na pokładzie i wsunąłem miecz pod podest wiosła sterowego.

Rensnaegl przepłynęła na drugi, północny brzeg, gdzie prąd był nieco słabszy, nadal jednak posuwaliśmy się w ślimaczym tempie mimo sześciu wioseł i wielkiego żagla. Powoli kierowaliśmy się w stronę morza, podczas gdy na drugim brzegu Einar Biały dowodził, dlaczego nazywano go również Pechowym.

Pomysł, by część ludzi stanęła w murze tarcz i blokowała wejścia na nabrzeże, podczas gdy pozostali będą puszczać z dymem flotę Aethelhelma, mógł wydawać się dobry, lecz wojownicy stojący w dwóch skromnych szeregach musieli teraz odpierać wściekły atak rozjuszonych Sasów zachodnich, którzy wychynęli z uliczek miasta i poczęli tworzyć własny mur tarcz. Pomyślałem, że Norwegowie muszą być zmęczeni. Przyплыли o świcie po całej nocy wiosłowania pod wiatr. Wschodni mur tarcz zdawał się stawiać opór, ale drugi poszedł w rozsypkę i widziałem, jak niedobitki uciekają po zacumowanych łodziach, szukając schronienia na najbliższej łodzi Einara. Ta jednak wcale nie była bezpieczna. Przyпыw przyszpilił ją do pomostu, a rozwścieczeni Sasi ruszyli w pościg za uciekinierami i dopadli ich na dziobie. Widziałem, jak ostrza unoszą się i opadają, jak ludzie wypadają za burtę na płycizny i umierają. Łódź była stracona.

Ale stracona była też znaczna część floty Aethelhelma. Na końcu pomostu kłęby ognia zasnuwały poranne niebo, gdy kolejne łodzie stawały w płomieniach. Norwegowie szukali ucieczki na mniejszych łodziach handlowych i płynęli za nami w dół rzeki, a za ich plecami płonęły co najmniej trzy łodzie bojowe Aethelhelma. Świetlisty Łabędź przetrwał pożogę podobnie jak dwa inne statki bojowe należące do Sasów, zacumowane przy nabrzeżu, jednak większość płonęła, tonęła albo została zajęta przez wroga. Załoga największej łodzi Einara, tej z ciemnym kadłubem i krzyżem na dziobnicy, nadal ciskała płonące pochodnie na statki Aethelhelma, lecz łódź powoli odpływała, a stojący w murze tarcz wojownicy cofali się. Kolejny ze statków Einara podpłynął do wschodniego pomostu i zobaczyłem ludzi, którzy przesadzając burtę, wskakiwali na pokład, gdy tymczasem wiosłarze wiosłowali na potęgę, by umknąć przed saską zemstą. Największa łódź jako ostatnia wypłynęła z pogrążonej w chaosie przystani, a gdy wynurzyła się z kłębów dymu, ujrzałem

zawieszony na maszcie sztandar. Przez moment zwisał smętnie, w końcu jednak załopotał na wietrze, z dumą prezentując trzymającą krzyż czerwoną dłoń.

– Czyj to sztandar? – spytałem.

– To szkocka łódź – odparł Renwald. – A to sztandar Domnalla.

– Człowieka Konstantyna?

– I prawdziwego szczęśliwca – dodał Renwald, oglądając się na płonące, potrzaskane statki.

Pięć łodzi przyplęnęło o poranku do Dumnocu, lecz wypłynęły tylko cztery, wraz z nimi tuzin zdobywczych łodzi handlowych. Einar, jeśli żył, musiał założyć, że Rensnaegl jest jedną z nich, gdy bowiem większe łodzie mijaly nas w ujściu rzeki, nikt nie próbował nas zatrzymać. Zamiast tego jeden z ludzi na łodzi Domnalla zamachał do nas, a my odpowiedzieliśmy tym samym. Wkrótce na wiosłach wypłynęliśmy na otwarte wody morza i pozwoliliśmy, by dmący w wielki żagiel wiatr niósł nas na północ wzdłuż wybrzeża.

– Nazywa się Trianaid – rzekł Renwald, wskazując głową szkocką łódź.

– Trianaid? – spytałem.

– Trójca – odparł. – Zwykle widuję ją w zatoce Forth. Jeszcze nigdy nie zapuszczała się tak daleko na południe.

– Myślałem, że wszystkie łodzie Konstantyna walczą z Norwegami na wyspach.

– Większość, ale tę woli trzymać bliżej domu.

– Czyli w Bebbanburgu – rzuciłem gorzko.

– Tak, panie. Właśnie tak.

Pocieszała mnie tylko myśl, że Trójca, podobnie jak flota Einara, nie będzie miała w Bebbanburgu lekko. Łodzie nie mogły cumować

w tamtejszej przystani, do której można było dotrzeć wyłącznie przez wąski kanał biegnący pod północnymi murami i obok dobrze strzeżonej Morskiej Bramy. Każda łódź, która spróbowałaby skorzystać z kanału, zostałaby obrzucona włóczniami i kamieniami, a to znaczyło, że flota Einara musi cumować w płytkim kotwicowisku między Lindisfareną a lądem. Miejsca było tam niewiele, a w czasie wiatru robiło się niebezpiecznie. Kiedy byłem dzieckiem, szkocki handlarz szukał tam schronienia, w nocy jednak rozszalał się sztorm, a gdy się obudziliśmy, odkryliśmy, że łódź utknęła na brzegu. Pamiętam radość mojego ojca, gdy uświadomił sobie, że statek wraz z całym ładunkiem należy teraz do niego. Pozwolił mi pojechać z wojownikami, którzy podczas odpływu galopowali po plaży, by okrążyć kupiecką łódź. Pięciu członków załogi natychmiast się poddało, lecz mój starszy brat i tak kazał ich zabić.

– To Szkoci! – zwrócił się do mnie. – Robactwo! A wiesz, co robimy z robactwem.

– To chrześcijanie – zaprotestowałem. W tamtych czasach, kiedy miałem siedem–osiem lat, próbowałem być dobrym chrześcijaninem, by uniknąć połajanek ojca Beokki.

– To Szkoci, głupcze – powtórzył mój brat. – Musimy się ich pozbyć! Chcesz zabić jednego?

– Nie!

– Jesteś żalosnym słabeuszem – rzucił pogardliwie i dobył miecza, by oczyścić świat z wszelkiego robactwa.

Okazało się, że najcenniejszym towarem na łodzi były owcze skóry, a pod jedną z nich spałem przez kolejne dwa lata. Wspominałem tamto wydarzenie, gdy Renwald przekazał wiosło sterowe jednemu ze swoich ludzi i wyciągnął leżący pod nim miecz młodego Norwega. Obrócił go w dłoniach, podziwiając rękojeść i owinięty srebrnym drutem jelec.

– To cenna broń, panie – rzekł do mnie.

– Pewnie frankijska – odparłem. – Przyda ci się bardziej niż ten kawał zardzewiałego żelastwa, który nazywasz mieczem.

Uśmiechnął się.

– Mogę go zatrzymać?

– Zatrzymać, sprzedać, zrób z nim, co chcesz. Tylko go natłuszczaj. Szkoda by było, gdyby zardzewiał.

Wsunął miecz z powrotem pod podest.

– A zatem płyniesz do Bebbanburga, panie?

Pokręciłem głową.

– Płyniemy do Fryzji.

– I dlatego najpierw udałeś się do Dumnocu? – spytał podejrzliwie.

– Miałem tam coś do załatwienia – odparłem szorstko – a teraz płyniemy do Fryzji.

– Tak, panie – przyznał, choć widać było, że nie wierzy w ani jedno moje słowo.

Gnaliśmy z wiatrem, ale po prawdzie Rensnaegl nigdy nie gnała. Wlokła się, podczas gdy flota Einara coraz bardziej zostawiała nas w tyle. Patrzyłem, jak jego łodzie unoszą się na lśniących wodach w plamach słońca, które przeświecało spomiędzy chmur na północy i wschodzie. Odruchowo sięgnąłem do szyi, chcąc dotknąć młota i podziękować Thorowi za cud, ale moje palce napotkały krzyż i przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie on przyniósł mi szczęście. Na tym polegał jeden z najsilniejszych argumentów chrześcijaństwa – los się do nich uśmiechał. Ich czarownicy twierdzili, że chrześcijański król wygrywa więcej bitew, zbiera większe komorne i płodzi więcej synów niż pogańscy władcy. Miałem nadzieję, że to nieprawda, lecz wymamrotałem modlitwę

do chrześcijańskiego boga, który sprawił, że szczęście uśmiechało się do mnie przez ostatnich kilka godzin.

– Aethelhelm nie wypłynie dziś – rzekłem.

– Będzie potrzebował więcej niż dwóch dni, by dojść do siebie po tej zasadzce – zgodził się Renwald. – Stracił kilka dobrych łodzi.

– Nie będzie szczęśliwy – rzuciłem radośnie.

Oto stał się cud. Einar dał mi to, czego tak bardzo potrzebowałem. Czas. Aethelhelm zamierzał zabrać zapasy i posiłki do Bebbanburga, a teraz większość żywności przepadła, podobnie jak część jego statków.

Los kolejny raz się do mnie uśmiechnął.

Na północ od Dumnocu rzeka Wavenhe wpływa do morza. Kilka rodzin rybackich mieszkało w chatynkach pobudowanych z drewna wyrzuconego na brzeg u ujścia rzeki, które wyznaczał szeroki pas niskich fal – znak dla żeglarzy, że położone nieco dalej cumowisko, choć wyglądało zachęcająco, mogło okazać się zdradliwe. W głębi lądu znajdowało się lśniące w promieniach słońca rozległe jezioro, a za nim istny labirynt jezior, rzek, zatoczek, błotnistych łąch, trzcin i mokradeł zamieszkiwanych przez ptactwo, węgorze, ryby, żaby i pokrytych błotem ludzi. Nigdy nie pływałem po Wavenhe, choć słyszałem o żeglarzach, którzy zapuścili się na ławice i przeżyli, ale teraz, w miarę jak flota Einara dopływała do ujścia rzeki, z cumowiska nadpłynęła łódź.

Słyszałem, że Jeremiasz, szalony biskup, był wprawnym żeglarzem, i pogłoski te musiały być prawdą, albowiem opuścił Dumnoc późnym popołudniem, musiał więc płynąć na Wavenhe po zmroku, tymczasem Matka Boża lawirowała wśród płycizn prowadzona pewną ręką. Wzdęty żagiel zdobił krzyż. Łódź, ślizgając się na wodzie, mknęła ku otwartemu morzu, a jej postrzępiony takielunek powiewał na wietrze. Ten sam wiatr szarpał siwymi włosami Jeremiasza, który stał u steru.

Zastanawiałem się, dlaczego szalony biskup wypłynął z Dumnocu, miał zaczekać na flotę Aethelhelma, i oto poznałem odpowiedź. Po ciepłym powitaniu, jakie zgotował mu Aethelhelm, zakładałem, że ci dwaj się sprzymierzyli. Słyszałem na własne uszy, jak Jeremiasz chwalił prezent Aethelhelma, zakrwawiony pas, który należał rzekomo do matki Chrystusa, a najpewniej był kawałkiem materiału oddartym z sukni niewolnej. Poza tym sojusz między Aethelhelmem a Jeremiaszem wydawał się mieć sens. Jeremiasz mógł być szalony, ale wciąż posiadał cumowisko i fort u ujścia rzeki Tine i dopóki Konstantyn rościł sobie prawa do Bebbanburga, dopóty najbardziej wysunięty na północ fort Northumbrii miał pozostać w rękach Jeremiasza. Biskup zaopatrywał się także w łodzie i ludzi i nikt tak jak on nie znał wybrzeży Northumbrii. Wątpiłem, by Sasi zachodni wiedzieli, gdzie pod wodą czają się skały i płycizny, lecz Jeremiasz to wiedział i jeśli Aethelhelm zamierzał wyprawić się do fortecy, słusznie by uczynił, biorąc go na przewodnika. Byłem pewien, że zawarli sojusz. Aż do dziś, kiedy zobaczyłem, jak łódź szalonego biskupa dołącza do floty Einara u ujścia rzeki Wavenhe. Zobaczyłem, jak Jeremiasz pomachał do załogi Trójcy, a chwilę później Matka Boża obróciła się na północ, by połączyć siły z wrogami Aethelhelma.

– Udał się do Dumnocu na zwiad – rzekłem.

– Myślałem, że to sojusznik lorda Aethelhelma. – Renwald był równie zaskoczony jak ja.

– Ja także – przyznałem.

Teraz jednak wyglądało na to, że Jeremiasz zbratał się ze Szkotami. Spojrzałem na jego łódź i pomyślałem, że bez względu na to, kto jest jego sojusznikiem, szalony biskup to z pewnością mój wróg.

Szkoci byli mi wrogami.

Sasi zachodni byli mi wrogami.

Wojownicy stacjonujący w Bebbanburgu byli mi wrogami.
Jeremiasz był mi wrogiem.
Einar Biały był mi wrogiem.
Miałem zatem nadzieję, że chociaż los będzie mi przyjacielem.
Płynęliśmy na północ.

Grimesbi było mniejsze niż Dumnoc, lecz były w nim takie same niszczące chałupy, tak samo pachniało solą, palonym drewnem i rybami, i tacy sami zahartowani przez morze i wysokie, zimne fale ludzie próbowali związać tu koniec z końcem. Były tu nabrzeża, pomosty i płytkie cumowisko, a za okalającym miejscinę rowem rozpościerały się posępne moczary. Grimesbi należało do Northumbrii, a to znaczyło, że tutejszym reeve'em był Duńczyk, człowiek imieniem Erik, o surowych rysach i pięściach jak kamienie, który traktował mnie z ostrożną uprzejmością.

– A zatem wypływasz, panie – rzekł do mnie.

– Do Fryzji – odparłem.

– Tak też słyszałem – stwierdził i począł dłubać w szerokim nosie. Cokolwiek tam znalazł, strzepnął to na podłogę karczmy. – Powiniennem obłożyć podatkiem wszystko, co wyprowadzisz z portu – dodał po chwili. – Konie, naczynia, towary na sprzedaż, wszystko prócz prowiantu i ludzi.

– I zapłacisz ten podatek królowi Sigtryggowi?

– Tak – odparł ostrożnie, bo zdawał sobie sprawę, że wiem, iż oddaje królowi tylko część tego, co powinien, zapewne bardzo niewielką. – Płacę to i opłaty brzegowe do Jorviku.

– Naturalnie – rzekłem i położyłem na stole złotą monetę. – Myślę, że Sigtryggr wybaczyłby mi, gdybym ci nie zapłacił. Co ty na to?

Otworzył oczy w zdumieniu. Ostatnim razem, gdy cumowałem w Grimesbi, opłata brzegowa wynosiła pensa za dzień, a za monetę na stole cała flota mogłaby cumować tu przez okrągły rok.

– Myślę, że by ci wybaczył, panie – przyznał Erik. Moneta zniknęła.

Położyłem na jej miejscu drugą, srebrną.

– Zabieram trzy swoje statki na morze – rzekłem. – I nie będzie mnie przez dwa tygodnie, może dłużej. Kobiety i dzieci nie płyną ze mną. Zostaną tutaj.

– Kobiety na morzu przynoszą nieszczęście, panie – odparł, przypatrując się monecie i próbując odgadnąć, co chcę za nią kupić.

– Kobiety będą potrzebowały ochrony – dodałem. – Mógłbym zostawić zbrojnych, ale potrzebuję wszystkich swoich ludzi. Płyniemy do Fryzji zagarnąć ziemię. – Pokiwał głową na znak, że mi wierzy, choć czy tak było, nie miałem pojęcia. – Nie potrzebuję na pokładzie kobiet ani dzieci – ciągnąłem. – Nie, jeśli przyjdzie mi walczyć o ziemię z jakimś fryzyjskim lordem.

– Oczywiście, panie.

– Ale kobiety muszą być bezpieczne – upierałem się.

– Mam tuzin ludzi do utrzymania porządku – zapewnił mnie.

– Kiedy więc wrócę albo gdy poślę po nasze rodziny, mogę być pewny, że nic im nie będzie?

– Przysięgam, panie.

– Sigtryggr przyśle ludzi, by ich strzegli – rzekłem. I rzeczywiście, posłałem wiadomość Sigtryggrowi, byłem więc pewny, że przyśle zbrojnych. – Ci jednak zjawią się tu nie prędzej niż za dzień lub dwa.

Widząc, że Erik sięga po monetę, nakryłem ją dłonią.

– Jeśli ktoś choćby tknie nasze kobiety, wrócę tu później.

– Przysięgam, że będą bezpieczne, panie – zaklinał się.

Uniosłem rękę i druga moneta zniknęła. Splunęliśmy na dłonie i uścisnęliśmy sobie ręce.

Mój syn przywiódł do zatłoczonego teraz Grimesbi sześć łodzi. Kobiety, dzieci i co cięższy ładunek płynęły w dół rzeki na łodziach, podczas gdy moi ludzie jechali konno z Eoferwicu. Tawerny pękały w szwach i niektóre rodziny były zmuszone zamieszkać na pokładach trzech łodzi bojowych, które przycumowaliśmy do najdłuższej kei w miasteczku. Niedaleko przy pomoście unosiły się na wodzie trzy duże łodzie kupieckie, które nabył mój syn.

– Nie pomieszczą dwustu koni – zauważył posepnie. – Będzie dobrze, jeśli zmieścimy sześćdziesiąt. Nic innego nie było na sprzedaż.

– Wystarczą – uspokoiłem go.

Berg przystosowywał łodzie do przewozu koni.

– Ludzie pytają, panie, po co to, a ja im mówię to, co mi kazaleś. Że nie wiem. Ale chyba wszyscy wiedzą, że płyniemy do Fryzji.

– To dobrze – odparłem. – To bardzo dobrze. Nie musisz już robić z tego tajemnicy.

Berg budował na pokładach zagrody dla koni, by utrzymać w ryzach przerażone zwierzęta, i swoim zwyczajem przykładał się do powierzonego mu zadania, a ja nie miałem serca powiedzieć mu, że prawdopodobnie w ogóle nie będziemy potrzebować tych łodzi. Były tylko częścią podstępu, próbą przekonania wszystkich dookoła, że na dobre porzuciłem myśli o odzyskaniu Bebbanburga i zamiast tego zamierzam powieść swoich ludzi i zwierzęta do nowej ziemi. Naszła mnie ponura myśl, że pewnie dałbym radę sprzedać te trzy łodzie, choć cena, jaką za nie dostanę, będzie znacznie niższa od tej, którą przyszło mi zapłacić. Na najbliższej łodzi pracował

tuzin ludzi, ich młotki i piły hałasowały, gdy zbijali mocne drewniane konstrukcje.

– Zakończcie pracę – zwróciłem się do Berga – i zdejmijcie smocze głowy z trzech łodzi bojowych.

– Mamy je zdjąć, panie? – spytał zdumiony. Dwie z łodzi bojowych miały przedniej roboty świeżo rzezane smocze łby, podczas gdy dziobnicę trzeciej, największej, zdobił wilczy łeb. Wyrzeźbił je dla mnie Berg, tymczasem ja nakazałem mu je zdjąć.

– Ściągnijcie je – powtórzyłem – i zatknijcie w ich miejsce chrześcijańskie krzyże.

– Krzyże! – wykrzyknął oburzony.

– I to duże – odparłem. – A ci, którzy mieszkają na łodziach, muszą je dziś opuścić. Zamiast tego mogą obozować na łodziach kupieckich. Wypływamy jutro o świcie.

– Jutro – powtórzył z nieco większym entuzjazmem.

– Jeszcze jedno – rzuciłem. – Konie tu są?

– Trzymane w tutejszych stajniach, panie.

– Masz siwka, tak?

– Hraezlę! To dobry koń!

– Obetnij mu ogon i przynieś mi włosie – nakazałem.

Spojrzał na mnie jak na szaleńca.

– Chcesz panie ogon Hraezli?

– Zrób, co ci każę – odparłem – i przygotuj krzyże. Mój syn zaprowiantuje łodzie.

Ludzie Uhtreda znosili zapasy na nabrzeże. Powiedziałem mu, że będzie potrzebował jedzenia i ale na dwa tygodnie – dość, by wykarmić stu sześćdziesięciu dziewięciu ludzi.

Bo tyłu właśnie zabierałem na północ. Stu sześćdziesięciu dziewięciu wojowników, by walczyli przeciwko mojemu kuzynowi, przeciwko siłom Aethelhelma i przeciwko królowi Szkocji. To byli dobrzy ludzie, niemal wszyscy zaprawieni w bojach. Tylko nieliczni młodzicy nie stali jeszcze w murze tarcz i nie poznali zgrozy, jaka ogarnia człowieka zmuszonego do walki przeciwko wrogowi, który jest tak blisko, że czujesz woń ale w jego oddechu.

Sowicie zapłaciłem Renwaldowi. Zostało mi niewiele monet, tak więc podarowałem mu jedną ze swoich bransolet, srebrne cacko z wyrzeźbionymi na nim runami.

– Zdobyłem ją w bitwie na północ od Londynu – rzekłem mu. – To imię człowieka, którego zabiłem. – Mówiąc to, wskazałem runy. – Hagga. Nie powinien być zginąć. Nie tamtego dnia.

– Nie powinien?

– Udali się na zwiad. Ich było sześciu, a nas ośmiu. Polowaliśmy z sokołem. To Hagga chciał walczyć.

Pamiętałem go. Był młody, dumnie trzymał się w siodle, miał piękny, nieco przyduży hełm z osłonami na policzki i wyrytą na dzwonie wykrzywioną grymasem twarz. Sądził pewnie, że będziemy łatwym łupem, albowiem żaden z nas nie miał kolczugi, a w naszej drużynie łowieckiej były dwie niewiasty. Hagga zelżył nas, rzucił nam wyzwanie, a my daliśmy mu walkę, której tak się dopraszał. Ta szybko się jednak zakończyła. Kiedy zdzieliłem go w głowę Oddechem Węża, jego hełm zsunął mu się na oczy i na wpół go oślepił. Chłopak skonał, krzycząc żałośnie.

Spojrzałem przez ramię na Rensnaegl zacumowaną na nabrzeżu Grimesbi.

– Kup sobie szybszą łódź – rzekłem Renwaldowi.

Pokręcił głową.

– Dobrze mi służy, panie. Jest jak ja: powolna, ale pewna.

– Godna zaufania – odparłem. – A gdy będzie po wszystkim – ciągnąłem – możesz polegać na mnie jak na przyjacielu.

– We Fryzji, panie? – spytał z uśmiechem.

– We Fryzji. – Ja również się uśmiechnąłem.

– Będę się za ciebie modlił, panie.

– Za to – odrzekłem ciepło – i za wszystko, co dla mnie zrobisz, dziękuję ci.

O zachodzie słońca szedłem z Finanem ścieżką biegnącą obok rowu wodnego poza granicami miasteczka. Opowiedziałem mu większość z tego, co wydarzyło się w Dumnocu, ale chciał znać szczegóły, choć wpierw wypytałem go o Aethelstana i upewniłem się, że młody książę jest bezpieczny we dworze Sigtryggra.

– Chciał jechać z nami – rzekł Finan.

– To oczywiste.

– Ale powiedziałem mu, że to niemożliwe. Chryste, wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby zginął, będąc twoim zakładnikiem? Boże, miej nas w swojej opiece!

– Wie, że nie może jechać – stwierdziłem.

– Mimo to się upierał.

– Tak mu spieszno do tego, żeby dać się zabić? Gdyby tak się stało, winą za wszystko obarczono by mnie, rozejm zostałby zerwany, a my tkwilibyśmy po szyje w gównie.

– A teraz nie tkwimy?

– Może po pachy – mruknąłem.

– Jest aż tak źle? – Przez chwilę szliśmy w milczeniu. – A więc? – zapytał w końcu. – Lord Aethelhelm był w Dumnocu?

– Rozdawał srebro – odrzekłem. Dokończyłem swą opowieść i zdradziłem mu, w jaki sposób zamierzam odzyskać Bebbanburg.

Słuchał mnie w ciszy, a gdy skończyłem, zapytał:

– Król Edward powiedział ci, że w Bebbanburgu są cztery setki Szkotów?

– Którymi dowodzi człowiek imieniem Domnall.

– Mówią, że jest wytrawnym wojem.

– Ty także.

Uśmiechnął się.

– A zatem cztery setki Szkotów.

– Tak twierdzi Edward. Może łącznie z garnizonami, które Konstantyn zostawił w fortach na murze. Miarkuję więc, że w samym Bebbanburgu ma co najmniej dwustu pięćdziesięciu ludzi.

– A twój kuzyn? Ilu ma ludzi?

– Nie jestem pewien, ale może zebrać co najmniej trzy setki. Edward zgaduje, że w samym forcie ma ich dwustu.

– A Einar?

– Stracił statek i ludzi w Dumnocu, ale nadal ma cztery załogi.

– Czyli kolejnych stu dwudziestu?

– Co najmniej.

– A Aethelhelm ilu weźmie ludzi?

– Jeśli w ogóle wypłynie – odparłem – powiedzie tylu, ilu będzie mógł. Trzy setki? Może więcej.

– Jeremiasz?

– Pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu. Ale nie będzie go w Bebbanburgu.

– Nie? – spytał niepewnie Finan. Nachmurzył się, podniósł kamień i cisnął go do pokrytej zielonym kozuchem sadzawki. – Skąd wiesz, że w tej chwili nie płynię do Bebbanburga razem z Einarem?

– Nie wiem.

– Czyli zgadujesz?

– Jeremiasz zdradza, kogo się da – odparłem – dlatego nie będzie chciał jawnie opowiedzieć się po żadnej ze stron. Jeśli popłynie do Bebbanburga, będzie musiał zacumować ze statkami Einara, czym uświadomi mojemu kuzynowi, że został zdradzony, albo wpłynie do portu w Bebbanburgu i przyzna się do zdrady Konstantyna. Jeremiasz chce być po zwycięskiej stronie, dlatego układa się ze wszystkimi. Może i jest szalony, ale na pewno nie jest głupi. Mówię ci, udał się do Gyruum, żeby przeczekać nawałnicę.

Finan pokiwał głową, przyznając mi rację.

– Mimo to – rzekł – jeśli wędzemy się do środka, będziemy zmuszeni walczyć z trzema setkami wojowników?

– Raczej dwoma.

– I będziemy mieli pod górę?

– Częściowo.

– A kolejnych czterystu, pięciuset ludzi będzie próbowało dźgnąć nas w plecy?

– Nie inaczej.

– Nie mówiąc o przeklętych Szkotach, którzy nie będą szczęśliwi.

– Szkoci nigdy nie są szczęśliwi.

– To prawda – przyznał. Cisnął kolejny kamyk i patrzył, jak znika pod zielonym kozuchem. – A Sigtryggr ci nie pomoże?

– Pomoże – odparłem – ale nie będzie razem z nami szturmował murów. Kiedy rozejm dobiegnie końca, będzie potrzebował wszystkich

swoich ludzi.

Finan podszedł do rosnącego nad sadzawką uschniętego drzewa, sękatego i poczerniałego. W pobliżu nie było innych drzew, a to obumarło tak dawno temu, że pień rozpękł się na pół, w szczelinie rozpanoszył się grzyb, a jedynymi gałęziami były zwisające smętnie grube kikuty obwieszane strzępkami materiałów.

– Drzewo modłów – rzekł Finan. – Mieszkał tu jakiś święty?

– Mieszkał tu bóg.

Spojrzał na mnie rozbawiony.

– Bóg? Chcesz powiedzieć, że jakiś bóg zapragnął zamieszkać w tej zapadłej dziurze?

– Odyn pobudował tu dworzyszczce.

– Słodki Jezu, dziwni są ci twoi bogowie. Chyba że ten cały Odyn po prostu lubi bagna? – Wyciągnął zza pasa nóż. – Myślisz, że bogowie wysłuchują modlitw?

– Ja na ich miejscu bym nie słuchał. Wyobrażasz to sobie? Te wszystkie zawodzące kobiety, kwilące dzieci i nieszczęśliwych mężczyzn?

– Mało kto walczy tak jak ty – rzekł – ale cieszymy się, że nie jesteś bogiem. – Odciął skrawek kaftana, znalazł szczelinę w jednej z gałęzi i wetknął go w nią. Zobaczyłem, że zamknął oczy i zmówił modlitwę, choć nie zapytałem, do kogo była skierowana: do Odyndy czy chrześcijańskiego boga. – Sęk w tym, panie – dodał, gapiąc się na materiał – że nie wiem, jak inaczej zdobyć to miejsce.

– Ja również. Musiałbym zgromadzić tysiąc ludzi. A nie stać mnie na to. Kończą mi się pieniądze.

Roześmiał się.

– A szastałeś nimi jak biskup Wulfheard w burdelu. – Wyciągnął rękę i dotknął strzępka materiału. – A zatem zróbmy to, panie. Po prostu to

zrobmy.

Znalazłem Eadith w małym kościele w Grimesbi. Miasteczko należało wprawdzie do Duńczyków, a większość jego mieszkańców była poganami, lecz swój dobrobyt zawdzięczało łodziom i żeglarzom, a nie znałem miasta portowego, które wzbogaciłoby się, odwracając się od handlu. Chrześcijańscy żeglarze z odległości mili mogli dojrzeć krzyż na szczycie kościelnego dachu i wiedzieli, że są tu mile widziani. Poza tym nadal lubiłem przypominać tym ze swoich ludzi, którzy byli chrześcijanami, że my, poganie, rzadko prześladowamy chrześcijan. Uważamy, że jest wielu bogów i każdy może wierzyć, w co mu się żywnie podoba, gdy tymczasem chrześcijanie, którzy uparcie twierdzą, że jest tylko jeden bóg, poczytują sobie za obowiązek zabijać, okaleczać, zniewalać i piętnować każdego, kto się z nimi nie zgadza. I mówią mi, że to dla naszego dobra.

Eadith nie poszła do kościoła, by się modlić, lecz by na jego posadzce, która była dość długa i szeroka, rozwinąć belę jasnoniebieskiego płótna.

– Przepraszam za kolor – zwróciła się do mnie. Ona i dwie inne niewiasty na czworakach pełzały po podłodze. – Musieli użyć do barwienia urzetu barwierskiego – dodała. – Prosiłam o ciemniejszy kolor, ale miał tylko ciemnoniebieską wełnę.

– Wełna byłaby zbyt ciężka – odparłem.

– Ale to płótno było drogie. – Wyglądała na zmartwioną.

– I nie będzie widać na nim białego – zauważyła Ethne, żona Finana.

– No to użyjcie czarnego.

– Nie mamy czarnego płótna! – wykrzyknęła Eadith.

– On ma – rzuciłem, patrząc na księdza, który stał przy ołtarzu ze zmarszczonymi brwiami.

– Tak? – spytała Eadith.

– Ma je na sobie – zauważyłem. – Potnijcie jego szatę!

– Panie! Nie! – Klecha cofnął się w kąt. Był niskim, łysym człowieczkiem o ściągniętej twarzy i rozbieganych oczkach.

– Namalujcie je – zaproponował Finan. – Smołą. – Skinął głową na księdza. – Szaty nie starczy na dwa jelenie, a będziecie potrzebować po jednym na każdą stronę. W przystani jest mnóstwo smoły.

– Świetny pomysł! – zakrzyknął pospiesznie klecha. – Użyjcie smoły!

– Nie wyschnie na czas – orzekła Ethne. – Może z jednej strony, ale musimy je obrócić, żeby namalować to samo z drugiej.

– Węgiel drzewny? – podpowiedział nerwowo księżulo.

– Smoła – zdecydowałem – i pomalujcie tylko jedną stronę. Potem przyszyjcie go do żagla Hanny.

Hanna była jedną z trzech łodzi zakupionych przez Berga. Naprawdę nazywała się Święty Kutbert, ale Bergowi tak bardzo nie podobała się chrześcijańska nazwa, że ją zmienił.

– Hanna? – spytałem go.

– Tak, panie. – Pokraśniał.

– Córka Olli?

– Tak, panie.

– Dziewczyna, która chciała sprzedać swojego brata w niewolę?

– Ta sama, panie.

Czując na sobie mój wzrok, spłonił się jeszcze bardziej.

– Wiesz, że zmiana nazwy łodzi przynosi pecha? – spytałem go.

– Wiem, panie. Ale jeśli dziewczyna naszcza na zęzę? Wtedy nic się nie stanie, tak? Mój ojciec zawsze powtarzał: „Jak znajdziesz dziewicę, poproś

ją, żeby nasikała...” – Zawiesił głos i wskazał na Hanne. – Wtedy nic się nie stanie, tak? – powtórzył. – Bogowie nie będą mieli nic przeciwko temu.

– Znalazłeś dziewicę w Eoferwicu? – spytałem zdumiony.

Znowu pokraśniał.

– Tak, panie.

– Hanne?

Spojrzał na mnie jak zbity pies, jakby obawiał się, że będę przeciwny.

– Jest taka urocza, panie – wykrztusił. – I może, kiedy będzie po wszystkim... – Był zbyt zdenerwowany, by dokończyć.

– Kiedy będzie po wszystkim i zwyciężymy, będziesz mógł wrócić do Eoferwicu – odrzekłem.

– A jeśli nie zwyciężymy? – spytał nerwowo.

– Jeśli nie zwyciężymy, wszyscy będziemy martwi.

– A! – Rozpromienił się. – Zatem musimy zwyciężyć, tak?

Lecz żeby zwyciężyć, potrzebowaliśmy włosia z ogona Bergowego siwka, beli jasnoniebieskiego płótna, smoły i przychylności bogów.

– To musi wystarczyć – powiedziałem tej nocy do Eadith.

Nie mogłem zasnąć, zszedłem więc do przystani i patrzyłem na sierp księżycy odbijający się w ujściu rzeki za cumowiskiem i moje trzy łodzie bojowe kołyszące się na wietrze: Hanne, Eadith i Stiorę. Berg nadał im imiona kobiet, z których dwie były bliskie mnie, a jedna jemu. Gdybym to ja decydował o imionach, wybrałbym Giselę, matkę moich dzieci, i Aethelflaed, której przysięgałem wierność i której to przysięgi nigdy nie złamałem, ale wybory Berga były równie dobre. Uśmiechnąłem się na wspomnienie tego, jak bardzo się denerwował, i na myśl o tym, jak dwunasto-, trzynastoletnie dziewczę potrafiło zawrócić w głowie doświadczonemu wojownikowi. Zastanawiałem się, ile liczył sobie wiosen.

Osiemnaście? Dziewiętnaście? Stał w murze tarcz, walczył mieczem i włócznią, zabijał i wiedział, co znaczy bitewny szal, a jednak wystarczyła śliczna buzia i grzywa brązowych włosów, by trząść się niczym piętnastolatek przed pierwszą bitwą.

– O czym myślisz? – spytała Eadith, stając u mego boku. Wzięła mnie pod rękę i oparła głowę na moim ramieniu.

– O sile kobiet – odparłem.

W milczeniu ścisnęła mnie za ramię.

Wypatrywałem znaków, ale żadnego nie zobaczyłem. Na niebie nie pojawił się żaden ptak, a w miasteczku nie zaszczekał żaden pies. Nie mogłem spać – w oczekiwaniu na bitwę i w obawie, że błędnie oceniłem swoje siły.

– Minęła północ? – spytałem Eadith.

– Nie wiem. Nie sędzę. Może?

– Powinienem się przespać.

– Wypływacie o świcie?

– Wcześniej, jeśli się da.

– Jak długo potrwa podróż?

Uśmiechnąłem się.

– Z wiatrem? Dwa dni. Bez wiatru? Trzy.

– Czyli za dwa, trzy dni... – zaczęła i głos jej się załamał.

– Rozegramy pierwszą bitwę – dokończyłem za nią.

– Dobry Boże – szepnęła i myślę, że była to modlitwa. – A drugą?

– Może dwa dni później.

– Zwycięzycie – odparła. – Jesteś Uhtredem, zawsze zwyciężasz.

– Musimy zwyciężyć – rzekłem. Oboje zamilkliśmy na chwilę, wsłuchani w skrzypienie łodzi, poszeptywania wiatru i chłupot fal. – Jeśli

nie wrócę – zacząłem, a ona próbowała mnie uciszyć. – Jeśli nie wrócę – powtórzyłem – zabierz naszych ludzi do Eoferwicu. Sigtryggr się wami zaopiekuje.

– Nie pomaszerował na północ?

– Powinien być już w drodze, ale jeśli nie przeżyję, niebawem wróci do Eoferwicu.

– Przeżyjesz – odrzekła stanowczo. – Dałam na kościół pierścień ze szmaragdem i zmówiłam modlitwę.

– Co takiego? – spytałem zdumiony.

– Dałam na kościół pierścień ze szmaragdem – odparła.

Mówiła o wprawionym w złoty pierścień pięknym szmaragdzie, podarowanym jej przez Aethelreda, który był moim wrogiem, a jej kochankiem. Nigdy go nie nosiła, wiedziałem jednak, że go zatrzymała – nie z sentymentu, lecz dlatego, że jego wartość stanowiła ochronę w niebezpiecznym świecie.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Nie zdradziłam księdzu powodu – dodała – ale poprosiłam, by się za nas modlił.

– Zamiast tego wybuduje sobie nowy dom – rzuciłem rozbawiony.

– Niech nawet pobuduje cały dwór, byle tylko zmówił modły. – Zadrzała i utkwiała spojrzenie w długim odbiciu księżyca. – Flaga jest skończona, tak jak kita z końskiego włosia.

– Dziękuję.

– Wróćisz! – zapewniła mnie.

Pomyślałem o tym, jak zawsze chciałem umrzeć w Bebbanburgu. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

– Prędzej po ciebie poślę – odparłem. – Za dwa, trzy tygodnie wyglądaj statków.

– Nie przestanę się modlić.

Odwróciłem się i razem zeszedliśmy z nabrzeża. Potrzebowałem snu. Musiałem się położyć, bo jutro mieliśmy popłynąć ku bitwie.

Latem o świcie estuarium było ciche i spokojne. Wody miały kolor srebra i łupku i toczyły się leniwie, jak gdyby bogini morza oddychała we śnie. Tymczasem na nabrzeżu panował zamęt. Ludzie wrzucali tarcze, kolczugi i broń na trzy statki wypełnione po brzegi zapasami. Wieźliśmy beczki ale, beczki solonych śledzi, beczki dwukrotnie wypiekanego chleba, solonej wieprzowiny i dziesiątki pustych beczek. Dno łodzi zaściełały worki wypchane słomą. Wszystkie statki miały krzyże na dziobnicach, chude i wysokie, wyrzeżane w świeżo ściętym drzewie. Mój syn dowodził Stiorrą, Finan Hanną, a ja Eadith.

– Pożegnajcie się! – zakrzyknąłem do swoich ludzi. – Czas ruszać!

Słońce niemal wzniosło się nad horyzont, muskając srebrzystoszare wody smugami złota.

Finan był kiepskim żeglarzem, dlatego dałem mu Berga, który jak wszyscy Norwegowie umiał sterować łodzią i wiedział, jak przetrwać sztorm. Wołałem, by Finan płynął razem ze mną na Eadith – odkąd się poznaliśmy, byliśmy właściwie nierozłączni – ale w nadchodzących dniach mieliśmy walczyć w trzech grupach, lepiej więc było, by pozostał ze swymi ludźmi.

– Oby pogoda się nie zmieniła – rzekł.

– Potrzebuję silnego południowego wiatru – odparłem. – Zmów zatem modlitwy.

Dotknął krzyża zawieszzonego na piersi.

– Jezu – zaczął – marzyliśmy o tej chwili od lat.

Wiedziony impulsem objąłem go.

– Dziękuję, że zostałeś – rzekłem.

– Zostałem?

– Mogłeś wrócić do Irlandii.

Rozciągnął usta w uśmiechu.

– Miałbym nie zobaczyć, jak zakończy się ta opowieść? Słodki Jezu, to oczywiste, że musiałem zostać.

– To nie koniec opowieści – stwierdziłem. – Obiecałem Aethelflaed, że zaopiekuję się jej córką.

– Boże, ależ z ciebie głupiec! – powiedział i się roześmiał.

– Jest jeszcze Aethelstan.

– A zatem nie ma szans na nudę – skwitował. – Dobrze, bo zaczynałem się martwić.

– Idź – nakazałem mu. – Wypływamy.

Objąłem Eadith, która cicho szlochała. Dookoła wojownicy żegnali się ze swoimi kobietami albo z dziećmi.

Pogłaskałem jej rude włosy.

– Poślę po ciebie – obiecałem.

Zaraz potem weszliśmy na pokład, odwiązano cumy, a ludzie poczęli wiosłami odpychać łódzie od nabrzeża. Zastukało drewno, gdy wsuwano wiosła w otwory albo – jak na Eadith – wkładano je w dulki. Wskazałem ludzi na trzech pierwszych ławkach bakburty i krzyknąłem na nich, by obrócili Eadith dziobem ku otwartym wodom. Widziałem Renwalda, który patrzył na nas z pokładu Rensnaegl, a gdy uniosłem rękę w geście powitania, odpowiedział tym samym. Eadith krzyknęła słowa pożegnania,

lecz jej głos niemal utonął pośród krzyku mew, gdy łódź nazwana jej imieniem zakołysała się na wodzie. Dotknąłem młota na piersi, poprosiłem bogów, by nam sprzyjali, i chwyciłem za wiosło sterowe.

– Razem! – krzyknąłem i wiosła wysunęły się do przodu, po czym zawisły nad spokojnymi wodami. – Wiosłujcie!

I tak trzy łodzie wpłynęły do estuarium, wysokimi dziobami prując nieruchome wody. Długimi, niespiesznymi ruchami prowadziliśmy statki w dół kanału, między witkami wierzbowymi, aż w końcu skręciliśmy na wschód w kierunku wschodzącego słońca. Na horyzoncie nie było innych łodzi.

Minęliśmy Kruczy Dziób, zdradliwą mierzeję u ujścia rzeki Humber, i skierowaliśmy się na północ, a szept południowo-zachodniego wiatru wlał w moje serce nadzieję, że może niedługo będziemy w stanie postawić żagiel. Ludzie zmęczeni wiosłowaniem nie walczą tak dobrze jak wypoczęci wojownicy.

Letnim świtem wyruszyliśmy na trzech łodziach i płynęliśmy na wojnę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Podróż trwała dłużej, niż przewidywałem, i znacznie dłużej, niż miałem nadzieję. Wypływaliśmy z Grimesbi w spokojny, pogodny dzień lecz przed południem łagodny południowo-zachodni wiatr wzmógł się i zmienił kierunek na północno-wschodni. To był zły znak. Później, po południu, wpłynęliśmy między spienione fale niosące połamane wiosła i klepki. Były to resztki roztrzaskanej łodzi i ostrzeżenie od bogów. Czyżby krzyże na naszych dziobnicach rozjuszyły Ran, boginię morza? Nie miałem zwierzęcia, które mógłbym złożyć w ofierze, więc oddałem stery Gerbruhtowi, a sam otworzyłem żyłę na prawej ręce, tej, w której trzymałem miecz, i patrząc, jak krew skapuje do morza, powiedziałem Ran, że zatknąłem krzyże tylko po to, by odnieść zwycięstwo, które zadowoli bogów.

Jej gniew nie został jednak złagodzony, albowiem tej nocy nie mogliśmy znaleźć schronienia. Płynęliśmy na wiosłach w pobliżu lądu, na tyle blisko, by usłyszeć huk fal rozbijających się o brzeg, i z nastaniem zmroku zacząłem się obawiać, że będziemy zmuszeni płynąć na wschód, na otwarte wzburzone wody. Na szczęście w ostatnich promieniach dogasającego słońca Ran pokazała nam zatoczkę i ostrożnie wpłynęliśmy na smagane wiatrem cumowisko. Na brzegu nie było świateł ani nie poczuliśmy woni palonego drewna, zobaczyliśmy tylko niekończące się trzciny i przybrzeżne równiny błotne. Złowrogi północny wiatr przyniósł ze sobą chłód i deszcz.

Kolejny dzień był niemal równie kiepski, z tą różnicą, że po południu wiatr znowu gwałtownie zmienił kierunek. Silne podmuchy nadal sprawiały, że morze było wzburzone, ale przynajmniej wiatr dął w kierunku, który ułatwiał żeglugę, tak więc mogliśmy w końcu postawić żagle. Trzy wysokie dzioby pruły fale, a moi ludzie, choć nie musieli wiosłować, bez ustanku wybierali wodę. Przed wieczorem skręciliśmy nieco na zachód i płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Northumbrii, jednak przez cały dzień trzymaliśmy się z dala od lądu, tak by ktokolwiek, kto wypatrzyłby nas w siąpawicy, pomyślał, że płyniemy do Szkocji albo jeszcze dalej, ku ziemiom Norwegów. Widzieliśmy kilka łodzi rybackich niedaleko brzegu.

Miałem nadzieję, że trzeciego dnia dotrzemy na miejsce, jednak pogoda nas spowolniła i trzeciego wieczoru, zamiast stoczyć pierwszą potyczkę, znaleźliśmy schronienie u ujścia rzeki Wiire. Na północnym brzegu stał okazały kamienny budynek, w którym przed nadejściem Duńczyków mieściło się opactwo. Pamiętałem dzień, kiedy głodni walki wojownicy Ragnara Starszego wyrznęli mnichów, splądrowali skarbiec i puścili klasztor z dymem. Kamienny kościół przetrwał pożogę, choć dach zapadł się, pozostawiając osmalone mury i kikut dzwonnicy. Gdy wypływaliśmy do ujścia rzeki, zobaczyłem, że kościół doczekał się nowego dachu, a nad dymnika na szczycie ulatuje w niebo dym. Jego smużki unosiły się również z chatynek przycupniętych wokół starego kościoła. Dostrzegłem też osiem łódek rybackich, z których kilka cumowało przy brzegu rzeki, a pozostałe wciągnięto na kamienistą plażę, gdzie nad ogniskami suszono śledzie. Dwoje małych dzieci, których zadaniem było odganianie mew od stojaków ze śledziami, uciekło na nasz widok, zaraz jednak wróciły przywołane do porządku przez mężczyznę, który stał i przyglądał się nam. Przypatrywali się nam również mieszkańcy niewielkiej osady. Krzyże na dziobnicach

przekonały ich, że nie jesteśmy Duńczykami ani Norwegami, lecz i tak musieli się niepokoić. Pomachałem do nich, ale nikt nie zareagował.

W końcu, chwilę przed tym, nim słońce zniknęło za wzgórzami na zachodzie, niewielka łódź oderwała się od brzegu. Dwóch mężczyzn siedziało przy wiosłach, podczas gdy trzeci był na rufie. Eadith stała najbliżej brzegu i to właśnie ku niej płynęła teraz łódka. Przykazałem wszystkim poganom, by ukryli młoty, a tym, którzy mieli wytatuowane twarze, kazałem wejść pod ławki i udawać, że śpią. Sam miałem na szyi krzyż, bałem się jednak, że zostanę rozpoznany, dlatego przykucnąłem w ciasnej przestrzeni za wiosłem sterowym i naciągnąłem kaptur na głowę, podczas gdy Swithun, który podczas wizyty w Dumnocu udowodnił, że bystry z niego młodzieniec, czekał, by podjąć gości. Dałem mu swój złoty łańcuch i przedniej roboty wełnianą pelerynę obszytą futrem z wydr.

– Niech łaska Pana czuwa nad tą łodzią – pozdrowił nas pasażer łódki. Był odziany jak ksiądz, wątpiłem jednak, by został wyświęcony. – Wchodzę na pokład! – zawołał, gdy łódeczka zrównała się z Eadith, i nie czekając na zaproszenie, przelazł przez burzę. – Coście za jedni w imię Chrystusa? – zapytał.

Rzeka Wiire wyznaczała południową granicę ziem Jeremiasza i zgadywałem, że każdy z tutejszych klechów został mianowany przez szalonego biskupa, który twierdził, że jego władza nie pochodzi z Contwaraburga czy Rzymu, lecz od samego ukrzyżowanego boga. Księżulo był niskim człowieczkiem ze strzechą brązowych loków, brodą, w której czapla mogłaby uwić gniazdo, i szerokim uśmiechem odsłaniającym trzy ocalałe zęby. Nie czekał, aż ktokolwiek odpowie na jego pytanie, i od razu zażądał pieniędzy.

– Jeśli zamierzacie zostać tu do rana, będziecie musieli uiścić opłatę! Przykro mi. To nie nasz wymysł, lecz prawo boskie.

Ksiądz mówił w języku Duńczyków i Swithun, choć rozumiał co nieco, pokręcił tylko głową.

– Chcesz czegoś? – spytał po angielsku. Mówił bardzo wolno i nieco zbyt głośno.

– Pieniądzy! Monet! Srebra! – Klecha brudnym paluchem pokazywał nam, że liczy monety na dłoni.

– Ile? – spytał Swithun.

– Nie powiedzieliście mi, kim jesteście! – oburzył się ksiądz, a ja szeptem przetłumaczyłem jego słowa Swithunowi.

– Czy opłata zależy od odpowiedzi? – mruknął Swithun, a ja przetłumaczyłem jego słowa.

Klecha wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Oczywiście! Jeśli jesteś nędzarzem z Anglii Wschodniej mieszkającym na zapchlonych bagnach i handlujesz psim i gęsim łajnem, zapłacisz mniej, niż gdybyś był przeklętym Sasem zachodnim przewożącym frankijskie kolczugi i wino z Neustrii! Jesteś Sasem zachodnim?

– On tak – odparłem – a ty?

– Jestem ojciec Yngvild, a twój pan jest mi winien szylinga za każdą łódź. Trzy szylingi za noc. – Uśmiechnął się złośliwie, wiedząc, że to niedorzeczna oferta.

– Trzy pensy – zaproponował Swithun, który połapał się już, o co chodzi.

Przełożyłem jego słowa, a Yngvild spojrzał na mnie wilkiem.

– Kto to? – zapytał Swithuna. Nie widział mnie, albowiem stałem w cieniu i skrywałem twarz pod kapturem.

– Mój harfista – odrzekł Swithun, pozwalając, bym przetłumaczył. – Jest szpetny, dlatego nie może się pokazywać.

– Trzy pensy to za mało – orzekł klecha, który najwyraźniej uznał wyjaśnienie Swithuna za wystarczające. – Niech będzie sześć.

– Trzy – upierał się Swithun.

– Pięć.

– Trzy!

– Zgoda. – Yngvild wyszczerzył zęby w uśmiechu, bo targował się po angielsku i pewnie uwierzył, że udało mu się nas oszukać. – A teraz powiedz mi, coście za jedni – zażądał.

Swithun wyprostował się i posłał mu srogie spojrzenie.

– Jestem księżę Aethelstan – ogłosił z dumą – syn Edwarda z Wessexu, aetheling Sasów zachodnich przysłany tu przez mojego ojca i jego siostrę Aethelflaed, panią Mercji.

Yngvild patrzył na niego z nieskrywanym podziwem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz tylko bąknął coś niezrozumiale. Przykazałem Swithunowi, by łął przekonująco, i widać wziął sobie moje rady do serca, bo stał teraz wyprostowany i władczy, wbijając wzrok w niższego od siebie klechę.

– Jesteś... – wydukał w końcu Yngvild.

– Masz zwracać się do mnie „panie”! – warknął Swithun.

– Masz zwracać się do niego „panie” – powtórzyłem. W moim głosie pobrzmiwała groźba.

Yngvild rozejrzał się po łodzi, lecz nie zobaczył niczego prócz zmęczonych wojowników z krzyżami na szyjach. Po prawdzie żaden księżę Wessexu nie zapuściłby się tak daleko na północ, nie mając przy sobie doradców, księży i budzącej grozę straży przybocznej, jednak Yngvild znalazł

rzeki Wiire nie miał doświadczenia z książętami i dawno już przekonałem się, że najłatwiej uwierzyć w najbardziej niedorzeczne kłamstwa.

– Tak, panie – odparł zastraszony.

– Płyniemy do ziemi Szkotów – rzekł wyniośle Swithun. – Będziemy tam rozmawiać z królem Konstantynem i spróbujemy zaprowadzić pokój w Brytanii. Słuzysz Konstantynowi?

– Nie, panie!

– A zatem nie jesteśmy jeszcze w Szkocji?

– Nie, panie, musicie płynąć na północ!

– Kto więc jest twoim panem?

– Biskup Jeremiasz, panie.

– Aha! – Swithun sprawiał wrażenie uradowanego. – Pani Aethelflaed mówiła, że możemy się z nim spotkać! Jest tutaj? Możemy go powitać?

– Nie ma go tutaj, panie. Jest – Yngvild wskazał na północ – w Gyruum, panie. – Poczulem ulgę i miałem nadzieję, że klecha mówi prawdę. Obawiałem się, że Jeremiasz mógł popłynąć do Bebbanburga, choć było to mało prawdopodobne, jeśli chciał ukryć swą zdradę. – Jestem pewien, że przesłałby pozdrowienia – dodał pośpiesznie Yngvild.

– Jest blisko? – dopytywał Swithun. – Mamy dla niego podarek.

– Podarek? – spytał chciwie Yngvild.

– Pani Aethelflaed jest szczodra – ciągnął Swithun – i posłała twojemu panu podarek, cóż jednak, skoro spieszno nam na północ!

– Mogę go wziąć! – zaproponował ochoczo ksiądz.

– Mam przekazać go osobiście biskupowi Jeremiaszowi – odrzekł ponuro Swithun.

– Gyruum leży na północy niedaleko stąd, panie – zapewnił pośpiesznie Yngvild. – Blisko, panie, bardzo blisko. W następnym ujściu rzeki.

– Może tam zawiniemy – rzucił niedbale Swithun. – Jeśli starczy nam czasu. Powiedz jednak biskupowi Jeremiaszowi, że jesteśmy mu wdzięczni za bezpieczną przeprawę przez jego wody, i poproś go, by modlił się o powodzenie naszej misji. Chłopcze! – Pstryknął palcami na Rorika, który pospieszył ku niemu. – Daj mi trzy pensy, chłopcze. – Swithun wziął monety i wręczył je Yngvildowi, dokładając srebrnego szylinga z wybitą na nim podobizną króla Edwarda. – Nagroda za twą uprzejmość, ojcze – rzekł protekcjonalnie. – I zapłata za tve modlitwy.

Yngvild pokłonił się nisko i tyłem wycofał z pokładu. W ostatniej chwili nakreślił w powietrzu znak krzyża i pobłogosławił naszą łódź, po czym umknął na swoją łódkę. Wiedziałem jednak, że bladym świtem do Gyruum przez wzgórza pospieszy posłaniec. Konny dotrze tam w mig, nas jednak czekała kilkugodzinna podróż, tak więc Jeremiasz zostanie uprzedzony o trzech dziwnych łodziach u brzegów jego ziem. Jeremiasz mógł, choć nie musiał uwierzyć, że jesteśmy zachodniosaskimi posłańcami w drodze do Szkocji, ale będzie pewien, że jesteśmy chrześcijanami, a to – jak mniemałem – powinno wystarczyć. Rzecz jasna, najbardziej obawiał się, że jesteśmy ludźmi, którzy uszli z życiem z Einarowego najazdu na Dumnoc, że jakimś sposobem pomiarkowaliśmy się, iż Jeremiasz szpiegował w porcie dla Norwega, i szukamy pomsty. Gdyby tak jednak było, po co mielibyśmy zapuszczać się na wody Wiire i uprzedzać o swoim przybyciu? Lecz nie tylko dlatego ryzykowałem rozmowę z Yngvildem. Mogliśmy go odprawić, ale postanowiłem wykorzystać okazję i upewnić się, że Jeremiasz istotnie przebywa w Gyruum. Przykazałem Swithunowi, by nie rozpytywał o to, iloma ludźmi dowodzi Jeremiasz albo czy u ujścia rzeki Tine są jakieś umocnienia. Szalony biskup z pewnością będzie chciał się zorientować, czy zadawaliśmy takie pytania, a wiedziałem, że brak

zainteresowania z naszej strony uspi jego czujność. Oczywiście nadal będzie ostrożny, lecz myśl o podarku z dalekiej Mercji nie da mu spokoju.

– Może się mylę – rzekłem do Finana i swojego syna, którzy po zmroku dołączyli do mnie na pokładzie Eadith. – Może wcale nie jest taki bystry.

– Ale przecież jest bystry, prawda? – zapytał mój syn. – Jeremiasz.

– Tak – przyznałem. – Jest bystry i szczwany jak lis.

– I szalony?

– Szalony, szczwany, chytry i niebezpieczny – powiedziałem.

– Zupełnie jak Ethne, kiedy jest nie w humorze – zauważył Finan.

– Co by zrobił, gdyby trzy łodzie tak po prostu wpłynęły do ujścia Tine? – zastanawiał się na głos mój syn.

– Gdyby miał trochę pomysłu – odparłem – wycofałyby się do fortu.

– Może to zrobić jutro – stwierdził ponuro Uhtred.

– Najważniejsze, że tam jest – odparłem. – A tak twierdzi Yngvild. Lepiej, żeby jutro nie było go w przeklętym forcie. A nawet jeśli będzie? Cóż, i tak dostaniemy to, czego chcemy.

Jutro.

Stary fort w Gyruum znajdował się na przylądku na południe od ujścia rzeki Tine. Od strony morza nie prezentował się imponująco – ot, porośnięty trawą wał na szczycie cypla. Byłem tam jednak, widziałem rów i wał, oba wygładzone przez deszcze i czas, i wciąż niebezpieczne dla każdego, kto poważyłby się je najechać. Z tego, co udało mi się zobaczyć, Jeremiasz nie pobudował palisady, choć widziałem tylko część od strony morza, a każdy najeźdźca niemal na pewno przypuściłby atak od strony lądu.

Był późny ranek, kiedy opływaliśmy przylądek. O świcie opuściliśmy rzekę Wiire i na wiosłach wpłynęliśmy na spokojne wody morza. To wówczas ujrzałem jeźdźca gnającego na północ od strony osady i wiedziałem już, że wkrótce Jeremiasz dowie się o naszym przybyciu. Wiedziałem też, że pośle strażników na trawiasty wał, by patrzyli, czy nasze łodzie płyną na północ, czy zamiast tego wpływają na wody Tine.

My wybraliśmy to drugie. Wiał zmienny wiatr – jak gdyby nie mógł się zdecydować, czy dąć z północy, czy z zachodu – który marszczył powierzchnię wody. Wiosłowaliśmy bez pośpiechu. Gdybyśmy zamierzali zaatakować siedzibę Jeremiasza, napieralibyśmy na wiosła, by jak najszybciej przepłynąć się przez morze. Przywdzialiibyśmy hełmy i kolczugi, a na dziobach łodzi tłoczyliby się ludzie gotowi w każdej chwili wyskoczyć na brzeg. My tymczasem płynęliśmy powoli, bez hełmów i kolczug, a na dziobnicach łodzi miast smoczych łbów widniały chrześcijańskie krzyże. Patrzyłem na fort i z tego, co widziałem, nie był obstawiony ludźmi. Nad trawiastym wałem nie lśniły ostrza włóczy. Było tam kilku zbrojnych, ledwie garstka.

Opłynęliśmy cypel i skierowaliśmy się do rzeki. Gdy zobaczyłem południowy brzeg, poczułem ulgę, albowiem przede mną do wcinającego się w wody Tine nowo pobudowanego nabrzeża przycumowana była zaniedbana łódź Jeremiasza – Matka Boża. Do pomostu przywiązano również tuzin mniejszych łodzi rybackich, a dwie inne wciągnięto na brzeg. Bliżej znajdowała się plaża, na której lata temu odzyskałem wolność, gdy dno szkarłatnej łodzi zachręściło na kamykach, a na dziobie pojawili się moi wybawcy. Mój stryj, ojciec mojego kuzyna, sprzedał mnie w niewolę, wierzył bowiem, że umrę. Ja jednak nie tylko przeżyłem, ale także poznałem niewolnika imieniem Finan i właśnie tam, na tamtej kamienistej

plaży, rozpoczęła się nasza długa droga ku zemście. Teraz modliłem się, by dobiegła ona końca.

Jeremiasz został uprzedzony o naszym przybyciu przez swoich zwiadowców i na plaży czekało na nas czterdziestu–pięćdziesięciu ludzi – zarówno mężczyzn, jak i kobiet – a kolejni schodzili z pobudowanego na wzgórzu starego klasztoru, który szalony biskup uczynił swoim dworem. Swithun, w obszytej futrem pelerynie i ze złotym łańcuchem na szyi, stał na dziobie Eadith i machał ręką z istic lordowską gracją. Ja byłem na rufie, przyłożyłem dłonie do ust i zawołałem do swojego syna, który sterował Stiorrą:

- Wiesz, co robić?
- Tak! – odkrzyknął radośnie.
- Tylko się nie spiesz!

W odpowiedzi uśmiechnął się i nakazał swoim ludziom, by powoli płynęli w górę rzeki. Nie napierali na wiosła, drewniane pióra ledwie muskały wodę, a wszystko po to, by oddalić się od Eadith i Hanny, które płynęły ku kamienistej plaży, wiosłami stawiając opór prądom rzecznyemu i odpływowi. Przez chwilę wyglądało na to, że Stiorra cofa się w naszą stronę, zaraz jednak leniwie ruszyła w górę rzeki, jak gdyby jej załoga nie zamierzała schodzić z pokładu i czekała, aż wszyscy razem wypłyniemy w morze.

Ociągałiśmy się, albowiem wśród czekającej na brzegu cizby wyglądałem Jeremiasza. W końcu na niskim wzgórzu, na którym stał klasztor, pojawiła się wielce osobliwa procesja. Na przedzie szło dwunastu ludzi, których Jeremiasz nazywał swymi uczniami, ci jednak byli odziani w kolczugi i hełmy i uzbrojeni we włócznie i tarcze. Tuż za nimi szła szóstka małych dzieci w białych szatach, które śpiewały i wymachiwały na boki liściastymi gałązkami. Szalony biskup jechał na grzbiecie osła –

zwierzę było tak małe, że stopy Jeremiasza wlokły się po ziemi. Miał na sobie bogato haftowaną szatę, w dłoni trzymał zakończony srebrem biskupi pastorał, a na głowę nasadził mitrę, spod której wystawały długie siwe włosy. Za nim szły trzy niewiasty w szarych szatach zakonnich i z szarymi kapturami na głowach. Słodkie dziecięce głosy niosły się ponad szeptem wiatru i chlupotem fal na kamienistej plaży. Ustąpiłem Gerbruhnowi miejsca przy wiosle sterowym.

– Trzymaj ją tuż przy brzegu – przykazałem mu.

Był dobrym sternikiem i ufałem, że utrzyma Eadith kilka kroków od plaży. Sam tymczasem przykucnąłem na dnie łodzi, podobnie jak trzydziestu moich ludzi. Wszyscy przywdzialiśmy kolczugi, ale żaden z nas nie założył jeszcze hełmu. Tarcze, miecze, topory i włócznie leżały na pokładzie. Ludzie stojący na plaży widzieli nas, ale nie mieli pojęcia, że jesteśmy gotowi do walki. Przypasałem Oddech Węża. Rorik, uśmiechnięty od ucha do ucha, trzymał mój hełm, prawdziwe cacko zwieńczone srebrną figurką wilka gotującego się do skoku.

– Coście za jedni?! – zawołał któryś ze stojących na brzegu mężczyzn. Posługiwał się mową Sasów pewnie dlatego, że posłaniec Yngvilda uprzedził Jeremiasza, kim jesteśmy. Wiadomość najwyraźniej nie wzbudziła niepokoju, bo choć mężczyźni na plaży mieli przy sobie miecze, tylko dwunastu uczniów szalonego biskupa przywdziało kolczugi.

– Jestem Aethelstan z Wessexu – zawołał stojący na dziobie Swithun – i przynoszę pozdrowienia od swego ojca, króla Edwarda z Wessexu, a także od jego siostry Aethelflaed z Mercji!

– Ani kroku bliżej! – krzyknął tamten.

– Pani Aethelflaed przysłała waszemu biskupowi podarek! – ciągnął Swithun. Mówiąc to, podniósł cuchnący kaftan, który owinęliśmy

kawałkiem czystego płótna. – To powijaki Jana Chrzciciela! Wciąż widać na nich plamy jego świętych szczyń!

Rorik przykucnął obok mnie i zaczął się śmiać, więc go uciszyłem.

– Możesz mi je rzucić! – zawołał jego rozmówca. Był należycie ostrożny.

– Zaczekaj! Zaczekaj! – Usłyszeliśmy piskliwy głos Jeremiasza. Biskup zsiadł z osła i szedł ku nam, przemawiając po duńsku, w swej ojczystej mowie. – Nie bądź taki nieuprzejmy dla naszych gości! Podarek winien być należycie przekazany. Lordzie Aethelstanie! – Gdy stanął na skraju plaży, jeszcze niżej pochyliłem głowę.

– Biskupie? – odparł Swithun.

– Wyjdź na brzeg! – Jeremiasz przeszedł na mowę Anglów.

– Chcesz, bym wskoczył do wody?

– Chcę, byś po niej przeszedł, jak zrobił to nasz Pan! Potrafisz chodzić po wodzie?

Swithun, zaskoczony tym pytaniem, zawahał się.

– Oczywiście, że nie! – odkrzyknął w końcu.

– Powinieneś ćwiczyć! – zawołał z przyganą Jeremiasz. – Powinieneś ćwiczyć! Trzeba wiary, niczego więcej, tylko wiary! Podejdź więc trochę bliżej, odrobinę! Możesz zabrać ze sobą tylko sześciu ludzi!

– Zrób to nieudolnie! – syknąłem do Gerbruhta.

Tak jak chciałem, Eadith oddaliła się nieco od brzegu i teraz Gerbruht ryknął na wioślarzy na sterburcie, nakazując im ciągnąć. Była to ostatnia rzecz, jaką powinien był zrobić, bo zamiast powoli osiąść na plaży, łódź obróciła się w stronę rzeki i znoszona przez pływ zaczęła sunąć ku morzu. Gerbruht, udając przerażonego, krzyknął do ludzi, by ciągnęli za wiosła.

– Teraz! Mocno! Ciągnijcie!

Sam zaś przyciągnął wiosło sterowe do siebie i poczułem, że łódź obraca się w stronę plaży.

– Ciągnąć! – grzmiał Gerbruht. – Mocno! Ciągnąć!

Ach, jakże świetnie się spisał.

Tymczasem Finan albo Berg, który był sternikiem na Hannie, pozwolił, by łódź odpłynęła nieco w górę rzeki. Jego ludzie leniwie poruszali wiosłami po to tylko, by oddalić się od nas o jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt kroków. Nagle jednak Hanna zrobiła gwałtowny zwrot, kierując się w stronę plaży.

– Jeszcze raz! – ryknął Gerbruht. – Teraz!

Długie wiosła poruszyły się i dziób Eadith zaszurał na kamykach. Łódź zatrzymała się z szarpnięciem, a odziani w kolczugi wojownicy poderwali się z pokładu, przebiegli między rzędami wioślarzy i poczęli wyskakiwać na brzeg. To samo zrobili ludzie Finana. Dzięki pokazowi naszej nieudolnej sztuki żeglarskiej uwięziliśmy Jeremiasza i jego ludzi między dwoma naszymi oddziałami. Gdy mój syn to zobaczył, skierował Stiorrę ku pomostowi oddalonemu o dobre pół mili w górę rzeki

– Chcę biskupa żywego! – zakrzyknąłem na swoich ludzi. – Żywego!

Zszedłem z łodzi jako jeden z ostatnich. Potknąłem się na płyciźnie i omal nie upadłem, ale Vidarr Leifson, jeden z moich norweskich wojowników, chwycił mnie i podtrzymał. Rorik podał mi hełm. Nie miałem tarczy. Brodząc w wodzie przez ostatnich kilka stóp, dobyłem miecza, choć wątpiłem, by był mi potrzebny. Wkrótce nadejdzie jego czas, ale teraz, tu, na plaży, moi ludzie zrobili dokładnie to, co im przykazałem. Wojownicy Finana byli w górze rzeki za plecami Jeremiasza, a moi w dole, i razem mieliśmy nad nim przewagę. Biskup, gdyby miał trochę rozumu, obróciłby się na pięcie i uciekł. Większość jego ludzi nie miała tarcz ani kolczug, a wśród nich były kobiety i dzieci, które wpadły w panikę i przerażone

poczęły krzyczeć. Tymczasem Jeremiasz patrzył na nas z rozdziawioną gębą, w końcu potrząsnął pastorałem ku niebiosom i wrzasnął:

– Ukarz ich, Panie! Ukarz ich!

Trzech jego uczniów błędnie poczytało modlitwę za rozkaz i rzuciło się na nas, lecz moi ludzie byli gotowi do walki i aż się palili do zabijania, tak więc chwilę później dał się słyszeć szczeł krzyżowanych ostrzy. Na każdego z wojowników Jeremiasza przypadało co najmniej dwóch moich i patrzyłem, jak klingi zatrzymują pchnięcia włócznią, jak przeszywają brzuchy i wbijają się w szyje, słyszałem wściekły ryk swoich ludzi, gdy bezwzględnie rozprawili się z napastnikami, i zawodzenie kobiet, które widziały, jak ich mężowie konają na plaży.

Kilku mężczyzn, nieco roztropniejszych od tych, którzy właśnie rozstali się z życiem, rzuciło się do ucieczki na wzgórze, lecz ludzie Finana wdrapali się na trawiasty wał i zastąpili im drogę. Wszystko to rozegrało się błyskawicznie. Ciała trzech mężczyzn leżały zaszlachtowane na skrwawionej plaży, podczas gdy reszta zbiła się w gromadę wokół Jeremiasza, który padł na kolana i krzyczał do swego boga:

– Ześlij święte anioły, Panie! – błagał. – Obroń Swe sługi! Wyrwij języki wrogom i oślep ich! Pomścij nas, Panie, pomścij i ocal nas!

Tymczasem jego ludzie opuszczali broń. Niektórzy, idąc za jego przykładem, padli na kolana, lecz nie po to, by się modlić, ale na znak poddania.

Spojrzałem w górę rzeki i zobaczyłem, że ludzie mojego syna wchodzą na pokład Matki Bożej. Podejrzewałem, że zajęcie biskupiej łodzi było ważniejsze niż ucapienie samego Jeremiasza, który pojął, iż został oszukany, i zaczął błagać niebiososa o posiłki.

– Niech robaki przeżrą im trzewia, Panie – skrzeczał. – Niech ich pęcherze zmieniają się w kłębowisko larw! Spójrz na ich obmierzłe gęby,

Panie, i ukarż ich! Ześlij jasne anioły, by nas pomściły! Niech ich ciała zgniją, a kości obrócą się w popiół! Miej litość, Panie! Miej litość!

Podszedłem do niego, chrzęszcząc butami na kamińkach. Żaden z jego ludzi nie próbował mnie zatrzymać.

– Niech spłoną w ogniu piekielnym, Panie! Niech się potopią w cuchnących diabelskich gównach! – Powieki miał zaciśnięte, twarz zwróconą ku niebu. – Niech szatan narzyga im do gardeł i nakarmi ich ścierwem swoje piekielne ogary! Ześlij na nich gniew Boży, Panie! Ukarż ich! Błagam Cię w imię Ojca i Syna, i...

– ... i tego trzeciego – dokończyłem za niego i czubkiem Oddechu Węża poklepałem go po ramieniu. – Witaj, Jeremiaszu.

Otworzył niebieskie oczy, spojrział na mnie z wahaniem, po czym uśmiechnął się słodko niczym dziecicę.

– Witaj, panie. Jak miło, żeś postanowił mnie odwiedzić.

– Przyszedłem się z tobą rozmówić.

– Ach tak! – Wydawał się uradowany. – Uwielbiam słowa, panie. Uwielbiam! A ty, panie?

– Ja również – odparłem i musnąłem ostrzem miecza jego wychudły policzek. – A dziś moje ulubione słowo to *banahogg*. – Znaczyło ono „śmiertelny cios”. By je podkreślić, szturchnąłem jego twarz Oddechem Węża.

– To piękne norweskie słowo, panie – zapewnił mnie. – Bardzo piękne, lecz ze wszystkich norweskich słów najbardziej lubię *tilskipan*. Myślisz, panie, że uda nam się dojść do *tilskipan*?

– Po to tu przybyłem – odparłem. – By dojść z tobą do porozumienia. A teraz wstawaj.

Przyszedł czas na rozmowy.

– Nie, panie, nie! Nie! Nie! – zawodził Jeremiasz. Łzy skapywały z jego niebieskich oczu, toczyły się po pożłobionych głębokimi zmarszczkami policzkach i wsiąkały w krótką brodę. – Nie! Błagam, nie! – Ostatnie „nie” brzmiało jak krzyk rozpacz. Biskup klęczał na podłodze, ręce złożył jak do modlitwy i szlochał, patrząc na mnie.

W mrocznym wnętrzu kościoła zapłonął jasny ogień. Płomienie rozbłysły na chwilę, po czym przygasły.

– Mówiłeś, że co to było? – spytałem.

– Łyżka Jakuba, panie.

– Teraz został z niej tylko popiół – zauważyłem radośnie.

– Tą łyżką Jakub mieszał Ezawowi zupę – wyłuszczył Jeremiasz, łkając.

Prosta łyżka z drewna bukowego była teraz kupką białego popiołu pośród rozżarzonych węgli, którymi ogrzewano wnętrze katedry. Światło dawały też świece stojące na ołtarzu, lecz za oknami panowała ciemna, głęboka noc. Budynek, który Jeremiasz uparcie nazywał katedrą, był w istocie kamiennym kościołem zbudowanym dawno temu, zanim mój dziad przyszedł na świat. Niegdyś był dla chrześcijan ważnym miejscem, lecz przyszli Duńczycy, wyrznęli mnichów, a kościół popadał w ruinę do czasu, gdy oddano go w ręce Jeremiasza. Wówczas nosił imię Dagfinnr i należał do straży przybocznej Ragnara Młodszeo, lecz pewnego ranka pojawił się nagi we dworze w Dunholmie, ogłosił, że jest synem chrześcijańskiego boga, i przyjął imię Jeremiasz. Zażądał, by Ragnar, poganin, oddał mu cześć. Brida, kobieta Ragnara, która z całego serca nienawidziła chrześcijan, upierała się, by Dagfinnr został stracony, lecz Ragnar, pomny jego wieloletniej służby, ulitował się nad nieszczęśnikiem i zamiast tego odesłał go wraz z rodziną do ruin klasztoru, licząc zapewne, że ten długo nie pożyje. Tymczasem Dagfinnr przeżył, a ludzie bez ziemi,

banici i bezpańscy wojownicy ściągali do niego i przysięgali mu wierność, tak więc teraz to on rządził Gyruum i należącymi do niego ziemiami. Chodziły słuchy, że wkrótce po przybyciu do zrujnowanego klasztoru Jeremiasz wykopał studnię, lecz miast wody znalazł w niej srebro zakopane dawno temu przez mnichów z Gyruum. Nie wiedziałem, czy była to prawda, lecz musiało mu się powodzić, skoro zakupił Matkę Bożą i kilka mniejszych łodzi, które wypływały w morze, by łowić śledzie, dorsze, łupacze, łososie, molwy i morszczuki, potem wędzone lub zasalane i sprzedawane na całym wybrzeżu. Brida, która rządziła Northumbrią po śmierci Ragnara, zostawiła Jeremiasza w spokoju, może dlatego, że dostrzegła w nim odbicie własnego szaleństwa, albo raczej dlatego, że rozbawiło ją, iż prawdziwych chrześcijan oburzały jego niedorzeczne żądania.

Stary kościół, teraz odnowiony i pokryty prymitywną strzechą, pełny był małych drewnianych skrzynek, w których spoczywały skarby Jeremiasza. Do tej pory spaliłem łyżkę Jakuba, pukiel włosów z brody Elizeusza, źdźbło siana z Chrystusowego żłóbka, liść figowy zakrywający lewą pierś Ewy i rozwidlony badyl, którym Święty Patryk schwytał ostatniego węża w Irlandii.

– A to co? – spytałem, otwierając kolejne pudełko.

– Nie, panie, tylko nie to! Wszystko, tylko nie to!

Zajrzałem do pudełka i zobaczyłem wyschnięte świńskie ucho.

– Co to?

– Ucho sługi najwyższego kapłana – odparł szlochający Jeremiasz. – Święty Piotr odciął je w ogrodzie Getsemani.

– To świńskie ucho, ty głupcze!

– Nie! To ucho uleczone przez naszego Pana! Chrystus go dotknął! Uzdrowił tego sługę!

– Jak więc trafiło tutaj? Do tego pudełka?

– Odpadło kolejny raz, panie.

Zbliżyłem wyschnięte ucho do paleniska.

– Okłamałeś mnie, Jeremiaszu.

– Nie! – zawodził.

– Okłamałeś mnie – powtórzyłem. – Wszystko, co mówiłeś, było kłamstwem. Widziałem cię w Dumnocu.

Jeremiasz nagle przestał szlochać, a po jego twarzy przemknął szelmowski uśmiech. Jego nastroje zmieniały się gwałtownie niczym pogoda, może dlatego, że był szalony.

– Wiedziałem, że to ty, panie – rzekł chytrze.

– Nie odezwałeś się, kiedy mnie zobaczyłeś.

– Zobaczyłem twoją twarz, ale w tamtym momencie nie byłem pewien, więc modliłem się, panie. Bóg zwlekał z odpowiedzią, w końcu mi jej udzielił, a gdy przekazałem lordowi Aethelhelmowi słowa Pana, pomyślał, że jestem szalony.

– Mimo wszystko posłał ludzi, by mnie odszukali – rzuciłem rozeźlony.

– Tak? – Jeremiasz najwyraźniej o niczym nie wiedział.

– Bo powiedziałaś mu, że tam byłem – dodałem, czując, jak wzbiera we mnie złość. – Jestem twoim panem, a ty mnie zdradziłaś!

– Modliłem się do Boga, żeby cię chronił.

– Ty kłamliwa gnido!

– Bóg jest moim ojcem, słucha mnie! Modliłem się!

– Powinienem poderżnąć ci gardło – warknąłem, a on zaskomlał. – Powiedziałaś Aethelhelmowi o swoich podejrzeniach, żeby mu się przypodobać. Tak?

– Jesteś poganinem, panie! Myślałem, że wypełniam wolę swojego Ojca!

– Zdradzając mnie.

– Tak, panie – wyszeptał. – Jesteś poganinem, panie – powtórzył, marszcząc brwi. – Wypełniałem tylko wolę Ojca.

– A nazajutrz – odparłem – widziałem Matkę Bożą ze statkami Einara. Po czyjej więc jesteś stronie?

– Mówiłem, panie, wykonuję wolę Bożą i czynię pokój! Błogosławieni niech będą ci, którzy czynią pokój, albowiem to oni zostaną nazwani dziećmi Bożymi! Tak mi powiedział sam arcybiskup, panie! To słowa Hrothwearda! Nie! – zawył zrozpaczony, gdy upuściłem do ognia wysuszone świńskie ucho. Ogień zasyczał, zapachniało boczkiem, a Jeremiasz znów się rozszłochał. – Arcybiskup powiedział, że muszę zaprowadzić pokój!

– Zabij łajdaka – warknął stojący pośród cieni Finan.

– Nie! – Jeremiasz, powłócząc nogami, cofnął się w stronę ołtarza. – Nie, nie, nie.

– Lord Aethelhelm – ciągnąłem – który powitał cię w Dumnocu, sprzymierzył się z moim kuzynem. Ale jarl Einar, który powitał ciebie i twoją łódź, kiedy popłynął na północ od Dumnocu, służy teraz Konstantynowi. Obaj myślą, że mają w tobie sprzymierzeńca.

– Błogosławieni ci, którzy czynią pokój – mruknął Jeremiasz.

– Mam niewiele czasu – rzekłem. – Tylko tę jedną noc. Ale to wystarczy, by puścić to wszystko z dymem.

– Nie, panie!

– Pozwól mi z nim porozmawiać – syknął Finan.

Jeremiasz zerknął na niego i zadrżał.

– Nie lubię tego człowieka, panie.

– To chrześcijanin – odparłem – powinieneś go lubić.

– Niech Bóg cię błogosławi, synu. – Jeremiasz nakreślił w powietrzu znak krzyża. – I tak go nie lubię, panie. To straszny człowiek.

– Rzeczywiście, jest straszny – zgodziłem się – ale może wyciągnie z ciebie prawdę.

– Mówiłem, panie! Błogosławieni ci, którzy czynią pokój!

Spojrzałem na niego. Czy naprawdę był szalony? Chwilami to, co mówił, miało sens, a bywały chwile, że jego umysł odpływał do miejsca, w którym był tylko on i jego bóg. Rozpacz Jeremiasza, gdy paliłem relikwie, wydawała się autentyczna, a jego strach nie był udawany, lecz wciąż kłamał jak najęty. Finan chciał wydusić z niego prawdę, podejrzewałem jednak, że Jeremiasz chętnie zostałby męczennikiem. A jeśli siłą wyciągasz prawdę z człowieka, nigdy nie wiesz, czy rzeczywiście jest to prawda, albowiem człowiek przerażony mówi to, co chce usłyszeć jego oprawca. Chciałem usłyszeć prawdę, ale nagle zacząłem się zastanawiać, czego chce Jeremiasz. I dlaczego napomknął o arcybiskupie. Pamiętam, jak mówiono, że udał się do Eoferwicu i rozmawiał z nowym arcybiskupem Hrothwardem, więc może w jego paplaninie o pokoju było ziarno prawdy.

Podszedłem do niego, a on skulił się i począł gwałtownie wciągać powietrze.

– Nie zrobię tego... – zaczął, ale reszta jego słów utonęła w żalonym zawodzeniu.

– Czego nie zrobisz? – spytałem.

– Nie powiem ci! – odwarknął. – Nie jesteś człowiekiem, który czyni pokój! Jesteś poganinem! Jesteś Uhtredaerwe! – Był to przydomek nadany mi przez chrześcijan i znaczył Uhtred Niegodziwy. – Czczysz bożków i figurki z brązu! Budzisz odrazę w moim Ojcu Niebieskim! Prędzej umrę,

niż ci powiem! – Zamknął oczy i zadarł głowę, kierując twarz ku spowitym dymem krokwiom. – Zabierz mnie, o Panie! – zawołał. – Weź w ramiona Swojego cierpiącego sługę. Zabierz mnie! Zabierz! Zabierz!

Przykucnąłem naprzeciw niego, pochyliłem się do przodu i szepnąłem mu do ucha:

– Dobra robota.

Przestał się modlić, otworzył oczy i spojrzał na mnie. Przez moment wyglądał na bardziej przerażonego, niż kiedy mówiłem podniesionym głosem.

– Dobra robota? – powtórzył piskliwie.

– Arcybiskup chciał, bym przekonał się, czy potrafisz dochować tajemnicy – odparłem szeptem.

– Rozmawiałeś z... – zaczął, zamilkł jednak, gdy przyłożyłem palec do ust.

– Finan nie może usłyszeć – dodałem. – Nie można mu ufać.

Jeremiasz ochoczo pokiwał głową.

– Wygląda na zdrajcę, panie. Nie można ufać małym ludziom.

– A do tego jest Irlandczykiem – rzekłem.

– Ach! No tak! Tak, panie!

– Musi wierzyć, że cię nienawidzę – ciągnąłem – ale jestem tu z polecenia arcybiskupa. Obiecał, że odbuduje wszystko, co spaliłem. Obiecał.

– Ale... – zaczął. Ściągnął brwi i spojrzał na młot, który nosiłem zawieszony na łańcuchu na szyi. – Nie jesteś chrześcijaninem, panie!

– Ćśśś! – szepnąłem i znów przyłożyłem palec do ust. Zerknąłem na Finana i jeszcze bardziej zniżyłem głos. – Patrz!

Podniosłem rękojeść Oddechu Węża z wprawionym w głowicę srebrnym krzyżem. Dostałem go lata temu od Hild, która mieszkała w klasztorze w Wintanceasterze, którą miłowałem i która niegdyś była moją kochanką. Wprawilem krzyż w głowicę z sentymentu, lecz teraz przysłużył mi się, albowiem Jeremiasz wpatrywał się w niego jak urzeczony. Blask płomieni odbijał się w srebrze.

– Ale... – zaczął znowu.

– Czasami dzieło Chrystusa należy wykonywać potajemnie – szepnąłem. – Powiedz, Jeremiaszu, czy chrześcijanie wygrywają wojny w Brytanii.

– Tak, panie – odparł z entuzjazmem. – Bogu niech będą dzięki, z każdym rokiem królestwo Boże sięga coraz dalej na północ. Pokonujemy pogan! Boże armie oczyszczają ziemię z wszelkiego plugastwa!

– A kto stał na czele tych chrześcijańskich armii?

Zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu odpowiedział ściszym, zdumionym głosem:

– Ty, panie.

– Właśnie – odrzekłem. Była to prawda, choć dowodziłem nimi tylko dlatego, że przysięgałem Aethelflaed. Zawahałem się. Mój plan działał, moje słowa wyraźnie pokrzepiły i uspokoiły Jeremiasza, teraz jednak musiałem zaryzykować i jeśli się myliłem, mogłem stracić jego zaufanie. – Arcybiskup – szepnąłem – powiedział mi o Lindisfarenie.

– Tak! – Widząc jego podniecenie, odetchnąłem z ulgą. A zatem moje domysły były słuszne.

– Chce uczynić z niej wyspę modlitwy – ciągnąłem, mając w pamięci słowa Hrothwearda.

– Tak mi powiedział! – przyznał Jeremiasz.

– Chce, abys przywrócił klasztorowi jego dawną chwałę – rzekłem.

– Tak trzeba! – potwierdził z przekonaniem. – To ważne miejsce, panie, znacznie ważniejsze niż Gyruum! Modlitwy odmówione na Lindisfarenie docierają do uszu Boga! Nie świętych, panie, lecz samego Boga! Mając Lindisfarenę, zdziałam cuda!

Znowu go uciszyłem. Przyszedł czas na kolejny domysł, ten jednak był łatwiejszy.

– Mój kuzyn – zacząłem – obiecał ci wyspę?

– Tak, panie.

Wiedziałem, że arcybiskup Hrothweard, człowiek rozsądny i obowiązkowy, nigdy nie obiecałby Lindisfareny Jeremiaszowi. Wyspa i znajdujący się na niej zrujnowany klasztor były dla chrześcijan miejscem świętym, albowiem tam żył i nauczał Święty Kutbert. Mój kuzyn nie odbudował klasztoru, który oglądał codziennie z murów Bebbanburga, bał się bowiem, że nowe opactwo i jego zabudowania przyciągną Duńczyków albo Norwegów. Teraz jednak, kiedy siedział obleżony w twierdzy, potrzebował łodzi, które dostarczałyby mu zapasów, a niewielka flota Jeremiasza cumowała tuż na południe od Bebbanburga, tak więc obietnica Lindisfareny była łatwym sposobem, by pozyskać pomoc szalonego biskupa.

– Co dokładnie obiecał ci mój kuzyn? – zapytałem. – Że pomoże ci odbudować klasztor?

– Tak, panie – odparł podekscytowany. – Obiecał, że uczynimy Lindisfarenę wielką jak nigdy dotąd!

Usłyszawszy to, pokręciłem ze smutkiem głową.

– Arcybiskup dowiedział się – wyszeptalem – że mój kuzyn obiecał Lindisfarenę również czarnym mnichom.

– Benedyktynom! – Jeremiasz był przerażony.

– Oni bowiem sprowadzili chrześcijaństwo między Sasów – wyjaśniłem. – A tobie nie ufa, bo jesteś Duńczykiem.

– W oczach Pana nie jesteśmy ani Duńczykami, ani Sasami! – oburzył się Jeremiasz.

– Wiem o tym – odparłem – tak jak ty, ale mój kuzyn nienawidzi Duńczyków. Wykorzystuje cię. Chce, byś przywiózł mu zapasy, a później cię zdradzi! Czarni mnisi czekają już w Contwaraburgu, a gdy Szkoci odpłyną, przybędą na północ.

– Bóg na to nie pozwoli! – zaprotestował Jeremiasz.

– I dlatego przysłał mnie – szepnąłem.

Spojrzał mi w oczy, a gdy ja zajrzałem w jego, zobaczyłem w nich powątpiewanie.

– Ale lord Aethelhelm... – zaczął.

– Obiecał złoto czarnym mnichom – przerwałem mu. – Myślałem, że wiesz. Myślałem, że dlatego pomogłeś Einarowi go zaatakować!

Pokręcił głową.

– Lord Uhtred – rzekł, mając na myśli mojego kuzyna – potrzebował zapasów, bo w jego spichlerzu wybuchł pożar. Obawiał się jednak, że pan Aethelhelm zabiera ze sobą tak wielu zbrojnych, bo sam zamierza zdobyć fortecę.

– Myślałem, że mój kuzyn zamierza poślubić córkę Aethelhelma.

– Bo to prawda, panie. – Zachichotał i otworzył szerzej oczy. – To piękne dziewczę. Młode i dojrzałe! Byłaby pocieszeniem dla twojego kuzyna.

Zastanawiałem się, o jakim pocieszeniu mówi. Czy miała go pocieszyć po tym, jak mój kuzyn utraci Bebbanburg na rzecz ludzi Aethelhelma?

– A zatem Aethelhelm pozwoli mojemu kuzynowi zatrzymać Bebbanburg, ale obsadzi twierdzę własnymi ludźmi? – zgadywałem.

– Całą armią, panie! Gotową zmiażdżyć poganina!

Jego słowa miały sens. Gdyby Bebbanburg wpadł w łapy Aethelhelma, saskie armie otaczałyby Sigtryggra od południa i północy. Mój kuzyn sprytnie uniknął wikłania się w jakąkolwiek wojnę między Sasami a Duńczykami, lecz w zamian Aethelhelm chciał wykorzystać Bebbanburg do upadku Northumbrii.

– A mój kuzyn nie chciał armii Aethelhelma w swojej fortecy? – spytałem.

– I wciąż nie chce! Niewielki oddział tak, ale nie całą armię!

– Obiecałeś więc, że osłabisz flotę lorda Aethelhelma?

Zawahał się. Wyczuwałem, że chce mnie oszukać, warknąłem więc, aż wzdrygnął się zaskoczony.

– Szkoci i tak zamierzali to zrobić, panie – przyznał pospiesznie.

– Wiedziałaś o tym? – spytałem, na co skwapliwie pokiwał głową. – I co myśli twój bóg o twoich rozmowach z królem Konstantynem? – dodałem.

– Panie?! – oburzył się. – Nie rozmawiałem z nim!

– Rozmawiałeś – rzuciłem oskarżycielsko. – Jak inaczej zmówiłbyś się z nimi, że poprowadzisz ich flotę do Dumnocu? Rozmawiałeś z obiema stronami. Z moim kuzynem i Konstantynem.

– Nie z królem Konstantynem, panie. Przysięgam na łono błogosławionej Dziewicy.

– A więc rozmawiałeś z lordem Domnallem.

Po chwili wahania pokiwał głową.

– Tak – wyznał szeptem.

– Doszliście do porozumienia – rzekłem. – *Tilskipan*.

– Tak, panie.

– Chciałeś gwarancji – ciągnąłem, przemawiając do niego łagodnym głosem. – Mój kuzyn obiecał ci klasztor, jeśli mu pomożesz. Co jednak, gdyby przegrał? Musiało cię to trapić.

– Tak, panie! Modliłem się!

– I bóg kazał ci układać się ze Szkotami?

– Tak, panie.

– A oni w zamian za twoją pomoc obiecali ci klasztor?

– Tak, panie.

– I szpiegowaliście dla nich w Dumnocu?

Znowu pokiwał głową.

– Tak, panie.

– Czemu zatem nie brałeś udziału w ataku? Czemu nie walczyłeś u boku ludzi Einara?

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Jestem człowiekiem, który czyni pokój, panie! Błogosławieni ci, którzy czynią pokój! Powiedziałem lordowi Domnallowi, że nie mogę dzierżyć miecza, jestem biskupem! Pomógłbym Szkotom, panie, ale nie będę dla nich zabijał. Boże broń!

– A gdybyś walczył u boku statków Einara, lord Aethelhelm wiedziałby, że zdradziłeś mojego kuzyna – zgadywałem.

– To prawda, panie – przyznał.

Pomyślałem, że jeśli Jeremiasz jest szalony, to tylko trochę, przede wszystkim był szczerwany i podstępny niczym wąż. Przekonał zarówno Szkotów, jak i mojego kuzyna, że jest ich sojusznikiem, a wszystko po to,

by mógł wybudować na Lindisfarenie nowy klasztor bez względu na to, kto zwycięży.

– Naprawdę wierzysz, że mój kuzyn dotrzyma obietnicy? – zapytałem go. – Albo że Szkoci pozwolą ci wybudować klasztor na swojej ziemi? Nie możesz ufać ani jednemu, ani drugiemu.

Spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

– Bóg chce, żebym go wybudował, panie! Mówi do mnie! Domaga się tego! Oczekuje, że to zrobię!

– A zatem musisz go wybudować – odparłem ze współczuciem. – Arcybiskup to rozumie! I dlatego przesłał ci wiadomość.

– Wiadomość? – spytał żarliwie.

– Przesłała ci swoje błogosławieństwo i zapewnia, że codziennie będzie się modlił o to, by ci się udało. Obiecuje, że będzie wspierał twoją pracę na Lindisfarenie i pośle ci skarby, całe mnóstwo skarbów! Ale tylko jeśli mi pomożesz. – Ująłem go za rękę i położyłem ją na srebrnym krzyżu wprawionym w rękojeść Oddechu Węża. – Klnę się na mą duszę, że to, co mówię, jest prawdą, i przysięgam, że kiedy zostanę panem Bebbanburga, uczynię cię opatem, biskupem i władcą Lindisfareny. – Przycisnąłem jego dłoń do głowicy miecza. – Przysięgam na imię ojca...

– Mojego Ojca – przerwał mi pośpiesznie.

– Na imię twojego Ojca i twojego brata, i...

– Tego trzeciego – znowu wszedł mi w słowo. – Nie można wypowiadać jego imienia – rzekł z niepokojem – bo budzi ono zazdrość Pana. Tak mi powiedział.

– Zazdrość?

Żarliwie pokiwał głową.

– Widzisz, panie, tamten jest święty – wyłuszczył, podkreślając słowo „święty” – a przecież mój Ojciec i brat powinni być święci, nawet świętsi.

A nie są. To bardzo niesprawiedliwe!

– Bardzo niesprawiedliwe – odparłem uspokajająco.

– Dlatego Ojciec prosił mnie, bym nie wymawiał imienia tego trzeciego. Nigdy.

– Powie ci też, że możesz mi zaufać – rzekłem.

Przez chwilę pomyślałem, że za bardzo się zagalopowałem, albowiem Jeremiasz nie odpowiedział, lecz tylko spojrzał na mnie wilkiem. Chwilę później zacisnął powieki i mruknął coś pod nosem. Urwał, jak gdyby nasłuchiwał, pokiwał głową, znowu coś bąknął, aż w końcu otworzył oczy i spojrzał na mnie z niekłamana radością.

– Właśnie Go zapytałem, panie, i mówi, że mogę ci zaufać! Chwalmy Pana!

– O tak, chwalmy pana! – powtórzyłem, nadal trzymając go za rękę. – A teraz powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć.

I tam, w starym kościele w Gyruum, w przesyconą zapachem dymu noc, zrobił to, o co go prosiłem.

CZĘŚĆ CZWARTA
**POWRÓT DO
BEBBANBURGA**

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Trzeba było poderżnąć mu to jego przekłete gardło – warknął Finan wczesnym rankiem albo raczej późną nocą, albowiem obudziłem swoich ludzi tuż przed świtem, kiedy świat spowijają najgłębsze ciemności.

Ogniska, na których wędzono ryby, strzeliły płomieniami, gdy dołożyli do nich drewna wyrzuconego przez morze, i w blasku ognia, brodząc w wodzie, wnosili na nasze łodzie kolczugi, hełmy i broń. Z czasem na wzgórzu zapłonęły kolejne ognie, otaczając salę biesiadną, w której uwięziłem wszystkich wojowników Jeremiasza, a także kobiety i dzieci. Siedmiu moich strażników pilnowało dworu, a dwaj kolejni trzymali pieczę nad Jeremiaszem, który błagał, bym pozwolił mu spędzić noc w pełnej relikwii katedrze.

– Będę się modlił, panie – zarzekał się. – Będę się modlił za twoją pomyślność.

– Będzie się modlił! – prychnął Finan. – Trzeba było pozwolić mi poderżnąć mu gardło.

– Nie jest zły, tylko szalony.

– Jest przebiegły i chytry, sam tak mówiłeś.

– Wierzy w cuda – odparłem.

Jakimś sposobem Duńczyk Dagfinnr usłyszał o chrześcijańskich cudach i wmówił sobie, że ukrzyżowany bóg da mu moc czynienia takowych, jeśli tylko zgromadzi dostatecznie dużo relikwii. I tak oto narodził się Jeremiasz. Wierzył, że nie jest w stanie przemieniać wody w wino morwowe ani

leczyć ślepoty, albowiem nie jest panem Lindisfareny. „To potężne miejsce! – rzekł mi z rozbijającą szczerością. – To wyspa, na której niebo dotyka ziemi! Święte miejsce”.

– Chce więc pobudować na Lindisfarenie nową katedrę i władać całą Brytanią – objaśniłem Finanowi.

– Król Jeremiasz? – zapytał pogardliwie.

– Nie król Jeremiasz – odparłem – lecz papież Jeremiasz. A swe królestwo chce nazwać królestwem niebieskim. Wierzy, że wszyscy będą żyć w pokoju, nie będzie chorób, ubóstwa, a zbiory zawsze będą obfite. – Kiedy Jeremiasz już mi zaufał, podekscytowany opowiedział mi o swych ambicjach, a słowa wylewały się z jego ust wartkim strumieniem. – Nie będzie lordów – ciągnąłem – ani fortec, lew będzie pokładał się z barankiem, miecze zostaną przekute na lemiesze, chwasty zostaną wyplenione, a mężczyzna będzie mógł mieć tyle żon, ile zapragnie.

– Słodki Chryste, to wszystko?

– Bóg powiedział mi, że cuda zaczną się na Lindisfarenie, więc tam zamierza pobudować nowe Jeruzalem. Chce przemianować Lindisfarenę i nazwać ją Błogosławioną Wyspą.

– Tak błogosławioną jak moja rzyć – mruknął Finan.

– Mnie zaś uczyni świętym protektorem tej Błogosławionej Wyspy.

– Po co mu protektor, skoro wszyscy będą żyli w pokoju?

– Twierdzi, że diabeł będzie czaił się niczym lew, czekając, by pożreć swą ofiarę.

– Myślałem, że lew będzie pokładał się z barankiem. A w ogóle czym jest lew?

– To diabeł w przebraniu.

Finan roześmiał się i pokręcił głową.

– A ty obiecałeś, że dasz temu idiocie ruiny klasztoru?

– Nie mogę, bo należą do kościoła, ale mogę mu dać ziemię na wyspie. A jeśli zagarnie również ziemię, na której stoi klasztor? Nie będę go zatrzymywał.

– Kościołowi się to nie spodoba.

– Szczam na to, co podoba się Kościołowi, a co nie – odparłem zgryźliwie. – A Jeremiasz jest nieszkodliwy.

– Zdradzi cię – rzekł Finan. – Tak jak zdradził innych.

Nie wiedzieć czemu pałał niechęcią do Jeremiasza i była to wzajemna niechęć. Zastanawiałem się, czy to dlatego, że gorszyły go urojenia szalonego biskupa. Zgadywałem, że niektórzy chrześcijanie mogli myśleć, że Jeremiasz z nich kpi, ja jednak nie byłem taki pewny. Wierzyłem mu, nawet jeśli był obłąkany. Tymczasem Finan chciał tylko poderżnąć mu gardło.

Ja jednak nie miałem zamiaru podrzynać mu ani gardła, ani niczego innego. Polubiłem Jeremiasza. Był szalony i mylił się, ale był także podstępny, co udowodnił, układając się z Aethelhelmem, ze Szkotami i z moim kuzynem, a wszystko po to, by doprowadzić do stworzenia cudownego królestwa. Jeremiasz wierzył, że ukrzyżowany bóg trzyma jego stronę, a ja nie miałem zamiaru obrażać tego boga ani żadnego innego. Nie w dniu bitwy, o której marzyłem całe swoje życie. Dlatego obiecałem mu ziemię na Lindisfarenie i pozwoliłem, by mnie pobłogosławił. Przyłożył mi do głowy wychudłe dłonie, wypraszając u ukrzyżowanego boga zwycięstwo dla mnie. Zaproponował nawet, że wyruszy z nami.

– Mogę przyzwać aniołów mojego Ojca, by walczyli po waszej stronie – obiecał.

Przekonałem go jednak, że jego modlitwy będą równie skuteczne, jeśli odmówi je w swojej katedrze.

– Możesz darować mu życie – rzekł niechętnie Finan – ale nie zostawiaj go tutaj!

– Co może zrobić?

– Odpłyniesz i tak po prostu go zostawisz?

– A co jeszcze mam uczynić?

– Nie ufam łajdakowi.

– Co może zrobić? – powtórzyłem. – Nie ostrzeże Bebbanburga, że nadciągamy. Żeby to zrobić, potrzebowałyby szybkiej łodzi, a nie ma żadnych łodzi.

– Potrafi czynić cuda. Może więc umie latać?

– To biedny, niewinny głupek – rzekłem i posłałem Swithuna, by wezwał wszystkich strażników, którzy w starym klasztorze pilnowali Jeremiasza i jego ludzi. Musieliśmy wyruszać.

Jeremiasz w istocie był biednym, niewinnym głupkiem, lecz czy ja sam nie byłem równie głupi? Z garstką ludzi wyprawiałem się, by zdobyć fortecę nie do zdobycia, w której czekali ludzie mojego kuzyna, Einar Biały i Szkoci.

Płynęliśmy na północ.

Cztery łodzie. Eadith, Hanna, Stiorra i Matka Boża opuściły Gyruum pod osłoną nocy. Ster Eadith przekazałem Gerbruhtowi i płynąłem teraz na Matce Bożej. Na wiosłach płynęliśmy w stronę morza, a dźwięk piór rozchlapujących wodę był najgłośniejszym dźwiękiem tej spokojnej nocy. Przy każdym zanurzeniu wiosła mąciły czarne wody rzeki usiane miriadami lśniących świateł, a wynurzając się, ociekały świetlistymi drobinkami, które wyglądały jak klejnoty bogini Ran. Ja zaś dopatrywałem się w ich lśnieniu jej błogosławieństwa. Nad rzeką tu i ówdzie unosiły się smużki mgły, lecz

przez cienką warstwę chmur przeświecało dość księżycowego światła, byśmy widzieli ciemne brzegi Tine.

Wyłączyliśmy na leniwych wodach odpływu, kiedy jednak zbliżyliśmy się do morza, poziom wody zaczął gwałtownie rosnąć. Przez chwilę płynęliśmy pod prąd, ale gdy minęliśmy przylądek, skręciliśmy na północ niesieni przyływem. Później tego samego dnia czekała nas walka z prądami morskimi, lecz miałem nadzieję, że do tego czasu wiatr wypełni nasze żagle.

Gdy jednak opuściliśmy rzekę, wiatru nie było. Była tylko cisza nocy, pośród której na wiosłach sunęły wolno niczym duchy cztery łodzie. W miarę jak zostawialiśmy za sobą chmury na zachodzie, niebo nad naszymi głowami zaroilo się od gwiazd. Mieliśmy gwiazdy w górze i klejnoty Ran w dole na spokojnych wodach morza. Tyle że morze nigdy nie bywa spokojne. Jezioro może wydawać się gładkie niczym lód, lecz morze pozostaje w ciągłym ruchu. Oddycha, unosi się i opada, rzadko jednak widziałem, by było tak spokojne jak tamtej gwiazdzistej, cichej nocy. Zupełnie jakby bogowie wstrzymali oddech. Nawet moi ludzie zamilkli. Załogi zwykle śpiewają albo chociaż narzekają, lecz tej nocy nikt nie śpiewał ani się nie odzywał, a Matka Boża zdawała się sunąć przez ciemną pustkę niczym Skidbladnir – łódź bogów płynąca bezgłośnie pośród gwiazd.

Spojrzałem za siebie, gdy ukryty prąd morski niósł nas na północ. Wyglądałem ognia na brzegach Tine. Podejrzywałem, że Konstantyn albo Domnall wystawili strażę na północnym brzegu rzeki, by wypatrywały łodzi Jeremiasza. Jeśli na brzegu istotnie byli szkoccy zwiadowcy, nie mogli dotrzeć do Bebbanburga przed nami, mogli jednak rozpalić ogniska. Wyteżałem wzrok, ale niczego nie zobaczyłem. Miałem nadzieję, że Szkoci, którzy zajmowali południowe ziemie Bebbanburga, wycofali się,

albowiem siły Sigtryggra powinny już były przekroczyć mur. Obiecał mi, że powiedzie na północ co najmniej stu pięćdziesięciu zbrojnych, uprzedził jednak, że nie chce toczyć walki pozycyjnej z ludźmi Domnalla. Byłaby zaproszeniem do rzezi, a Sigtryggr potrzebował każdego miecza do nadciągającego saskiego najazdu.

Nikt nie rozpałił ognia na przylądku. Całe wybrzeże pogrążone było w mroku. Tylko cztery łodzie płynęły na północ, a przewodziła im Matka Boża. Była najmniejsza, a przez to najwolniejsza, tak więc reszta musiała się do niej dostosować. Dopiero gdy niebo na wschodzie zmieniło kolor na stalowoszary, wioślarze zaczęli śpiewać. Na Stiorze rozbrzmiała pieśń o Idzie. Wiedziałem, że wybrał ją mój syn, opowiadała bowiem o naszym przodku Idzie Niosącym Ogień, który przebył zimne morze, by zdobyć fortecę na wysokiej skale. Pieśń mówiła o tym, jak Ida i jego ludzie, głodni i zrozpaczeni, wdrapali się na skałę, gdzie wróg zmusił ich do odwrotu. Trzy razy rzucali się do ataku i trzy razy musieli się wycofywać. Ciała zamordowanych zaścierały wzgórze, podczas gdy oni zbici w gromadę kulili się na plaży wyszydzani przez swoich wrogów. Zapadał zmierzch, na morzu szalał sztorm, a Ida i jego ludzie siedzieli uwięzieni między fortecą a spienionymi falami, mając do wyboru śmierć od miecza albo śmierć na morzu, gdy nagle Ida zerwał się na równe nogi i wykrzyknął, że zginie w ogniu. Podpałił swe łodzie, pochwycił płonąca żagiew i sam jeden ruszył do ataku. Spowity płomieniami, sypiąc iskrami, rzucił się na mur i na swoich wrogów, którzy umknęli w strachu przed ognistym wojownikiem z dalekiej krainy. Mój ojciec kpił z owej pieśni, mówiąc, że wystarczyła jedna włócznia lub wiadro wody, by powstrzymać Idę, lecz prawda była taka, że Niosący Ogień zdobył fortecę.

Pieśń rozbrzmiewała coraz głośniejsze, w miarę jak załogi kolejnych łodzi dołączały do wioślarzy Stiorry, śpiewając o płomiennym triumfie

i rytmicznie pracując wiosłami. Płynęliśmy coraz dalej na północ wzdłuż wybrzeży Northumbrii i gdy słońce rozpało na skraju świata płomień nowego dnia, wiejący od wschodu lekki wiaterek zmarszczył powierzchnię wody.

Wolałem, by powiało od południa, potrzebowałem wichury albo chociaż porywistego południowego wichru, który zamknąłby statki Einara w wąskim cumowisku za Lindisfareną, lecz miast tego bogowie zesłali mi łagodny wschodni wietrzyk. Mimo wszystko dotknąłem młota Thora i kornie podziękowałem im za to, że nie wiało od północy. Jeremiasz potwierdził, że łodzie Einara Białego cumowały na płytkim kotwiczowisku za wyspą, tak więc silny południowy wiatr utrudniłby im przeprawę do przystani w Bebbanburgu. Wschodni wiatr spychałby je z powrotem do wejścia do kotwiczowiska, lecz pokonawszy płycizny, mogli postawić żagle i popłynąć na południe z wiatrem wiejącym od strony bakburty.

– Jest tam też jeden szkocki statek, panie – dodał Jeremiasz.

– Trójca? – spytałem.

– To kolos, panie – rzekł. – Szkoci budują ciężkie łodzie, uważaj zatem, by cię nie staranowała. Jest powolna, ale zmiażdży twoje statki niczym młot spadający na skorupkę jajka.

– Jak liczna jest załoga?

– Co najmniej pięćdziesięciu ludzi, panie. Jest naprawdę wielka.

Pamiętam, jak zobaczyłem w Dumnocu Waldhere'a, dowódcę straży przybocznej mojego kuzyna.

– Wywiozłeś go z Bebbanburga? – spytałem Jeremiasza.

– Tak, panie – wyznał. – A przed nim dwóch innych.

– Jak? – Gdyby Szkoci dostrzegli przy fortecy którąś z łodzi Jeremiasza, wiedzieliby, że ich zdradził.

– Pod osłoną mgły, panie – rzekł. – Wziąłem jedną z mniejszych łodzi, zacumowałem w zatoce nieopodal Cocuedes i czekałem, aż podniesie się gęsta mgła.

Cocuedes była małą wyspą niedaleko brzegu, na południe od Bebbanburga.

– Kim byli pozostali dwaj?

– Obaj byli księżmi, panie – odparł z dezaprobatą, najpewniej dlatego, że księża nie uznawali jego autorytetu jako biskupa. – Miesiąc temu zabrałem ich do Gyruum, a stamtąd wyruszyli na południe negocjować z lordem Aethelhelmem.

A wszystko pod moim nosem – pomyślałem z goryczą.

– Mieli omówić szczegóły małżeństwa?

Jeremiasz pokiwał głową.

– Słyszałem, że dziewczyna ma wnieść okazały posag! W złocie, panie! A przy tym jest niezwyklej urody. – Westchnął tęsknie. – Podobno ma cycuszki jak małe dojrzałe jabłuszka. Chętnie bym ją pobłogosławił.

– Co byś zrobił? – spytałem zdumiony.

– Położyłbym na niej swoje ręce, panie – odparł z miną niewiniątka.

A więc jednak nie był zupełnie szalony.

Późnym rankiem, gdy falujące morze złociło się od słońca, wiatr się nasilił. Postawiliśmy ozdobiony czarnym krzyżem postrzępiony żagiel Jeremiasza, a kiedy wybraliśmy szoty, Matka Boża nabrała prędkości. Złożyliśmy wiosła, pozwalając, by wiatr niósł nas na północ. Płynące za nami łodzie zrobiły to samo, ich załogi rozwinęły żagle i na wydętym wiatrem jasnoniebieskim żaglu Hanny ujrzeliśmy czarnego jelenia Aethelhelma.

Nie byliśmy nawet w połowie drogi, ale wiatr nam sprzyjał, spienione fale rozbryzgiwały się bielą o dzioby naszych łodzi, lśniące w słońcu

kilwatery ciągnęły się za nami, a my płynęliśmy do Bebbanburga.

W młodości człowiek pragnie walki. W rozświetlonych blaskiem ognia izbach słuchamy pieśni o bohaterach, o tym, jak pokonali wrogów, rozbili mur tarcz i skąpali miecze we krwi przeciwników. W młodości słuchamy przechwałek wojowników, ich śmiechu, gdy wspominają bitwę, i dumnych okrzyków, kiedy ich pan przypomina z trudem wywalczone zwycięstwo. A ci młokosi, którzy jeszcze nie walczyli i nie stali w murze tarcz, są pogardzani i lekceważeni. Dlatego ćwiczymy. Dzień za dniem doskonalimy się we władaniu włócznią, mieczem i tarczą. Zaczynamy jako dzieci, uczymy się walczyć drewnianymi mieczami i godzinami zadajemy i otrzymujemy ciosy. Walczymy przeciwko mężczyznom, którzy zadają nam ból, by nas z nim oswoić, uczymy się nie płakać, kiedy krew z rozłupanej głowy zalewa nam oczy, i powoli nabieramy wprawy.

Aż w końcu nadchodzi dzień, gdy wyruszamy z mężczyznami, nie jako dzieci, które prowadzą konie i zbierają broń z pola bitwy, lecz jako wojownicy. Co szczęśliwsi mają powgniatane stare hełmy, skórzane kaftany, a może nawet koszule kolcze, które wiszą na nich jak worki. Niesiemy miecze z wyszczerbionymi ostrzami i tarcze pobliźnione wrogimi klingami. Jesteśmy prawie mężczyznami, lecz jeszcze nie wojownikami, i pewnego pamiętnego dnia pierwszy raz stajemy twarzą w twarz z wrogiem, słyszymy okrzyki bitewne, szczęk ostrzy o tarcze i zaczynamy rozumieć, że poeci się mylą, a dumne pieśni kłamią. Jeszcze nim mury tarcz zetrą się ze sobą, niektórzy obsrywają się ze strachu. Trzęsą się jak osika. Piją miód i ale. Niektórzy się chełpią, jednak większość milczy lub śpiewa bitewne pieśni. Są i tacy, którzy dowcipkują, choć odpowiada im nerwowy śmiech. Jeszcze inni rzygają. Nasi wodzowie prawią nam kazania, opowiadają o wyczynach naszych przodków, o plugastwie, z którym

przyjdzie nam się zmierzyć, o tym, jaki los czeka kobiety i dzieci, jeśli nie zwyciężymy, a między murami tarcz dumnym krokiem przechadzają się bohaterowie, zagrzewając nas do walki. Tymczasem człowiek patrzy na wrogich wojów, a ci wydają się niepokonani. To potężni mężczyźni w lśniących kolczugach, obwieszeni złotem, posępni, pewni siebie, pogardliwi i dzicy.

Mur tarcz cuchnie gównem, a każdy z tu obecnych oddałby wszystko, by być teraz w domu, gdziekolwiek, byle jak najdalej od tego miejsca, w którym już niebawem rozegra się bitwa. Nikt jednak nie ucieka, ucieczka bowiem oznacza wieczną pogardę. Udajemy, że chcemy tu być, a gdy mur krok za krokiem posuwa się do przodu, gdy serce tłucze się w piersi jak skrzydła spłoszonego ptaka, wszystko wokół wydaje się nierealne. Myśli ulatują, strach bierze górę, a gdy każą ci szarżować, biegniesz, potykasz się, ale utrzymujesz szyk, bo oto nadeszła chwila, do której przygotowywałeś się całe życie. I oto po raz pierwszy słyszysz łoskot ścierających się tarcz, szcęk bitewnych mieczy, a zaraz potem pierwsze wrzaski.

Które nigdy się nie kończą.

Do dnia, w którym chaos ragnaröku pochłonie świat, będziemy walczyć za nasze kobiety, naszą ziemię i nasze domy. Niektórzy chrześcijanie mówią o pokoju, o okrucieństwach wojny. Któż z nas nie chciałby pokoju? I nagle jakiś oszalały wojownik rzuca się na ciebie, wywrzaskując ci w twarz plugawe imię swego boga. Jedyne, czego chce, to zabić ciebie, zgwałcić twoją żonę, zniewolić córki i odebrać ci dom. Musisz więc walczyć. Widzisz ludzi z flakami uwalanymi błotem, z rozłupanymi czaszkami, bezokich. Słyszysz, jak się krztuszą, jak dyszą, płaczą i wrzeszczą. Widzisz, jak giną twoi przyjaciele, tracisz równowagę, gdy stopa ślizga się na wyprutych wnętrznościach twojego wroga, patrzysz człowiekowi w twarz i dźgasz go mieczem w brzuch. Jeśli trzy prądk

u stóp Yggdrasilu są ci przychylne, poznasz, co to bitewna rozkosz, radość zwycięstwa i ulga, że żyjesz. Wrócisz do domu, a bardowie ułożą pieśń o bitwie. Może padnie w niej twoje imię, a wówczas będziesz mógł poszczycić się swoim męstwem przed młodzikami, którzy rozdziawiwszy gęby, będą słuchać z nabożnym podziwem, nieświadomi koszarnej prawdy. Nie powiesz im, jak nawiedzają cię widmowe twarze ludzi, których zarznąłeś, jak z ostatnim oddechem szukali u ciebie litości, lecz ty jej nie miałeś. Nie opowiesz o chłopcach, którzy zginęli, wykrzykując imiona swych matek, podczas gdy ty dźgałeś ich mieczem, wykrzykując im w uszy słowa pogardy. Nie przyznasz się, że nocami budzisz się zlany potem, że serce wali ci jak młot, że kulisz się na wspomnienie tego, co widziałeś i czego się dopuściłeś. Nie będziesz o tym mówił, bo jest to koszmar, który skrywasz w głębi serca niczym najmroczniejszy sekret, a przyznać się do niego to jak przyznać się do strachu. My zaś jesteśmy wojownikami.

My nie wiemy, co to strach. Kroczymy dumnie. Idziemy do bitwy jak herosi. Cuchniemy gównem.

Trwamy w tym jednak, albowiem musimy chronić nasze kobiety, nie możemy pozwolić, by nasze dzieci dostały się w niewolę, i musimy strzec naszych domów. Dlatego wrzaski nie ustaną aż po kres czasu.

– Panie? – Swithun dotknął mojego ramienia, wrywając mnie z zadumy. Wzdrygnąłem się z dłonią na wiośle sterowym i odkryłem, że wiatr się wzmógł i wypełnił żagle, a nasze łodzie płyną zgodnie z kursem.

– Panie? – powtórzył nerwowo Swithun, jakby obawiał się, że wpadłem w trans.

– Rozmyślałem o krwawych kiszkach, które przyrządza żona Finana – odparłem, ale on nadal wydawał się zmartwiony. – O co chodzi? – spytałem.

– Spójrz, panie. – Wskazał palcem ponad rufą.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że na południowym horyzoncie, ledwie widoczne na tle chmur, płynęły cztery łodzie. Widziałem tylko ich żagle – odcinające się na tle bieli brudne, ciemne plamy – ale byłem gotów zamienić Oddech Węża na kuchenny nóż, że wiem, do kogo należą. Były to pozostałości floty Aethelhelma, większe łodzie, które zacumowano na nabrzeżu w Dumnocu i które ocalały po ataku Einara, a ponieważ były duże, poruszały się znacznie szybciej od naszych czterech statków. Nie tylko szybciej. Miały też większe załogi i nie wątpię, że Aethelhelm upchnął na pokładach co najmniej dwie setki ludzi. Łodzie Aethelhelma wciąż jeszcze były daleko, ale i my mieliśmy przed sobą długą drogę. Wkrótce więc nas dogonią.

Mój syn jeszcze wyżej podniósł żagiel, dzięki czemu Stiorra przyspieszyła, a gdy podpłynął do naszej sterburty, poluzował fały, tak że płynęliśmy obok siebie.

– To Aethelhelm?! – zawołał, przykładając dłonie do ust.

– A któż by inny?!

Wyglądał, jakby chciał zapytać o coś jeszcze, ale się rozmyślił. Mogliśmy jedynie zboczyć z kursu i wpłynąć do jednego z kilku przybrzeżnych portów, a mój syn wiedział, że tego nie zrobię. Pozwolił Stiorze zostać nieco z tyłu.

Wczesnym popołudniem widziałem już kadłuby ścigających nas łodzi, a między nimi jasne klepki Świetlistego Łabędzia. Doganiali nas, choć wciąż miałem nadzieję, że dotrzemy do Bebbanburga przed nimi. To jednak nie wystarczyło. Potrzebowałem czasu. I tym razem bogowie udowodnili, że nas miłują, albowiem wiatr przycichł, wielkie żagle łodzi Aethelhelma obwisły, wydęły się i znowu obwisły. Chwilę później słońce załśniło na piórach wiosł, które unosiły się i opadały, nie ma jednak załogi, która wiosłowałaby tak szybko, by dogonić nasze statki niesione sprzyjającym

wschodnim wiatrem. Na chwilę cztery łodzie straciły dystans, lecz wkrótce ich żagle na nowo wypełniły się wiatrem, wiosła wciągnięto na pokłady, a nasi wrogowie zaczęli zbliżać się do nas nieubłaganie. Byłem pewien, że Aethelhelm rozpoznał już nędzną łódź Jeremiasza i domyślał się, że pozostałe trzy należą do mnie. Wiedział zatem, że go wyprzedzam.

Późnym popołudniem ujrzałem na horyzoncie Wyspy Farne, a wkrótce wznoszącą się na skale sylwetkę Bebbanburga. Płynęliśmy szybko pod pełnymi żaglami, a dzioby naszych łodzi pruły fale. Moi ludzie przywdziali kolczugi, przypasali miecze i dotykając młotów lub statki, zmówili modlitwy. Za nami cztery zachodniosaskie łodzie były na tyle blisko, że widziałem ludzi na pokładach, krzyże zatknięte na dziobnicach i sieć lin podtrzymujących żagle. Nadal jednak nie byli dość blisko. To dawało mi nadzieję, że będę miał dość czasu. Włożyłem wykończaną złotem najprzedniejszą kolczugę i przypasałem Oddech Węża. Odbity błysk słońca zdradzał włócznika stojącego na murach Bebbanburga. Widziałem też Szkotów – niewielką grupę konnych galopujących na północ wzdłuż plaży. Zobaczyli nasze łodzie i podobnie jak strażnicy na murach Bebbanburga rozpoznali Matkę Bożą, dlatego gnali teraz co koń wyskoczy, by przekazać wieści Domnallowi.

Byliśmy gotowi. Moja mała flota zbliżała się do fortecy, morze syczało wokół gnanych wiatrem kadłubów. Mój kuzyn widział, że nadpływamy, i zapewne jego ludzie gromadzili się na wałach. Domnall nakazywał Einarowi, by ten wypłynął, a Aethelhelm rozpaczliwie próbował nas doścignąć. Już wkrótce miał się rozpętać chaos, lecz by przyniósł mi on zwycięstwo, musiałem zadbać o to, aby wszyscy uwierzyli, że widzą to, co chcą widzieć.

Mój kuzyn oczekiwał odsieczy prowadzonej przez Jeremiasza. Obawiał się jednak, że Aethelhelm, który przybywał z zapasami i ludźmi,

przywiedzie zbyt wielu zbrojnych i ogłosi się panem Bebbanburga. Tymczasem gdy zobaczy cztery mniejsze łodzie, na których czele płynęła Matka Boża z płataniną lin i wymalowanym na żaglu czarnym krzyżem, a za nią Hanna z widocznym na żaglu jeleniem Aethelhelma, uwierzy, że Jeremiasz sprowadził obiecaną pomoc, a sądząc po wielkości łodzi, zbrojnych nie będzie więcej jak dwie setki. Dużo, lecz nie dość dużo, by pokonać oddział stacjonujący w fortecy. Za nami, wciąż jeszcze daleko od pokrytych morską pianą Wysp Farne, płynęły duże łodzie Aethelhelma, choć jeśli wzrok mnie nie mylił, na żadnej nie powiewał jego sztandar. Ich widok mógł zastanawiać mojego kuzyna, lecz wiedząc, że zakupiłem łodzie, zgadywał zapewne, że należą one do mnie, a zatknięte na dziobnicach krzyże mają go zmylić. Nie liczyłem, że Aethelhelm odegra jakąkolwiek rolę w nadchodzących wydarzeniach, teraz jednak uświadomiłem sobie, że jego obecność może zadziałać na moją korzyść, zwłaszcza jeśli mój kuzyn istotnie uwierzy, że jego statki należą do mnie.

Szkoci i ich sprzymierzeńcy pod wodzą Einara oczekiwali czegoś zgoła innego. Wiedzieli, że do Bebbanburga płyną łodzie z zapasami, lecz Jeremiasz przekonał ich, że zadba o to, by flota Aethelhelma płynęła wolno na wiosłach.

– By łodzie Einara miały czas je przechwycić? – spytałem Jeremiasza w Gyruum.

– Tak, panie.

– Jak przekonałeś Aethelhelma, by zwolnił?

– Opowiedziałem mu o niebezpieczeństwach – odparł.

– Jakich niebezpieczeństwach?

– O skałach, panie! Między Wyspami Farne a lądem są skały.

– Które łatwo ominąć – zauważyłem.

– Ty to wiesz, panie, i ja to wiem – mruknął – ale czy wiedzą o tym Sasi zachodni? Ilu południowców zapuszczało się na te wody? – Rozciągnął usta w uśmiechu. – Opowiedziałem im o łodziach, które tu potonęły, o zdradzieckich skałach przy wejściu do portu, i przykazałem, by byli ostrożni i płynęli dokładnie tam, gdzie ja.

Ostrożność i ślimacze tempo miały dać łodziom Einara i szkockiej flocie dość czasu, by osaczyć flotę Aethelhelma. Aethelhelm musiał wówczas zdecydować – stoczyć walkę na morzu czy zawrócić i odpłynąć. Może nadal musiał podjąć tę decyzję, albowiem w miarę jak zbliżaliśmy się do fortecy, widziałem Lindisfarenę i wypływające z cumowiska łodzie Einara. Jego ludzie trudzili się, walcząc z silnym wschodnim wiatrem, gdybym jednak zwolnił, gdybym opuścił żagiel i wszedł na wiosłach między płycizny i skały, nadal zdążyliby mnie zatrzymać. Ja jednak nie zwolniłem. Dzioby naszych łodzi pruły fale, a silny wiatr pchał nas w kierunku wąskiego kanału cumowiska. Wkrótce, niebawem, Domnall miał odkryć, że został oszukany.

Czego oczekiwałem? Dotknąłem młota zawieszzonego na szyi i krzyża wprawionego w głowicę miecza. Oczekiwałem, że przed zmrokiem będę panem Bebbanburga.

Albo że zginę.

Jednak całe szaleństwo zasadzało się na jednej tylko rzeczy. Musiałem sprawić, by mój kuzyn otworzył przede mną bramy fortecy. Kolejny raz musnąłem palcami młot Thora i zawołałem do Swithuna:

– Teraz! Teraz!

Swithun odziany był w szaty zabrane przez nas z dworu Jeremiasza, który to z kolei złupił je z kościoła, kiedy jeszcze jako Dagfinnr służył Ragnarowi Młodszeemu.

– Wszystkie są takie ładne, panie – wyznał Jeremiasz, z uczuciem wodząc palcami po haftowanym brzegu ornatu. – Utkano go z najprzedniejszej owczej wełny. Przymierz go, panie!

Nie przymierzyłem. Zamiast tego wybraliśmy najbardziej jarmarczne szaty, tak więc Swithun stał teraz odziany w długą do kostek białą sutannę obszytą złotymi krzyżami, nieco krótszy ornat wykończony szkarłatnym materiałem i zdobiony czerwono-żółtymi płomieniami, które zdaniem Jeremiasza symbolizowały ogień piekielny. Na to miał zarzucony paliusz, szeroki szal haftowany w czarne krzyże.

– Kiedy będę papieżem Północy – wyznał mi Jeremiasz – będę nosił wyłącznie złote szaty. Będę lśnił, panie, niczym słońce.

Swithun nie lśnił, lecz z całą pewnością wyglądał krzykliwie, a teraz jeszcze włożył podszyty wełną hełm. Eadith wzięła końskie włosie, które Berg odciął z ogona swojego siwka, i przyszyła je do podszewki. Kiedy więc Swithun nałożył hełm, wyglądał jak szaleniec z targanymi wiatrem siwymi włosami. Stanął na dziobie Matki Bożej i zwrócony twarzą do forticy pomachał wściekle rękami.

Ludzie, którzy czekali w Bebbanburgu, zobaczyli, że Jeremiasz przybył im z odsieczą, tak jak obiecał i tak jak się tego spodziewali. Ujrzeni jelenia Aethelhelma na wzdętym wiatrem żaglu Hanny, krzyże na dziobnicach i gnane silnym wschodnim wiatrem statki, które przybyły im na ratunek.

Płynęliśmy teraz prosto ku wejściu do cumowiska. Słońce staczało się za horyzont, świecąc mi prosto w oczy, widziałem jednak ludzi, którzy machali do nas z wysokich murów, i przykazałem swoim wojom zrobić to samo. Widziałem Szkotów stojących na wydmach na północ od kanału, którzy przyglądali się nam, albowiem nie mogli zrobić nic, by nas powstrzymać. Za nimi dostrzegłem łodzie Einara, które wypłynęły na otwarte morze i rozwijały żagle, gotowe skierować się na południe

i przechwycić flotę Aethelhelma. Spóźniły się, by nas zatrzymać, jednak łodzie Aethelhelma zbliżały się do wysp. Modliłem się w duchu, by rozbiły się o podwodne skały, lecz wschodni wiatr zniósł je na bezpieczne wody. Ujrzałem zawieszony na Świetlistym Łabędziu sztandar Aethelhelma, choć wiejący ze wschodu wiatr obracał go w stronę fortecy, a to znaczyło, że ludzie na murach nie byli w stanie zobaczyć widniejącego na nim jelenia. Załogi Aethelhelmowych łodzi również machały do obrońców Bebbanburga. Gdyby Aethelhelm pomyślał przez chwilę, uznałby, że najlepiej będzie wprowadzić łodzie na mieliznę pod wysokimi murami fortecy i krzykiem ostrzec obrońców przed tym, co miało się wydarzyć. On jednak nie przestawał nas ścigać, choć było oczywiste, że już nas nie dogoni. Pchani wschodnim wiatrem, który wypełniał nasze żagle, prując fale, płynęliśmy w stronę lądu. Niemal czułem zapach ziemi. Widziałem sztandar swojego kuzyna powiewający na szczycie twierdzy. Dno morza opadało łagodnie w stronę plaży, my zaś wpłynęliśmy na skłębione wody, gdzie wiatr i fale przyływu walczyły między sobą na płycznach, bryzgając naokoło pianą. I nagle mury Bebbanburga zamajaczyły wysoko nad naszymi głowami, lecz dość blisko, by ciśnięta z góry włócznia spadła na nasz pokład. Wprowadziłem łódź na środek kanału – mewy z krzykiem kołowały na wietrze – odepchnąłem od siebie wiosło sterowe i Matka Boża osiadła na piasku kilka kroków od wyciętych w skale schodów prowadzących do Morskiej Bramy Bebbanburga.

Która była zamknięta.

Stiorra osiadła na mieliźnie tuż obok Matki Bożej, a zaraz za nią Hanna i Eadith. Teraz wszystkie cztery łodzie blokowały wejście do przystani, a ludzie wyskakiwali na brzeg, by zabezpieczyć je linami z foczych skór. Inni znosili z pokładów puste beczki i worki wypchane słomą, udając, że dźwigają obiecane zapasy, które miały uzupełnić spichlerze

w Bebbanburgu. Ci mieli na głowach hełmy, byli odziani w kolczugi i uzbrojeni w miecze, lecz żaden nie niósł tarczy. Dla obrońców na murach nie wyglądaliśmy jak wojownicy gotujący się do walki. Połowa moich ludzi wciąż siedziała na łodziach z wiosłami w dłoniach, jak gdybyśmy lada chwila zamierzali odpłynąć.

Swithun błaznował na plaży, pokrzykując do obrońców Bebbanburga, podczas gdy ja stałem na dziobie Matki Bożej ze wzrokiem utkwionym w Morską Bramę. Gdyby pozostała zamknięta, bylibyśmy zgubieni. Przeszło setka moich ludzi zeszła już na ląd, niosąc beczki, skrzynie i worki w stronę wyciosanego w kamieniu łukowatego przejścia. Berg wszedł na schody prowadzące do bramy i rękojeścią miecza załomotał w drewniane drzwi. Tymczasem Finan wkroczył na pokład Matki Bożej i spojrzał na mnie pytająco.

– Na razie nikt nie rzucił włócznią – odezwałem się.

Zadarłem głowę i spojrzałem na mury, skąd obserwowali nas ludzie mojego kuzyna. Nie ciskali włóczniami, ale też nie otwierali bramy, więc modliłem się w duchu, bym nie pomylił się co do tego dnia.

– Otwórzcie bramę! – ryknął Swithun, a Berg kolejny raz załomotał w drewniane odrzwia. Gwałtowna fala sprawiła, że kadłuby statków obły się o siebie. – W imię żywego Boga! – krzyczał Swithun. – W imię Ojca i Syna, i tego trzeciego! Otwórzcie bramę!

Wyskoczyłem za burtę i brodząc w wodzie, spojrzałem na wschód, gdzie ścigające nas łodzie, zarówno Aethelhelma, jak i Einara, sunęły ku nam przez spienione grzywacze przybrzeżnych płycizn. Dwie z nich zderzyły się i ujrzałem ludzi ciskających w siebie włóczniami. Mimo że walczyli między sobą, my byliśmy ich wrogami i lada chwila mieliśmy zostać uwięzieni pod murami Bebbanburga i wygubieni ze szczętem.

– Brama! – ryknął Swithun, zadzierając głowę ku murom. – W imię Boga nakazuję wam, byście otworzyli bramę!

Gerbruht podniósł ciężki głaz i zaczął wspinać się po schodach. Najwyraźniej zamierzał strzaskać drewniane wrota, ale nawet przy jego wielkiej sile nie mieliśmy szans dostać się do fortecy, nim dosięgną nas wrogie łodzie. Dołączył do niego mój syn, który podobnie jak Berg załomotał do bramy ciężką głowicą miecza. Swithun padł na kolana, siwe pasma końskiego włosia łopotały mu wokół twarzy.

– Zmiłuj się, Chryste! – zawodził. – Okaż łaskę i każ im otworzyć bramę!

– Na litość boską! – wrzasnął rozpaczliwie mój syn. – Otwórzcie te przeklęte wrota!

Zamierzałem nakazać swoim ludziom, by wrócili na łodzie, chwycili za broń i stanęli w murze tarcz. Jeśli mamy zginąć – pomyślałem – to zginiemy tak, by zachwyceni poeci napisali o nas pieśń, którą będą śpiewać w samej Walhalli.

I wówczas brama stanęła otworem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Berg i mój syn jako pierwsi przekroczyli Morską Bramę. Nie spieszyli się. Mój syn schował do pochwy Kruczy Dziób, pomógł jednemu z obrońców rozewrzeć ciężkie odrzwia i dopiero ze spokojem wszedł do tunelu bramnego. Berg opuścił obnażone ostrze. Posyłanie Norwega, by jako pierwszy przeszedł przez bramę, było ryzykowne, lecz ten zawiesił na szyi pożyczony krzyż, tak więc strażnicy pomyśleli pewnie, że jest chrześcijaninem, który lubi nosić długie włosy na barbarzyńską modłę. Patrzyłem, jak znika w tunelu, a w ślad za nim grupa ludzi z workami na ramionach.

– Weszli – mruknął Finan.

– Czekał – rzekłem bardziej do siebie niż do niego.

Wielokrotnie omawialiśmy tę chwilę. Musieliśmy przejść Morską Bramę, nie wzbudzając podejrzeń, albowiem tuż za nią, dostępna jedynie dzięki stromym, wyciętym w skale schodom, była kolejna brama stanowiąca część drewnianej palisady strzegącej północnego skraju wysokiego klifu. Była mniejsza od tej na dole i stała teraz otworem, lecz gdyby została zamknięta, musielibyśmy ją sforsować, a to raczej na pewno zakończyłoby się fiaskiem. Widziałem trzech zbrojnych, którzy stojąc u wejścia, obserwowali, co dzieje się w dole. Żaden z nich nie wyglądał na zaniepokojonego. Stali przygarbieni, a jeden z nich opierał się o słupek.

Kusiło mnie, żeby pognać na górę z nadzieją, że moi ludzie dotrą do bramy, nim wróg przejrzy nasze zamiary, ale stopnie były wysokie i strome,

a podstęp wydawał się lepszą strategią. Martwiło mnie tylko, jak blisko są nasi prześladowcy. Świetlisty Łabędź wpływał właśnie do wejścia do przystani. Widziałem stojących na pokładzie odzianych w czerwone peleryny włóczników, którzy na chwilę zniknęli mi z oczu, gdy potężna fala rozbiła się o dziób białej łodzi. Tuż za nią płynęły kolejne statki, a na nich nasi wrogowie. Obejrzałem się na wysokie stopnie, ale nie zobaczyłem żadnego ze swoich ludzi.

– Gdzie jesteście? – spytałem.

– Chryste, pomóż nam – mruknął pod nosem Finan.

Chwilę później na schodach pojawił się człowiek w granatowej pelerynie i w pięknej roboty srebrnym hełmie. Szedł na górę, lecz bez pośpiechu.

– To żaden z naszych? – spytałem Finana. Zwykle rozpoznawałem swoich ludzi po odzieniu lub bitewnym rynsztunku, ale nigdy wcześniej nie widziałem takiej peleryny.

– To jeden z załogantów Stiorry – odparł Finan. – Chyba Kettil.

– Znowu trwonil monety – rzuciłem gorzko. Kettil był młodym Duńczykiem rozmiłowanym w krzykliwych strojach. Był drobiazgowy, niemal wybredny i często niedoceniany. Zatrzymał się teraz, odwrócił i przemówił do kogoś stojącego za jego plecami. Chwilę później dołączyli do niego mój syn i Berg, po czym wszyscy trzej zaczęli się wspinać ku wyższej bramie. – Szybko! – ponagliłem ich.

W tej samej chwili Kettil wyciągnął saks i biegiem pokonał ostatnie trzy stopnie. Zobaczyłem, jak wbija krótki miecz w brzuch strażnika opartego o słupek, podtrzymuje go, bezwładnego odciąga od bramy i zrzuca ze skalnego urwiska. Mój syn i Berg przeszli przez bramę z obnażonymi mieczami, a idący z nimi ludzie porzucili worki słomy i puścili się pędem.

– Ruszajcie! – krzyknąłem do zbrojnych, którzy czekali przed Morską Bramą. – Raz! Raz! Raz!

Sam pobiegłem w górę plaży. Zaniepokoił mnie widok człowieka, który nagle pojawił się na murze nad łukiem Morskiej Bramy, zobaczyłem jednak, że to Folcbald, jeden z moich nieustraszonych Fryzów. Na platformie nad łukiem nie było żadnych obrońców, bo i po cóż mieliby tam stać? Mój kuzyn wierzył, że przybyliśmy z zapasami i posiłkami, i choć wysłał ludzi na północny kraniec długiej skały, na której pobudowano twierdzę, większość z nich zgromadziła się w części umocnień z widokiem na morze, by obserwować wyścig między łodziami Einara i Aethelhelma. Floty obu dotarły już niemal do wejścia do przystani i jeden z ludzi na murach musiał rozpoznać sztandar z jeleniem, bo złożył dłonie, przycisnął je do ust i próbował ostrzec strażników przy wyższej bramie, ale ci już nie żyli.

– Zapytałem ich, gdzie mamy złożyć zapasy – opowiadał mi później mój syn – i zabiliśmy ich, zanim nas przejrzel.

Reszta moich ludzi wlewała się teraz do środka przez Morską Bramę i wbiegała schodami na górę. Udało się! Dostaliśmy się za zewnętrzne umocnienia i kamiennymi schodami gnaliśmy ku wewnętrznej palisadzie do samego serca fortecy.

Zdaje się, że to nic wielkiego, tymczasem Bebbanburg jest rozległy, a nas było niewiele. Mój syn, który stał tuż za zdobytą przez nas wyższą bramą, widział długą otwartą przestrzeń wznoszącą się ku skupisku niewielkich chat i spichlerzy wybudowanych w cieniu wysokiej grani, na której znajdowały się okazały dwór i kościół. Na lewo na murach z widokiem na morze stały dziesiątki mężczyzn i kobiet, obserwujących morski wyścig ku przystani, a wśród nich grupa ludzi w polerowanych kolczugach. Wyglądali tak dostojnie, że mój syn domyślał się, że jest

między nimi mój kuzyn. Jeden z księży jako pierwszy rzucił się ku otwartej bramie, kiedy jednak zobaczył rozwleczone ciała i kamienie zbryzgane krwią, zawrócił i wywrzaskując ostrzeżenie, pognął co tchu ku odzianym w kolczugi zbrojnym. Kolejni ludzie dołączali do mojego syna i ustawiali się w szeregu, gotowi bronić zdobytej bramy.

– Przynieście tarcze! – ryknął mój syn, oglądając się przez ramię w stronę Morskiej Bramy. – Potrzebujemy tarcz!

Na plaży ludzie porzucali puste beczki i worki słomy i przepychając się, przebiegali pod kamiennym łukiem. Ci, którzy zostali na pokładach, udając, że gotują się, by wpłynąć głębiej do przystani, wyskakiwali na brzeg, niosąc tarcze dla tych, którzy byli już w twierdzy. Rorik biegł plażą, dźwigając nasz sztandar, moją ciężką tarczę, pelerynę obszytą niedźwiedzim futrem i hełm zwieńczony figurką wilka. Zamierzałem stanąć do walki w swym najprzedniejszym rynsztunku. Bebbanburg zasługiwał na to, wpierw jednak musiałem dostać się do środka, albowiem wrogie łodzie były już niebezpiecznie blisko. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że Świetlisty Łabędź wpływa właśnie do kanału, a tuż za nim wielka szkocka Trójca. Gerbruht przebiegł obok mnie, kierując się w stronę łodzi, lecz chwyciłem go za ramię.

– Do środka! Już!

– Potrzebujemy więcej tarcz, panie!

– Zabierzemy je wrogom. A teraz wracaj do środka! – ryknąłem na niego. – Wszyscy do środka!

Ostatni z moich wojowników przebiegł przez bramę. Świetlisty Łabędź był już bardzo blisko. Widziałem jego żagiel, który załopotał wściekle, gdy poluzowano liny, a dziób odwrócił się w stronę brzegu. Na pokładzie tłoczyli się uzbrojeni mężczyźni i patrzyli, jak kopniakiem usunąłem leżącą w przejściu pustą beczkę. Krzyknąłem na swoich ludzi, by zamknęli bramę,

i tuzin zbrojnych zatrzasnął ciężkie drewniane odrzwia. Ich ciężar świadczył o tym, jak bardzo bał się mój kuzyn. Każde skrzydło miało grubość dłoni, od środka podierały je długie kwadratowe belki i zawieszono je na masywnych zawiasach, które zaskrzypiały przeraźliwie, gdy podwójne wrota zawarły się za nami. Gerbruht dźwignął z ziemi drewniany rygiel i z łoskotem opuścił go na skoble. Za bramą usłyszałem chrzęst stępki na piasku, a zaraz potem dziób Świetlistego Łabędzia uderzył w kadłub Eadith i wiedziałem, że wojownicy Aethelhelma wyskakują na plażę, ale jego załoga, podobnie jak trzej zbrojni, którzy strzegli wyższej bramy, spóźnili się.

Zostawiłem Gerbruhta i dwunastu ludzi, by strzegli Morskiej Bramy.

– Stańcie tam – przykazałem im, wskazując platformę nad kamiennym łukiem, na której stał Folcbald – i rzucajcie kamieniami w każdego, kto będzie próbował sforsować bramę.

– Wielkimi kamieniami! – dodał radośnie Gerbruht. Krzyknął na swoich ludzi, by zaczęli zbierać głazy, których dookoła było pod dostatkiem, i wnosili je po schodach. – Zmienimy ich mózgi w papkę, panie – obiecał i odwrócił się, gdy za bramą kolejny raz rozbrzmiał trzask łamanego drewna.

Słyszałem podniesione głosy i wściekłe pokrzykiwania, a zaraz potem szcęk metalu, i domyśliłem się, że ciężka szkocka łódź staranowała Świetlistego Łabędzia. Niech dranie wygubią się nawzajem – pomyślałem – i począłem piąć się kamiennymi schodami do serca Bebbanburga.

Do Bebbanburga. Do domu!

Na chwilę poczułem się przytłoczony. Całe życie marzyłem o powrocie do domu, a teraz, stojąc wewnątrz murów Bebbanburga, miałem wrażenie, że śnię. Dobiegające z dołu odgłosy walki, krzyk mew, nawoływania moich

ludzi. Wszystko ucichło, kiedy tak stałem, nie mogąc uwierzyć, że znowu jestem w domu.

Zmieniło się tu. Wiedziałem o tym, rzecz jasna, albowiem widziałem fortecę ze wzgórz, jednak zaskoczył mnie widok nieznanych budynków. Na wierzchołku fortu pobudowano okazały dwór, dwukrotnie większy od tego odziedziczonego przez mojego ojca, a tuż obok kamienny kościół, na którego zachodnim szczycie zatknięto wysoki drewniany krzyż. Wschodnią część kościoła stanowiła niska przysadzista wieża zwieńczona zadaszoną drewnianą konstrukcją, z której zwiślał dzwon. Niżej na skalnym parapacie między dworem a wałami od strony morza stały zwęglone szczątki budynku. Pozostały po nim ledwie popioły i kilka osmalonych słupków, zgadywałem więc, że musiał to być spalony spichlerz. Pozostałe spichlerze, składy i chaty – wszystkie drewniane, a niektóre całkiem nowe – wypełniały resztę przestrzeni między granią, na której zbudowano dwór, a wschodnimi murami fortecy. Usłyszałem trzaski, kiedy kolejne łodzie wpływały do przystani, i kiedy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem, że dwie następne łodzie Aethelhelma dołączyły do zażartej walki, która rozgorzała na plaży. Łodzie Einara płynęły z odsieczą Szkotom, którzy zaatakowali załogę Świetlistego Łabędzia, lecz teraz musieli stawić czoła zachodniosaskim posiłkom. Jednak ta bitwa nie interesowała mnie dopóty, dopóki Gerbruht i jego ludzie zdołają utrzymać Morską Bramę.

Ja tymczasem musiałem się rozprawić z wojownikami kuzyna wewnątrz fortecy, lecz – ku swojemu zdziwieniu – nigdzie ich nie widziałem.

– Uciekli – rzucił pogardliwie mój syn. Wskazał magazyny pobudowane u stóp grani, na której wznosiły się dwór i kościół. – Ukryli się w tamtych budynkach.

– Byli na murach? – spytałem.

– Mniej więcej sześćdziesięciu ludzi – odparł – ale ledwie tuzin miał na sobie kolczugi.

A zatem nie byli gotowi i wcale mnie to nie zdziwiło. Obrona fortecy podczas oblężenia bywa nużąca, albowiem zasada się głównie na obserwacji wroga, który jeśli chce nas zagłodzić, robi niewiele poza tym, że także nas obserwuje. Nie wątpiłem, że mój kuzyn miał silny, dobrze uzbrojony oddział strzegący Niskiej Bramy i taki sam strzegący Wysokiej Bramy, obu mieszczących się w południowym krańcu fortecy, ale czegoż miał się obawiać od strony Morskiej Bramy? Dostać się do niej można było jedynie od strony morza albo idąc plażą pod murami Bebbanburga, lecz wówczas strażnicy mieli dość czasu, by ostrzec wszystkich o nadciągającym niebezpieczeństwie. Tymczasem wartownicy wzięli nas za sprzymierzeńców. I teraz pierwszy z nich nie żył.

– Ojczy? – Mój syn wydawał się podenerwowany. Patrzyłem na dwór, podziwiając jego rozmiary, i wciąż nie mogłem uwierzyć, że stoję wewnątrz murów Bebbanburga. – Nie powinniśmy ruszać? – nalegał.

Oczywiście miał rację. Udało nam się zaskoczyć wroga, który wycofał się, pozostawiając północną część fortecy bez obrony, ja zaś trwoniłem czas, stojąc w miejscu.

– Do dworu – rzekłem. Postanowiłem, że powinniśmy zająć najwyższy punkt twierdzy, tak by mój kuzyn i jego ludzie musieli atakować pod górę. Włożyłem hełm i zamknąłem osłony na policzki: chciałem, by wrogowie widzieli jedynie moje oczy. Zaczekałem, aż Rorik zawiąże mi rzemienie pod brodą, narzuci mi na ramiona ciężką pelerynę i zepnie ją złotą broszą. Moje ręce zdobiły złote i srebrne bransolety, trofea dawnych bitew. Chwyciłem ciężką tarczę ozdobioną wilczym łbem, znakiem rodowym panów Bebbanburga, i dobyłem Oddechu Węża. – Do dworu! – powtórzyłem nieco głośniej. Moi ludzie nieśli teraz tarcze. Z hełmami na

głowach prezentowali się dziko i groźnie. Byli moimi najlepszymi wojownikami. – Do dworu! – ryknąłem. Minęli mnie w biegu dowodzeni przez mojego syna. – Młode nogi – rzekłem do Finana.

W tej samej chwili rozdźwięczał się dzwon na wieży kościoła. Widziałem, jak się kołysze i jak trzymająca go lina napina się gwałtownie. Był to przenikliwy dźwięk, donośny i pełen trwogi.

– Teraz się obudzą – zakpił Finan.

Dźwięk dzwonu obudził też Szkotów, przynajmniej tych, którzy nie zgromadzili się jeszcze na wydmach, by obserwować nadpływające łodzie. Widziałem kobiety i mężczyzn, którzy wychodzili z nabrzeżnych chat i gromadzili się na plaży. Domnall będzie się pewnie zastanawiał, co wywołało alarm, i będzie zachodził w głowę, czy to właściwy moment, by sforsować Niską Bramę. Mój kuzyn pomyśli pewnie o tym samym, a jego strach przed Szkotami każe mu zostawić silny oddział do obrony południowych wałów. Konstantyn – pomyślałem z ponurą satysfakcją – nie ucieszyłby się na wieść, że jego ludzie ułatwili nam zadanie.

– Podnieś sztandar – nakazałem Rorikowi.

Był to ten sam sztandar, który powiewał nad dworzyszczem – wilczy łeb, symbol Bebbanburga.

Obejrzałem się przez ramię i ruszyłem za młodzikami w stronę dworu. Kanał do przystani blokowały teraz moje cztery łodzie, cztery łodzie Aethelhelma, Trójca i łodzie Einara. Niektórzy z wojowników Aethelhelma uciekli na północną plażę ścigani przez Norwegów, a inni toczyli krwawą bitwę na pokładach, jednak najbardziej zaciekle bitwa trwała na plaży, tuż pod Morską Bramą, która zasłaniała mi widok. Widziałem, że Gerbruht i jego ludzie obserwowali rozwój wydarzeń, a to znaczyło, że na razie ani Sasi zachodni, ani Szkoci, ani Norwegowie nie próbują sforsować bramy.

Na myśl o tym, że moi wrogowie tłuką się między sobą, parsknąłem śmiechem.

– Co cię bawi? – spytał Finan.

– Uwielbiam, kiedy nasi wrogowie wyżynają się nawzajem.

Zachichotał.

– Niemal współczuję chłopcom Aethelhelma. Przepłynąć taki szmat drogi tylko po to, żeby załoga rozwścieczonych Szkotów skopała im tyłki? Witamy w Northumbrii.

Przed nami wznosiła się naga skała, na której za czasów mego ojca wojownicy doskonalili swoje umiejętności, a w słoneczne dni kobiety suszyły pranie. W drugim końcu skalistego występu mieściły się magazyny, chaty i stajnie, a na prawo wypiętrzała się stroma grań, na której wybudowano dwór i kościół. Do zabudowań prowadziło prymitywne kamienne wzniesienie, które zakręcało przy wewnętrznych umocnieniach. Tym właśnie wzniesieniem, z tu i ówdzie wyrąbanymi w kamieniu schodami, mój syn prowadził naszych ludzi. Posuwali się szybko. Patrzyłem, jak pierwsi z moich wojowników przebiegają obok kościoła i bocznymi drzwiami wpadają do dworu. Chwilę później kobiety i dzieci poczęły wybiegać drugim, większym wejściem, zwróconym w stronę morza i górującym nad magazynami. Zbiegały po stromych schodach i dołączały do niektórych spośród wojowników mojego kuzyna, którzy najwyraźniej nie zamierzali walczyć o płaski szczyt grani. Finan i ja przyspieszyliśmy kroku i rozpoczęliśmy wspinaczkę po wykutych w kamieniu, szerokich, stromych schodach prowadzących do kościoła. Dzwon nadal dźwięczał i kusiło mnie, żeby wejść do kamiennego budynku, odszukać dzwonnika i uciszyć hałas, ale pomyślałem, że dźwięk ten potęguje panikę, a tego popołudnia była ona moim sprzymierzeńcem. Stojąca w drzwiach kościoła kobieta wrzasnęła na nasz widok.

Zignorowałem ją i wszedłem za swoimi ludźmi do pogrążonego w mroku dworu.

– Uhtredzie! – ryknąłem, szukając swojego syna.

– Ojczy?

– Wyjdźcie przed dwór i ustawcie tam mur tarcz!

Słyszałem, jak wykrzykuje rozkazy i wyprowadza ludzi na skąpane w słońcu podwórze. Między stołami na kamiennej podłodze leżały ciała czterech zbrojnych, którzy okazali się głupcami i stanęli do walki. W palenisku tlił się ogień, a na okalających je kamieniach piekły się placki owsiane. Wszedłem na podest i pchnięciem otworzyłem drzwi do pozbawionej okien izby. Podejrzywałem, że to tu sypia mój kuzyn, jednak teraz nie było tu nikogo. Łoże przykryto skórą, na jednej ze ścian wisiał gobelin, a pod drugą stały trzy drewniane skrzynie. Ich zawartość musiała poczekać. Wróciłem do głównej izby, zeskoczyłem z podestu i odwróciłem się gwałtownie, gdyż usłyszałem dobiegające gdzieś z prawej strony powarkiwanie. Pod stołem leżała suka ze szczeniętami. Teraz należą do mnie – pomyślałem – i przypomniałem sobie dni, kiedy polowaliśmy na wzgórzach za przystanią. Nagle poczułem się, jakby wróciły dawne czasy, i zdało mi się, że słyszę głos ojca odbijający się echem od ścian izby. Nie miało znaczenia, że ciężkie krokwie wisiały teraz dwukrotnie wyżej niż za jego czasów, a dwór był dłuższy i szerszy. To był Bebbanburg! To był dom!

– Weź odpowiednią włócznię, gnido – warknął mój ojciec, gdy ostatniego dnia polowaliśmy na dziki. Gytha, jego nowa żona, a moja macocha, uparła się, że włócznia rosnącego wojownika jest za ciężka dla dziewięciolatka. – Pozwól więc, by dzik wypruł mu flaki – odparł ojciec. – Wyświadczy światu przysługę, a my pozbędziemy się gnidy.

Mój stryj się roześmiał. Powinienem był usłyszeć w tym śmiechu zazdrość i nienawiść, ale teraz, po latach, przybyłem naprawić zło, które

wyrządził.

Przeszedłem przez zwrócone w stronę morza masywne odrzwia i zobaczyłem ludzi, którzy zeszli się na podwórku za nimi. Zdobyliśmy szczyt Bebbanburga, lecz nie znaczyło to, że zdobyliśmy fortecę. Nadal musieliśmy przegnać stąd naszych wrogów, a ci gromadzili się w dole. Dokładnie pod nami na końcu schodów, którymi zbiegły kobiety i dzieci, znajdował się szeroki pas osmalonego kamienia, ocieniony teraz przez wysoki szczyt dworu i usłany zwęglonymi belkami, które, jak przypuszczałem, tworzyły niegdyś spalony spichlerz. Za nimi stały magazyny i chaty – niektóre z nich miały pokryte sadzą ściany – między którymi zebrali się teraz uzbrojeni wojownicy mojego kuzyna.

Nagle dotarło do mnie, że popełniłem błąd. Myślałem, że zdobywając dwór i najwyższy punkt Bebbanburga, zmuszę ludzi swojego kuzyna do ataku, że zmuszę ich do wspinaczki po schodach, gdzie sami wejdą nam pod miecze. Jednak wojownicy zbierający się w wąskich uliczkach nie wyglądali na takich, którym spieszno było umierać. Czekali, spodziewając się, że pierwsi ruszymy do ataku, i nagle pojąłem, że mój kuzyn, gdyby miał choć trochę rozumu, zostawiłby nas na szczycie, a sam odbiłby Bramę Morską i wpuścił do fortecy ludzi Aethelhelma. Musieliśmy rozbić jego rosnące oddziały, pokonać je i przegnać z Bebbanburga, nim wykorzysta okazję, a żeby to zrobić, trzeba nam było wbiec między budynki i tam się z nimi rozprawić. Wciąż jednak nie wiedziałem, ilu zbrojnych miał pod sobą mój kuzyn, wiedziałem tylko, że im prędzej zaczniemy ich zabijać, tym prędzej będę mógł znowu nazwać Bebbanburg domem.

– Uhtredzie! – krzyknąłem na syna. – Ty i dwudziestu ludzi zostaniecie tutaj. Osłaniajcie nasze tyły! Reszta za mną! – Zbiegłem po schodach, które stanowiły główną drogę do dworu i prowadziły do spalonego spichlerza. –

Ustawcie mur tarcz! – rozkazałem u dołu schodów. – Mur tarcz! Finanie!
Idź na lewo!

Mieliśmy przed sobą dwie dróżki i w obu tłoczyli się nasi wrogowie, ci jednak sprawiali wrażenie zdezorientowanych. Nie spodziewali się walki, a człowiek potrzebuje czasu, by przygotować się na śmierć. Widziałem, że byli zdenerwowani. Nie lżyli nas, nie posuwali się do przodu, lecz czekali ukryci za tarczami. Nie zamierzałem dawać im czasu.

– Naprzód!

I co zobaczyli ludzie mojego kuzyna? Ujrzeni pewnych siebie wojów. Wiedzieli, że jesteśmy budzącym strach wrogiem, zagrożeniem, które od lat wisiało nad Bebbanburgiem niczym czarne chmury. Widzieli zbrojnych gotowych do zażartej walki i wiedzieli, czego moi ludzie dokonali w ciągu lat. W całej Brytanii niewiele było oddziałów równie doświadczonych jak moi wojownicy, cieszących się równie złą sławą i równie przerażających. Czasami nazywałem ich swoją watahą i obrońcy, którzy czaili się teraz między zabudowaniami, bali się, że wataha ta rozerwie ich na strzępy. A jednak w jednym się mylili. Nie byliśmy pewni siebie, lecz zdesperowani. Moi ludzie wiedzieli równie dobrze jak ja, że tego dnia o wszystkim zadecyduje szybkość. Walka musiała zakończyć się prędko, w przeciwnym razie zmiażdżą nas wrogowie, którzy w tej chwili byli jeszcze zbyt oszołomieni, by pojąć, co się dzieje. Przeżyjemy, jeśli będziemy dość szybcy, albo zginiemy, jeśli będziemy zbyt powolni, dlatego moi ludzie zaatakowali z zapalem, który mógł uchodzić za pewność siebie.

Powiodłem swoich wojowników do prawej alejki. Trzech ludzi mogło ustawić tu mur tarcz i zablokować wąskie przejście, ale wrogowie, zamiast stawić opór, zaczęli się wycofywać. Swithun, nadal odziany w jarmarczne, biskupie szaty i hełm z doczepianym do niego końskim włosiem, stał po mojej prawej ręce, ściskając w dłoni ciężką, długą włócznię, którą pchnął

w kierunku cofających się zbrojnych. Jeden z nich spróbował zablokować cios tarczą, lecz miał przyjąć go na umbo, odepchnął go brzegiem tarczy, a gdy ta odchyliła się w bok, wraziłem Oddech Węża w powstałą lukę i obróciłem ostrze, które utkwilo w brzuchu zbrojnego. Ranny zgiął się wpół, ja tymczasem dokończyłem dzieła, waląc go w kark żelazną krawędzią tarczy.

Swithun atakował kolejnego przeciwnika, gdy ja kopnięciem posłałem swojego na ziemię i wyszarpnąłem Oddech Węża. Potężny cios spadł na moją tarczę, która odchyliła się do tyłu i huknęła mnie w żelazny nosal. Odepchnąłem ją i uchyliłem się przed włócznią, która próbowała dosięgnąć moich oczu, pchnąłem Oddechem Węża włócznika wyrzaskującego mi w twarz obelgi i kątem oka dostrzegłem ruch po lewej. Włócznik odepchnął ostrze tarczą i zobaczyłem olbrzyma w pogiętym hełmie, który zamierzał się toporem na moją głowę. Musiał to być ten sam topór, który wcześniej z taką siłą uderzył w moją tarczę, a wielki drań trzymał go oburącz. Żeby ochronić głowę, musiałem unieść tarczę i się odsłonić, ale włócznik również zasłaniał się tarczą, a do tego stracił równowagę. Wierzyłem też, że moja kolczuga zdoła zatrzymać pchnięcie zadane jedną ręką.

Instynktownie uchyliłem się przed ciosem toporem, ramieniem pchnąłem olbrzyma na ścianę, jednocześnie ciąłem włócznią Oddechem Węża. Powinienem był używać Żądła Osy, albowiem długie ostrza nie nadają się do walki w ścisku. Włócznik cofnął się, cios toporem chybił, lecz wielkolud odrzucił broń i począł wyrywać mi tarczę.

– Zabić go! – ryczał. – Zabić!

Udało mi się przytknąć czubek ostrza do jego brzucha i naparłem nań z całej siły. Poczułem, jak przebija kolczugę, skórzany kaftan, jak wnika w ciało i zatrzymuje się na kości. Wściekły ryk przeszedł w jęk bólu, jednak olbrzym nadal mocował się z moją tarczą, wiedząc, że dopóki ją

trzyma, dopóty jestem odsłonięty na ciosy jego towarzyszy. Włócznie dźgnął mnie w udo. Poczułem ból, który jednak minął, gdy Swithun przeszył pierś mojego napastnika włócznią i wywrzaskując przekleństwa, odepchnął go do tyłu. Jeszcze mocniej napałem na miecz, obróciłem ostrze i poczułem, że opór przeciwnika maleje, gdy Vidarr i Beornoth, Norweg i Sas, którzy zawsze walczyli ramię w ramię – jeden z imieniem Thora na ustach, a drugi przywołujący Chrystusa – precyzyjnie się obok mnie i rzucili się z mieczami na olbrzyma. Krew bryznęła mi na twarz i nagle cała uliczka zdawała się skąpana w posoce, gdy wielkolud runął na ziemię. Włócznie dyszał pod ścianą, błagając o litość, kiedy moi drużownicy obrócili się w jego stronę. Nie znali litości. Reszta nieprzyjaciół zbiegła.

– Jesteś ranny, panie? – spytał Beornoth.

– Nie! Ruszajcie dalej!

Olbrzym, który walczył toporem, otrzymał co najmniej trzy ciosy, a mimo to dźwignął się z ziemi, twarz miał wykrzywioną bólem albo nienawiścią. Beornoth skończył z nim, podrzynając mu gardło, a ja znów poczułem na twarzy gorącą krew. Ulfar, Duńczyk, złamał miecz i schylił się po topór.

– Nie zatrzymujcie się! – zagrziałem. – Nie zatrzymujcie się! Nie pozwólcie im zewrzeć szyków!

Dróżka wychodziła na otwartą przestrzeń przy stajniach za wałami od strony morza. Były to wysokie wały z szeroką platformą z dębiny, na której stał tuzin ludzi mojego kuzyna. Sprawiali wrażenie niezdecydowanych, choć trzech z nich miało włócznie. Cisnęli nimi w nas, lecz widząc to, bez trudu się uchyliliśmy. Włócznie zaklekotały na kamieniu. Wojownicy, którzy tłoczyli się w prawej alejce, umknęli na południe, by dołączyć do obrońców Wysokiej Bramy za skupiskiem magazynów, stodół i domostw. Zamierzałem nakazać swoim ludziom, by zaatakowali ich i zmusili

obrońców, by ci cofnęli się w stronę bramy, wiedząc, że moglibyśmy przypuścić szturm na umocnienia wzdłuż dębowej platformy, lecz zanim zdążyłem wydać rozkaz, Finan krzyknął i zobaczyłem, że wielu z tych, którzy uszli z życiem z krótkiego starcia między zabudowaniami, w sumie trzydziestu–czterdziestu zbrojnych, biegnie na północ w stronę Morskiej Bramy. Byli to przegnani przez Finana obrońcy szerszej uliczki, którzy uciekając na południe, zostali zatrzymani przez moich drużynników, i teraz szukali schronienia na solidnych murach Morskiej Bramy. Zbrojni obserwujący nas wcześniej z wysokiej platformy również biegli w tamtą stronę.

– Za nimi! – ryknąłem. – Finanie! Za nimi!

Musiał usłyszeć rozpacz w moim głosie, albowiem natychmiast krzyknął na swoich ludzi i razem z nimi pognał na południe.

Byłem zrozpaczony. I przeklinałem w duchu własną głupotę.

Zostawiłem Gerbruhta i niewielki oddział, by bronili Morskiej Bramy, choć powinienem był zostawić tam więcej ludzi. Tuzin zbrojnych, stojąc na platformie nad łukowatym przejściem, mógł odeprzeć każdy atak od strony plaży, lecz teraz musieli się zmierzyć z wrogiem atakującym z wnętrza fortecy, ludźmi, którzy mogli otworzyć wrota bramy i wpuścić do Bebbanburga naszych wrogów. Gerbruht i jego drużynnicy byli doświadczonymi wojownikami, ale by obronić łukowate przejście przed wrogiem, który miał nad nimi trzy- lub czterokrotną przewagę, musieli zejść z platformy, ja zaś nie miałem nadziei, że Gerbruht będzie wiedział, co należy zrobić. Chwyciłem Swithuna za ramię.

– Powiedz mojemu synowi, by natychmiast udał się do Morskiej Bramy! Szybko!

Swithun wbiegł w uliczkę i pognał schodami w górę, ja tymczasem ruszyłem za Finanem, wciąż przeklinając się w duchu. Coś nie dawało mi

spokoju. Było w tym dniu coś nierzeczywistego, jak gdybym śnił na jawie, zamiast toczyć bitwę, na którą czekałem całe życie. Moi ludzie biegali po fortecy jak stado ogarów uganiających się to za jednym, to za drugim jeleniem, nie mając łowczego, który by im przewodził. Wszystko to była moja wina. Dotarło do mnie, że godzinami planowałem, jak dostać się do Bebbanburga, nie myśląc o tym, co się wydarzy, kiedy już tam wejdziemy. Teraz to wróg dyktował warunki, a my byliśmy zmuszeni zrezygnować z dogodnej pozycji, by chronić tyły. Byłem oszołomiony i podejmowałem złe decyzje.

A wkrótce sytuacja miała jeszcze się pogorszyć. Albowiem zapomniałem o Waldherze.

Waldhere był dowódcą straży przybocznej mojego kuzyna, człowiekiem, którego spotkałem w dniu, gdy łodzie Einara zawinęły do Bebbanburga. Wiedziałem, że jest niebezpiecznym przeciwnikiem, wojownikiem niemal tak doświadczonym jak ja sam. Nie stał w wielkich murach tarcz, kiedy wypieraliśmy Duńczyków z Wessexu i ścigaliśmy ich przez całą Mercję, lecz latami stawiał czoło dzikim Szkotom, którzy wierzyli, że ziemie Bebbanburga należą do ich przywódcy. Trzeba być twardym człowiekiem, by tak długo walczyć ze Szkotami i przeżyć. Wiedziałem też, że w ojczyźnie Konstantyna jest wiele wdów, które przeklinają imię Waldhere'a. Ostatni raz widziałem go w Dumnocu, gdzie wiedziony na południe przez Jeremiasza, eskortował Aethelhelma i jego córkę Aelswyth z powrotem do Bebbanburga. Płynęli na północ na pokładzie Świetlistego Łabędzia, największej spośród łodzi należących do ealdormana i pierwszej z zachodniosaskich łodzi, która wpłynęła do bebbanburskiej przystani, gdzie staranowała ją szkocka Trójca. Wkrótce kolejne łodzie wpłynęły do wąskiego kanału i rozgorzała bitwa między

Szkotami, Norwegami a Sasami zachodnimi. Powstał chaos i liczyłem, że właśnie on będzie moim największym sprzymierzeńcem.

Ale zapomniałem o Waldherze, tak jak zapomniałem, że zna Bebbanburg lepiej niż ja. Spędziłem w fortecy pierwszych dziesięć lat życia, tymczasem on mieszkał tu znacznie dłużej i całe życie strzegł twierdzy przed jej wrogami. Przede mną.

Gdy Waldhere wpływał do przystani, widział, co się święci. Zobaczył, że Świetlisty Łabędź został napadnięty przez wielką Trójcę, a tę z kolei atakowały statki, które tłoczyły się z tyłu. Chcąc uniknąć bezładnej rzezi, zgromadził Aethelhelma, Aelswyth i jej dwórki, a także najlepszych spośród czerwonych peleryn na dziobie Świetlistego Łabędzia. Trójca uderzyła w Łabędzia, dziurawiąc jedną burzę, a ciężki, szkocki dziób przygniótł stojących za nią zbrojnych. Bitwa rozpoczęła się, kiedy Szkoci wtargnęli na pokład zniszczonego Świetlistego Łabędzia, a walki przybierały na sile, w miarę jak kolejne łodzie wpływały do przystani. Teraz walczono już na obu brzegach wąskiego kanału. Tymczasem Waldhere zeskoczył z dziobu Świetlistego Łabędzia i powiódł swych towarzyszy najpierw na zachód, a później na południe, prowadząc ich wzdłuż skalistej plaży pod murami Bebbanburga od strony lądu. Tam właśnie zobaczył ich Gerbruht.

– Myślałem, że uciekają – rzekł mi później.

Ale Waldhere znał Bebbanburg i wiedział, że nikt nie przypuści ataku na wały po stronie lądu, wzniesione na zboczu grani, w miejscu, gdzie ta wyrastała z morza. Nawet gdyby najeźdźcy zeskoczyli z łodzi, czekała ich żmudna droga pod górę, choć na jej końcu znajdowało się kolejne wejście do fortu. Nie była to brama ani nie było tam schodów, tylko dwa masywne dębowe pnie, które do złudzenia przypominały część drewnianej palisady. Ostrokół pobudowano na skale, a pale nie były wbite w ziemię, jak

to zwykle bywało, lecz stały bezpośrednio na grani. Była to stara palisada, która wymagała ciągłych napraw, wielkie pnie trzeba było bowiem przywozić z głębi lądu albo ściągać na łodziach z południa, a wymiana jednego często zajmowała cały tydzień.

– Pewnego dnia – mawiał mój ojciec – zbudujemy tu mur z kamienia. Cały mur! Otoczymy nim całą fortecę.

Mój kuzyn rozpoczął budowę, lecz nigdy jej nie dokończył, i to właśnie w zachodniej części umocnień, najmniej narażonej na ataki, stały dwa dębowe pnie. Nie były połączone z palisadą ani wzmocnione bocznymi belkami, które usztywniały pozostałą część ostrokołu. W miejscu utrzymywały je masywne żelazne gwoździe wbite w górną część wysokiej platformy bitewnej. Chwytnąc je od dołu, można je było odsunąć, tak że tworzyło się między nimi wąskie przejście. Podejście do nich było strome, a wspinaczkę utrudniały doły kloaczne znajdujące się na wałach w górze. Kiedy wiał zachodni wiatr, smród był nie do wytrzymania, ale ten sam fetor sprawiał, że ludzie trzymali się z daleka od sekretnej bramy. Oblegający Bebbanburg wróg mógł obserwować bramy fortecy, nie wiedząc, że istnieje jeszcze jedna, przez którą zbrojni mogą robić wypadki czy, jak dziś, zakradać się do fortu.

Wiedziałem o bramie wypadowej za wałami od strony morza. Zrobił ją mój ojciec i sam się zastanawiałem, czy nie zakraść się do fortecy tajnym przejściem. Tak właśnie zdobyłem Dunholm, ignorując liczne zabezpieczenia przy wejściu do fortu i zakradając się do niego przez wąską bramę, dzięki której garnizon miał dostęp do źródła i do której zdaniem obrońców Dunholmu trudno dotrzeć. Jednak stroma wspinaczka była niemal niemożliwa dla człowieka w kolczudze, niosącego broń i tarczę. Poza tym podczas ataku łatwo zablokować wejście od wewnątrz, tak więc szybko porzuciłem ten pomysł.

Nie wiedziałem jednak o przejściu po zachodniej stronie. Nie miałem w Bebbanburgu szpiegów, dlatego nikt nie powiedział mi o nowej bramie wypadowej ani o tym, że jest niebezpieczniejsza od poprzedniej, albowiem ten, kto przez nią przeszedł, mógł ukryć się za wysoką skałą wznoszącą się tuż za palisadą. Teraz więc Waldhere odsunął drewniane bale i Aethelhelm wraz ze swoimi czerwonymi pelerynami dostali się za mury twierdzy. Zgromadzili się w zacienionym miejscu pod platformą bitewną nieopodal dworu, a my nie mogliśmy ich zobaczyć, zwęszyć, usłyszeć ani nawet nie wiedzieliśmy, że tam są.

Albowiem próbowaliśmy zapanować nad chaosem, który powstał z mojej winy. Walczyliśmy, by odzyskać Morską Bramę.

Gerbruht nigdy nie imponował mi bystrością. Był wielki, silny, lojalny, radosny i trudno było o lepszego od niego towarzysza w murze tarcz, ale nie był lotny jak Finan ani tak stanowczy jak mój syn. Zostawiłem go, by strzegł Morskiej Bramy, bo myślałem, że będzie to proste zadanie, w sam raz dla upartego, powolnego wojownika. Nie przypuszczałem, że będzie musiał podjąć szybką, kluczową decyzję.

Ale podjął ją. I była słuszna.

Ani ludzie Aethelhelma, ani Szkoci i ich norwescy sojusznicy nie próbowali sforsować Morskiej Bramy. Byłoby to trudne zadanie, choć wykonalne, gdyby wykorzystali maszty łodzi jako drabiny. Żeby to zrobić, potrzebowali czasu, którego nie mieli, byli bowiem zbyt zajęci walczeniem między sobą, a nieliczni, którzy próbowali wspiąć się na kamienne schody, zostali obrzuceni głazami przez Gerbruhta i jego ludzi.

Gerbruht, widząc wojowników mojego kuzyna wylewających się z górnej bramy, w lot zrozumiał niebezpieczeństwo. Spanikowani ludzie mogli odryglować dolną bramę i otworzyć ją dla wroga, dlatego opuścił

platformę i wraz ze swoimi drużynnikami ustawił mur tarcz w łukowatym przejściu.

Ludzie mojego kuzyna, wykrwawieni podczas dzikiego ataku w wąskich uliczkach między zabudowaniami, szukali teraz schronienia. Nie mogli dotrzeć do dworu, bo zagroziłem im drogę do południowej bramy, gdzie, jak podejrzewałem, mój kuzyn gromadził swoje siły, tak więc zbiegli na północ. Wielkie kamienne umocnienia Morskiej Bramy obiecywały im bezpieczeństwo, gdy jednak dotarli na miejsce, ujrzeli Gerbruhta formującego mur tarcz. Był on niewielki, lecz skutecznie zagrażał łukowate przejście, grożąc śmiercią tym, którzy jako pierwsi ośmieliliby się je sforsować. Uciekinierzy się zawahali. Nikt im nie przewodził. Nikt nie mówił im, co mają robić. Dzwon na wieży kościoła nie przestawał bić, zza Morskiej Bramy dobiegały odgłosy walki i tak, pozbawieni przywódcy, zatrzymali się.

Wówczas Finan zaatakował ich od tyłu.

Irlandczyk, który lepiej niż ktokolwiek wiedział, że jeśli Morska Brama stanie otworem, dojdzie do rzezi, nie czekał, by ustawić swoich ludzi w murze tarcz, lecz uderzył na wroga z irlandzką furią i pieśnią bojową na ustach. Miał przewagę, stał bowiem na wzniesieniu, a wyczuwając strach przeciwnika, nie dał mu czasu na wykorzystanie własnej przewagi. Zbrojni mojego kuzyna mieli sojuszników w ludziach Aethelhelma po drugiej stronie bramy, musieli tylko pokonać tuzin ludzi Gerbruhta, odryglować odrzwia i wpuścić ich do środka. Oni jednak zginęli. Ludzie Finana z okrucieństwem wojowników decydujących o życiu i śmierci przerażonego wroga nie okazali łaski. Obrócili kamienne schody w rzekę krwi, a Gerbruht, widząc rzeź, wyprowadził swych ludzi spod łuku i zaatakował na wzgórzu. Kiedy dotarłem do wyższej bramy, wojownicy mojego kuzyna nie żyli albo zostali pojmani.

– Potrzebni nam jeńcy?! – zawołał do mnie Finan.

Na ziemi klęczało około trzydziestu ludzi, większość z nich wyciągała ręce na dowód, że nie mają broni. Kolejnych kilkunastu nie żyło lub umierało od ciosów zadanych im przez zbrojnych Finana. Z tego, co widziałem, żaden z ludzi Irlandczyka nie został nawet draśnięty.

Nie potrzebowałem jeńców, ale nie chciałem też ich zabijać, albowiem niektórzy z nich byli ledwie chłopcami. Wielu było synami mieszkańców Bebbanburga albo wnukami ludzi, których znałem jako dziecko. Jeśli zwyciężę, będą moimi ludźmi, moimi dzierżawcami, a może nawet wojownikami, zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ktoś załomotał w bramę.

– Gerbruhcie! – ryknąłem. – Zbierz swoich ludzi i wracajcie na platformę!

– Tak, panie!

– Jeszcze jedno, Gerbruhcie! Dobrze się spisałeś!

Zza Morskiej Bramy dobiegł głos:

– Na litość boską! Wpuście nas!

Zaraz potem ktoś znów załomotał w bramę. Podejrzywałem, że to niedobitki Aethelhelmowych ludzi, którzy mieli bronić łodzi, lecz zostali wycięci przez Szkotów i Norwegów Einara. Miałem dla nich tyle współczucia co Finan. Zostali ściągnięci na to niegościnne wybrzeże tylko po to, by wziąć udział w bezlitosnej walce między dzikimi mieszkańcami Północy. Łaską byłoby otworzyć bramę i wpuścić ich do środka, kto wie, może nawet niektórzy z Sasów zachodnich walczyliby dla mnie, lecz było to ryzyko, którego wolałem nie podejmować. Morska Brama musiała pozostać zamknięta, a to znaczyło, że uwięzieni za nią ludzie Aethelhelma zginą, a nasi więźniowie pozostaną wewnątrz fortecy.

– Finanie – zawołałem – każ im się rozebrać! I wyrzuć ich broń za mur!

Wolałbym wysłać naszych jeńców za mur, ale to oznaczałoby dla nich pewną śmierć. Pozbawienie ich przyodziewku i broni musiało wystarczyć. Przez to byli bezsilni.

Walenie w odrzwia ustało i usłyszałem wściekły ryk Gerbruhta ciskającego z murów głązy. Ktoś zaklął szpetnie w mowie Norwegów i wiedziałem już, że pod Morską Bramą zostali tylko ludzie Einara i Szkoci. Zarówno jedni, jak i drudzy byli wrogami mojego kuzyna.

– Strzeż jej dobrze! – krzyknąłem do Gerbruhta.

– Nie wejdą do środka, panie! – odkrzyknął, a ja mu wierzyłem.

– Ojcze! – Mój syn przepchnął się przez tłum ludzi zgromadzonych przy wyższej bramie i położył mi dłoń na ramieniu. – Lepiej chodź.

Przeszedłem za nim przez bramę i ujrzałem, że na podwórcu przed dworem ustawił się mur tarcz. Zaczynał się tuż pod wysoką granią, na której stało okazałe dworzyszczce i kamienny kościół, i ciągnął aż do wałów od strony morza. Pośrodku formacji powiewał sztandar, mój sztandar z wilczym łbem, a pod nim stał mój kuzyn, który w końcu zgromadził swoje siły. Jego ludzie walili mieczami w tarcze i tupali. Kolejny oddział formował mur tarcz obok kościoła i zarówno jedni, jak i drudzy stali na wzniesieniu.

– Ilu? – zapytałem.

– Stu osiemdziesięciu na niższej skale – odparł mój syn – i trzydziestu przy kościele.

– Czyli mniej więcej tyle samo – rzuciłem.

– Dobrze, że nie umiesz liczyć – zauważył bardziej rozbawiony, niż wymagała tego sytuacja. – A jest ich jeszcze więcej – dodał, gdy kolejni zbrojni przepychali się na przód wrogiego muru tarcz.

Zgadywałem, że ci strzegli Wysokiej Bramy i mój kuzyn przyzywał ich do siebie, wierząc, że strażnicy przy Niskiej Bramie odeprą ataki Szkotów.

Teraz wyraźniej widziałem swojego kuzyna. Jechał konno obok trzech innych mężczyzn i tak jak oni krył się za sztandarem pośrodku dłuższego muru.

– Spasł się – rzuciłem.

– Spasł?

– Mój kuzyn. – Nawet w siodle wydawał się ciężki. Był za daleko, bym mógł dostrzec jego twarz okoloną hełmem, ale widziałem, że gapił się na nas, podczas gdy jego ludzie walili ostrzami w tarcze. – Nim pierwszym się zajmiemy – warknąłem mściwie. – Zabijemy drania i przekonamy się, czy jego ludzie mają ochotę do walki.

Mój syn milczał i dopiero po chwili zobaczyłem, że wpatruje się w szczyt Bebbanburga.

– Słodki, galopujący Jezu – mruknął.

I miał rację, albowiem do Bebbanburga przybył stający dęba jeleni.

– Jak, na Boga, udało im się wdrzeć do środka? – Niedawne rozbawienie w jego głosie zniknęło zastąpione zdumieniem, bo na grani pojawiały się kolejne czerwone peleryny zbrojnych Aethelhelma. Odziani w kolczugi ustawili nowy mur tarcz i wiwatowali, widząc, jak niewielu nas jest. Nie dostrzegali ludzi Finana stojących u dołu schodów przy Morskiej Bramie i wojownicy Aethelhelma musieli przypuszczać, że jest nas niespełna setka. – Jak, na Boga, udało im się wdrzeć do środka? – powtórzył mój syn.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczałem. Zamiast tego policzyłem zbrojnych odzianych w czerwone peleryny. Było ich co najmniej sześćdziesięciu, a od południa wciąż nadciągali nowi, by dołączyć do muru tarcz ustawionego przez mojego kuzyna. Ten zaś, pogrzebiony pojawieniem się sojuszników, pokrzykiwał na swoich ludzi, podobnie jak dwaj księża, którzy prawili kazania stojącym w murze zbrojnym,

niewątpliwie wbijając im do głów, że wolą ukrzyżowanego boga jest to, byśmy dziś zginęli. Nieco wyżej na szczycie grani stał Aethelhelm w ciemnoczerwonej pelerynie i lśniącej kolczudze. Jemu również towarzyszył klecha, który przechadzał się przed rosnącym murem tarcz, błogosławiąc tym, którzy byli gotowi nas wygubić.

Za bramą gotowali się żądni zemsty Norwegowie, a wewnątrz murów czekała nas pewna śmierć. Popełniłem tego dnia wiele błędów, prowadziłem swoich ludzi do nieprzemyślanych ataków i w panice musiałem się wycofywać. Co gorsza, dałem swoim wrogom czas, by ochłonęli z zaskoczenia i uformowali szyki, lecz nagle, widząc, że są zvarci i gotowi, poczułem, że żyję. Zostałem raniony w prawe udo, dźgnięty przez włócznika, który umarł, krzycząc w wąskiej alejce między zabudowaniami, a gdy dotknąłem rany, palce miałem czerwone i lepkie od krwi. Umazałem krwią osłony na policzki i uniosłem palce do nieba.

– Dla ciebie, Thorze! Dla ciebie!

– Jesteś ranny – zauważył mój syn.

– To nic – odparłem ze śmiechem. Pamiętam, że się roześmiałem, i pamiętam, że mój syn spojrzał na mnie, marszcząc z zakłopotaniem brwi. Przede wszystkim jednak pamiętam nagłą pewność, że bogowie mi sprzyjają, że będą walczyć u mego boku, a mój miecz będzie ich mieczem. – Zwyciężymy – zapewniłem Uhtreda. Miałem wrażenie, że zostałem namaszczonej przez Odyna i Thora. Nigdy w życiu nie czułem się bardziej żywy i pewny siebie. Wiedziałem, że nie popełnię więcej błędów i że to nie sen.

Przybyłem do Bebbanburga i Bebbanburg będzie mój.

– Roriku! – krzyknąłem. – Masz róg?

– Tak, panie.

Przepchnąłem się przez swoich ludzi i przeszedłem przez wyższą bramę. Finan powiódł pięćdziesięciu wojowników schodami w dół, by wesprzeć niewielki oddział Gerbruhta, i teraz wyrzucał przez kamienny mur broń, odzienie i kolczugi naszych jeńców.

Uświadomiłem sobie, że ludzie często widzą to, co chcą zobaczyć. Mój kuzyn zobaczył nasz liczący niespełna stu ludzi oddział zbity w gromadę przy północnej bramie, pomyślał więc, że wycofaliśmy się i utknęliśmy w pułapce między jego zbrojnymi a czekającymi za bramą rozjuszonymi Norwegami. Był pewien zwycięstwa.

Aethelhelm zobaczył to samo. Nie potrafił liczyć, widział jednak, że jest nas mniej i będziemy zmuszeni walczyć pod górę. Zobaczył, że wpadliśmy w pułapkę, i w miarę jak słońce staczało się za wzgórze na zachodzie, poczuł radość nadchodzącej zemsty.

Tyle że ja obudziłem się z odrętwienia. I nagle wiedziałem, jak moje wilki będą walczyły tego dnia.

– Finanie! – zawołałem. – Ty i twoi ludzie nie pokazujcie się, dopóki nie usłyszycie rogu! Wówczas zostaw Gerbruhtowi sześciu ludzi, a resztę przyrowadź tutaj! Będziecie tylną strażą!

Nie musiałem mówić nic więcej. Finan miał zobaczyć, czego od niego oczekuję, gdy jego zbrojni wypadną z cienia. Pokiwał głową i w tej samej chwili dzwon, który rozbrzmiewał nieprzerwanie, odkąd wtargnęliśmy do fortecy, zamilkł, a ludzie mojego kuzyna poczęli wiwatować.

– Co się dzieje? – spytał Finan.

– Nie wiem jak, ale Aethelhelm dostał się do fortecy. Przywiódł sześćdziesięciu, siedemdziesięciu ludzi i mają nad nami przewagę liczebną.

– Dużą?

– Sporawą.

Finan musiał wyczuć mój nastrój, uśmiechnął się bowiem szeroko, a może próbował dodać otuchy swoim ludziom, którzy przysłuchiwali się naszej rozmowie.

– A zatem ten łajdak Aethelhelm jest tutaj! – zawołał do mnie. – Mają nad nami przewagę liczebną i stoją na wzniesieniu! To znaczy, że atakujemy?!

– Nie inaczej! – odkrzyknąłem. – Zaczekajcie, aż róg rozbrzmi dwa razy, i wtedy przyjdźcie!

– Tak uczynimy! – zapewnił mnie i odwrócił się, by ponaglić swoich ludzi, którzy zaganiali nagich jeńców do rowu między skałą a zewnętrznym murem.

Zabrzmiał róg. Nie mój. Ten dźwięk dobiegał gdzieś ze środka fortecy. Gdy słuchałem jego żalostnego zawodzenia, pomyślałem, że oto mój kuzyn prowadzi swych ludzi do walki, lecz gdy wróciłem przez wyższą bramę, zobaczyłem jadącego ku nam samotnego jeźdźca. Kopyta jego wielkiego ogiera stukały głośno o skałę. Wolno prowadził rumaka, a twarz skrywał za osłonami na policzki. Przez chwilę myślałem, że to mój kuzyn, ten jednak nadal stał w murze tarcz, tak jak Aethelhelm wciąż stał na grani pośród swoich ludzi. A zatem konny musiał być wojownikiem wysłanym po to, by z nas szydzić.

Odwróciłem się do niego plecami i spojrzałem na syna.

– Ilu naszych ma włócznie? – spytałem.

– Może dziesięciu? Niewielu.

Zbeształem się w duchu za to, że wcześniej nie pomyślałem o włócznieach, bo ludzie Finana z pewnością wyrzucili kilka za mur, ale miałem nadzieję, że dziesięć wystarczy.

– Kiedy zaatakujemy – zwróciłem się do syna – ustaw włóczników w drugim szeregu. Nie będą potrzebowali tarcz – dodałem i nie czekając na

odpowieź, odwróciłem się i wyszedłem na spotkanie konnego.

Był nim Waldhere, który przyplął do Bebbanburga z Aethelhelmem i najszybciej, jak mógł, dołączył do mego kuzyna. Zatrzymał ogiera dwadzieścia kroków od mojej tarczy i otworzył osłony na policzki, tak bym mógł zobaczyć jego twarz. Był odziany w tę samą pelerynę z niedźwiedziej skóry, którą miał na sobie w dniu przyjazdu Einara. Musiało być mu w niej gorąco, lecz peleryna sprawiała, że prezentował się potężnie, nawet na koniu. Jego surową twarz okalał naznaczony licznymi bitwami hełm zwieńczony szponiastą łapą orła, a chronione koszulą kolczą ramiona przyozdobił licznymi złotymi bransoletami. Był wojownikiem w całej swojej chwale. Obserwował mnie, jak idę ku niemu, po czym wyjął coś spomiędzy pożółkłych zębów i pstryknięciem posłał w moją stronę.

– Lord Uhtred – odezwał się, mając na myśli mego kuzyna – daję ci szansę, byś mógł się poddać.

– I nie przyszedł powiedzieć mi tego osobiście? – spytałem.

– Lord Uhtred nie rozmawia z gnidami.

– Z tobą rozmawia.

Z jakiegoś powodu ta drobna złośliwość go rozjuszyła. Skrzywił się i usłyszałem w jego głosie z trudem powstrzymywaną złość.

– Chcesz, żebym cię teraz zabił? – warknął.

– Tak – odparłem – proszę.

Uśmiechnął się szyderczo i pokręcił głową.

– Z chęcią bym to zrobił, ale lordowie Uhtred i Aethelhelm chcą cię żywego. Dziś wieczorem uczynią z twojej śmierci widowisko.

– Zejdz z konia i walcz ze mną – odparłem – bo twoja śmierć będzie nie lada widowiskiem dla moich ludzi.

– Jeśli się teraz poddasz – ciągnął, ignorując moje wyzwanie – zginiesz szybko.

Roześmiałem się.

– Boisz się ze mną walczyć, Waldherze?

Usłyszawszy to, splunął w moją stronę.

Odwrociłem się do niego plecami.

– Oto Waldhere! – krzyknąłem do swoich zbrojnych. – Jest zbyt przerażony, by stanąć ze mną do walki! Rzuciłem mu wyzwanie, lecz go nie przyjął! Tchórz!

– Niech więc walczy ze mną! – Mój syn wyszedł przed mur tarcz.

Po prawdzie nie chciałem, by którykolwiek z moich ludzi bił się z Waldhere'em. Nie dlatego, że obawiałem się jego umiejętności, ale dlatego, że chciałem zaatakować wroga, nim ten zyska pewność siebie. Ludzie, którzy stali naprzeciw nas i walili mieczami w tarcze, nie byli tchórzami, lecz żeby ruszyć w objęcia śmierci, trzeba znaleźć w sobie determinację. Wszyscy boimy się muru tarcz i tylko głupcy twierdzą inaczej, ale moi ludzie byli gotowi do walki, podczas gdy wojownicy mojego kuzyna ledwie ochłonęli z zaskoczenia po tym, jak odkryli, że w to późne popołudnie będą zmuszeni walczyć o życie. Dźwięk dzwonu tylko spotęgował ich panikę. Spodziewali się kolejnego nudnego wieczoru, tymczasem śmierć zajrzała im w oczy, a żeby przygotować się na takie spotkanie, człowiek potrzebuje czasu. Poza tym wiedzieli, kim jestem, i znali moją reputację. Ich księża i przywódcy powtarzali im, że zwyciężą, lecz strach podpowiadał im, że ja nie przegrywam. Chciałem zatem uderzyć, póki owe lęki kęsały ich pewność siebie, a pojedynek z Waldhere'em tylko opóźniłby atak. Takie właśnie było jego zamierzenie. Jego żądanie, byśmy się poddali – choć dobrze wiedział, że je odrzucę – miało zapewnić obrońcom czas potrzebny do odzyskania determinacji i pewności siebie. A to, że przyjechał sam, miało udowodnić nam, że się nas

nie boją. Wszystko to było częścią tańca śmierci, który zawsze poprzedzał bitwę.

– A coś ty za jeden? – spytał mojego syna.

– Uhtred z Bebbanburga – odparł mój syn.

– Nie walczę ze szczeniakami – zakpił Waldhere. Jego koń, piękny siwek, nagle zarzucił łbem i nerwowo zatańczył na skale. Waldhere go uspokoił. – Jeśli się poddasz – zwracał się do mnie, lecz mówił na tyle głośno, by usłyszeli go moi ludzie – darujemy twoim wojownikom życie. – Podniósł głos, by mieć pewność, że wszyscy moi ludzie go usłyszą, i powtórzył: – Złóżcie broń! Porzućcie tarcze, a będziecie żyć! Będziecie mogli odejść na południe! Odłóżcie tarcze, a przeżyjecie!

Gdzieś za moimi plecami tarcza upadła ze szczękiem na skałę. Odwróciłem się przerażony i ujrzałem wysokiego mężczyznę w ciemnoniebieskiej pelerynie i pięknej roboty srebrnym hełmie, który wyszedł z muru tarcz. Zamknięte osłony na policzki przesłaniały jego twarz. Wojownik ów odrzucił tarczę i szedł teraz w stronę Waldhere'a. Finan powiedział mi, że to Kettil, młody Duńczyk.

– Kettilu! – warknąłem.

– Tak, panie? – odparł zza moich pleców. Odwróciłem się, marszcząc czoło, i zobaczyłem Kettila w żelaznym hełmie i bez peleryny. – Panie? – spytał zaskoczony.

Przyjrzałem mu się z uwagą. Dopiero teraz zauważyłem, że jego hełm zdobiły ryty splatających się ze sobą chrześcijańskich krzyży, podczas gdy kolejny, tym razem złoty krzyż, wisiał mu na piersi. Kettil był poganinem i nigdy nie założyłby niczego takiego. Zamierzałem przykazać tchórzowi, by podniósł przekłętą tarczę i wrócił do szeregu, ale zanim zdążyłem się odezwać, młodzik wyciągnął długi miecz i wymierzył go w Waldhere'a.

– Ten szczeniak będzie z tobą walczył – wycedził. Nie odrzucił tarczy na znak poddania, ale dlatego, że Waldhere również jej nie miał, a chciał stawić mu czoła w uczciwej walce. – Jeśli masz na tyle odwagi – dodał – w co wątpię.

– Nie! – krzyknąłem.

Waldhere zerknął na mnie zdumiony i zaintrygowany moją reakcją.

– Boisz się, że zabiję twojego szczeniaka? – zakpił ze mnie.

– Walcz ze mną! – niemal go błagałem. – Walcz ze mną! Nie z nim!

Roześmiał się. Nie pojmował przyczyny mojego wzburzenia, wiedział jednak, że nie chcę, by walczył z młodzikiem, który rzucił mu wyzwanie, i dlatego je przyjął.

– Chodź, szczeniaku – warknął i zsiadł z konia. Rozpiął haftki peleryny i pozwolił, by opadła na ziemię i nie obciążała ręki, w której trzymał miecz.

Chwyciłem młodzika za ramię.

– Nie! Zabraniam ci!

Widoczne spod hełmu ciemne oczy spojrzały na mnie ze spokojem.

– Jestem twoim księciem – odparł. – Nie możesz mi rozkazywać.

– Co ty tu robisz? – zapytałem.

– To jasne, zamierzam zabić tego zuchwalca – odparł Aethelstan.

Miecz Waldhere'a z sykiem wysunął się z pochwy, a ja zacisnąłem palce na ramieniu Aethelstana.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołałem.

Łagodnie odsunął moją rękę.

– Rozkazujesz ludziom, lordzie Uhtredzie – rzekł – i rozkazujesz armiom, ale nie możesz rozkazywać książętom. Jestem posłuszny Bogu i memu ojcu, lecz nie tobie. Ty winien jesteś okazywać mi posłuszeństwo, dlatego pozwól mi wypełnić swój obowiązek. Spieszno ci, by zakończyć tę

bitwę, prawda? Po co zatem tracić czas? – Odepchnął mnie delikatnie i podszedł do Waldhere'a. – Jestem Aethelstan – rzekł – ksiązę Wessexu, a ty możesz złożyć miecz i przysięgnąć mi posłuszeństwo.

– Mogę wypatroszyć cię jak wychudłego szczeniaka, którym jesteś – warknął Waldhere, a ponieważ Aethelstan trzymał opuszczony miecz, ciął wysoko, by w mgnieniu oka przesądzić o losach walki.

Waldhere był potężnym mężem, wysokim, barczystym, silnym i umięśnionym. Aethelstan dorównywał mu wzrostem, ale był szczupły jak jego dziadek Alfred. W porównaniu z Waldhere'em wydawał się kruchy, wiedziałem jednak, że kruchość bywa zwodnicza. Aethelstan był żyłasty i szybki. Błyskawiczny cios Waldhere'a mierzył w szyję Aethelstana. Tym, którzy go widzieli, zdawało się, że rozpląta książęce gardło, lecz Aethelstan uchylił się niemal z pogardą i nawet nie uniósł miecza, gdy ostrze Waldhere'a prześlizgnęło się po jego szyi. Ostrze musnęło kołnierz kolczy, ale go nie przerwało.

– Możemy zaczynać? – rzucił kpiąco Aethelstan.

W odpowiedzi Waldhere znowu zaatakował. Chciał wykorzystać swój ciężar, by pokonać Aethelstana. Gwałtownie opuścił ostrze, a widząc, że i tym razem przeciwnik nie podniósł miecza, ryknął jak rozjuszony byk, chwycił oburącz miecz, pchnął, mierząc w brzuch Aethelstana, i ruszył na niego z nadzieją, że obali go na ziemię i tam wypatroszy. Musiał ważyć dwukrotnie więcej od młodego księcia. Widząc, że ostrze lada chwila dosięgnie celu, krzyknął triumfalnie, lecz w tej samej chwili Aethelstan sparował cios lewą ręką. Parada powinna rozplątać mu dłoń, a nawet pozbawić go palców, on jednak miał rękawicę z wszytymi w nią żelaznymi płytkami.

– To sztuczka – powiedział mi później – której nauczył mnie Steapa.

I gdy miecz Waldhere'a przeciął powietrze, Aethelstan wyrznął przeciwnika w twarz rękojeścią miecza.

– Sztuczka – dodał – której ty mnie nauczyłeś.

Cios był silny. Usłyszałem trzask i ze złamanego nosa Waldhere'a buchnęła krew. Wojownik Aethelhelma zatoczył się w tył nie dlatego, że stracił równowagę, ale dlatego, że nic nie widział. Głowica księżęcego miecza wyłupiła mu lewe oko, a ból zamglił mu wzrok. Odwrócił się i kolejny raz zamachnął się mieczem, lecz cios był słaby i Aethelstan sparował go bez trudu, po czym krzyżąc zwycięsko, zadał swój jedyny w tej walce cios. Z rozmachu ciął Waldhere'a w szyję i zobaczyłem, jak się krzywi, gdy ostrze rozerwało kołnierz kolczy, skórę, mięśnie i zatrzymało się na kręgosłupie. Na hełm Aethelstana bryznęła krew, czerwona mgiełka, którą stojący w sercu fortecy ludzie widzieli jak na dłoni. Widzieli też, jak ich wojownik upada.

Szczęk ostrzy dudniących o umba tarcz przycichł, a zaraz potem ustał na dobre, gdy Waldhere chwiejnym krokiem odsunął się od Aethelstana. Potężny wojownik upuścił miecz, przycisnął do szyi obie ręce i osunął się na kolana. Przez krótką chwilę patrzył na księcia zdumionym wzrokiem, a potem padł na twarz obok porzuconej peleryny. Moi ludzie poczęli wiwatować, gdy Aethelstan podszedł do konia Waldhere'a i wskoczył na siodło. Triumfując, podjechał konno do wrogiego oddziału, zatrzymał się kilka kroków przed nim i wytarł skrwawione ostrze w grzywę siwka.

– Teraz! – ryknąłem. – Włócznicy w drugim szeregu! Za mną!

Zmitrężyliśmy dość czasu. Mieliśmy bitwę do rozegrania i fortecę do zdobycia, a ja wiedziałem, jak to uczynić.

I tak zaatakowaliśmy.

Mogłem to zrobić na dwa sposoby. Natrzeć na mur tarcz ustawiony przez kuzyna albo wykorzystać długie, nierówne podejście prowadzące do dworu, to samo, z którego skorzystaliśmy po tym, jak wdarliśmy się do fortecy. Stamtąd musielibyśmy ruszyć na wojów Aethelhelma, którzy czekali na szczycie stromych skalnych schodów, i myśl ta wcale mi się nie podobała. Atakowanie pod górę to paskudna sprawa, a im bardziej stroma wspinaczka, tym bardziej paskudnie się robi. Zamiast tego mogliśmy natrzeć na zbrojnych mojego kuzyna. Ustawiony przez niego mur tarcz był głęboki na dwóch, miejscami trzech wojów, a znacznie łatwiej przełamać mur tarcz głęboki na dwóch–trzech ludzi niż taki, który liczy cztery, pięć, a nawet sześć szeregów. Chciałem uderzyć w co najmniej czterech szeregach, a to znaczyło, że nasz mur nie będzie szeroki. Wiedziałem jednak, że moje zajadłe wilki wytną sobie drogę przez środek muru ustawionego przez mojego kuzyna, liczyłem też, że widok naszej krótkiej formacji wywabi zaprawionych w bojach ludzi Aethelhelma z ich pozycji na szczycie fortecy. Podczas gdy my będziemy przedzierać się przez środek, wróg oskrzydli nas i otoczy. Wszystkie wrogie siły skupią się w jednym miejscu i choć nie znaczyło to, że zostaniemy pokonani, czekała nas długa, krwawa walka, w której polegnie znacznie więcej ludzi niż podczas szybkiego, dzikiego ataku. Nie mieliśmy więc wyboru. Musieliśmy wybrać trudniejszy sposób.

Zaatakujemy zbrojnych Aethelhelma na szczycie podejścia. Zbrojnych, którzy mieli przewagę, albowiem stali na wzniesieniu i mogli rozłupywać nam głowy mieczami i toporami. Mój kuzyn, widząc, że wbiegamy na górę, nie będzie mógł wesprzeć ludzi Aethelhelma, ponieważ na skalnych półkach przed dworem i kościołem nie było dość miejsca. Zgadywałem więc, że ruszy za nami. Powiedzie swoich ludzi tu, gdzie teraz staliśmy, i zaatakuje nasze tyły. Tego właśnie chciałem, bo dzięki temu siły naszego

wroga zostaną podzielone. Ja zaś będę miał dwa mury tarcz – jeden pracy pod górę, gotowy stawić czoło czerwonym pelerynom Aethelhelma, a drugi zwrócony w dół zbocza, by odeprzeć atak mojego kuzyna. Będą długie na szerokość skalnego podejścia, a to znaczyło, że wróg nie zdoła nas oskrzydlić.

Zbrojni mojego kuzyna poczęli znów walić mieczami w tarcze, choć z początku robili to bez przekonania i słyszałem, jak przywódcy krzykiem zmuszali ich, by uderzali mocniej. W głębi fortecy wyły psy. Słońce staczało się za horyzont. Uniosłem tarczę i przytknąłem rękojeść Oddechu Węża do zamkniętych osłon na policzki. Bądź przy mnie –modliłem się do Thora.

– Najpierw uderzymy na wojów Aethelhelma – powiedziałem swoim ludziom. – Potem wykończymy resztę drani. Gotowi?

Ryknęli ochoczo. Byli dobrzy, tak dobrzy jak ogary szarpiące się na smyczach, a ja powiodłem ich na prawo, ku skalnemu wzniesieniu.

– Zewrzyjcie szyki! – krzyknąłem, choć nie musiałem im o tym przypominać. Szliśmy w dziewięciu szeregach, odziana w kolczugi zbita masa. Ludzie w hełmach, zdenerwowani, podnieceni, pewni siebie, przerażeni, spragnieni walki. Niewiele mogłem ich nauczyć o murze tarcz, staliśmy bowiem w zbyt wielu, a jednak tamtego wieczoru zamierzaliśmy coś zmienić. Odwróciłem się do wojów stojących w drugim szeregu, których tarcze chroniły zwykle tych w pierwszym szeregu. Tyle że dziś nie mieli tarcz. Zamiast nich dzierżyli długie, ciężkie włócznie. – Trzymajcie włócznie nisko – powiedziałem im. – Jeśli możecie, starajcie się je ukryć. – Zobaczyłem Aethelstana, który siedząc na końskim grzbiecie, jechał tuż za naszym ostatnim szeregiem. – Pewnie ty go tu przywiodłeś – warknąłem oskarżycielsko do swojego syna. Wiedziałem, że on i Aethelstan się przyjaźnią.

Rozciągnął usta w uśmiechu.

– Uparł się – rzucił.

– Więc go ukryłeś?

– Niezupełnie, po prostu go nie zauważyłeś.

– Jesteś głupcem.

– Często słyszę, że jestem podobny do ciebie, ojcze.

Pokonaliśmy niskie, liczące trzy stopnie schody. Ludzie Aethelhelma śpiewali bitewną pieśń i tłukli mieczami w tarcze. Jeden z księży wyciągał ręce do nieba i wzywał ukrzyżowanego boga, by nas wygubił.

– Jesteś głupcem – powtórzyłem synowi – ale jeśli utrzymasz go przy życiu, wybaczę ci. – Znowu się odwróciłem. – Roriku!

– Panie?

– Zadmij w róg! Dwa razy!

Dźwięk rogu odbił się echem od górującej nad nami grani, a chwilę potem rozległ się kolejny. Finan musiał już czekać, bo jego ludzie natychmiast poczęli wylewać się z górnej bramy w kierunku skalnego podejścia. Niewiele ponad sto kroków dzieliło nas od stromych schodów, na których czekali na nas zbrojni Aethelhelma. Jego pierwszy szereg liczył piętnastu ludzi, ich tarcze zachodziły na siebie, a twarze wrogów przypominały wykute z żelaza maski. Nie uderzali już mieczami w tarcze, choć ci stojący za nimi nadal to robili. Klecha odwrócił się w naszą stronę i splunął. Dopiero teraz rozpoznałem w nim ojca Herefritha, swojego wroga spod Hornecastre. Jego pobliznioną twarz wykrzywiały wściekły grymas i widziałem, że pod kapłańską szatą nosi koszulę kolczą. On również dzierżył miecz. A zatem kościół go nie ukarał i teraz stał tutaj u boku Aethelhelma jako jeden z jego czarowników. Krzyczał coś, lecz nie słyszałem obelg, którymi nas obrzucał, i nie dbałem o nie, albowiem dawni bogowie byli przy mnie, a los Herefritha był przesądzony.

Spojrzałem w prawo, gdzie w cieniu wzgórz zobaczyłem tłum, głównie kobiet i dzieci, który przyglądał się nam z dalekiego brzegu przystani. Niemal wszyscy patrzyli w naszą stronę, wiedziałem więc, że Domnall nie sforsował Niskiej Bramy. Tylko nieliczni podeszli bliżej, żeby zobaczyć, co wydarzyło się przy Morskiej Bramie, lecz oni także stali teraz ze wzrokiem utkwionym w szczycie fortecy, zatem Gerbruht i jego ludzie byli bezpieczni, a decydująca bitwa miała rozegrać się tutaj, na kamiennym podejściu wiodącym na szczyt Bebbanburga.

Szczyt, na którym stali teraz ludzie Aethelhelma. Wyglądali imponująco ukryci za okutymi żelazem wierzbinowymi tarczami, dzierżąc w dłoniach lśniącą stal, lecz szybka śmierć Waldhere'a musiała nimi wstrząsnąć. Mimo to Aethelhelm miał powody wierzyć w swoje zwycięstwo. Nacieraliśmy pod górę, a ostatni fragment podejścia stanowiły kamienne schody, równie strome jak usypane z ziemi wały otaczające każdą fortecę. Aethelhelm żywił przekonanie, że popełniłem błąd, że prowadzę swych drużynników na pewną śmierć. Wiedział też, że gdy mój kuzyn zobaczy, jak niewielu nas jest, zaatakuje nasze tyły. Będziemy walczyć na niekorzystnym dla nas stromym terenie, atakowani i z przodu, i z tyłu. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem swojego kuzyna, który z końskiego grzbietu rozkazywał ludziom, by parli naprzód.

Oddział Finana biegł teraz w naszą stronę. Opuszczając Morską Bramę, naraził ją na atak ze strony mojego kuzyna, lecz otwarcie wrót oznaczało wpuszczenie do fortecy Szkotów i Norwegów, a jedni i drudzy byli jego wrogami. Dlatego mój kuzyn chciał, by Morska Brama pozostała zamknięta, przynajmniej do czasu, aż rozprawi się ze mną i zyska pewność, że ma dość ludzi, by zaatakować tych, którzy czaili się na zewnątrz. Wpierw jednak chciał pokonać mnie, i to szybko.

Musiąo mu się zdawać, że walka nie potrwa długo, albowiem ludzie widzą to, co chcą widzieć, a mój kuzyn, zobaczywszy, jak nieliczny jest mój oddział, kazał swym zbrojnym ruszyć do ataku. Kiedy więc pojawił się Finan, mur tarcz ustawiony przez mojego kuzyna się zawahał. Finan ryczał na swoich ludzi, by formowali szyk, podczas gdy ja usłyszałem, jak mój kuzyn krzyczy:

– Nie zatrzymywać się! Nie zatrzymywać! Bóg poprowadzi nas do zwycięstwa! – Głos miał schrypnięty. Blisko dwie setki ludzi spieszyły teraz, by wejść za nami na wzniesienie. – Za Świętego Oswalda i za Bebbanburg! – grzmiał.

Zauważyłem, że nie idzie w pierwszym szeregu, lecz trzyma się daleko z tyłu. Nadal siedział na koniu i był jedynym jeźdźcem wśród zbrojnych, którzy gotowali się do ataku na nasze tyły.

A zatem wszystko szło tak, jak to sobie umyśliłem. Zamiast ganiać swoich wrogów po labiryncie między zabudowaniami, sprawiłem, że byli przede mną i za mną. Teraz tylko musieliśmy ich powyrzynać. Odwróciłem się, by mieć pewność, że włócznicy trzymają włócznie nisko. Robili, co im przykazałem.

– Słuchajcie – krzyknąłem do nich, choć nie dość głośno, by usłyszeli nas ludzie Aethelhelma – ci, którzy mają przewagę pozycyjną, niech nie opuszczają tarcz. Będą walczyć tak jak zawsze. Będą trzymać tarcze tak, by osłaniały ich brzuchy i jaja, a to znaczy, że ich nogi będą łatwym celem. Dźgajcie najwyżej, jak się da. Celujcie w uda i okaleczcie drani. Okaleczcie ich, a my ich zabijemy.

– W imię Boga i Świętego Oswalda! – ryknął któryś z wojów mojego kuzyna.

Wszyscy byli teraz za nami, choć garstka została odesłana, by wzmocnić szeregi Aethelhelma. Zgadywałem, że na szczycie schodów

łoczy się blisko stu pięćdziesięciu zbrojnych, którzy ustawiają przed kościołem mur tarcz głęboki na pięciu–sześciu ludzi. Jeszcze więcej wrogów mieliśmy za plecami, ale ani jedni, ani drudzy nie mogli nas oflankować. A teraz, gdy dołączyli do nas wojownicy Finana, nasza mała armia liczyła piętnaście szeregów. Budziliśmy grozę. Nasi wrogowie widzieli, jak ich wojownik umiera, i wiedzieli, że stoją naprzeciw Uhtreda z Bebbanburga. Wielu ludzi w oddziałach Aethelhelma walczyło w armiach, którymi dowodziłem. Znali mnie i ostatnią rzeczą, jakiej chcieli, to zmierzyć się z moją watahą w ten letni wieczór.

Czerwone peleryny Aethelhelma czekały, ich tarcze zazębiały się i tak jak przewidywałem, trzymali je wysoko. Teraz dokładnie widziałem ich twarze, gdy wpatrywali się w idącą ku nim śmierć. To byli doświadczeni wojownicy, podobnie jak my walczyli w długiej wojnie, która miała wyprzeć Duńczyków z Mercji i Anglii Wschodniej, my jednak walczyliśmy częściej i dłużej. Byliśmy watahą wilków, zabójcami Brytanii, walczyliśmy od południowego wybrzeża Wessexu aż po dzikie obszary na północy, od oceanu aż do morza. Nikt nigdy nas nie pokonał i ci ludzie dobrze to wiedzieli. Widzieli nasze topory wojenne, w których odbijały się promienie zachodzącego słońca, widzieli nasze miecze i determinację, z jaką parliśmy do przodu. Zbliżaliśmy się do szczytu schodów, nasze tarcze zachodziły na siebie, nasze ostrza były opuszczone, a nasz krok był powolny, lecz niepowstrzymany. Jeden ze zbrojnych w pierwszym szeregu Aethelhelmowego muru tarcz porzygał się, a jego tarcza zadrżała.

– Teraz! – ryknąłem. – Zabić ich!

I ruszyliśmy do ataku.

Nawet w szeregach przerażonego wroga zawsze znajdują się ludzie, którzy z chęcią stają do walki, którzy nie znają strachu i tylko w obliczu

zgrozy czują, że żyją. Właśnie jeden z nich zabił Swithuna, który, jak my wszyscy stojący w pierwszym szeregu, trzymał tarczę wysoko, ukryty za nią i gotowy na cios – wiedzieliśmy, że nadejdzie. Może Swithun potknął się na stopniach albo za bardzo wychylił się do przodu, bo topornik wbił mu ostrze w kark. Nie widziałem tego, choć słyszałem jęk bólu dobywający się z jego gardła. Kucałem, trzymając tarczę nad głową i Żądło Osy gotowe do ataku. Oddech Węża spoczywał w pochwie i miał tam pozostać, dopóki nie przełamamy muru tarcz. W zwartej walce, kiedy czujesz na twarzy ostatnie oddechy konających, nie ma lepszej broni niż saks – krótki miecz.

Pokonaliśmy schody biegiem i unieśliśmy tarcze, na które spadły wściekłe ciosy naszych przeciwników. Swithun zginął, podobnie jak Ulfar, Duńczyk, i biedny Edric, który był kiedyś moim sługą. Potężny cios spadł na umbo mojej tarczy, nie był jednak dość silny, by powalić mnie na kolana, i domyślałem się, że zadano go mieczem. Gdyby Waldhere żył albo gdyby Aethelhelm znał się na rzeczy, ustawiliby w pierwszym szeregu wojów z ciężkimi toporami wojennymi, którzy powybijaliby nas jak bydło. Tymczasem większość z nich uzbrojona była w miecze, a miecz to nie broń obuchowa. Można nim ciąć albo dźgać, ale nic tak nie zmienia przeciwnika w skrwawioną masę zmiądzonych kości jak obciążony ołowiem topór. Ktokolwiek mnie zaatakował, wgniótł umbo mojej wierzbinowej tarczy, lecz był to jego ostatni cios. Dźgnąłem Żądłem Osy i poczułem, jak przebija kolczugę, jak rozdziera zbitą warstwę mięśni i dociera do miękkiego ciała. Naparłem tarczą i obróciłem ostrze, by nie utknęło w bebeczach wroga, gdy gdzieś zza moich pleców, z wąskiej luki między mną a moim synem, wystrzeliła włócznia, a jej grot dosięgnął uda jednego z przeciwników. Zobaczyłem krew spływającą z rany. Ranny zatoczył się, zbrojny, którego dźgnąłem saksem, upadł, tylne szeregi napierały na nas

i myślę – choć tego nie pamiętam – że parliśmy do przodu z okrzykiem bitewnym na ustach.

Dotarłem na szczyt schodów. Pod naszymi stopami wały się ciała zabitych. Przeszedłem nad nimi, gdy na moją tarczę spadł kolejny cios. Był na tyle silny, że tarcza w mej dłoni przechyliła się na bok, na szczęście zatrzymała ją tarcza Berga, który stał po mojej lewej ręce. Pchnąłem do przodu Żądłem Osy i poczułem, że uderza w drewno. Cofnąłem rękę, ciąłem niżej i tym razem poczułem, jak przebija kolczugę i wnika w ciało. Brodaty wojownik ryknął na mnie znad otoku mojej tarczy, lecz chwilę później jego ryk zmienił się w okrzyk bólu, gdy Berg wraził mu saks między żebra. Po mojej prawej ręce mój syn, wrzeszcząc, dźgał saksem między dwiema wrogimi tarczami. Człowiek raniony przez Berga padł na ziemię, a gdy na niego nadepnałem, włócznik za moimi plecami dobił go i chwilę później znowu pchnął włócznią, która utkwiała w pachwinie kolejnego przeciwnika. Ranny wrzasnął przeraźliwie, upuścił tarczę i zgiął się wpół, brocząc krwią na kamień. Widząc to, wbiłem mu w plecy Żądło Osy i zgruchotałem kręgosłup, po czym martwy osunął się na ziemię. Naparłem do przodu i nadepnałem mu na głowę. Pokonaliśmy dwa, może trzy wrogie szeregi. I znów to samo: krok do przodu z tarczą pewnie trzymaną w dłoni. Wyjrzyj znad krawędzi tarczy. Poczuj lęk, który ścisza trzewia. Zignoruj go. Poczuj zapach gówna. Gówna i krwi. Woń zwycięstwa. Wróg jest bardziej przerażony. Zabij go. Trzymaj mocno tarczę. I zabijaj.

Młodziak z rzadką brodą zamachnął się na mnie mieczem. Dzięki ci – pomyślałem, albowiem żeby się zamachnąć, musiał odsunąć tarczę, i tak oto zgiął z Żądłem Osy w piersi. Saks przebił kolczugę i wszedł w ciało niczym w masło. Godziny ćwiczeń przywiodły go do śmierci. Moi ludzie ryczeli. Ostrze miecza spadło na mój hełm, a kolejne załomotało o moją

tarczę. Berg usiekł tego, który rąbnął mnie w głowę. W murze tarcz nie wymachujesz, tylko dźgasz mieczem. Oby bogowie zawsze zsyłali mi wrogów, którzy wymachują ostrzami. Zbrojny, który dźgnął moją tarczę, cofał się, przerażone oczy wyłaziły mu z orbit. Potknąłem się o ciało, upadłem na kolano i sparowałem nadchodzące z prawej strony pchnięcie włócznią. Nie było w nim siły, albowiem włóczyk umykał w tył. Dźwignąłem się i ciąłem Żądłem Osy woja, którego cios spadł na moją tarczę, a zaraz potem ciąłem w prawo, tnąc włócznika po oczach. Chwilę później dźgnąłem ostrzem pierwszego lepszego wroga, który trząśł się ze strachu. Saks dosięgnął jego szyi i krew bryznęła mi na twarz. Krzyczałem, zdzierając gardło, przeklinając wroga, który odkrył, co znaczy walczyć z moimi wilkami. Nieznacznie opuściłem tarczę i zobaczyłem przerażonego Aethelhelma, który razem z córką, bladą i kruchą, kulił się pod ścianą kościoła. Otaczał dziewczynę ramieniem. Cerdic odepchnął mnie na bok. Porzucił włócznię i chwycił topór wojenny. Nie miał tarczy. Chwilę później rzucił się na wroga – potężny woj przepełniony bojową furią – jego topór rozplątał tarczę, a ostrze rozłupało twarz stojącego za nią męża. Cios był tak silny, że twarz tamtego zmieniła się w krwawą miazgę. Rzuciliśmy się do przodu, by chronić Cerdica.

– Ich szyki się łamią! – krzyknął mój syn.

Cerdic ryczał z wściekłości i wywijając ciężkim toporem, rozpędzał ludzi na boki. Jeden z jego ciosów trafił nawet w moją tarczę, lecz tego dnia był nie do zatrzymania. Któryś z ludzi Aethelhelma zamachnął się na niego mieczem, ale wraziłem mu Żądło Osy w rozdziawione usta, obróciłem ostrze i wbiłem je jeszcze głębiej. Ryczałem na wrogów, obiecując im rychłą śmierć. Byłem Thorem, byłem Odysem, byłem panem wojny.

Aethelstan podjechał konno do usłanego trupami podnóża schodów. Otworzył osłony na policzki i stanął w strzemionach, unosząc wysoko nad

głowę skrwawiony miecz.

– Jestem waszym księciem! – zagrzmiał. – Schrońcie się w kościele, a przeżyjecie! – Aethelhelm gapił się na niego z rozdziawionymi ustami. – Jestem waszym księciem! – krzyczał raz za razem Aethelstan. Jego siwek upstrzony był cętkami czerwonej krwi. – Schrońcie się w kościele, a przeżyjecie! Rzućcie broń! I wejdźcie do kościoła!

Hrothard zagroził mu drogę. Hrothard! On również zdzierał gardło, miecz miał czerwony od posoki, tarczę poznaczoną bliznami po ostrzach, a wymalowany na niej jeleń ociekał krwią.

– Jest mój! – ryknąłem.

Uhtred jednak ramieniem odsunął mnie na bok i rzucił się na rosnącego woja. Ten pchnął tarczą i zamachnął się mieczem, celując w nogi mojego syna, lecz Uhtred błyskawicznie opuścił tarczę, odparł cios i sam zaatakował. Szczęk ich mieczy przywodził na myśl dźwięk dzwonu. Hrothard miotał przekleństwa, mój syn zaś tylko się uśmiechał. Ich ostrza zderzyły się z brzękiem. Moi ludzie przypatrywali się im. Odziani w czerwone peleryny zbrojni Aethelhelma opuścili broń i wyciągali ręce na znak, że się poddają. Oni również obserwowali pojedynek i ciosy tak szybkie, że nie sposób było je zliczyć. Dwóch rzemieślników przy pracy. I nagle mój syn się potknął. Hrothard, dostrzegłszy okazję, przyskoczył do niego, lecz Uhtred zamarkował cios. Nagle znalazł się za plecami Hrotharda, z ostrzem na jego gardle i ciął głęboko. Krwawa mgiełka uniosła się w powietrze i Hrothard runął na ziemię.

Ojciec Herefrith krzykiem wzywał ludzi Aethelhelma do walki.

– Bóg jest z wami! Nie możecie przegrać! Zabić ich! Zabić poganina! Chrystus jest z wami! Zabijcie poganina!

Miał na myśli mnie.

Aethelhelm i jego córka zniknęli. Nie widziałem, jak uciekali. Jeden z przeciwników próbował dźgnąć mnie włócznią, lecz cios był słaby i bez trudu odepchnąłem go tarczą, a zaraz potem przypadłem do niego i wbiłem Żądło Osy aż po rękojeść. Włóczyk wydał stłumiony krzyk, jęknął, a ja przekląłem go i szarpnąłem ostrze w górę, patrosząc go jak zająca. Upadając, kwilił jak dziecko.

Kiedy Herefrith zobaczył, że mój saks utkwiał w brzuchu konającego, ruszył na mnie. Zatrzymał go mój syn i pchnięciem tarczy odepchnął na ścianę kościoła. Mój syn był chrześcijaninem, tak przynajmniej twierdził, a mordując księdza, skazałby swoją duszę na wieczne potępienie, dlatego tylko go odepchnął. Mnie jednak nie przerażało chrześcijańskie piekło. Porzuciłem Żądło Osy i chwyciłem włóczyk, z którą tak nieporadnie obchodził się konający.

– Herefricie! – ryknąłem. – Spotkaj swojego boga!

I natarłem na niego z opuszczoną włócznią. Nie zdążył odepchnąć jej mieczem i ostrze przebiło jego szatę, kolczugę i brzuch, zazgrzytało na kręgosłupie i wygięte zatrzymało się na kamiennej ścianie kościoła, usmarowanej i ociekającej jego krwią. Zostawiłem go tak na pewną śmierć.

– Przełamaliśmy ich szyki! – Mój syn szedł teraz obok mnie. – Przełamaliśmy ich szyki, ojcze!

– Ale ich nie pokonaliśmy – warknąłem.

Wyszarpnąłem Żądło Osy z ciała włóczyka i spojrzałem na kamienne podejście, skąd obserwował mnie kuzyn. Obserwował, lecz nie walczył. Zobaczył ustawiony przez Finana mur tarcz gotowy odeprzeć jego atak i widział, że oddziały jego sojuszników poszły w rozsypkę. Jego ludzie byli w połowie wzniesienia, widzieli naszą furie, ze strachu ich serca tłukły się im w piersiach jak skrzydła spłoszonych ptaków.

– Książę – zwróciłem się do Aethelstana, który czekał u stóp schodów za oddziałem Finana.

– Lordzie Uhtredzie?

– Zatrzymaj dwudziestu ludzi. – Głos miałem schrypnięty, gardło obolałe od wrzasku. – Strzeż tego miejsca. I nie daj się zabić, do cholery. Nie daj się zabić!

Ogarnął mnie bitewny szal. Niewiele brakowało, bym przegrał tę bitwę. Byłem bezmyślny, niemal straciłem Morską Bramę, miałem jednak szczęście. Zacisnąłem palce na rękojeści Żądła Osy i podziękowałem bogom za ich przychylność. Teraz w końcu zamierzałem zrobić to, co poprzysiągłem wiele lat temu. Zamierzałem zabić uzurpatora.

– Finanie!

– Panie?

– Wyrżniemy drani! – Stałem na szczycie wzniesienia, na najwyższym stopniu zalanych posoką kamiennych schodów, podczas gdy niebo na zachodzie krwawiło w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Krzyczałem, tak by mój kuzyn mnie słyszał. – Skąpiemy tę skałę we krwi! Jam jest Uhtred! Jestem tu panem! To moja skała! – Zszedłem po stopniach, przeszedłem między ludźmi Finana, którzy rozstępowali się przede mną. – To moja skała!

Oddałem Żądło Osy Rorikowi i sięgnąłem po Oddech Węża. Zgadywałem, że ostatni, większy mur tarcz się nam nie oprze. Szykowała się rzeź, a Oddech Węża łaknął krwi.

Stałem u boku Finana w szeregu, który do niedawna był naszym ostatnim, a teraz pierwszym. Mój kuzyn siedział na koniu, sześć–siedem kroków od zbrojnych stojących w pierwszym szeregu ustawionego przez niego muru tarcz. Oni widzieli mój uśmiech. Otworzyłem osłony na policzki, by zobaczyli moją umazaną krwią twarz, tak jak widzieli krew na

mojej kolczudze i rękach. Byłem skąpany w złocie i posoce. Byłem panem wojny i przepelniał mnie bitewny szał. Wrogowie stali dziesięć kroków dalej, ja zaś zbliżyłem się na kolejnych pięć i stanąłem przed nimi.

– To – warknąłem – moja skała.

Nikt się nie poruszył. Widziałem ich strach, czułem go.

– Spokojnie. – Usłyszałem za plecami głos Finana. – Spokojnie!

Jego ludzie, żądni mordy, powoli posuwali się do przodu.

– Jestem Uhtred – zwróciłem się do moich wrogów. – Uhtred z Bebbanburga. – Wiedzieli, kim jestem. Mój kuzyn sztychował ze mnie przez lata, lecz ci ludzie słyszeli opowiadane szeptem historie o dalekich bitwach. A teraz stałem przed nimi i unosząc Oddech Węża, mierzyłem nim w swojego kuzyna. – Ty i ja! – zawołałem.

Nie odpowiedział.

– Ty i ja! – powtórzyłem. – Nikt inny nie musi ginąć! Tylko ty i ja!

On tymczasem gapił się na mnie. Zauważyłem, że koronę jego hełmu wieńczy wilcza kita. Na szyi miał zawieszony złoty łańcuch, a uzdę jego konia zdobiło złoto. Był pulchny, kolczuga ciasno opinała jego wydatne brzuszysko. Może wyglądał jak pan wojny, lecz teraz był przerażony. Nie mógł nawet otworzyć ust, by wydać swym ludziom rozkaz do ataku.

Tymczasem ja nie zwlekałem.

– Zabić ich! – ryknąłem na swoich drużynników i ruszyliśmy do ataku.

Powtarzam swoim wnukom, że bitwy wygrywa się pewnością siebie. Nie chcę, by musiały walczyć, wolałbym, żeby świat wyglądał tak, jak chciał tego Jeremiasz, i by wszyscy żyli ze sobą w zgodzie i harmonii, lecz zawsze znajdzie się ktoś – i zwykle jest to mężczyzna – kto łypie z zazdrością na nasze pola, kto pożąda naszego domu, kto uważa, że jego cuchnący bóg jest lepszy od naszych, kto przyjdzie z płomieniem, mieczem i stalą, by odebrać nam to, co zbudowaliśmy, i jeśli nie będziemy gotowi do

walki, jeśli godzinami nie będziemy doskonalić się w sztuce władania mieczem, włócznią i saksem, człowiek ten zwycięży, a my zginiemy. Nasze dzieci zostaną zniewolone, żony zgwałcone, a bydło zarżnięte. Musimy więc walczyć, a człowiek, który pewnie staje do walki, wygrywa. Niejaki Ida przybił do tych brzegów niemal czterysta lat temu. Przepłynął morze na łodziach pełnych okrutnych ludzi i zdobył tę fortecę pobudowaną na skale. Wyrznął jej obrońców, używał sobie z ich żonami, a ich dzieci uczynił niewolnymi. Byłem potomkiem Idy. Jego wrogowie, zamieszkujący teraz Walię, nazywali go Flamdwyn, Niosący Ogień. Czy rzeczywiście spalił swych wrogów i zrzucił ich ze skały? Może, lecz niezależnie od tego, czy pieśń o Idzie jest prawdziwa czy też nie, jedno jest pewne – Ida Niosący Ogień przybył na tę ziemię i miał odwagę stworzyć na niej nowe królestwo.

Teraz szedłem w jego ślady, by kolejny raz skąpać tę skałę we krwi. Miałem rację. Wojownicy mojego kuzyna nie stawili nam oporu. Zabrakło im pewności siebie. Niektórzy porzucili miecze i tarcze i ci mieli szansę przeżyć, podczas gdy każdy, kto próbował walczyć, dostał to, czego chciał. Ja również odrzuciłem tarczę. Nie była mi potrzebna, albowiem nasi wrogowie cofali się, a niektórzy uciekali schodami w dół. Najdzielniejsi spośród nich stanęli w murze tarcz wokół mojego kuzyna, my zaś natarliśmy na nich. Rąbałem tarcze, zapominając, że miecz nie pokona wroga w dobrze ustawionym murze, ale wściekłość tak. Oddech Węża werznął się w żelazny otok tarczy i rozłupał hełm ukrytego za nią woja. Ten osunął się na kolana. Czyjaś włócznia przeszła moją kolczugę i przebiła mi bok, ja zaś wyłupiłem dzierżącemu ją wojownikowi oko, a mój syn dokończył dzieła. Finan siekł i wywijał mieczem z zimną determinacją, Berg krzyczał w swym ojczystym języku, a Cerdic rąbał tarcze toporem. Skalne schody były śliskie od krwi. Moi ludzie ryczeli, wyli, zabijali i wycinali sobie drogę przez szeregi wroga, tymczasem mój kuzyn

próbował zmusić konia do wycofania się na tyły swoich drużynników. W pewnej chwili Cerdic strzaskał ostrzem topora tylną nogę rumaka, zwierzę kwiknęło przeraźliwie i stanęło dęba, a wówczas Cerdic rozrąbał mu szyję i zwłókł mojego kuzyna z wyściełanego owczym runem siodła. Ludzie się poddawali lub próbowali się poddać. Klecha wzywał mnie, bym się opamiętał i zaprzestał rzezi. Kobiety krzyczały. Mój syn chwycił pozbawionego hełmu woja za włosy, nadział go na saks, przekręcił ostrze, odepchnął konającego i wraził miecz w brzuch kolejnego wroga.

I nagle zabrzmiał dźwięk rogu.

Jedną czystą nutą.

Słońce zaszło, lecz niebo nadal było jasne. Czerwone na zachodzie i purpurowe na wschodzie, bezgwiezdne. Znowu usłyszeliśmy niski, tubalny dźwięk i zobaczyliśmy Aethelstana, który prowadząc konia za uzdę, schodził ze skalnego wzniesienia. To on nakazał Rorikowi, by zadął w róg, domagając się końca rzezi.

– To koniec, lordzie Uhtredzie – zawołał, zatrzymując się przed nami. – Zwyciężyłeś.

Widziałem klęczących ludzi. Ludzi, którzy obszczali się ze strachu. I którzy przyglądali się nam ze zgrozą. Byliśmy watahą wilków z Bebbanburga i odebraliśmy to, co zdobył niegdyś Ida Niosący Ogień.

– To koniec – powtórzył Aethelstan, tym razem nieco ciszej.

Kruki zlatywały się ze wzgórz. Na szczycie za naszymi plecami psy chleptały krew. Było po wszystkim.

– Jeszcze nie – odparłem. Mój kuzyn wciąż żył. Stał, drżąc, pilnowany przez Cerdica. Miecz wypadł mu z dłoni i leżał obok zaszlachtowanego konia. Podniosłem go i podałem mu rękojęścią do przodu. – Ty i ja – rzuciłem.

Pokręcił głową. Pulchną twarz miał czerwoną, wodził dookoła przerażonym wzrokiem.

– Ty i ja – powtórzyłem, a on kolejny raz pokręcił głową.

Zabiłem go więc. Ciąłem go z góry Oddechem Węża i niepowstrzymywany przez nikogo dźgałem tak długo, aż został z niego skrwawiony zewłok, aż zostały strzępy odzienia, połamane kości i rozerwana kolczuga. Wytarłem ostrze miecza w jego pelerynę.

– Odetnij mu głowę – poleciłem Rorikowi. – A resztą nakarm psy.

Wróciłem do domu.

EPILOG

Einar w istocie okazał się pechowcem. Współ z załogą Trójcy jego ludzie pokonali przed Morską Bramą niedobitki Aethelhelmowych oddziałów, lecz on sam został ugodzony włócznią w brzuch i zmarł tej samej nocy. Szkoci chcieli sforsować bramę, ale kilka kamieni ciśniętych przez zbrojnych pod wodzą Gerbruhta odwiodło ich od tego, a wojowie Einara po tym, jak ich pan został ranny, stracili ochotę do walki. Złupili statki Aethelhelma, zabrali złoto, które Aelswyth przywiozła w posagu dla mojego kuzyna, i takie zwycięstwo im wystarczyło.

Szkoci nie zaatakowali Niskiej Bramy. Mój kuzyn zostawił trzydziestu ludzi, by strzegli tego bastionu, a to wystarczyło, bym utrzymał bramę do chaosu końca świata. Rankiem otworzyłem odrzwia i przejechałem przez nie razem z moim synem, Finanem i Aethelstanem. We czterech czekaliśmy na wąskiej ścieżce, gdzie Einar rozpoczął budowę palisady i gdzie Domnall wyjechał nam na spotkanie. Był imponującym mężem, ciemnookim, czarnowłosym, barczystym i prezentował się okazale na grzbiecie wielkiego czarnego rumaka. Nic nie rzekł, tylko powitał nas skinieniem głowy. Przybył sam.

– Powiedz swojemu panu – rzekłem – że Uhtred z Bebbanburga jest tu teraz panem, a moje ziemie są tak rozległe jak za czasów, gdy rządził tu mój ojciec.

Spojrzał ponad moim ramieniem na Niską Bramę i zdobiące ją czaszki, które mój kuzyn zatknął tam ku przestrodze. Dodałem do nich dwie głowy: zmasakrowane, skrwawione resztki czerepu mojego kuzyna i głowę Waldhere'a.

– Nie ma znaczenia, kto jest tutaj panem – odparł Domnall. Głos miał zdumiewająco łagodny, lecz był przecież panem wojny i nie musiał nikogo łżyć, by wzbudzać lęk. – I tak będziemy oblegać to miejsce. – Przeniósł na mnie wzrok.

– Nie – odparłem. – Nie będziecie. – Przez chwilę wierciłem się w siodle, by złagodzić ból w boku. Rana, którą mi zadano, nie była głęboka, podobnie jak ta na udzie. – Nie jestem jak mój kuzyn – zwróciłem się do Domnalla. – Nie będę siedział za murami.

– Przerażasz mnie – rzucił oschle.

– Przekaż zatem królowi Konstantynowi moje pozdrowienia – ciągnąłem. – I powiedz mu, by zadowolił się swoją ojcowizną, tak jak ja zadowalam się swoją.

– Powiedz mu coś jeszcze. – Aethelstan podjechał konno, by stanąć u mego boku. – Jestem Aethelstan – rzekł – księżę Wessexu, a ta ziemia jest chroniona przez mojego ojca.

Było to odważne stwierdzenie i wątpiłem, by król Edward się z nim zgodził, lecz Domnall nie protestował. Poza tym wiedział, że Sigtryggr i jego konni są nie dalej jak pół dnia marszu stąd. Wówczas nie miałem o tym pojęcia, ale Domnall wiedział, a nie był głupcem. Wiedział, że Bebbanburg został wzmocniony, tak jak wiedział, że gdy dołączy do nas Sigtryggr, będziemy mieli nad nim znaczną przewagę.

I tak Szkoci odpłynęli przed zmrokiem, zabierając swoją część Aethelhelmowego złota, całe bydło z Bebbanburga i wszystko, co byli w stanie unieść.

– Za dwa dni – rzekłem swojemu synowi – weźmiemy sześćdziesięciu ludzi i pojedziemy na północ wzdłuż naszej granicy. Jeśli natrafimy na naszych ziemiach na jakichkolwiek szkockich wojowników, zabijemy ich.

Chciałem, by Domnall i jego pan wiedzieli, że Uhtred z Bebbanburga jest tu teraz panem.

Sigtryggr dotrzymał obietnicy, tak jak ja dotrzymałem swojej. Obiecałem, że nie straci ludzi, prosiłem bowiem wyłącznie o to, by powiódł na ziemię Bebbanburga armię, która zagrozi Szkotom. Domnall musiał wysłać zwiadowców, by mieli ją na oku, przez co osłabił oddział oblegający fortecę. Wątpiłem, by dał rozkaz do ataku, a bliskość Sigtryggra jeszcze bardziej zmniejszyła to prawdopodobieństwo. Tego popołudnia mój zięć przeprowadził przeszło stu pięćdziesięciu zbrojnych przez wąski przesmyk, pod bramą z czaszek i za mury Bebbanburga.

Aethelhelm przeżył. Podobnie jak wielu jego ludzi schronił się w kościele, gdzie złożyli broń, i posłali księdza, by negocjował warunki poddania się. Chciałem go zabić, lecz Aethelstan mi nie pozwolił. Długo rozmawiał z ealdormanem, po czym przyszedł do mnie i oznajmił, że Aethelhelm będzie żył.

– Jesteś głupcem, książę – odparłem. – Twój ojciec by go zabił.

– Poprzez mojego ojca – rzekł Aethelstan.

– Obiecał ci to? Dlaczego wierzysz, że dotrzyma danego słowa?

– Bo jego córka będzie twoją zakładniczką.

Zaskoczyło mnie to.

– Mam zatrzymać Aelswyth?

– Tak – odparł z uśmiechem. – A twój syn podziękuje mi za to.

– Do licha z tym, czego chce mój syn – rzuciłem, myśląc o kłopotach, które mogły wyniknąć z tego związku. – Naprawdę myślisz, że Aethelhelm nie wymieniłby córki za królestwo?

Aethelstan pokiwał głową.

– To potężny człowiek – rzekł. – I ma wpływowych popleczników. Tak, poświęciłby Aelswyth dla swoich ambicji, lecz jeśli umrze, jego najstarszy syn będzie szukał pomsty. Wymieniłbyś tylko starzejącego się wroga na młodszego. A dzięki temu Aethelhelm jest moim dłużnikiem.

– Twoim dłużnikiem? – prychnąłem. – Myślisz, że jest ci wdzięczny? Jeszcze bardziej cię znienawidzi.

– Możliwe. Ale zatrzymasz go tutaj, dopóki nie zapłaci okupu. – Uśmiechnął się. – Tobie. To zamożny człowiek, a ty, przyjacielu, straciłeś dużo złota, by odzyskać tę skałę. Kiedy zapłaci okup, nie będzie już taki zamożny. W ten sposób go osłabimy.

Mruknąłem, by ukryć swoje zadowolenie.

– Pewnego dnia go zabiję – odparłem, niechętnie przystając na takie warunki.

– Pewnie tak, panie, ale nie dziś. I wstrzymasz się z tym do czasu, aż napełni twoje szkatuły złotem.

Tej nocy ucztowaliśmy. Była to skromna biesiada, złożona głównie z ryb, chleba i sera, lecz mieliśmy pod dostatkiem ale, które lało się strumieniami. Nieliczni drużynnicy mojego kuzyna, którym ufaliśmy – głównie młodzi wojownicy – biesiadowali z nami. Pozostałych wygnaliśmy, by jako bezpańscy ludzie błakali się po wzgórzach. Niedobitki Aethelhelmowych oddziałów spędziły tę noc na podwórku między dwiema bramami – Niską i Wysoką. Rankiem zamierzałem odesłać je na południe, i tylko jednemu na trzech ludzi wolno było zachować broń, by mogli się obronić podczas długiej podróży do domu. Sam Aethelhelm zgodnie ze swoją pozycją siedział przy stole na podniesieniu. Był równie miły jak zawsze, choć spojrzenie miał udręczone. Widziałem, jak mój syn polewał ale jego córce, a ona, śliczna i blada, roześmiała się, gdy nachylił się w jej

stronę i szepnął jej coś do ucha. Aethelhelm usłyszał ten śmiech i pochwycił moje spojrzenie. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, aż w końcu wiwaty biesiadników przy niższych stołach dały nam obu pretekst, by odwrócić wzrok. Tęskniłem za Eadith, ale na szczęście jedna z łodzi Aethelhelma wciąż nadawała się do żeglugi i rankiem zamierzałem posłać Berga wraz z niewielką załogą na południe, by sprowadzili nasze kobiety i rodziny do ich nowego domu.

Harfista mojego kuzyna zagrał pieśń o Idzie, a moi ludzie śpiewali i tańczyli. Chełpili się swoim męstwem i opowiadali o tym, jak walczyli, nie wspominając jednak o okropieństwach bitwy. W mniejszej izbie leżało zbyt wielu rannych. Nazbieraliśmy pajęczyn i mchu, potargaliśmy sztandary mojego kuzyna na bandażę i próbowaliśmy opatrzyć rany, zobaczyłem jednak, że jeden z księży mojego kuzyna, młody człowiek, udzielał chrześcijanom ostatniego namaszczenia. Inni leżeli, ściskając w dłoniach rękojeści mieczy albo saksów. Niektórzy mieli broń przywiązaną do rąk, chcieli bowiem pewnego dnia spotkać się ze mną w Walhalli.

Tej nocy stałem z Finanem na skalnej półce przed dworem. Długie odbicie księżyca kładło się na wodzie, tworząc migotliwą ścieżkę – taką samą, jaką przebył Ida Niosący Ogień, by uczynić to dziwne wybrzeże swoim domem. Łzy napłynęły mi do oczu, zmieniając długą, świetlistą ścieżkę w rozmazaną smugę.

Albowiem byłem w domu.

NOTA HISTORYCZNA

W nocie historycznej wyznaję swoje grzechy, zdradzając, co w powieści jest wymysłem, a co beczelnie zmienioną historią, jednak *Strażnik ognia* zawiera tak wiele fikcji, że nota historyczna jest w zasadzie niepotrzebna, bo właściwie wszystko jest tu zmyślane. Nie było spotkania Edwarda, Aethelflaed i Sigtryggra, starcia pod Hornecastre ani szkockiej inwazji na Northumbrię w 917 roku.

Mimo to czytelnicy mogą przynajmniej mieć pewność, że wiele postaci pojawiających się w książce istniało naprawdę, a ambicje i czyny, które im przypisałem, odpowiadają temu, co wiemy o ich zachowaniu i polityce. Jedyny wyjątek stanowi ealdorman Aethelhelm. Człowiek ów istniał naprawdę i był niebywale zamożnym i wpływowym zachodniosaskim szlachcicem, lecz prawdopodobnie zmarł przed 917 rokiem, ja zaś przedłużyłem mu życie, by uczynić go użytecznym przeciwnikiem Uhtreda. Był teściem króla Edwarda i należy zakładać, że pragnął, by Edward wyrzekł się i wydziedziczył Aethelstana na rzecz swojego drugiego syna – Aelfwearda, który rzecz jasna był wnukiem Aethelhelma. Rywalizacja między Aethelstanem i Aelfwardem z czasem stanie się istotna, lecz w *Strażniku ognia* daje jedynie Aethelhelmowi pretekst do tego, by sprawiać kłopoty. Ci, którzy odmawiali Aethelstanowi prawa do korony, jak Aethelhelm, twierdzili, że Edward nie poślubił jego matki, co czyniło Aethelstana królewskim bękartem. Kroniki historyczne dość niejasno wyrażają się na temat zasadności jego roszczeń do tronu, ja jednak

postanowiłem dać wiarę prawowitości Aethelstana. Edward wyraźnie próbował chronić młodego Aethelstana, posyłając go do swojej siostry Aethelflaed, która władała Mercją, i Aethelstan w istocie był tam bezpieczny. Powieść sugeruje również, że małżeństwo Edwarda z Aelflaed, córką Aethelhelma, nie należało do udanych, i to również jest wielce prawdopodobne.

Tłem powieści o Uhtredzie jest powstawanie Anglii nazywanej wówczas Englaladem. W czasach, gdy zaczyna się opisywana w tym cyklu historia, czyli w latach siedemdziesiątych IX wieku, nie było Anglii, tak jak nie było Walii ani Szkocji. Brytania była podzielona na wiele królestw, które kłóciły się między sobą. Dopiero najazdy ludzi Północy przyczyniły się do powstania późniejszego zjednoczonego królestwa Anglii. To samo działo się w Walii, głównie za rządów Hywela Dobrego, i w Szkocji pod rządami Konstantyna. Obaj byli wielkimi przywódcami, którzy rozpoczęli jednoczenie swoich królestw. Choć zniesławiałem Konstantyna, sugerując, iż mógł dokonać nieudanej inwazji na Northumbrię w 917 roku, nie jest to bezzasadne, gdyż w późniejszych latach rzeczywiście dokonał takiego najazdu. Miał dość rosnącej w siłę władzy Sasów na południu i próbował położyć jej kres.

Kiedy Uhtred przyszedł na świat, kraj zwany niegdyś Anglią był podzielony na cztery królestwa. Duńczycy podbili trzy z nich i niewiele brakowało, a zdobyliby również Wessex na południu. Historia o powstawaniu Anglii jest opowieścią o tym, jak południowe królestwo – Wessex – stopniowo odzyskało wszystkie północne ziemie. Marzenie o zjednoczonej Anglii słusznie przypisuje się Alfredowi Wielkiemu, królowi Wessexu, który zmarł w 899 roku i który zdołał obronić Wessex, bez czego do zjednoczenia nigdy by nie doszło. Alfred stworzył system burhów (zwanych również *boroughs*), czyli ufortyfikowanych miast.

Budzący grozę wojownicy z Północy nie byli przygotowani do oblegania burhów i ufortyfikowane miasta i stacjonujące w nich garnizony szczerze ich irytowały. Tę samą taktykę stosowano w Mercji, gdzie mąż Aethelflaed władał większością południowej części królestwa. Po jego śmierci Aethelflaed, pani Mercji, przesunęła granicę na północ, w głąb terytorium Duńczyków, a na podbitych ziemiach pobudowała kolejne burhy. Jej brat Edward władał Wessexem i robił to samo w Anglii Wschodniej. I tak do 917 roku Duńczycy stracili niemal całe swoje terytorium z wyjątkiem Northumbrii. Dawne królestwo Anglii Wschodniej nie zostało przywrócone, lecz stało się częścią Wessexu, podczas gdy Mercja zachowała odrębność. Sasi zachodni niewątpliwie chcieli przyłączyć Mercję do swego królestwa, jednak Mercjanie stanowczo sprzeciwiali się byciu kolejną częścią potężnego Wessexu i Aethelflaed, mimo iż jej brat zasiadał na tronie Wessexu, zachęciła Mercję do zachowania niepodległości. A jednak w 917 roku Mercja była poważnie zadłużona u zachodniosaskiej monarchii i znajdowała się pod jej wpływem. Anglia jeszcze się nie narodziła, podobnie jak nie powstał jeszcze pomysł jednego kraju, w którym wszyscy będą mówić po angielsku, pomysł za życia Alfreda wydający się niczym więcej jak tylko mrzonką. Pozostaje już tylko podbój Northumbrii, władanej przez Sigtryggra, którego po wielu rozterkach, jakie towarzyszą pisarzom powieści historycznych, postanowiłem ożenić ze Stiorrą, postacią fikcyjną.

Forteca w Bebbanburgu istniała naprawdę. Nadal istnieje, choć dziś nosi miano zamku Bamburgh i jest imponującą, zachowaną w doskonałym stanie średniowieczną twierdzą wybudowaną w miejscu starożytnego fortu. Mniej więcej w połowie VI wieku Angl imieniem Ida, którego wrogowie w Brytanii zwali Idą Niosącym Ogień, wypłynął z Europy kontynentalnej i zdobył grań wraz ze stojącym na niej fortem. Założył tam

niewielkie królestwo zwane Bernicją, które obejmowało większość dzisiejszego hrabstwa Northumberland oraz południową Szkocję. Uparcie nazywam wszystkie anglojęzyczne plemiona Sasami, choć naturalnie byli wśród nich Anglowie i Jutowie, a Anglia przewrotnie zawdzięcza swoją nazwę Anglom, a nie dominującym na tych terenach Sasom południowym. Potomkowie Idy władali Bebbanburgiem aż do XI wieku i wielu z nich przyjmowało imię Uhtred. Mój Uhtred jest postacią fikcyjną, a jego walka o odzyskanie Bebbanburga (nazwanego na cześć królowej Bebby z Bernicji, żony wnuka Idy) również jest fikcją literacką. Zdumiewające jest to, że ród Idy rządził tą wielką fortecą przez cały okres duńskich rządów, czyniąc z niej saską i chrześcijańską enklawę w kraju ludzi Północy i pogan. Podejrzewam, że potomkowie Idy z nimi współpracowali, ale niczego nie wiemy na pewno. Wiadomo jednak, że zbudowana przez nich forteca była ogromna – to jedna z największych twierdz w Brytanii przed inwazją Normanów. Ci, którzy dziś odwiedzają zamek, mogą się zastanawiać, gdzie podziela się przystań i prowadzący do niej kanał, lecz płytkie cumowisko i wejście do niego zamuliły się w ciągu wieków i nie są już widoczne. Istnieje natomiast ród, który używał imienia Uhtred, a rozmaite warianty tego miana tworzą nazwiska jego potomków, choć ci nie mieszkają już w zamku Bamburgh. Sam jestem jednym z nich, dlatego opowiadając ich wybitną historię, na wiele sobie pozwalam.

A zatem w moim fikcyjnym świecie Uhtred znów jest prawowitym panem i władcą Bebbanburga. Jego wielkie pragnienie odzyskania rodzinnej fortecy zostało spełnione, lecz większa ambicja, by zjednoczyć wszystkie ludy mówiące po angielsku, wciąż pozostaje niezaspokojona. A to oznacza, że cokolwiek myśli Uhtred, jego opowieść również się jeszcze nie skończyła.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Nazwy geograficzne

Część pierwsza. Król

Rozdział pierwszy.

Rozdział drugi

Część druga. Zasadzka

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty.

Rozdział piąty.

Rozdział szósty.

Część trzecia. Szalony biskup

Rozdział siódmy.

Rozdział ósmy.

Rozdział dziewiąty.

Rozdział dziesiąty.

Część czwarta. Powrót do Bebbanburga

Rozdział jedenasty.

Rozdział dwunasty.

Epilog

Nota historyczna

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Flame Bearer*

Copyright © Bernard Cornwell 2016

Copyright for this edition: © Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Anna Dobrzańska

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

Grafika przedstawiająca kruki: © 2013 Janice Duke

ISBN 978-83-8135-840-8



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek